

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Honore de Balzac

Ojciec Goriot

Tłumaczył Tadeusz Żeleński-Boy

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

*Wielkiemu i znakomitemu Geoffroy de Saint
Hillaire¹ w dowód podziwu dla jego prac i
geniuszu.*

De Balzac

¹ Geoffroy de Saint Hillaire, wybitny przyrodnik francuski.

Pani Vauquer, z domu Conflans, jest to starsza dama, która od czterdziestu lat prowadzi w Paryżu gospodę przy ulicy Neuve-Sainte-Geneviève, między Dzielnicą Łacińską a przedmieściem Saint-Marcel. Dom ten znany jest pod mianem pensjonatu Vauquer; mimo iż przyjmuje zarówno mężczyzn, jak kobiety, młodych ludzi, jak starców, nigdy obmowa nie dotknęła obyczajów tego czcigodnego zakładu. Ale też od trzydziestu lat nikt nie widział tu młodej kobiety; aby zaś młody człowiek tam zamieszkał, musi go snadź rodzina trzymać na bardzo chudej pensyjce. W 1819 r. wszakże, epoce, w której rozpoczyna się ten dramat, zamieszkiwała tam jedna młoda panienka. Mimo iż słowo „dramat” mocno straciło na wyrazistości wskutek naciąganego i niewłaściwego użytku, jaki zeń czyni nasza cierpliwa literatura, konieczne jest użyć go tutaj, nie iżby ta historia była dramatyczna w ścisłym znaczeniu słowa, ale skoro dobiegnie do końca, może czytelnik uroni parę łez *intra* i *extra muros*². Czy zrozumie ją kto poza Paryżem? Można wątpić. Szczegóły tej sceny, pełnej obserwacji i kolorytu lokalnego, da się ocenić jedynie między wzgórzami Montmartre a wyżem Montrouge, w tej znamienitej dolinie wciąż osypującego się tynku i ścieków czarnych od błota; dolinie wypełnionej rzeczywistym cierpieniem, fałszywą często radością i tak straszliwie oranej wzruszeniami, iż trzeba doprawdy czegoś nadzwyczajnego, aby osiągnąć trwalsze nieco wrażenie. Mimo to zdarzają się tam od czasu do czasu cierpienia, które przez nagromadzenie występku i cnoty nabierają jakiejś wielkości i dostojeństwa: na ich widok egoizmy, interesy przystają wzruszone; ale wrażenie to jest niby soczysty, szybko pochłonięty owoc. Wóz cywilizacji, podobny do wozu bóstwa z Dżagernat³, ledwie wstrzymuje się chwilę w drodze, skoro serce mniej łatwe do zmiżdżenia od innych zatrzyma jego koła; skruszywszy je niebawem, wiedzie dalej swój pochód zwycięski. Tak i wy: ty, która trzymasz tę książkę w białej dłoni, ty, który zanurzasz się w miękki fotel, powiadając sobie: „Może mnie to rozerwie”. Odczytawszy dzieje tajemnych niedoli ojca Goriot, zjecie ze smakiem obiad, składając swą nieczułość na karb autora, pomawiając go o przesadę, o poezję. Ach, wiedźcie: dramat ten nie jest ani wymysłem, ani romanssem. *All it true*⁴, Jest on tak prawdziwy, że każdy odnajdzie jego składniki w sobie, może we własnym sercu.

Dom, w którym ulokował się pensjonat, należy do pani Vauquer. Leży na skraju ulicy Neuve-Sainte-Geneviève, w miejscu, gdzie poziom obniża się ku ulicy Arbalète tak nagłym i bystrym spadkiem, że pojazdy rzadko zapuszczają się w tę okolicę. Przyczynia się to do ciszy ulic stłoczonych między Val-de-Grâce a tumem Panteonu, dwiema budowlami, które nadają swoisty charakter atmosferze, barwiąc ją żółtymi tonami, gasząc wszystko surowym cieniem padającym od kopuł. Bruk suchy, w ściekach nie ma błota ani wody, trawa porasta pod murem. Najobjętniejszy człowiek ulega smutkowi ogarniającemu tu każdego; turkot pojazdu staje się istnym wydarzeniem, domy są martwe, mury trącą kaźnią. Zbłąkany paryżanin ujrzy

² *intra* i *extra muros* – wewnątrz i na zewnątrz murów (łac.).

³ bóstwo z Dżagernat – hinduski bóg Wisznu.

⁴ *all it true* – wszystko to prawda (ang.).

tam jedynie tanie pensjonaty lub zakłady publiczne, nędzę i nudę, starość chylącą się ku śmierci, radosną młodość zniewoloną do pracy. Nie ma w Paryżu okropniejszej i powiedzmy, mniej znanej dzielnicy. Ulica Neuve-Sainte-Geneviève zwłaszcza jest niby brązowa rama, harmonizująca z tym opowiadaniem, do którego trzeba, o ile możliwości, nastroić ducha ciemnym kolorem, poważnymi myślami: tak, w miarę jak podróżnik zstępuje do katakumb, z każdym stopniem światło słabnie i śpiew przewodnika głuźnie. Jakież prawdziwe porównanie? Któż rozstrzygnie, który widok jest straszliwszy, wyschłych serc czy pustych czaszek?

Front wychodzi na ogródek w ten sposób, że budynek przylega bokiem do ulicy Neuve-Sainte-Geneviève, z której widzimy go w pionowym przekroju. Wzdłuż fasady, między domem a ogródkiem, znajduje się brukowany ściek, szeroki na sześć, dalej ścieżka wysypana piaskiem, otoczona krzewami geranium, oleandrów i granatów posadzonych w niebieskich fajansowych wazonach. Wchodzi się furtką, nad którą widnieje tabliczka z napisem: „Pani Vauquer”, pod spodem zaś: „Pensjonat domowy dla obojga płci i innych”. Za dnia przez ażurową furtkę, uzbrojoną hałaśliwym dzwonkiem, widać na końcu dróżki, na murze wprost ulicy, niszę pomalowaną na zielony marmur przez miejscowego artystę. W tej imitacji niszy wznosi się posąg przedstawiający Amora. Patrząc na obłupany pokost, który go pokrywa, miłośnicy symbolów odkryliby w nim może godło miłości paryskiej, którą leczy się o kilka kroków dalej. Na podstawie wpółzartaty napis przywodzi na pamięć czas, którego sięga ten ornament, a to przez entuzjazm dla Woltera, w epoce jego powrotu do Paryża w r. 1777:

*Jakie bądź imię twe, ród i stan,
Oto twój władca, oto twój pan.*

Z zapadnięciem nocy furtka ustępuje miejsca litej bramie. Ogródek, tak szeroki jak front domu, zamknięty jest od ulicy murem, a z drugiej strony ścianą sąsiedniego domu, z której zwisa opona z bluszczu, ściągająca oczy przechodniów niezwykle malowniczym jak na Paryż widokiem. Mur okalający ogródek obramiony jest szpalerami i winem, którego nikle i zakurzone pędy stanowią przedmiot corocznej troski pani Vauquer i rozmów stołowników. Po obu stronach wąska dróżka prowadzi do naturalnej lipowej altany. Między bocznymi alejami grędy karczochów, otoczone strzyżonymi drzewami owocowymi i obsadzone szczawiem, sałatą i pietruszką. Pod lipami okrągły stolik, pomalowany na zielono, otoczony ławkami. Tam w upalne dni biesiadnicy dość zamożni, aby sobie pozwolić na kawę, przychodzą się napawać tym nektarem w skwarze godnym wylęgarni.

Dom, wysoki na trzy piętra z poddaszem, zbudowano z piaskowca i pomalowano na ów żółty kolor, który daje tak nieszlachetny wygląd większości domów w Paryżu. Okna, po pięć na każdym piętrze, o drobnych szybkach, strojne są żaluzjami, z których każda sterczy pod innym kątem, tak że linie ich kłócą się z sobą. Boczna ściana ma po dwa okna, opatrzone na parterze żelazną kratą. Za domem dziedziniec szeroki na dwadzieścia stóp, gdzie żyją w dobrej komitywie świnię, kury, króliki; w głębi szopa na drzewo. Między szopą a oknem od kuchni ustawiono rodzaj spiżarni, pod którą znajduje się ściek. Z dziedzińca otwierają się na ulicę Neuve-Sainte-Geneviève drzwiczki, którymi kucharka wymiata z domu nieczystości, splukując następnie to bajoro wielką obfitością wody pod grozą morowej zarazy.

Parter, z natury rzeczy stanowiący rdzeń pensjonatu, składa się najpierw z pokoju o szklanych drzwiach i dwóch oknach wychodzących na ulicę. Salon ten sąsiaduje z jadalnią; tę oddziela od kuchni sień, w której wznoszą się drewniane woskowane schody. Trudno o smutniejszy widok niż ten salon, którego całe umeblowanie stanowią fotele i krzesła obite włosiem w matowe na przemian i błyszczące pasy. W środku okrągły stół z płytą imitującą marmur, na nim ów serwis z białej porcelany, o złotych, wpółzartanych już prążkach, jaki spotyka się dziś wszędzie. Pokój ten, o dość lichej podłodze, wyłożony jest do wysokości

klamki drzewem. Powyżej błyszczące obicie przedstawia sceny z „Telemaka”. Przestrzeń między dwoma zakratowanymi oknami bawi oczy pensjonarzy ucztą wydaną przez Kalipso dla syna Odysowego. Od czterdziestu lat malowidło to jest przedmiotem żartów młodszych stołowników, którzy starają się wznieść ponad swój los, dworując sobie z obiadu, na jaki skazuje ich nędza. Kominiek, którego palenisko zawsze czyste świadczy, że ogień zjawia się tu tylko w ważnych uroczystościach, zdobny jest dwoma wazonami sztucznych kwiatów, starych i tkwiących pod kloszami, które okalają szkaradny zegar z niebieskiego marmuru. Pierwszy ten pokój wydziela zapach, na który język nie posiada określenia, a który trzeba by nazwać „odorem pensjonatu”. Odór ten trąci stęchlizną, butwielą, jelkością; przejmuje chłodem, wilgocią, przenika ubranie; ma smak sali, w której niedawno sprzątnięto resztki obiadu, cuchnie kredensem, spiżarnią, szpitalem. Może zdołałby go opisać ktoś, kto by wynalazł proceder określania mdlących oparów, jakie wydają kataralne i swoiste wyziewy każdego pensjonarza bez względu na wiek i płeć. Otóż mimo tych smutnych okropności, gdybyście porównali salon ten z jadalnią, która z nim graniczy, wydałby się wam wytworny i pachnący niby wykwintny budouarek. Ta sala, cała wykładana drzewem, była niegdyś pomalowana na kolor niepodobny dziś do określenia, tworzący niby tło, na którym brud rozłożył się warstwami, rysując dziwaczne figury. Dokoła ciągną się wiecznie lepkie półki, na których stoją poszczerbione i pożółkłe karafki, metalowe krążki, stopy fajansowych talerzy o niebieskich obwódkach, jakie wyrabia się w Tournai. W rogu skrzynka z przegródkami na serwety, zawsze poplamione i skropione winem. Pokój ów mieści wiekiste sprzęty, wygnane zewsząd, ale zachowane tam jak niedobitki cywilizacji w zakładzie nieuleczalnych. Barometr z kapucynem, który wychodzi na słotę; ohydne, odbierające apetyt ryciny, oprawne w czarne lakierowane listewki ze złotym prążkiem; szylkretowy zegar wykładany miedzią, zielony piec, kinkiety, na których kurz miesza się z oliwą, długi stół pokryty ceratą, dość tłustą, aby facecjonista mógł wypisać na niej palcem swe imię, kulawe krzesła, nędzne maty z morskiej trawy, która rozplata się wiecznie, ale i jest wiecznotrwała, zrujnowane, przepalone piecyki do grzania półmisków. Aby wyrazić, do jakiego stopnia sprzęty te są stare, spróchniałe, przegniłe, zżarte, kulawe, ślepe, chrome, dychawiczne, trzeba by tu dać opis, który by nadto odwołł bieg historii i którego niecierpliwi ludzie nie darowaliby autorowi. Czerwona podłoga pełna wybojów spowodowanych froterką albo malowaniem. Słowem, panuje tam nędza bez poezji; nędza oszczędna, zaciekła, wytarta. Nie ma jeszcze śladów błota, ale ma plamy, nie ma dziur ani łachmanów, ale rozpada się i butwieje.

Pokój ten znajduje się w pełnym blasku w chwili, gdy koło siódmej rano kot pani Vauquer kroczy przed swą panią, skacze po półkach, węszy mleko w przykrytych talerzami garnuszkach i napelnia pokój rannym pomrukiem. Niebawem ukazuje się wdowa, strojna w tiulowy czepek, spod którego zwisa źle włożony fałszywy warkocz; stąpa włokąc wykrzywione pantofle. Twarz pomarszczona, pulchna, z nosem w kształcie papuziego dzioba, małe tłuste ręce, cała osoba nabita niby szczur kościelny, nazbyt pełny i trzęsący się biust – harmonizuje z tą salą, gdzie mury ociekają nieszczęściem, gdzie z kątów zieje chciwość i gdzie pani Vauquer oddycha cuchnącym i ciepłym powietrzem, nie doświadczając mdłości. Twarz jej świeża jak przymrozek jesienny, okolone siecią zmarszczek oczy, których wyraz przechodzi od wymuszonego uśmiechu tancerki do cierpkiego chłodu lichwiarza, słowem, cała jej osoba tłumaczy ten pensjonat, jak pensjonat wyraża jej osobę. Kaźń nie może istnieć bez dozorczy. Wyblakła otyłość tej niedużej osóбки jest wytworem sposobu życia, jak tyfus następstwem szpitalnych wyziewów. Wełniana, robiona na drutach halka wygląda spod spódnicy sporządzonej ze starej sukni, która przez siatkę poprzecieranej materii ukazuje strzępy waty; strój ten streszcza salon, jadalnię, ogródek, zwiastuje kuchnię i pozwala się domyślać stołowników. Widząc tę ramę oraz osobę właścicielki, mamy zupełny obraz. Pani Vauquer, licząca lat około pięćdziesięciu, podobna jest do wszystkich kobiet, które dużo przeszły. Ma szkliste oko, niewinną minę stręczycielki, zbrojącej się w surowość, aby

wycisnąć wyższą cenę, ale gotowej do wszystkiego, aby poprawić swój los; gotowej wydać Georges'a albo Pichegru⁵, gdyby to było jeszcze możliwe. Mimo to wszystko to w „gruncie dobra kobieta”, powiadają pensjonarze, którzy uważają ją za biedną, słysząc, jak stęka i kaszle jak oni. Kim był Vauquer? Nigdy wdowa nie wyraziła się jasno o pozycji nieboszczyka. W jaki sposób stracił majątek? „Nieszczęścia” – odpowiadała. Postąpił sobie z nią niegodziwie, zostawił jej tylko oczy do łez, ten domek, aby żyć, i prawo do obojętności na każdą niedolę, ponieważ (powiadała) wycierpiała sama wszystko, co można wycierpieć.

Słyszając dreptanie pani, gruba Sylwia, kucharka, spieszy podać śniadanie dla pensjonarzy. Przychodni jadają zazwyczaj tylko obiad, za który płacą trzydzieści franków miesięcznie. W dobie, gdy zaczyna się ta historia, „stałych” było tylko siedmiu. Pierwsze piętro zawierało dwa najładniejsze mieszkania w całym domu. Pani Vauquer zajmowała skromniejsze; drugie należało do pani Couture, wdowy po komisarzu wojennym Rzeczypospolitej. Pani Couture miała przy sobie bardzo młodą osobę, Wiktorynę Taillefer, której zastępowała matkę. Obie płaciły razem do tysiąca ośmiuset franków rocznej pensji. Na drugim piętrze jedno mieszkanie zajmował staruszek nazwiskiem Poiret, drugie mężczyzna około czterdziestoletni, który nosił czarną perukę, malował bokobrody i mienił się ekskupcem; nazywał się Vautrin. Trzecie piętro składało się z czterech pokoi, z których dwa były wynajęte: w jednym mieszkała stara panna, nazwiskiem Michonneau; w drugim były fabrykant makaronu i krochmalu, który pozwalał się zwać ojcem Goriot. Dwa pozostałe pokoje przeznaczone były dla przelotnych ptaków, dla nieszczęśliwych studentów, którzy, jak ojciec Goriot i panna Michonneau, mogli obrócić jedynie czterdzieści pięć franków miesięcznie na życie i mieszkanie; ale pani Vauquer nie lubiła tego typu pensjonarzy, przyjmowała ich jedynie w braku czego lepszego; jedli za dużo chleba. W tej chwili jeden pokój zajmował młody student prawa przybyły spod Angouleme; liczna jego rodzina dokazywała cudów, aby mu zapewnić tysiąc dwieście franków rocznie. Eugeniusz de Rastignac – takie było jego miano – był jednym z owych młodych ludzi pracowitych z musu, którzy już w młodym wieku pojmują, że są nadzieją rodziny; którzy starają się zdobyć podwaliny świetnej przyszłości, układając celowo plan studiów i dostrajając je z góry do przyszłej ewolucji społeczeństwa, iżby pierwsi mogli wycisnąć z niej korzyści. Bez interesujących obserwacji tego młodego człowieka oraz zręczności, z jaką umiał się wcisnąć w paryskie salony, opowieść ta nie posiadałaby owego kolorytu prawdy, jaki jej da z pewnością jego bystrość oraz chęć zgłębienia tajemnic straszliwego położenia, równie starannie ukrywanych przez tych, co je stworzyli, jak przez tego, co je cierpiał.

Nad trzecim piętrem był strych do bielizny oraz dwie klitki, gdzie sypiali posługacz Krzysztof i gruba Sylwia, kucharka. Oprócz siedmiu „domowych” pani Vauquer miała zawsze jakich ośmiu studentów prawa lub medycyny i dwóch lub trzech stałych gości mieszkających w sąsiedztwie, abonujących tylko obiady. Do obiadu siadało w jadalni osiemnaście osób, mogłoby się zaś pomieścić dwadzieścia; rano natomiast znajdowało się tam tylko siedmioro domowych, których śniadanie miało charakter rodzinny. Każdy schodził w pantoflach, pozwalał sobie na uwagi dotyczące stroju i zachowania się „przychodnich” lub też wydarzeń poprzedniego wieczoru, a wyrażał się przy tym z poufałą zażyłością. Ci pensjonarze to były pieśczochy pani Vauquer, która ze ścisłością astronoma odmierzała im starania i wygody wedle opłaconej sumy. Jeden i ten sam wzgląd powodował tymi skupionymi przez traf istotami. Dwaj lokatorzy z drugiego piętra płacili tylko siedemdziesiąt dwa franki na miesiąc. Taniłość ta, którą spotyka się jedynie w dzielnicy Saint Marcel między szpitalem la Bourbe a szpitalem Salpêtrière i w której jedna pani Couture stanowiła wyjątek, świadczy, iż wszyscy ci pensjonarze musieli się znajdować pod znakiem mniej lub bardziej widocznych nieszczęść, Toteż żaloszny obraz tego domu powtarzał się w stroju domowników,

⁵ nazwiska autorów monarchistycznego spisku przeciwko Napoleonowi.

tak samo zaniedbanym. Surduty, których kolor stał się zagadką; trzewiki, jakie w wytwornych dzielnicach porzuca się przy bramie; wystrzępiona bielizna, odzież, która miała już tylko duszę; suknie niemodne, farbowane; zblakłe i stare, cerowane koronki, rękawiczki wyświecone od użycia, zrudziałe kołnierzyki i obszarpane chustki. O ile stroje przedstawiały się w ten sposób, w zamian prawie wszyscy pensjonarze posiadali ciała o mocnej budowie, organizmy, które oparły się burzom, twarze zimne, twarde, wytarte na kształt wyszłych z obiegu talarów. Zwiędłe usta zbrojne były chciwymi zębami. Wygląd tych pensjonarzy pozwalał się domyślać minionych lub obecnych dramatów; nie owych dramatów rozgrywających się przy blasku rampy, w malowanych kulisach, ale dramatów żywych i niemych, dramatów mroźnych, które wszelako pałą serca żarem, dramatów nieustających.

Zmęczone oczy starej panny Michonneau przysłaniał brudny daszek z zielonej kitajki okolonej mosiężnym drutem, zdolny wystraszyć anioła litości. Szal jej, o chudych i żalonych frędzlach, zdawał się odziewać szkielet, tak kształty, które ukrywał, były kanciaste. Jaki kwas odarł tę istotę z kobiecej formy? Musiała niegdyś być ładna i zgrabna: byli to występki, zgryzota czy chciwość? Czy nadto kochała? Czy była dwuznaczną modystką, czy tylko kurtyzana? Czy za tryumfy wyuzdanej młodości, przed którą stały się rozkosze, pokutowała starością straszącą przechodniów? Bezbarwny jej wzrok przejmował dreszczem, zwiędła twarz kryła coś groźnego. Miała przenikliwy głos konika polnego krzyczącego w zaroślach z nadejściem zimy. Powiadała, że zajęła się starszym panem cierpiącym na katar pęcherza i opuszczonym przez własne dzieci, które sądziły, że jest bez grosza. Starzec ten zostawił jej tysiąc franków dożywocia, periodicznie wydzieranego przez spadkobierców, których potwarzy stała się pastwą. Mimo iż gra namiętności przeżarła jej twarz, można było w niej odnaleźć ślad białej niegdyś cery i delikatnych rysów, które pozwalały przypuszczać, że ciało zachowało resztki piękności.

Pan Poiret był to istny automat. Widząc go snującego się niby szary cień alejami Ogrodu Botanicznego w starym miękkim kaszkiecie, z laską o gałce z poźółkłej kości słoniowej, którą ledwo trzymał w dłoni, widząc bujające na wietrze poły surduta, który niedostatecznie okrywał spodnie niemal próżne i nogi w niebieskich pończochach chwiejące się jak u pijanego, brudną białą kamizelkę, pokurczony żabot z grubego muślinu i halsztuk okręcony dokoła indyjskiej szyi, wielu ludzi zadawało sobie pytanie, czy ten chiński cień należy do śmiałej rasy synów Jafeta⁶, od których roi się na bulwarach. Jaka praca mogła go tak pokurczyć, jaka namiętność pocętkowała gąbczastą twarz, która narysowana przez karykaturzystę wydawałaby się nieprawdopodobna? Czym był dawniej? Może urzędnikiem w ministerium sprawiedliwości, w biurze, gdzie urząd katowski przesyła rachunki kosztów, rachunki za dostawę czarnych welonów dla ojcobójców, trocin do śmiertelnego koszyka, sznurów do gilotyny? Może kontrolerem przy szlachtuzie⁷ lub podinspektorem urzędu zdrowia? Słowem, człowiek ten zdawał się jednym z mułów wielkiego młyna społecznego; jednym z owych Ratonów paryskich, którzy nie znają nawet swoich Bertrandów⁸, jedną z osi, na których kręcą się publiczne niedole lub publiczne plugastwa, słowem, jednym z tych ludzi, na których widok mówimy: „Hm, ostatecznie trzeba, aby tacy byli”. Świetny Paryż nie zna tych twarzy wyblakłych od moralnych lub fizycznych cierpień. Ale Paryż to prawdziwy ocean. Możecie rzucać weń sondę, nigdy nie poznacie prawdziwej jego głębokości. Przebieżcie go, opisujcie; choćbyście nie wiem jak go przebiegali i opisywali, choćby nie wiem jak liczni i gorliwi byli badacze tego morza, zawsze znajdzie się jakaś dziewicza ustron, nieznaną czeluść, kwiaty, perły, potwory, coś niesłychanego, zapomnianego przez literackich nurków. Pensjonat Vauquer jest jedną z tych ciekawych potworności.

⁶ Jafet – trzeci syn Noego; biblijny protoplasta mieszkańców Europy i Azji Mniejszej.

⁷ szlachtuz – rzeźnia (niem.).

⁸ imiona bohaterów bajki La Fontaine'a „Kot i małpa”

Dwie postacie tworzyły uderzający kontrast z ogółem pensjonarzy i „przychodnich”. Mimo iż Wiktoryna Taillefer blada była ową chorobliwą bladocią młodych dziewcząt dotkniętych chlorozą⁹, a jej smutek, jej nieśmiałość, uboga i skromna postać miały coś zbliżonego z powszechnym cierpieniem stanowiącym tło tego obrazu – twarz jej nie była stara, ruchy i głos były świeże. Ta smutna młodość przypominała roślinę o pożółkłych liściach, świeżo zasadzoną w niezycziwym gruncie. Rudawa pleć, płowe włosy, zbyt szczupła kibić tchnęły wdziękiem, jaki dzisiejsi poeci znajdują w posążkach średniowiecza. Szare podkrążone oczy wyrażały chrześcijańską słodycz i rezygnację. Niekosztowny strój zdradzał młode kształty. Była ładna przez kontrast. W szczęściu byłaby urocza: szczęście jest poezją kobiet, jak strój ich barwiczką. Gdyby balowe upojenie rzuciło swe różowe blaski na tę bladą twarzyczkę; gdyby słodycze wykwintnego życia ubarwiły te z lekka zapadłe policzki; gdyby miłość ożywiła te smutne oczy, Wiktoryna mogłaby iść o lepsze z najładniejszymi. Brakowało jej tego, co stwarza drugi raz kobietę: stroju i czułych słówek. Historia jej mogłaby wypełnić całą książkę. Ojciec Wiktoryny podejrzewając, że to dziecko nie jest jego, nie chciał jej przy sobie, wyznaczył córce jedynie sześćset franków rocznie i obszedł prawo, aby przekazać cały majątek synowi. Pani Couture, daleka krewna matki, która niegdyś schroniła się u niej, aby umrzeć z rozpacz, zaopiekowała się sierotą jak własnym dzieckiem. Nieszczęściem, wdowa po komisarzu nie posiadała nic poza rentą wdowią i emeryturą; mogła pewnego dnia zostawić biedną dziewczynę, bez doświadczenia i środków, na pastwę losu. Poczciwa kobieta prowadziła Wiktorynę na mszę co niedzielę, do spowiedzi co dwa tygodnie, aby z niej zrobić na wszelki wypadek nabożną dziewczynę. Miała słuszność. Uczucia religijne otwierały przyszłość odtraconemu dziecku, które kochało ojca, które co roku, chcąc zanieść mu przebaczenie matki, pukało do ojcowskich drzwi, nieubłaganie zamkniętych. Brat, jedyny naturalny pośrednik, nie odwiedził jej ani razu w ciągu czterech lat i nie posyłał żadnej pomocy. Błagała Boga, aby otworzył oczy ojca, aby zmiękczył serce brata: nie oskarżając ich, modliła się za obu. Pani Couture i pani Vauquer nie znajdowały w słowniku dość obelżywych słów, aby napiętnować to postępowanie. Gdy przeklinały bezecnego milionera, Wiktoryna łagodziła je słodkimi słowy, podobnymi do śpiewu ranionego gołębia, którego bolesny krzyk jeszcze wyraża miłość.

Eugeniusz de Rastignac miał typową twarz południowca, białą cerę, czarne włosy, niebieskie oczy. Postać jego, obejście, formy zdradzały pańskie dziecko, które z domu wyniosło niezawodne tradycje dobrego smaku. Oszczędny w stroju, donaszał na co dzień zeszloroczne suknie; mimo to wychodził niekiedy na miasto odziany tak, jak ubierają się panice. Zwykle nosił stary surdut, lichą kamizelkę, tani czarny krawat, zniszczony, źle zawiązany, spodnie odpowiadające całości i zelowane buty.

Przejście między tymi dwiema osobami a resztą stanowił Vautrin, czterdziestolatek o farbowanych bokobrodach. Był to jeden z tych ludzi, o których się mówi: „Tęgi chwata!” Miał szerokie ramiona, rozwinięty tors, wybitnie zarysowane mięśnie, grube, kwadratowe ręce porosłe pęczkami rudej szczeciny. Twarz, poorana przedwczesnymi zmarszczkami, miała wyraz twardy, któremu przeczyło łatwe i serdeczne wzięcie. Niski, basowy głos, w harmonii z grubą wesołością, nie był niemiły. Vautrin był uczynny i jowialny. Jeśli, dajmy na to, niedomagał jakiś zamek w mieszkaniu, zaraz go rozłożył, naprawił, naoliwił, przypiłował, założył z powrotem mówiąc: „Znamy się na tym interesie”. Znał zresztą wszystko, okręty, morze, Francję, zagranicę, interesy, ludzi, wypadki, prawa, hotele i więzienia. Jeśli ktoś nadto się użalał, natychmiast ofiarowywał mu usługi. Pożyczył niejedną raz pieniędzy pani Vauquer i wielu pensjonarzom; ale ci, którym wygodził, raczej by umarli, niżby go mieli zarwać, tyle mimo dobrodusznej miny budziło obawy jego głębokie i stanowcze spojrzenie. Miał zwyczaj plucia na parę kroków, zwiastując niezmaconą zimną krew, która nie cofnęłaby się przed

⁹ chloroza – blednica, niedokrwistość (n.-łac.).

zbrodnią, gdyby zbrodnia miała wybawić go z kłopotliwej sytuacji. Oko jego, jak surowy sędzia, wnikało w głąb każdej kwestii, każdego sumienia, uczucia. Zwykł być wychodzić po śniadaniu, zjawiał się na obiad, znikał na cały wieczór i wracał koło północy przy pomocy klucza, który mu pani Vauquer powierzyła. On jeden cieszył się tym przywilejem. Ale też był on na najlepszej stopie z wdową, którą nazywał mamusią, obejmując ją w pół: pochlebstwo nie dość ocenione! Dobra kobieta uważała to za rzecz jeszcze łatwą, podczas gdy jeden Vautrin miał ramię dość długie, aby objąć tę poważną cyrkumferencję. Szeroki jego gest objawiał się w tym, iż płacił szczerze piętnaście franków na miesiąc za kawę z wódką, którą zwykł być pijać przy deserze. Ludzie mniej powierzchowni niż owa młodzież porwana wirem paryskiego życia lub starcy obojętni na wszystko, co ich bezpośrednio nie tyczy, nie byłiby poprzestali na dwuznaczny wrażeń, jakie w nich budził Vautrin. On znał lub odgadywał sprawy tych, co go otaczali, gdy nikt nie mógł przeniknąć jego myśli ani zajęć. Jego pozorna dobroduszość, jego stała uprzejmość i wesołość stanowiły niby zaporę, którą odgrodził się od innych; mimo to często zdarzało mu się odsłonić straszliwą głębię swego charakteru. Często wybuch godny Juwenala¹⁰, jak gdyby rozkoszujący się tym, aby zohydzać prawa, aby smagać społeczeństwo, dowodzić jego niekonsekwencji, budził przypuszczenie, że ten człowiek ma urazę do świata i że na dnie jego życia znajduje się starannie zagrzebana tajemnica.

Przyciągana może bezwiednie siłą czterdziestolatka lub urodą studenta panna Taillefer dzieliła ukradkowe spojrzenia, swoje tajemne myśli między nich obu; ale żaden z nich, na pozór, nie myślał o niej, mimo iż przypadek mógł z dnia na dzień zmienić jej położenie i uczynić z niej posażną partię. Zresztą nikomu tam nie przyszło do głowy sprawdzać, czy nieszczęścia przytaczane przez któregoś z współlokatorów są prawdziwe czy udane. Wszyscy żywili względem siebie wzajemną obojętność z domieszką zrozumiałej nieufności. Każdy wiedział, że nikt nie ma sposobu ulżenia jego nieszczęściom; wzajemne zaś zwierzenia wyczerpały czarę współczucia. Podobni staremu małżeństwu, nie mieli już sobie nic do powiedzenia. Pozostały stosunki jedynie mechaniczne, tarcie nie naoliwionych kółek. Każda z tych osób zdolna była minąć obojętnie na ulicy ślepego, wysłuchać bez wzruszenia opowieści o czyjejs niedoli i patrzeć na śmierć jako na rozwiązanie problemu nędzy, która pozwalała chłodno oglądać najstraszliwsze agonie. Najszczęśliwszą z tych znękanych dusz była pani Vauquer, królująca w tym przytulisku. Dla niej jednej mały ogródek, który cisza i chłód, susza i zimno czyniły rozległym na kształt stepu, był powabnym gaikiem. Dla niej jednej ów żółty i ponury dom, cuchnący grynszpanem¹¹ szynkowej lady, miał swoje uroki. Te celki były jej własnością. Żywiła tych galerników, skazanych na wiekuiste katusze, sprawując nad nimi formalną władzę. Gdzież w całym Paryżu znalazłyby biedne istoty za tę cenę zdrowy i obfity pokarm oraz mieszkanie, w którym mogły sobie stworzyć jeśli nie wykwint i wygodę, to w każdym razie schludność i zdrowie? Gdyby nawet pozwoliła sobie na krzyczącą niesprawiedliwość, ofiara zniosłaby to bez skargi.

Takie zgromadzenie musiało się stać w miniaturze odbiciem społeczeństwa. Wśród osiemnastu stołowników spotykało się jak w szkołach, jak w świecie, biedną upośledzoną istotę, kozła ofiarnego, na którego spadały wszystkie żarciki. Z początkiem drugiego roku postać ta stała się dla Eugeniusza de Rastignac najbardziej godna uwagi ze wszystkich tych osób, między którymi trzeba mu było żyć jeszcze dwa lata. Owym popychadłem był ekshandlarz mąki, ojciec Goriot, na którego głowie zarówno malarz, jak historyk skupiałby całe światło. Mocą jakiego przypadku ta zaprawna nienawiścią wzgarda, to pomieszane z litością prześladowanie, ta zniewaga nieszczęścia ugodziły najdawniejszego z pensjonarzy?

¹⁰ Juwenal (Decimus Iunius Iuvenalis) – rzymski poeta i satyryk atakujący zakłamanie, fałsz i chciwość, bystry obserwator obyczajów rzymskich.

¹¹ grynszpan – śniedź (niem.).

Czy dał do nich powód przez śmieszności lub dziwactwa, które ludzie przebaczą trudniej niż występki? Pytania te potrącają o wiele społecznych niesprawiedliwości. Może jest w naturze ludzkiej kazać wszystko znieść komuś, kto wszystko cierpi przez istotną pokorę, słabość lub obojętność. Czyż nie lubimy dowodzić naszej siły kosztem kogoś albo czegoś? Najwątlesza istota, wyrostek uliczny dzwoni do wszystkich bram w mroźną noc lub wspina się na palce, aby wypisać swoje nazwisko na nietkniętym pomniku.

Ojciec Goriot, starzec sześćdziesięciodziewięcioletni, osiedlił się u pani Vauquer w 1813 roku wycofawszy się z interesów. Zrazu wziął mieszkanie zajmowane obecnie przez panią Couture i płacił tysiąc dwieście franków, jak człowiek, dla którego różnica paru ludwików była drobnostką. Pani Vauquer odświeżyła trzy pokoje w zamian za kwotę, która pokryła podobno wartość lichego urzędnika, perkalikowych firanek, politurowanych i obitych pluszem foteli, kilku malowideł i papierowego obicia, jakim wzgardziłby lada szynk podmiejski. Może niedbała hojność, z jaką ojciec Goriot (wówczas nazywano go panem Goriot) pozwolił się obdzierać, zjednała mu opinię głupca nie mającego pojęcia o interesach. Goriot przybył z zasobną garderobą, wyekwipowany jak kupiec, który dorobiwszy się, niczego sobie nie odmawia. Pani Vauquer podziwiała osiemnaście koszul z holenderskiego płótna, których cienkość biła w oczy tym bardziej, iż fabrykant makaronu wpinał w żabot duże diamentowe szpilki połączone złotym łańcuszkiem. Ubrany zazwyczaj w błękitny garnitur, wdziewał co dzień świeżą białą pikową kamizelkę, pod którą falował wydatny brzuszek, podnoszący swym obwodem ciężki złoty łańcuch z mnóstwem breloków. Tabakierka, również złota, zawierała medalion pełen włosów, które na pozór świadczyły o miłosnych podbojach. Kiedy gospodyni żartobliwie wymyślała mu od lampartów, na ustach starego błędził wesoły uśmiech zadowolonego mieszczucha. Szafy jego pełne były sreber z dawnego gospodarstwa. Oczy wdowy płonęły, kiedy pomagała usłudźnie rozpakowywać i układać łyżki, chochle, widelce, serwis na oliwę, sosjerki, półmiski, srebrne nakrycia do śniadania, kawałki nie zawsze gustowne, ale mające pełną wagę. Goriot nie chciał się rozstać z tym sprzętem, podarki te przypominały mu domowe uroczystości.

– To – objaśniał panią Vauquer chowając spodek i czarę, której pokrywkę zdobiły całujące się turkawki – to pierwszy podarek żony w rocznicę ślubu. Bidusia droga! Poświęciła na to swoje panieńskie oszczędności. Pojmuje pani, wołałbym raczej drapać paznokciami ziemię niż rozstać się z tą pamiątką. Chwała Bogu, będę mógł w tym pijać kawkę co rano aż do końca życia. Niezgorzej wyszedłem z interesów, mam zapewniony do śmierci chleb, i to z omastą.

Wreszcie pani Vauquer spostrzegła, okiem ciekawej sroki, listy zastawne¹², które zsumowane z grubsza mogły dawać poczciwemu Goriot jakichś osiem do dziesięciu tysięcy franków rocznie.

Od tego dnia pani Vauquer, z domu Conflans, która miała lat czterdzieści osiem, ale przyznawała się do trzydziestu dziewięciu, powzięła myśl. Mimo iż powieki ojca Goriot były obrzękłe i obwisłe, co zmuszało go do częstego wycierania oczu, cała powierzchowność wydała się wdowie przyjemna i dystygowana. Poza tym łydki jego, mięsiste i wydatne, zarówno jak długi graniasty nos, zwiastowały przymioty moralne, do których wdowa zdawała się przywiązywać wagę, a które potwierdzała szeroka i naiwna twarz poczciwca. Wyglądał na solidnie zbudowaną bestię, zdolną włożyć całą swoją inteligencję w uczucie. Włosy zaczesane w skrzydełka, które balwierz przychodził pudrować co rano, rysowały pięć charakterystycznych kosmyków na niskim czole i dobrze stroiły jego fizys. Mimo iż z wejrzenia nieco pospolity, zdradzał taki dostatek w stroju, tak obficie zażywał tabakę, siąkał ją jak człowiek tak pewny, że zawsze będzie miał pełno makuby w tabakierce!... W dniu, w którym pan Goriot rozgościł się u niej, pani Vauquer położyła się wieczorem do łóżka piekąc

¹² listy zastawne – forma zabezpieczenia kapitału.

się, niby kuropatwa w słońcu, w ogniu pragnienia, aby zrzucić żałobny welon wdowy i odrodzić się jako pani Goriot. Wydać się, sprzedać pensjonat, paradować pod rękę z tym tuzem mieszczaństwa, stać się figurą w dzielnicy, kwestować, jeździć w niedzielę na trawkę do Choisy, Soissy, Gentilly, chodzić do teatru do łoży, nie czekając na gratisowe bilety, które jej przynosili w lipcu niektórzy stołownicy: wymarzyła sobie całe Eldorado paryskiego drobnomieszczaństwa. Nie przyznała się nikomu, że ma czterdzieści tysięcy franków, uciulanych grosz do grosza. To pewna, iż pod względem majątkowym uważała się za bardzo przyzwoitą partię.

– Co się tyczy reszty, warta jestem przecież tyle co on – powiada sobie przewracając się po łóżku, jak gdyby chcąc przekonać samą siebie o wdziękach, których głęboki odcisk gruba Sylwia znajdowała co rano w pościeli.

Od tego dnia blisko przez trzy miesiące pani Vauquer korzystała z balwierza pana Goriot i poczyniła wkłady toaletowe, usprawiedliwione koniecznością pewnego *decorum*¹³, w harmonii z godnymi osobami, które nawiedzały jej dom. Rozwinęła wiele intryg, aby zmienić personel pensjonarzy, podkreślając pretensję przyjmowania odtąd jedynie ludzi dystygowanych. Skoro zjawił się ktoś obcy, szczyliła się pierwszeństwem, jakie jej dał pan Goriot, jeden z najbardziej szanowanych przemysłowców paryskich. Rozdawała prospekty, na których widniało: „Pensjonat pani Vauquer”. Jest to, powiadała, jeden z najstarszych i najbardziej cenionych pensjonatów w Dzielnicy Łacińskiej. Posiada uroczy widok na ulicę Gobelinów (widać ją było z trzeciego piętra) i ładny ogród, na którego końcu rozciąga się aleja lipowa! Wspomniano tam o dobrym powietrzu i o ustronnym położeniu. Prospekt ten ściągnął hrabinę de l'Ambermesnil, kobietę trzydziestoletnią, czekającą końca likwidacji i uregulowania emerytury, która jej się należała jako wdowie po generale poległym na polach bitwy. Pani Vauquer wprowadziła pewien wykwint w kuchni, kazała palić w salonie blisko przez pół roku i wypełniała tak sumiennie obietnice prospektu, że „dokładała ze swego”. Toteż hrabina zapewniała panią Vauquer, nazywając ją drogą przyjaciółką, iż ściągnie jej baronową de Vaumerland i wdowę po pułkowniku hr. Picquoiseau, swoje dobre znajome, które muszą domieszkać terminu w dzielnicy Marais, w pensjonacie droższym niż zakład pani Vauquer. Te damy będą się miały zresztą bardzo dobrze, skoro ministerium wojny załatwi ich sprawę.

– Ale – dodawała – te biura nie kończą nigdy nic!

Obie wdowy przychodziły po obiedzie do pokoju pani Vauquer i uciwały tam pogawędkę, popijając nalewkę i zjadając smakołyki zrobione specjalnie dla pani domu. Pani de l'Ambermesnil pochwaliła widoki gospodyni na pana Goriot: doskonały pomysł, który zresztą odgadła od pierwszego spojrzenia; Goriot wydał się jej mężem idealnym.

– Och! moja droga pani, męczyzna zdrów jak ryba – mówiła wdowa – człowiek doskonale zakonserwowany, może jeszcze dać kobiecie wiele satysfakcji.

Hrabina dała wielkodusznie pani Vauquer parę wskazówek co do stroju, nie będącego w harmonii z jej pretensjami.

– Trzeba się postawić na stopie wojennej – rzekła.

Po długich naradach wdowy udały się razem do Palais-Royal, gdzie w Galeriach Drewnianych kupiły kapelusz z piórami i czepek. Hrabina zaciągnęła przyjaciółkę do „Joasi”, gdzie wybrały suknię i szal. Skoro wystrzelano tę amunicję i wdowa stanęła pod bronią, przypominała wiernie szyld sklepu „Pod strojnym wołem”. Mimo to była tak zadowolona ze swej postaci, iż czuła się wdzięczną hrabinie i, jakkolwiek nieskora do podarków, ofiarowała jej kapelusz za dwadzieścia franków. Co prawda, miała zamiar prosić ją, po przyjaźni, o wysondowanie Goriot i poparcie jej interesów. Pani de l'Ambermesnil chętnie ofiarowała się z przyjacielską pomocą i zaczęła obiegać starego makaroniarza, którego zdołała ściągnąć na

¹³ decorum – tu: pozory wspaniałości.

konferencję; ale znalazłszy go wstydlwym, żeby nie powiedzieć opornym, wobec usiłowań, jakimi natchnęła ją osobista chęć uwiedzenia go na własny rachunek, wyszła oburzona jego grubiaństwem.

– Moja złota pani – rzekła do najdroższej przyjaciółki – nic pani nie wyciśnie z tego człowieka: podejrzliwy do śmieszności, kutwa, głupiec, bałwan, który przyniesie ci same zgryzoty.

Między panem Goriot a panią de l'Ambermesnil zaszły rzeczy tego rodzaju, że hrabina nie chciała widzieć go na oczy. Nazajutrz znikła, zapominając zapłacić pensji za pół roku i zostawiając rupiecie wartość pięć franków. Mimo zawziętości, z jaką pani Vauquer prowadziła poszukiwania, nie mogła uzyskać w Paryżu żadnej wiadomości o hrabinie de l'Ambermesnil. Mówiła często o tej żalostnej sprawie, bolejąc nad swą łatwownością, mimo iż była bardziej nieufna od kotki; ale była w tym podobna do wielu osób, które strzegą się swoich bliskich, a dadzą wystrychnąć na dudka pierwszemu z ulicy. Jest to zjawisko dziwne, ale prawdziwe, którego korzenie łatwo odnaleźć w sercu ludzkim. Być może, niektórzy ludzie nie mają już nic do zyskania wobec osób, z którymi żyją; odsłoniwszy im pustkę własną, czują, że ściągnęli na siebie sąd zasłużony a surowy; ale doznając niezwalczonej potrzeby pochlebstwa, na którym im zbywa, lub żądni błyszczących pozorami przymiotów, których im brak, siłą się zyskać szacunek lub serce obcych z narażeniem się na to, iż prędzej lub później je stracą. Istnieją wreszcie osoby z natury interesowne, które nie uczynią nic dobrego dla przyjaciół lub bliskich, bo to jest ich obowiązek, podczas gdy oddając usługę obcym odcinają kupony próżności. Im krąg przywiązań jest bliższy, tym mniej mają serca; im bardziej się oddala, tym są usłużniejsi. Pani Vauquer miała z pewnością coś z tych obu natur, małostkowych, fałszywych, wstrętnych.

– Gdybym ja był tutaj – mawiał wówczas Vautrin – nie byłoby się pani zdarzyło to nieszczęście! Od pierwszego spojrzenia spenetrowałbym szelmeczkę. Znam się na tych „cyferblatach”.

Jak wszyscy mali ludzie, pani Vauquer miała zwyczaj nie wychodzić z koła przypadków i nie sądzić ich przyczyn. Lubiła czepiać się drugich o własne błędy. Od czasu tej katastrofy uważała zacnego makaroniarza za źródło nieszczęścia i, jak mówiła, od tego dnia zaczęła trzeźwieć na jego punkcie. Poznawszy bezskuteczność swoich mizdrzeń i kosztów reprezentacji, rychło odgadła i przyczynę. Spostrzegła, że pensjonarz, wedle jej wyrażenia, „gdzieś łązi”. Słowem, nabrała przeświadczenia, że jej wypieszczona nadzieja jest chimera i że nigdy, wedle energicznego wyrażenia hrabiny, która wyraźnie znała się na tym, nie wyciśnie nic z tego człowieka. Posunęła się, siłą rzeczy, dalej w nienawiści, niż wprzód zaszła w sympatii. Nienawiść była w proporcji nie do jej miłości, ale do zawiedzionych nadziei. O ile serce ludzkie znajduje chwilę spoczynku wstępując na wyżyny przywiązania, rzadko zatrzymuje się na bystrym spadku nienawiści. Ale Goriot był jej pensjonarzem, wdowa musiała tedy stłumić wybuchy zranionej miłości własnej, pogrzebać westchnienia, które wydierał jej zawód, i dławić pragnienie zemsty, jak mnich gnębiony przez przeora. Małe dusze zaspokajają dobre czy złe uczucia za pomocą nieustannych małostek. Wdowa rozwinęła całą kobiecą złośliwość w prześladowaniu swojej ofiary. Zaczęła od tego, że obciążyła wszystkie przyprawy i dodatki wprowadzone ostatnimi czasy przy stole.

– Żadnych korniszonów, żadnych piklów, to są bzdurstwa! – rzekła do Sylwii w dniu, w którym wróciła do dawnego programu.

Goriot był to człowiek skromny, u którego oszczędność, niezbędna ludziom, co własną pracą dorabiają się fortuny, wyrodziła się w przyzwyczajenie. Zupa, sztuka mięsa, jarzyna zawsze miały zostać jego ulubionym obiadem. Trudno było zatem pani Vauquer dokuczyć stołownikowi, którego gustów nie mogła w niczym zdrasnąć. Zrozpaczona, że trafiła na człowieka nie posiadającego słabej strony, zaczęła podkopywać jego stanowisko; w ten sposób zaraziła swą niechęcią stołowników, którzy dla rozrywki szli na rękę jej zemście. Pod

koniec roku wdowa doszła do takiej nieufności, że pytała sama siebie, czemu ten były kupiec, liczący siedem do ośmiu tysięcy franków renty, posiadający wspaniałe srebra i kosztowności niczym jaka utrzymanka, mieszka u niej płacąc pensję tak skromną w stosunku do swego majątku. W pierwszym roku Goriot obiadował zwykle raz lub dwa razy na tydzień poza domem; później, nieznacznie, doszedł do tego, że jadał w mieście tylko dwa razy na miesiąc. Wyprawy imć Goriota nadto były zgodne z interesami pani Vauquer, aby mogła bez niechęci patrzeć na regularność, z jaką stołownik jej spożywa obiad w domu. Zmiany przypisywała zarówno powolnemu upadkowi majątkowemu, jak chęci dokuczenia gospodyni. Najwstrętniejszym nawykiem tych lilipucich dusz jest to, że podsuwają swoje małostki innym. Na nieszczęście z końcem drugiego roku pan Goriot usprawiedliwił gadania, których był przedmiotem, prosząc panią Vauquer o przeniesienie na drugie piętro i o znizenie pensji do dziewięciuset franków. Stary rozwinął tak ścisłą oszczędność, że nigdy nie paliło się u niego w zimie. Pani Vauquer zażądała zapłaty z góry, w czym pan Goriot, którego odtąd nazywała „ojcem Goriot”, nie stawiał trudności. Zaczęto na wypródkę zgadywać przyczyny tego, ale dochodzenie było trudne! Jak orzekła fałszywa hrabina, ojciec Goriot był to człowiek skryty, mruk. Wedle logiki ludzi o pustej głowie – z natury niedyskretnych, bo mają do zwierzania jedynie same błażostki – ktoś, kto nie mówi o swoich sprawach, musi być podejrzany. Ten szanowny kupiec stał się zatem hultajem, ten „bałamut” został starym ladaco. To (wedle Vautrina, który właśnie zamieszkał w pensjonacie) ojciec Goriot był człowiekiem, który chodzi na giełdę i który zrujnowawszy się na grubej grze wegetuje tam pokątnie. To znów był to jeden z tuzinkowych szulerów, którzy ryzykują małe sumki i wygrywają co dzień po dziesięć franków w ruletkę. To znów robiono zeń szpicla, wachającego się z tajną policją; ale Vautrin twierdził, że stary nie jest dość szczywany na to. Wreszcie w oczach innych lokatorów był kutwą pożyczającym na lichwę, człowiekiem topiącym całe mienie w loterii liczbowej. Przypisywano mu wszystko, co tylko występek, hańba, niedołęstwo zdolne są wyhodować najbardziej tajemniczego. Tylko, mimo całej nikczemności jego przywar i postępowania, wstręt wdowy nie dochodził do tego, aby mu wymówić dom: płacił regularnie. Przy tym był użyteczny, każdy wywierał na nim swój zły czy dobry humor za pomocą żarcików lub opryskliwości. Najprawdopodobniejszym mniemaniem, które też powszechnie przyjęto, było to, które głosiła pani Vauquer. Wedle niej ów człowiek „tak dobrze zakonserwowany, zdrow jak rydz”, z którym można było zaznać jeszcze wiele przyjemności, był to rozpustnik, hołdujący osobliwym gustom. Oto na jakich faktach wdowa Vauquer opierała swoje oszczerstwa. W kilka miesięcy po zniknięciu nieszczęsnej hrabiny, która zdołała żyć pół roku jej kosztem, pewnego rana, leżąc jeszcze w łóżku, pani Vauquer usłyszała szelest jedwabnej sukni i leciutki krok młodej i zwinnej kobiety, pomykającej ku drzwiom ojca Goriot, uchylonym znacząco.

W chwilę potem Sylwia przyszła opowiedzieć pani, że jakaś panna, zbyt ładna, aby mogła być uczciwa, ubrana jak bóstwo, obuta w prunelowe pantofelki ani trochę nie zabłocone, wśliznęła się jak węgorz do kuchni i spytała o mieszkanie pana Goriot. Pani Vauquer i kucharka zasadziły się na czatach i podchwyciły kilka czułych wyrazów podczas wizyty, która trwała jakiś czas. Kiedy pan Goriot przeprowadzał swoją damulę, Sylwia wzięła natychmiast koszyk i udała, że idzie na targ, aby śledzić czułą parę.

– Proszę pani – rzekła wracając – ten Goriot musi być jednak diabelnie bogaty, aby je utrzymywać na tej stopie. Niech sobie pani wyobrazi, na rogu czekał wspaniały powóz, do którego ona wsiadła.

Przy obiedzie pani Vauquer wstała, aby zaciągnąć firankę, chroniąc Goriota przed słońcem, którego promyk padał mu w oczy.

– Piękne kobiety pana kochają, panie Goriot, słońce pana szuka – rzekła robiąc przytyk do rannej wizyty. – Słowo daję, ma pan dobry gust, paluszki lizać.

– To moja córka – rzekł z odcieniem dumy, w której stołownicy wyczytali pretensje starca chroniącego pozory.

W miesiąc później spadła na ojca Goriot nowa wizyta. Córka jego, która za pierwszym razem przyszła w stroju porannym, teraz wpadła po obiedzie, ubrana wieczorowo. Stołownicy zajęci rozmową w salonie ujrzeni ładną blondynkę, szczupłą, zręczną i o wiele zbyt dystyngowaną na to, aby mogła być córką ojca Goriot.

– Masz tobie! Druga – rzekła Sylwia, która nie poznała jej.

W kilka dni później inna kobieta, rosła i kształtna, brunetka z żywymi oczami, spytała o pana Goriot.

– Trzecia! – rzekła Sylwia.

Osóbka ta, która za pierwszym razem przyszła również odwiedzić ojca rano, przybyła w kilka dni później wieczorem, w stroju balowym, w karecie.

– Czwarta! – wykrzyknęła pani Vauquer i gruba Sylwia, nie dopatrzawszy się w tej wielkiej damie żadnego podobieństwa do młodej kobiety tak skromnie odzianej rano.

Goriot płacił jeszcze tysiąc dwieście franków. Pani Vauquer uważała za zupełnie naturalne, że człowiek bogaty ma kilka kochanek; wydało się jej nawet bardzo zręczne, że stary podaje je za córki. Nie gorszyła się, że je sprowadza do domu. Jedyne, ponieważ te odwiedziny tłumaczyły obojętność pensjonarza na jej punkcie, pozwoliła sobie z początkiem drugiego roku nazwać go „starym kocurem”. Wreszcie, kiedy pensjonarz spadł do dziewięciuset franków, spytała go bardzo ostro – widząc, że jedna z tych pań opuszcza jego pokój – czy zamierza zrobić z jej domu dom publiczny. Ojciec Goriot odparł, że ta dama to jego starsza córka.

– Ileż pan ma tych córek, trzydzieści sześć? – rzekła cierpko pani Vauquer.

– Tylko dwie – odparł stary z łagodnością zrujnowanego człowieka, którego nędza ćwiczy stopniowo w pokorze.

Pod koniec trzeciego roku ojciec Goriot jeszcze ograniczył wydatki przenosząc się na trzecie piętro i obniżając pensję do czterdziestu pięciu franków na miesiąc. Poniechał tabaki, oddalił fryzjera i przestał używać pudru. Kiedy ojciec Goriot ukazał się pierwszy raz nie upudrowany, gospodyni wydała okrzyk zdumienia na widok włosów, których siwizna miała odcień brudnozielonkawy. Fizjonomia starca, którą ukryte zmartwienia czyniły z każdym dniem smutniejszą, była najbardziej rozpaczliwa ze wszystkich przy stole. Nie było wątpliwości: ojciec Goriot to był stary rozpustnik, którego oczy jedynie dzięki zręczności lekarza ocalały od złośliwego działania nieodzownych leków. Ohydny kolor włosów był wynikiem nadużyć oraz środków aptecznych, którymi silił się je podtrzymywać.

Fizyczny i moralny stan nieboraka usprawiedliwiał te gadania. Skoro wyprawka jego się zużyła, kupił najtańszego perkalu, aby zastąpić nim piękną bieliznę. Diamenty, złota tabakierka, łańcuch, klejnoty kolejno znikwały. Goriot porzucił swój błękitny frak, cały rynsztunek zamożnego mieszczanina: nosił zimą i latem surdut z grubego brązowego sukna, kamizelkę z koziej sierści i szare wełniane spodnie. Stopniowo chudł coraz bardziej; łydki opadły, twarz, dawniej tryskająca zadowoleniem szczęśliwego mieszcza, pomarszczyła się; czoło pomięło się w fałdy, szczeka zarysowała się ostro. W czwartym roku pobytu przy ulicy Neuve-Sainte-Geneviève stary był nie do poznania. Zaczny handlarz mąki, sześćdziesięciodwulatek wyglądający na czterdzieści wiosen, promieniejący głupotą, tęgi tłusty mieszcuch, którego zdobywcza postawa rozweselała przechodniów, który miał coś młodego w uśmiechu, zdawał się siedemdziesięcioletnim starcem, ogłupiałym, chwiejącym się na nogach, wypełzłym. Oczy jego tak żywe przybrały stalowy odcień; zbladły, nie łzawiły się już, czerwona obwódka zdawała się płakać krwią. W jednych budził grozę, w drugich litość. Młodzi studenci medycyny, widząc jego obwisłą dolną wargę i zmierzwiwszy kąt twarzowy, orzekli po bezskutecznych próbach wydobywania zeń czegoś, że to po prostu kretyn. Jednego wieczora po obiedzie pani Vauquer rzekła drwiąco, podając niejako w wątpliwość

rzekome ojcostwo: „I cóż, nie zachodzą już do pana te panny?” Ojciec Goriot zdrzął, jak gdyby gospodyni żgnęła go żelazem.

– Zachodzą czasami – odparł wzruszonym głosem.

– Ho, ho! Przyjmuje je pan jeszcze czasem? – wykrzyknęli studenci. – Brawo, ojczulku Goriot.

Ale starzec nie słyszał żartów, które ściągnęła nań ta odpowiedź: popadł w zadumę, którą powierzchowni obserwatorzy brali za starcze odrętwienie lub uwiad inteligencji. Gdyby go dobrze znali, może by ich zainteresował problem, który przedstawiało moralne i fizyczne położenie starca; ale rzecz była nader trudna. Mimo że łatwo było dowiedzieć się, czy Goriot był w istocie fabrykantem makaronu i jaką była cyfra jego majątku, starzy ludzie, w których obudził zaciekawienie swoją osobą, nie opuszczali dzielnicy i żyli w pensjonacie niby ostrzygi na skale. Co do innych, ci, pochłonięci wirem paryskiego życia, zapominali opuszczając ulicę Neuve-Sainte-Geneviève o biednym starcu, z którego sobie stroili żarty. Dla owych ciasnych umysłów, jak dla tych obojętnych młodych ludzi, nędza ojca Goriot i jego tępota nie dały się pogodzić z majątkiem lub zdolnościami. Co do kobiet, które stary podawał za córki, każdy podzielał sąd Vauquer, która powiadała z ową surową logiką, jaką nawyk zgadywania wszystkiego daje starym kobietom wypełniającym gawędą długie wieczory:

– Gdyby córki ojca Goriot były takie bogaczki, jak na to wyglądają wszystkie te damy, nie mieszkałyby tu na trzecim piętrze, nie żyłyby za czterdzieści pięć franków na miesiąc i nie chodziłyby ubrane jak dziad.

Nic nie mogło zaprzeczyć tym domysłom. Toteż pod koniec listopada 1819, w epoce, w której wybuchnął ten dramat, każdy z pensjonarzy miał zupełnie ustalone poglądy na biednego starca. Nigdy nie miał córki ani żony; rozpusta uczyniła zeń ślimaka, mięczaka, istotę z klasy „kaszketonośnych”, powiadał jeden z „dochodzących”, urzędnik z Muzeum Przyrodniczego. Poiret był orłem, dżentelmenem przy Goriocie. Poiret mówił, rozprawiał, odpowiadał; mówiąc, rozprawiając, odpowiadając, nie wyrażał co prawda nic, miał bowiem zwyczaj powtarzać warianty tego, co inni mówili; ale przyczyniał się do rozmowy, żył, odczuwał coś, gdy ojciec Goriot (powiadał ten sam urzędnik Muzeum) znajdował się stale na zerze termometru Réaumura¹⁴.

Eugeniusz de Rastignac wrócił z wakacji w stanie, jaki muszą znać młodzi ludzie o wybitnych zdolnościach lub ci, u których trudności zaostrzają chwilowo władze ducha. W pierwszym roku Paryża niewielka suma pracy, której wymaga zdobycie pierwszych stopni uniwersyteckich, zostawiła mu swobodę kosztowania widomych uciech stolicy. Student nie ma zbytku czasu, jeżeli chce poznać teatry, zbadać chodniki paryskiego labiryntu, przeniknąć zwyczaje, nauczyć się języka i wnikać w przyjemności wielkiego miasta; zdeptać dobre i złe miejsca, uczęszczać na kursa, które go zajmują, przepatrzyć bogactwa muzeów. Student zapala się wówczas do głupstw, które mu się wydają olbrzymie. Ma swego wielkiego człowieka, jakiegoś profesora w Collège de France, z urzędu trzymającego się na wyżynie audytorium. Poprawia krawat i przybiera zdobywcze pozy dla sąsiadki na balkonie w Operze. W próbach tych wyzbywa się prowincjonalnych narowów, rozszerza horyzont i ogarnia w końcu warstwę pokładów ludzkich tworzących społeczeństwo. Jeżeli z początku podziwiał jedynie powozy defilujące w piękny dzień na Polach Elizejskich, niebawem zacznie ich zazdrościć. Eugeniusz przeszedł rychło tę szkołę paryską; kiedy pojechał na wakacje uzyskawszy stopień bakałarza *és lettres*¹⁵ i bakałarza praw, złudzenia dzieciństwa, prowincjonalne przesady pierzchły. Zbudzona inteligencja, podniecona ambicja pozwoliły mu rozejrzeć się jasno w ojcowskim dworku na łonie rodziny. Ojciec, matka, dwie siostry i ciotka, której mienie ograniczało się do szczupłej pensji, żyli wspólnie w małym folwarczku

¹⁴ zero termometru Réaumura – temperatura zamarzania chemicznie czystej wody.

¹⁵ *és lettres* – w zakresie literatury.

Rastignac. Posiadłość ta przynosząca około trzech tysięcy franków zdana była na niepewny los hodowli wina; mimo to trzeba z niej było wydobyć rocznie tysiąc dwieście franków dla syna. Obraz tej ustawicznej nędzy, którą wspaniałomyślnie ukrywano przed nim, nastęrczające się porównanie między siostrami, które mu się zdawały tak piękne w dzieciństwie, a paryżankami stanowiącymi dlań wcielenie marzonej piękności, niepewna przyszłość tej licznej rodziny wsparta na jego przyszłości, drobiazgowa oszczędność, jaką w jego oczach rozciągano na najpospolitsze produkty, napój, jaki sporządzało się dla rodziny z wytłocznyn pozostałych w prasie, mnóstwo okoliczności wreszcie, które zbędnym byłoby przytaczać, zdziesięciokrotniły jego żądzę wybicia się i obudziły pragnienie kariery.

Jak bywa u ludzi wyższych, zrazu chciał zawdzięczać wszystko własnej zasłudze. Ale umysł jego miał wszystkie cechy południowców; w praktyce tedy plany jego musiały ulec owym wahaniom, które ogarniają młodych ludzi, kiedy się znajdują na pełnym morzu, nie wiedząc, w którą stronę kierować siły ani pod jakim kątem rozpiąć żagle. Zanurzył się w pracy; niebawem jednak, pociągnięty potrzebą stworzenia sobie stosunków, spostrzegł, jaki wpływ na życie społeczne posiadają kobiety. Postanowił z miejsca rzucić się w świat, aby zdobyć protektorki: czyż mogło ich zbywać chłopcu pełnemu ognia i werwy, które to młodzieńcze zalety podnosił jeszcze wykwiint postaci i typ męskiej urody, czarem swym tak łatwo przemawiającej do kobiet? Te myśli oblegały go w polu podczas przechadzek, niegdyś dzielonych wesoło z siostrami, które uważały, że brat bardzo się odmienił. Ciotka, pani de Marcillac, niegdyś bywająca na dworze, znała wszystkie arystokratyczne świeczniki. Naraz we wspomnieniach, którymi ciotka tak często go kołysała, ambitny chłopak ujrzał czynniki światowych sukcesów, co najmniej równie ważnych jak te, do których gotował się na uniwersytecie: pospieszył wybadać ją o węzły pokrewieństwa, które dałoby się jeszcze nawiązać. Przetrzęsłszy gałęzie drzewa genealogicznego stara dama osądziła, iż w samolubnym plemienu bogatych krewnych ze wszystkich osób, które mogłyby podać rękę siostrzeńcowi, wicehrabina de Beauséant będzie może najprzystępniejsza. Napisała do tej młodej kobiety list w staroświeckim stylu i powierzyła go Eugeniuszowi, powiadając, iż w razie powodzenia wicehrabina wprowadzi go do innych domów. W kilka dni po przybyciu do Paryża Rastignac przesłał pani de Beauséant list ciotki. Wicehrabina odpowiedziała zaproszeniem na bal, który miał się odbyć nazajutrz.

Taka była ogólna sytuacja pensjonatu z końcem listopada 1819 roku. W kilka dni później Eugeniusz, wybrawszy się na bal do pani de Beauséant, wrócił około drugiej. Aby odzyskać stracony czas, dzielny student postanowił sobie za powrotem pracować do rana. Miał po raz pierwszy spędzić bezsenną noc w tej głuchej dzielnicy, widok bowiem splendorów świata natchnął go złudną energią. Nie jadł obiadu w domu, pensjonarze mogli tedy myśleć, że wróci z balu aż o świcie, jak wracał niekiedy z zabaw na Prado lub z redut¹⁶ w Odeonie, chlapiąc błotem jedwabne pończochy i wykręcając balowe trzewiki. Przed zaryglowaniem drzwi Krzysztof otworzył je, aby wyrzeć na ulicę. W tej chwili zjawił się Rastignac i mógł dotrzeć bez hałasu do swego pokoju, gdy Krzysztof czyniąc straszliwy łomot szedł za nim. Eugeniusz rozebrał się, włożył pantofle, wdział lichą surducinę, zapalił nędzny ogień z torfu i gotował się rześko do pracy, tak że Krzysztof pokrył jeszcze tupotem grubych trzewików niezbyt hałaśliwe przygotowania młodego człowieka.

Nim zagłębił się w kodeksie, Eugeniusz siedział kilka chwil w zadumie. Ujrzał w wicehrabinie de Beauséant jedną z władczyń mody, osobę, której dom słynął jako ozdoba Saint-Germain. Należała ona zresztą, przez swoje nazwisko i majątek, do szczytów arystokracji. Dzięki ciotce de Marcillac biedny student spotkał się z dobrym przyjęciem, nie oceniając całej rozciągłości tego faworu. Być dopuszczonym do tych złożonych salonów równało się dekretowi karmazynowego szlachectwa. Pokazując się w tym towarzystwie,

¹⁶ reduty – publiczne bale maskowe (franc.).

najwyłączniejszym ze wszystkich, zdobył prawo bywania wszędzie. Olśniony świetnym zebraniem, ledwie zamieniwszy kilka słów z wicehrabiną, Eugeniusz zadowolili się tym, że w cizbie bogiń Paryża tłoczących się na tym raucie wyróżnił jedną, o typie stanowiącym zazwyczaj pierwszy ideał młodego chłopca.

Hrabina Anastazja de Restaud, słuszna i zręczna, uchodziła za jedną z najlepiej zbudowanych kobiet w Paryżu. Wyobraźcie sobie wielkie czarne oczy, wspaniałą rękę, szlachetnie zarysowaną nogę, ogień w każdym ruchu, kobietę, którą margrabia de Ronquerolles nazywał koniem pełnej krwi. Ta nerwowa organizacja nie odejmowała jej żadnego z uroków: kształty miała pełne i okrągłe, nie grzeszące równocześnie zbyt dużą obfitością. „Koń pełnej krwi, rasowa kobieta”, te wyrażenia zaczynały zastępować „anioły niebios”, osjaniczne przenośnie¹⁷, całą dawną mitologię miłosną, odtraconą przez dandyzm współczesny. Dla Rastignaca pani de Restaud była kressem pragnień. Zapewnił sobie dwie tury na liście tancerzy na wachlarzu i zdołał nawiązać rozmowę w czasie pierwszego kontredansa.

– Gdzie można panią widzieć? – spytał nagle z ową siłą namiętności, która się tak podoba kobietom.

– Ależ wszędzie – odparła – w Lasku, w teatrze, u mnie...

Już awanturniczy młodzieniec przyłgnał do rozkosznej hrabiny o tyle, o ile młody człowiek może przyłgnać do kobiety w ciągu walca i kontredansa. Mieniąc się kuzynem pani de Beauséant, uzyskał zaproszenie od tej kobiety, którą wziął za wielką damę, i zdobył wstęp do jej domu. Z ostatniego uśmiechu, który mu rzuciła, Rastignac powziął najlepsze nadzieje. Miał to szczęście, że spotkał człowieka, który nie wyśmiał jego naiwności: naiwność bowiem była śmiertelną wadą w oczach znamienitych lwów epoki, jak Maulincourt, Ronquerolles, Maksym de Trailles, de Marsay, Ajuda-Pinto, obaj Vandenesse, całej tej gromadki, która królowała w chwale swych próżnostek kręcąc się w tłumie najwytworniejszych kobiet, a były to: lady Brandon, księżna de Langeais, hrabina de Kergarouët, pani de Sérizy, księżna de Carigliano, hrabina Ferraud, pani de Lanty, margrabina d'Espard, diuszessy de Maufrigneuse i de Grandlieu. Szczęściem tedy naiwny student trafił na margrabiego de Montriveau, rycerza księżnej de Langeais, generała prostego jak dziecko, który pouczył go, iż hrabina de Restaud mieszka przy ulicy du Helder. Być młodym, czuć żądzę świata, łaknąć kobiety i widzieć otwierające się bramy dwóch domów! Oprzeć stopę w Saint-Germain u wicehrabiny de Beauséant, kolano na Chausse d'Antin u hrabiny de Restaud! Zanurzyć wzrok w amfiladzie paryskich salonów i czuć się dość ładnym chłopcem, aby tam znaleźć pomoc i oparcie w sercu kobiety! Mieć dość ambicji, aby zuchwałą stopą wejść na rozpięty sznur, po którym trzeba kroczyć z zimną krwią linoskoczka, pewnego, że nie spadnie, i znaleźć w uroczej kobiecie najpewniejszy balans równowagi! Z takimi myślami i wobec kobiety, której cudne kształty jawiły się w mdłym blasku kominka, któż nie byłby, jak Eugeniusz, zgłębiał namiętną medytacją przyszłości, któż nie stroiłby jej w tryumfy? Rozkołysana jego myśl kosztowała tak żywo przyszłych słodocy, iż zdawało mu się, że pani de Restaud jest tuż przy nim, kiedy głośnie westchnienie zakłóciło ciszę nocną i rozległo się w sercu młodego człowieka niby rżenie konającego. Otworzył ostrożnie drzwi i znalazłszy się na korytarzu ujrzał smugę światła w progu ojca Goriot. Eugeniusz przeląkł się, że sąsiad może zasnął, przyłożył oko do dziurki od klucza i ujrzał starca zajętego dziwną pracą. Zajęcie owo tak bardzo trąciło zbrodnią, że student osądził, że odda przysługę społeczeństwu, śledząc uważnie nocne sprawki rzekomego handlarza mąki. Ojciec Goriot przymocował do listwy przewróconego stołu srebrny półmisek i ważkę, wziął sznur i okręcił go dokoła tych bogato

¹⁷ osjaniczne przenośnie – związane z poetyką „Pieśni Osjana”, słynnej preromantycznej mistyfikacji literackiej J. Macphersona, wzorowanej na dawnej poezji celtyckiej.

rzeźbionych przedmiotów, ściskając z taką siłą, jak gdyby chciał je zmienić w bryłę litego metalu.

– Do kroćset! Cóż to za człowiek! – rzekł Rastignac, widząc żyłaste ramię starca, który przy pomocy sznura miesił bez hałasu pozłacane srebro niby ciasto. – Byłżeby to złodziej albo paser, który aby tym bezpieczniej wykonywać swoje rzemiosło, udaje głupotę, niedołęstwo i żyje jak nędzarz? – mówił sobie Eugeniusz, prostując się na chwilę.

Student przyłożył na nowo oko do drzwi. Ojciec Goriot rozwinął sznur, wziął srebro, położył je na stole, rozciągnąwszy na nim kołdrę i zwinął ją, aby zaokrąglić bryłę, której to operacji dokonał nadzwyczaj łatwo.

– Byłżeby tak silny jak August, król polski? – rzekł do siebie Eugeniusz, skoro masa srebrna przybrała w przybliżeniu formę wałka.

Ojciec Goriot spoglądał na swoje dzieło ze smutkiem, łzy zalśniły mu w oczach. Zdmuchnął lampkę, przy której blasku dokonał swej pracy; Eugeniusz usłyszał, jak się kładzie wzdychając ciężko.

...Oszałał – pomyślał student.

– Biedne dziecko! – rzekł głośno Goriot.

Słyszając te słowa Rastignac uznał za właściwsze milczeć o tym wypadku i nie potępiać nieodwołalnie sąsiada. Miał wracać do siebie, kiedy usłyszał nagle dość trudny do określenia szelest, który, zdawałoby się, czynili ludzie idący po schodach w filcowych pantoflach. Eugeniusz nadstawił ucha i usłyszał w istocie kolejny oddech dwóch ludzi. Nie słysząc ani skrzypnięcia drzwi, ani kroków, ujrzał nagle światelko na drugim piętrze u pana Vautrin.

Sporo tu tajemnic, jak na zwykły pensjonat – rzekł w duchu.

Zeszedł kilka schodów, wyteżył słuch, dźwięk złota doszedł do jego ucha. Niebawem światło zgasło, dwa oddechy dały się znowu słyszeć, mimo iż drzwi nie zaskrzypiały. Wreszcie, w miarę jak dwaj ludzie schodzili, szmer stawał się coraz cichszy.

– Kto tam? – krzyknęła pani Vauquer, otwierając okno.

– To ja wracam, mamusiu Vauquer – ozwał się gruby głos Vautrina.

– To szczególnie! Krzysztof zasunął rygle – rzekł do siebie Eugeniusz, wracając do pokoju.

– Trzeba nie spać po nocy, aby wiedzieć, co się dzieje dokoła człowieka w Paryżu.

Oderwany przez te drobne wydarzenia od swych ambitno-miłosnych medytacji, zabrał się do pracy. Niepokojony podejrzeniami, jakie go nachodziły co do ojca Goriot, bardziej jeszcze niepokojony fizjonomią pani de Restaud, która raz po raz jawiła się przed nim niby posłanniczka świetnego losu, położył się w końcu i usnął twardo. Na dziesięć nocy, które młodzi ludzie obiecują sobie spędzić przy pracy, siedem zagarnia sen. Trzeba mieć więcej niż dwadzieścia lat, aby umieć czuwać.

Nazajutrz rano panowała w Paryżu owa gęsta mgła, która spowija go tak szczelnie, iż najpunktualniejsi ludzie, myśląc się co do czasu, spóźniają się na ważne spotkania; każdy myśli, że to dopiero ósma, kiedy bije południe. Było wpół do dziesiątej, a pani Vauquer jeszcze nie ruszyła się z łóżka. Krzysztof i gruba Sylwia, również zapóźnieni, pili spokojnie kawę okraszoną śmietanką zebraną z przeznaczonego dla pensjonarzy mleka, które Sylwia długo gotowała, aby pani Vauquer nie poznała się na tej bezprawnej dziesięcinie.

– Wiesz, Sylwio – rzekł Krzysztof maczając bułeczkę – pan Vautrin, który z tym wszystkim jest dobry człowiek, znowu wpuścił dziś w nocy dwie osoby. Gdyby pani pytała o co, nie trzeba nic mówić.

– Czy ci co dał?

– Dał mi miesięcznie pięć franków, niby tak jakby mówił: „Siedź cicho”.

– Żeby nie on i nie pani Couture, która też nie trzęsie się nad groszem, inni chcieliby odebrać lewą ręką to, co nam dają prawą na kolebę – rzekła Sylwia.

– A jeszcze ile dają? – rzekł Krzysztof. – Ot, nędznych pięć franków. Taki ojciec Goriot od dwóch lat sam sobie buty czyści. Kutwa Poiret całkiem się obchodzi bez czernidła, wolałby je

wypić niż zużyć na buty. A ten cacuś studencik daje mi czterdzieści su! Czterdzieści su nie starczy nawet na szczotki, a do tego jeszcze sprzedaje stare ubrania. Cóż za buda!

– Ba! – rzekła Sylwia popijając wolnymi łykami kawę. – I tak nasze miejsca są najlepsze w dzielnicy: przynajmniej żyje się dobrze! Powiedz mi, Krzysztofie, nie pytał kto o naszego dziadzię Vautrin?

– Owszem. Spotkałem przed kilku dniami jakiegoś pana, który rzekł: „Czy to u was mieszka gruby jegomość, który maluje faworyty?” A ja jemu: „Nie, panie, nie maluje. Taki wesoły człowiek jak on nie miałby na to czasu”. Powiedziałem to panu Vautrin, który rzekł: „Dobrześ zrobił, mój synu. Odpowiadaj zawsze w ten sposób. Nie ma przykrzejszej rzeczy niż zdradzać swoje ułomności. Człowiekowi to szkodzi do żeniaczki”.

– Bo to i mnie na targu również ciągnęli za język, niby czy widziałam kiedy, jak wdziewa koszulę. Także coś... Ot – wtrąciła – już trzy kwadransy na dziesiątą bije na Val-de-Grâce, a nikt się nie rusza.

– Ba! Wszyscy wyszli. Pani Couture i jej młódka poszły jeszcze o ósmej komunikować się u Świętego Szczepana. Ojciec Goriot powędrował z jakąś paczką. Student wróci aż po kursach, o dziesiątej. Widziałem, jak wychodził, kiedyś sprzątał schody; jeszcze ojciec Goriot dał mi tęgiego kuksa tym, co niósł pod pachą: twarde było jak żelazo! Co on robi właściwie, ten stary? Wszyscy poniewierają nim jak tym pomiotłem, ale niech gadają, co chcą, to zacny człowiek, więcej wart od nich wszystkich. On sam niewiele tam wyrzuci; ale te damy, do których posyła mnie czasem, sypią tęgie napiwki: zgrabne dziewczuszki i wystrojone jak się patrzy.

– Te, co niby powiada, że to córki? Jest tego cały tuzin.

– Ja zawsze chodziłem tylko do dwóch, tych samych, co tu łążyły.

– Oho! Pani się rusza, zacznij swoje piekło; trzeba mi lecieć do niej. Pilnuj mleka, Krzysztofie, skroś kota.

Sylwia pognała do pani.

– Jak to! Sylwio, już trzy na dziesiątą, a ty mi dajesz spać... Nigdy nie zdarzyło mi się coś podobnego.

– To ta bestyjska mgła, można by ją nożem krajać.

–Ale śniadanie?...

– Et! Wszystkich stołowników jakiś giez ukąsił; pognali na cztery wiatry. Jedna Miszonetka i stary Poiret nie ruszyli się z domu, śpią jak susły.

– Ależ, Sylwio, ty ich łączysz razem, jak gdyby...

– Co, gdyby? – odparła Sylwia, parszając głupawym śmiechem. – Dwa do kupy, to niby para.

– To szczególne, Sylwio: w jaki sposób pan Vautrin wrócił dziś w nocy, skoro już przedtem Krzysztof zaryglował bramę?

– Przeciwnie, proszę pani. Usłyszał pana Vautrin i zeszedł mu otworzyć. Stąd pani myślała...

– Podaj mi kaftanik i zejdź prędko zajrzeć na śniadanie. Przyrządź resztę baraniny z ziemniakami i daj gruszki pieczone, z tych po dwa grosze sztuka.

Niebawem pani Vauquer zeszła na dół, w chwili gdy kot strącił łapą spodek stanowiący przykrywkę garneczka z mlekiem i chlupał co wlezie.

– Mistigris! – krzyknęła.

Kot uciekł, potem wrócił, ocierając się o jej nogi.

– Tak, tak, udawaj baranka, stare ladaco! – rzekła. – Sylwio! Sylwio!

– A co, proszę pani?

– Popatrz, ile ten kot wychleptał.

– To przez bałwana Krzysztofa: mówiłam, żeby przykrył mleko. Gdzie on poszedł? Niech

się pani nie martwi, damy to ojcu Goriot. Dopełnię wodą, nie spostrzeże się. Nie zwraca uwagi na nic, nawet na to, co je.

– Gdzież on poszedł, ten stary Chińczyk? – rzekła pani Vauquer, rozstawiając talerze.

– A kto go wie! Czart tam przejrzy jego diabelskie konszachty.

– Za długo spałam – rzekła pani Vauquer.

– Ale też pani świeża jak różyczka...

W tej chwili dał się słyszeć dzwonek i Vautrin wszedł do salonu, śpiewając grubym głosem:

Długom wędrował po tym świecie,

Zdeptałem go i wszierz, i wzdłuż...

– Ho, ho! Dzień dobry, mamó Vauquer – rzekł spostrzegając gospodynię, którą objął dwornie wpół.

– Dajże pan spokój...

– Powiedz pani: „Zuchwalcze!” – odparł. – No, niechże pani powie. Usłyszę wreszcie? Czekać paniusiu, pomogę pani nakrywać. He? Grzeczny chłopczyk ze mnie?

Niejednom słodkie tulił dziecię,

Całował pączki...

Widziałem przed chwilą coś osobliwego...

...krasnych róż.

– Co takiego? – rzekła wdowa.

– Ojciec Goriot był o wpół do dziewiątej na ulicy Dauphine u złotnika, który kupuje stare srebro i galony. Sprzedał mu za ładną sumę srebrny serwis, wcale grzecznie ugnieciony jak na kogoś, kto nie należy do cechu.

– Doprawdy?

– Tak. Szedłem tutaj odprowadziwszy jednego z przyjaciół, który odjeżdża za morze, zczekałem na ojca Goriot, ot tak, z ciekawości, dla zabawy. Wrócił w te strony, na ulicę Kamienną, gdzie wszedł do znanego lichwiarza nazwiskiem Gobseck, skończonej szelmy, gotowej zrobić domino z kości własnego ojca; to istny Żyd, Arab, Grek, Cygan, człowiek, którego nie sposób byłoby podebrać: odnosi talary do banku.

– Co on to właściwie robi, ten ojciec Goriot?

– Nic nie robi! – rzekł Vautrin. – Traci, rujnuje się na dziewczęta, które...

– Idzie! – rzekła Sylwia.

– Krzysztofie! – zawołał ojciec Goriot. – Chodź za mną.

Krzysztof udał się za ojcem Goriot i niebawem wrócił.

– Gdzie idziesz? – rzekła pani Vauquer do służącego.

– Z posyłką dla pana Goriot.

– Cóż to takiego? – rzekł Vautrin, wydzierając Krzysztofowi list, na którym przeczytał: „Do hrabiny Anastazji de Restaud”. – I masz z tym iść dokąd?... – dorzucił oddając list Krzysztofowi.

– Na ulicę du Helder. Mam rozkaz oddać jedynie do rąk pani hrabiny.

– Co tam może być w środku? – rzekł Vautrin biorąc list pod światło. Bilet bankowy? Nie.

– Uchylił kopertę. – Wykupiony weksel! – wykrzyknął. – Psiakość! to mi rycerz z tego starego piernika. Idź, serdeńko – rzekł, kładąc szeroką dłoń na głowie Krzysztofa, którego obrócił w miejscu jak frygę – czeka cię dobry napiwek.

Nakryto do stołu, Sylwia zagotowała mleko. Pani Vauquer zapaliła w piecu przy pomocy Vautrina, który wciąż nucił:

*Długom wędrował po tym Świecie,
Zdeptałem go i wszereż, i wzdłuż...*

Skoro wszystko było gotowe, zjawiała się pani Couture i panna Taillefer.

– Skąd tak rano, droga pani? – rzekła pani Vauquer.

– Byłyśmy się pomodlić u Świętego Szczepana, wszak to dziś mamy iść do pana Taillefer. Biedna mała drży jak listek – odparła pani Couture, siadając przy samym piecu i zbliżając trzewiki, które zaczęły dymić.

– Ogrzej się, Wiktoryno – rzekła pani Vauquer.

– To bardzo ładnie ze strony panienki modlić się do Boży, aby zmiękczyła serca ojca – rzekł Vautrin podsuwając krzesło sierocie. – Ale to nie wystarcza. Trzeba by pani życzliwego przyjaciela, który by się podjął wypalić *verba veritatis*¹⁸ temu kutwie. Bydlak ma, jak powiadają, trzy miliony, a nie chce dać panience posagu. W dzisiejszych czasach ładna panna potrzebuje wiana.

– Biedne dziecko! – rzekła pani Vauquer. – Tak, tak moje serce, ten nieludzki ojciec ściągnie jeszcze jakie nieszczęście na siebie.

Na te słowa oczy Wiktoryny zwilżyły się łzami; wdowa urwała na znak, jaki uczyniła jej pani Couture.

– Gdybyśmy mogły go tylko zobaczyć, gdybym mogła pomówić z nim, oddać mu ostatni list żony – podjęła wdowa po komisarzu. – Nie odważyłam się nigdy przesłać tego listu pocztą; zna moje pismo...

– O, kobiety, niewinne, nieszczęśliwe, prześladowane kobiety! – wykrzyknął Vautrin – tyleście wymyśliły? Od dziś za kilka dni ja się zajmę waszymi sprawami i wówczas wszystko pójdzie dobrze.

– Och, panie – rzekła Wiktoryna, rzucając Vautrinowi spojrzenie wilgotne i palące zarazem, które go bynajmniej nie wzruszyło – gdyby pan zdołał dotrzeć w jakiś sposób do ojca, niech mu pan powie, że jego serce i cześć mojej matki są mi o wiele droższe niż wszystkie bogactwa świata. Gdyby pan zdołał zmiękczyć jego serce, modliłabym się za pana... Niech pan będzie przekonany, że wdzięczność...

– *Długom wędrował po tym świecie* – zaśpiewał Vautrin ironicznie.

W tej chwili Goriot, panna Michonneau, Poiret zeszli, znęceni może zapachem zasmażki, którą sporządzała Sylwia, aby przyprawić resztki baraniny. W chwili gdy siedmioro stołowników zasiadło do stołu, życząc sobie dobrego dnia, wybiła dziesiąta: na ulicy rozległy się kroki studenta.

– W samą porę, panie Eugeniuszu – rzekła Sylwia. – Będzie pan dziś śniadał razem ze wszystkimi.

Student skłonił się pensjonarzom i usiadł obok ojca Goriot.

– Zdarzyła mi się osobliwa przygoda – rzekł, nabierając obficie baraniny oraz kładąc sobie kawał chleba, który pani Vauquer zawsze mierzyła okiem.

– Przygoda? – rzekł Poiret.

– I cóż, czego się dziwisz, stara szlafmyco? – rzekł Vautrin.

– Młody człowiek, taki jak pan de Rastignac, posiada wszelkie prawa po temu, aby mieć przygody.

Panna Taillefer spojrzała nieśmiało na studenta.

– Opowiedzże pan, co to za przygoda? – spytała pani Vauquer.

¹⁸ *verba veritatis* – słowa prawdy (łac.).

– Otóż wczoraj byłem na balu u wicehrabiny de Beauséant, mojej kuzynki, która posiada pyszny pałac, apartamenty wybite jedwabiem... Słowem, wyprawiła nam wspaniałe przyjęcie i bawiłem się jak król...

– ... lik – rzekł Vautrin przycinając w pół słowa.

– Co pan chcesz przez to powiedzieć? – spytał żywo Eugeniusz.

– Powiadam lik, ponieważ króliki bawią się o wiele lepiej niż króle.

– To prawda: wolałbym raczej być tym małym stworzonkiem bez troski niż królem, ponieważ... – rzekł *idemista*¹⁹ Poiret.

– Zatem – podjął student przerywając mu – tańczę z jedną z najładniejszych kobiet na balu, uroczą hrabiną, najrozkoszniejszą istotą, jaką widziałem. Włosy przybrane kwiatem brzoskwini, u boku przesłiczny bukiet, naturalne kwiaty odurzające zapachem; ale trzeba ją było widzieć! Któż zdoła odmalować kobietę ożywioną tańcem. Otóż dziś rano spotykam tę boską hrabinę koło dziewiątej pieszo na ulicy Kamiennej. Och, serce zaczęło mi walić, wyobrażałem sobie...

– Że idzie tutaj – rzekł Vautrin, obejmując studenta głębokim spojrzeniem. – Szła z pewnością do papy Gobsecka, lichwiarza. Jeżeli przetrząsniesz serca kobiet w Paryżu, zawsze znajdziesz lichwiarza przed kochankiem. Pańska hrabina nazywa się Anastazja de Restaud i mieszka przy ulicy du Helder.

Na to nazwisko student spojrzał bystro na Vautrina. Ojciec Goriot podniósł nagle głowę, objął obu rozmawiających mężczyzn żywym i niespokojnym spojrzeniem, które zdumiało stołowników.

– Krzysztof nie zdążył na czas, więc poszła! – wykrzyknął boleśnie Goriot.

– Zgadłem – rzekł Vautrin, pochylając się do pani Vauquer.

Goriot jadł machinalnie, nie wiedząc, co je. Nigdy nie wydawał się bardziej stępiły i nieobecny duchem niż w tej chwili.

– Któż u diaska, panie Vautrin, mógł panu powiedzieć nazwisko? – spytał Eugeniusz.

– Ha, ha! – odparł Vautrin. – Ojciec Goriot je zna, prawda? Czemuż ja nie mógłbym znać?

– Pan Goriot? – wykrzyknął student.

– Co? – rzekł biedny starzec. – Więc taka ładna była wczoraj!

– Kto?

– Pani de Restaud.

– Widzicie starego lamparta – rzekła pani Vauquer do Vautrina. – Jak mu się oczy zaświeciły?

– Czyżby on ją utrzymywał? – rzekła po cichu panna Michonneau do studenta.

– Och, tak, była wściekle piękna – odparł Eugeniusz, w którego ojciec Goriot wpatrywał się chciwie. – Gdyby nie było pani de Beauséant, boska hrabina byłaby królową balu; młodzi ludzie na nią tylko wypatrywali oczy; byłem dwunasty na liście, zajęte miała wszystkie kontredanse. Inne kobiety wściekały się. Jeżeli kto był kiedy na świecie szczęśliwy, to ona wczoraj. Słusznie powiedziano, że nie ma nic piękniejszego niż okręt pod żaglem, koń w galopie i kobieta w tańcu.

– Wczoraj na szczycie koła, u księżnej – rzekł Vautrin – dziś rano na dole drabiny, u lichwiarza: oto paryżanki. Jeśli mężowie nie mogą nastarczyć ich wściekłemu zbytkowi, sprzedają się. Jeśli nie umieją się sprzedać, wyprułyby wnętrzości własnej matce, aby w nich szukać środków do błyszczczenia. Słowem, mają sto tysięcy sztuczek. Znane dzieje, znane.

Twarz ojca Goriot, która zapłonęła jak słońce od słów studenta, sposepniała po tej okrutnej uwadze Vautrina.

– I cóż? – rzekła pani Vauquer. – Gdzież pańska przygoda? Czy pan z nią mówił? Spytał się pan, czy chce studiować prawo?

¹⁹ *idem* – to samo (łac.), *idemista* – człowiek powtarzający to, co mówią inni (żart.).

– Nie widziała mnie – rzekł Eugeniusz. – Aby spotkać o dziewiątej najładniejszą kobietę w Paryżu na ulicy Kamiennej, kobietę, która musiała wrócić z balu o drugiej rano, czy to nie osobliwe? Jedyne w Paryżu możliwe są takie przygody.

– Ba! Bywają o wiele zabawniejsze – rzekł Vautrin.

Panna Taillefer ledwie słuchała, tak była pochłonięta rzeczą, na którą miała się ważyć. Pani Couture dała jej znak, aby się poszła ubrać. Skoro opuściły pokój, ojciec Goriot poszedł za ich przykładem.

– I cóż, widzieliście go? – rzekła pani Vauquer do Vautrina i stołowników. – To jasne, że on się zrujnował na te kobiety.

– Nigdy nikt nie wmówi we mnie – wykrzyknął student – że piękna hrabina de Restaud jest metresą ojca Goriot.

– Ależ – przerwał Vautrin – nie zależy nam wcale, aby pana przekonywać. Jest pan jeszcze zbyt młody, aby znać Paryż; dowiesz się później, że spotyka się w nim to, co nazywamy temperamenty...

Na te słowa panna Michonneau zwróciła na Vautrina wzrok pełen zrozumienia. Rzeklibyście, koń kawalerski, który usłyszał trąbkę.

– He, he! – rzekł Vautrin obrzucając ją głębokim spojrzeniem. – Tyżeśmy mieli tempelamencik, co?

Stara panna spuściła oczy niby zakonnica na widok posągu.

– Otóż – podjął – ci ludzie czepiają się jakiejś manii i nie mogą się od niej oderwać. Mogą ugasić pragnienie jedynie pewną wodą, czerpaną z pewnej studni, często zapleśniałej; aby się jej napić, sprzedaliby własne żony, dzieci, sprzedaliby duszę diabłu. Dla jednych ta woda to gra, giełda, kolekcja obrazów lub owadów, muzyka; dla drugich kobieta, która im umie przyprawić frykasy miłosne. Takim moglibyście ofiarować wszystkie kobiety z całej ziemi, kpią sobie z tego, chcą tylko tej, która zaspokaja ich namiętność. Często ta kobieta wcale ich nie kocha, maltretuje ich, sprzedaje bardzo drogo okruchy rozkoszy; otóż te pieszczochy nie dadzą się odstręczyć, zastawiliby w lombardzie ostatnią koldrę, aby jej zanieść ostatniego talara. Ojciec Goriot to jeden z takich. Hrabina wyzyskuje go, bo jest dyskretny; oto masz wielki świat. Biedaczysko myśli tylko o niej. Poza swą namiętnością, widzicie, to skończony tuman. Sprowadźcie go na ten temat, twarz mu promienieje jak diament. Nietrudno przejrzeć tę tajemnicę. Zaniósł dziś rano srebro na sprzedaż, widziałem, jak wchodził do Gobsecka, przy ulicy Kamiennej. Zważcie dobrze! Wracając posłał do hrabiny de Restaud tego dudka Krzysztofa, który pokazał nam adres listu z wykupionym wekslem. Jasne jest, że jeśli hrabina też chodziła do starego lichwiarza, musiał być gwałt. Ojciec Goriot z całą dwornością uprzedził ją. Nie trzeba być geniuszem, aby w tym czytać jasno. To ci dowodzi, mój młody panie, że podczas gdy twoja hrabina śmiała się, tańczyła, mizdrzyła, pachniała kwiatem brzoskwini i podginała sukienkę, przechodziła, jak to mówią, siódme poty, myśląc o protestowanych wekslach swoich lub swego kochanka.

– Budzi pan we mnie szaloną ochotę poznania prawdy. Pójdę jutro do pani Restaud! – krzyknął Eugeniusz.

– Tak – rzekł Poiret – najlepiej iść jutro do pani de Restaud.

– Zastaniesz może u niej nieboraka Goriot, który przyjdzie odebrać pokwitowanie swojej galanterii.

– Ależ – rzekł Eugeniusz z wyrazem niesmaku – zatem Paryż jest śmietnikiem?

– I to uciesznym śmietnikiem – odparł Vautrin. — Ci, co paćkają się w nim w powozie, to uczeiwi ludzie; ci, co paćkają się pieszo, to łajdacy. Niech ci się zdarzy nieszczęście zwędzić cokolwiek, będą cię pokazywali po sądach jako osobliwość. Ukradnij milion, będziesz figurował w salonach jako cnota. I płacicie trzydzieści milionów żandarmerii i trybunałom, aby utrzymać tę moralność... Cacy!

– Jak to! – wykrzyknęła pani Vauquer. – Ojciec Goriot spuścił swój serwis?...

– Czy były dwie turkawki na przykrywce? – spytał Eugeniusz.
– To, to właśnie.
– Musiał być do niego przywiązany, płakał ugniatając czarkę i spodek. Widziałem to przypadkiem – rzekł Eugeniusz.
– Był mu drogi jak własne życie – odparła wdowa.
– Patrzcie mi starego, co to za namiętny karaluch! – wykrzyknął Vautrin. – Ta kobieta umie go polechtać, gdzie trzeba.

Student udał się do siebie. Vautrin wyszedł. W chwilę później pani Couture i Wiktoryna wsiadły do dorożki, którą sprowadziła Sylwia. Poiret podał ramię pannie Michonneau i oboje poszli się przejść po Ogrodzie Botanicznym, korzystając z ciepłego południa.

–No, więc mamy coś niby małżeństwo – rzekła Sylwia. – Wychodzą dziś z sobą pierwszy raz. Takie to oboje suche, że jak potrzebie się jedno o drugie, gotowi jeszcze ogień skrzesać.

– Baczość na szal panny Michonneau – rzekła śmiejąc się pani Vauquer – zajmie się jak hubka.

O czwartej wieczór, kiedy Goriot wrócił, ujrzał przy świetle dwu kopających lamp Wiktorynę, która miała czerwone oczy. Pani Vauquer słuchała opowiadania o bezpłodnej wizycie, którą złożyły panu Taillefer. Znudzony periodycznymi odwiedzinami córki i jej opiekunki, Taillefer kazał je wypuścić, aby się rozmówić raz na zawsze.

– Moja droga pani – opowiadała pani Couture, zwracając się do pani Vauquer – wyobraź sobie, pani, że nawet nie poprosił Wiktoryny siedzieć: cały czas stała! Mnie oświadczył, bez gniewu, na zimno, abyśmy sobie oszczędziły fatygi: że panienka (nie powiedział „córka„!) zraza go tym nachodzeniem (raz do roku, potwór!); że ponieważ matka Wiktoryny wyszła za mąż bez posagu, upadają tym samym wszystkie pretensje: słowem, twardy był jak kamień, biedactwo moje zalewało się łzami. Mała rzuciła się wówczas do stóp ojca i rzekła śmiało, że jeżeli tak nalega, to tylko przez wzgląd na matkę; że usłucha jego woli bez szemrania; ale błaga go, aby przeczytał testament biednej zmarłej. Wzięła list i podała mu, przemawiając bardzo ładnie i wzruszająco: sama nie wiem, skąd jej się to wzięło. Bóg jej chyba musiał podyktować, biedne dziecko mówiło tak wzniośle, że słuchając ją, stara, płakałam jak głupia. Pani wie, co on robił tymczasem, ten potwór? Obcinał sobie paznokcie! Wziął list, który biedna pani Taillefer zrosiła łzami, i rzucił go na kominek mówiąc: „Dobrze już!” Chciał podnieść córkę; ona chwyciła go za rękę, aby je ucałować, ale wyrwał się. Czy to nie zbrodnia? A ten dryblas synało wszedł do pokoju i ani nie przywitał siostry.

– Więc to potwory? – rzekł ojciec Goriot.

– A potem – rzekła pani Couture, nie zwracając uwagi na wykrzyk nieboraka – obaj wyszli kłaniając mi się i prosząc o wybaczenie, jako że mają pilne sprawy. Oto i cała wizyta. Ale przynajmniej widział córkę. Nie wiem, jak on się może jej zapierać, podobna do niego jak dwie krople wody.

Stołownicy, domowi i przychodni, zaczęli napływać kolejno, życząc sobie wzajem dobrego dnia i wymieniając owe nieznaczące zdańka, stanowiące w pewnych sferach Paryża surogat dowcipu, w którym błazeństwo stanowi główny składnik, a którego wartość zasadza się zwłaszcza na wymowie lub geście. Ten rodzaj gwary zmienia się ustawicznie. Koncept, który jest jej podstawą, nie trwa ani miesiąca. Wypadki polityczne, proces kryminalny, piosenka uliczna, kawał aktorski, wszystko służy do zasilenia tej igraszki humoru, która polega głównie na tym, aby brać idee i słowa jako wolant²⁰ i podawać go sobie na raketach. Świeży wynalazek dioramy²¹, która posuwała złudzenia optyczne do wyższego stopnia niż panorama, spowodował w paru pracowniach malarskich zwyczaj zmieniania wszystkich

²⁰ wolant – gra będąca poprzedniczką tenisa (z franc.).

²¹ diorama – obraz namalowany na przezroczystej tkaninie lub matowym szkle, dający przy sztucznym oświetleniu z obu stron złudzenie obrazu przestrzennego (z grec.).

końcówek na *rama*: kawał ten przeszczepił do pensjonatu Vauquer młody malarz, jadający tam obiady.

–I cóż, panie Poiret? – rzekł urzędnik z Muzeum. – Jakże pańska *zdrowiorama*?

Następnie nie czekając odpowiedzi:

– Widzę, że panie miały zmartwienie – rzekł do pani Couture i Wiktoryny.

– Czy będziemy ob-jadowali? – wykrzyknął Horacy Bianchon, student medycyny, przyjaciel Rastignaca. – Moje żołądeczko opadło mi już *usque ad talones*²².

– Mamy porządne *zimorama*! – rzekł Vautrin. – Posuń no się pan trochę, ojcie Goriot. Cóż u diabła! Pańska stopa zajmuje cały wylot kominka.

– Dostojny panie Vautrin – rzekł Bianchon – dlaczego pan mówisz *zimorama*! To błąd druku, trzeba mówić *zimnorama*.

– Nie – rzekł urzędnik Muzeum. – Mówi się *zimorama*, to pochodzi przecież od *zimorodek*.

– A, tak!

– Oto Jego Ekscelencja margrabia de Rastignac, doktor prawa i lewa! – wykrzyknął Bianchon chwytając Eugeniusza za szyję i dusząc go w objęciach. – Hop, hop! Idzie i reszta dostojnych biesiadników.

Panna Michonneau weszła po cichu, skłoniła się milcząco stołownikom i zajęła miejsce obok trzech kobiet.

– O dreszcz mnie zawsze przyprawia ta stara nietoperzyca – rzekł po cichu Bianchon do Vautrina, wskazując pannę Michonneau. – Ja, który studiuje system Galla, widzę u niej guz Judasza.

– Pan szanowny znał go osobiście? – spytał Vautrin.

– Któż go nie spotkał! – odparł Bianchon. – Daję słowo honoru, ta zblichowana stara panna robi na mnie wrażenie owych długich robaków, które w końcu stoczą belkę.

– Oto, co jest, młodzieńcze – rzekł czterdziestolatek przyczepiając sobie bokobrody.

Piękna jak róża, żyła tak, jak żyją róże,

Przez jedno mgnienie poranku...

– He, he! Widzę tu bajeczne *zuporama* – rzekł Poiret na widok Krzysztofa, który wszedł, niosąc z uszanowaniem zupę.

– To kapuśniak, proszę pana – rzekła z godnością pani Vauquer.

Młodzi ludzie wybuchnęli śmiechem.

– Pograżony, Poiret.

– Poirrrret pogrrrrażony!

– Zaznaczcie dwa punkty mamie Vauquer – rzekł Vautrin.

– Czy zauważył kto mgłę dzisiejszego rana? – rzekł urzędnik.

– To była – odparł Bianchon – mgła frenetyczna, bezprzykładna, mgła posepna, melancholiczna, zielona, dychawiczna, mgła *a la* Goriot.

– *Goriorama* – rzekł malarz – ponieważ nie widziało się ani na tycio.

–Heej tam! Milordzie Gorriot, haw do you²³ z chrzanem: o panu mowa.

Siedząc na szarym końcu, blisko drzwi, przez które wnoszono dania, ojciec Goriot podniósł głowę, wachając kawałek chleba, który miał pod serwetą: przyzwyczajenie kupieckie, wracające mu niekiedy.

– No co – krzyknęła ostro pani Vauquer głosem, który pokrył hałas łyżek, talerzy i rozmów – chleb wydaje się panu niedobry?

²² *usque ad talones* – aż do pięt (łac.).

²³ haw do you – zniekształcona forma *how do you do* – co słyhać (ang.).

- Przeciwnie, pani – odparł. – To chleb z etampskiej mąki pierwszej jakości.
- Po czym pan to poznaje? – spytał Eugeniusz.
- Po białości, po smaku.
- Po smaku nosa, skoro go pan wącha – rzekła pani Vauquer. – Robi się pan tak oszczędny, że w końcu znajdzie pan sposób, aby się żywić wdychając parę z kuchni.
- Weź pan wówczas patent na ten wynalazek! – krzyknął urzędnik Muzeum. – Zbierzesz ładny mająteczek.
- Dajcie pokój, on to robi, aby nas przekonać, że był handlarzem mąki – rzekł malarz.
- Zatem nos pański jest retortą? – spytał jeszcze urzędnik Muzeum.
- Re co? – rzekł Bianchon.
- Re-flektor.
- Re-fektarz.
- Re-stancja.
- Re-wizor.
- Re-zoner.
- Re-zydent.
- Re-konesans.
- Re-torama.

Tych osiem odpowiedzi padło ze wszystkich stron sali z szybkością rotowego ognia i wzbudziło tym żywszą wesołość, ile że ojciec Goriot spoglądał na biesiadników z ogłupiałą miną, jak człowiek, który się stara zrozumieć cudzoziemski język.

– Re?... – zwrócił się do Vautrina, który siedział najbliżej.

– Reduta, mój stary! – rzekł Vautrin wtlaczając ojcu Goriot uderzeniem dłoni kapelusza na głowę, tak że zakrył oczy.

Biedny starzec, osłupiały nagłym atakiem, siedział jakiś czas bez ruchu. Krzysztof zabrał talerz nieboraka, myśląc, że skończył; tak iż kiedy Goriot podniósłszy kapelusza wziął łyżkę, uderzył nią o stół. Stołownicy wybuchnęli śmiechem.

– Panie – rzekł starzec – ma pan bardzo niewłaściwe żarty i jeżeli się pan poważy jeszcze raz na coś podobnego...

– I cóż, co wtedy, papciu? – rzekł Vautrin przerywając.

– Wówczas może to pan ciężko odpokutować...

– W piekle, nieprawdaż? – rzekł malarz. – W tym czarnym kąciku, do którego stawia się niegrzeczne dzieci!

– Cóż, piękna panienko – rzekł Vautrin do Wiktoryny. – Coś pani nie je. Zatem papa okazał się nieubłagany?

– Ohyda! – rzekła pani Couture.

– Trzeba go przywieść do opamiętania – rzekł Vautrin.

– Ale – wtrącił Rastignac, który siedział niedaleko Bianchona – panna Wiktoryna mogłaby wytoczyć proces o alimentacje, ponieważ nic nie je. Och, och! Przypatrzcie no się, jakimi oczami ojciec Goriot śledzi pannę Wiktorynę.

Starzec zapomniał o jedzeniu. Tak był wpatrzony w młodą dziewczynę, na której rysach malował się szczery ból dziecka zranionego w dziecięcej miłości.

– Mój drogi – rzekł Eugeniusz półgłosem – omyliliśmy się co do ojca Goriot. To nie jest głupiec ani niedołęga. Zastosuj do niego swój system Galla i powiedz mi, do jakich dojdiesz wyników. Widziałem go tej nocy: skręcał srebrny półmisek jak wosk; w tej chwili również wyraz jego twarzy zdradza nadzwyczajne uczucia. Życie jego to tajemnica, którą warto studiować. Tak, tak, Horacy, możesz się śmiać, ale ja wcale nie żartuję.

– Ten człowiek to obiekt medyczny – rzekł Bianchon. – Zgoda, jeśli przystanie, podejmę się poddać go sekcji.

– Nie, obmacaj mu głowę.

– Oj! Tumaństwo jest może zaraźliwe.

Nazajutrz Rastignac odział się bardzo wytwornie i wybrał się około trzeciej do pani de Restaud. W drodze oddawał się owym szalonym i nieopatrzny nadziejom, które czynią życie młodych ludzi tak bogatym: nie obliczają wówczas przeszkód ani niebezpieczeństw, widzą wszystko w różowym świetle, poetyzują egzystencję grą własnej wyobraźni, czują się nieszczęśliwi lub smutni z upadkiem projektów, które istniały jedynie w ich rozszalałych pragnieniach... Gdyby nie byli przy tym naiwni i nieśmiali, gmach społeczny nie mógłby się przy nich ostać. Idąc Eugeniusz zachowywał tysiąc ostrożności, aby się nie zabłócić; ale równocześnie myślał, co powie pięknej pani de Restaud, skupiał zapasy dowcipu, obmyślał zwroty urojonej rozmowy, przygotowywał cięte słówka, zdania *a la Talleyrand*²⁴, przypuszczając drobne okoliczności sprzyjające oświadczeniom, na których budował swą przyszłość. Włazł w błoto, zachlapał się i musiał sobie dać oczyścić buty i pantalony w Palais-Royal.

– Gdybym był bogaty – rzekł sobie, zmieniając pięciofrankówkę, którą wziął na wypadek nieszczęścia – jechałbym powozem; mógłbym dumać do woli.

Wreszcie dotarł do ulicy du Helder i spytał o panią de Restaud. Z zimną wściekłością człowieka pewnego, iż znajdzie kiedyś odwet, wytrzymał wzgardliwe spojrzenie służby, która widziała, że przebył dziedziniec pieszo, a nie słyszała również turkotu pojazdu przed bramą. Spojrzenie to było mu bardzo dotkliwe: zrozumiał już swą niższość wchodząc w dziedziniec, gdzie parskał ładny konik w bogatej uprzęży przy jednym z owych strojnych kabrioletów, które zwiastują zbytek nie liczący się z groszem i pozwalają się domyślać wszystkich paryskich szczęśliwości. To wystarczyło, aby mu zepsuć humor. Szufłady jego mózgu, które miały być pełne dowcipu, zamknęły się; uczył się zupełnie tępy. Oczekując decyzji hrabiny, której lokaj poszedł oznajmić gościa, Eugeniusz przystanął w oknie, oparł się łokciem o rygiel i spoglądał machinalnie w dziedziniec. Czas wydał mu się długi, byłby odszedł, gdyby nie posiadał owej wytrwałości południowca, która działa cuda, kiedy idzie linią prostą.

– Proszę pana – rzekł lokaj – pani hrabina jest w buduarze i bardzo zajęta; ale jeżeli jaśnie pan zechce przejść do salonu, już tam ktoś czeka.

Podziwiając przerażającą władzę tych ludzi, którzy jednym słowem oskarżają lub sądzą swych państwa, Rastignac otworzył śmiało drzwi, przez które wyszedł służący, zapewne aby pokazać bezczelnym sługusom, że zna obyczaje domu; ale wkroczył bardzo nieopatrznie do pokoiku, w którym znajdowały się lampy, szafy, przyrząd do grzania ręczników, a który prowadził równocześnie do ciemnego korytarza i na tylne schody. Usłyszał w korytarzu stłumione śmiechy, co dopełniło miary jego pomieszania.

– Proszę pana, salon jest tutaj – rzekł lokaj z owym fałszywym uszanowaniem, które jakby podkreśla jeszcze szyderstwo.

Eugeniusz cofnął się z takim pośpiechem, iż potknął się o wannę, ale, na szczęście, przytrzymał kapelusz dość wcześnie, aby mu nie dać wpaść do kąpieli. W tej samej chwili otwarły się drzwi w głębi długiego, oświetconego lampką korytarza; Rastignac usłyszał równocześnie głosy pani de Restaud i ojca Goriot oraz szmer pocałunku. Wszedł do jadalni, minął ją idąc w ślady lokaja i znalazł się w saloniku, gdzie zajął miejsce przy oknie, widząc, że okno wychodzi na dziedziniec. Chciał się przekonać, czy ten Goriot jest w istocie „jego” Goriot. Serce biło mu w osobliwy sposób, przypominał sobie okrutne refleksje Vautrina. Lokaj czekał na Eugeniusza u drzwi, kiedy nagle wyszedł z nich wykwintny młody człowiek, który rzekł niecierpliwie:

– Idę już, Maurycy. Powiesz hrabinie, że czekałem przeszło pół godziny.

Impertinent ten, który zapewne miał prawo tak się zachowywać, zanucił aryjkę włoską

²⁴ *a la Talleyrand* – tak jak Charles Maurice Talleyrand, dyplomata w rządach monarchii, rewolucji, Cesarstwa, Restauracji, uchodzący za wcielenie politycznego cynizmu i pragmatyzmu.

kierując się w stronę okna, przy którym stał Eugeniusz, zarówno aby się przypatrzeć twarzy studenta, co aby wyrzeć na dziedziniec.

– Może by pan hrabia zechciał zaczekać jeszcze chwileczkę, pani już skończyła – rzekł Maurycy wracając.

W tej chwili Goriot wyłonił się koło bramy z bocznych schodów. Nieborak wyciągnął parasol i zamierzał go rozwinąć, nie zważając, iż otwarto bramę na oścież, aby przepuścić młodego pana ze wstążeczką Legii, który powoził eleganckim *tilbury*. Goriot ledwie zdążył rzucić się w bok, aby uniknąć stratowania. Rozpięty parasol przestraszył konia, który dał susa. Młody pan obrócił z irytacją głowę, spostrzegł ojca Goriot i zdążył mu się uklonąć z owym wymuszonym szacunkiem, jakim obdarowujemy potrzebnego nam w tej chwili lichwiarza lub człowieka niebezpiecznego, ale wątpliwej reputacji. Goriot odpowiedział przyjacielskim i dobronudusznym ukłonem. Wydarzenia te nastąpiły po sobie z szybkością błyskawicy. Nadto zapatrzony, aby zauważyć, że nie jest sam, Eugeniusz usłyszał nagle głos hrabiny:

Och, Maksymie, chciał pan odchodzić? – rzekła z wymówką i odcieniem żalu.

Hrabina nie zwróciła uwagi na wjeżdżające *tilbury*. Rastignac odwrócił się żywo i ujrzał hrabinę zalotnie odzianą w biały kaszmirowy peniuar z różowymi wstążeczkami, uczesaną niedbale, jak bywa paryżanka w rannych godzinach. Była rozkosznie pachnąca, widać dopiero co wyszła z wody. Piękność jej, spulchniona kąpielą, była tym bardziej kusząca; oczy miała wilgotne. Oko młodych ludzi umie wszystko widzieć; duch ich stapia się z promieniowaniem kobiety, jak roślina wdycha z atmosfery składniki, których potrzebuje; Eugeniusz uczuł tedy drażniący chłód rąk tej kobiety, nie potrzebując ich dotykać. Poprzez kaszmirową tkaninę widział różane kształty biustu, które lekko rozchylony peniuar obnażał niekiedy zupełnie i po których ślizgało się jego spojrzenie. Sznurówka była hrabinie zupełnie zbyteczna, jedynie przepaska zaznaczała giętką kibić, szyja jej zapraszała do miłości, nóżki w pantofelkach wyglądały uroczo. Skoro Maksym ujął dłoń, aby ją ucałować, wówczas dopiero Eugeniusz spostrzegł Maksyma, a hrabina Eugeniusza.

– A, to pan, panie de Rastignac! Bardzom rada, że pana widzę – rzekła tonem, z którego inteligentny człowiek umie wyciągnąć konsekwencje.

Maksym spoglądał kolejno na Eugeniusza i na hrabinę, w sposób zdolny dać uczuć intruzowi, że jest zbyteczny.

– Słuchaj no, moja droga, mam nadzieję, że wyprawisz mi tego smarkacza za drzwi!

To był jasny i zrozumiały sens wyzywających spojrzeń młodego człowieka, którego hrabina nazywała Maksymem i na którego spoglądała z uległością, zdradzającą bezwiednie tajemnicę kobiety. Rastignac poczuł gwałtowną nienawiść do wytwornego panicza. Przede wszystkim ładne i zręcznie ufryzowane blond włosy Maksyma pouczyły go, że jego własna fryzura jest okropna; następnie Maksym miał cienkie i czyste buciki, gdy jego obuwie, mimo starań, jakie zachował w drodze, było lekko zabłocone; wreszcie Maksym miał surducik, który wytwornie ujmował jego kibić i czynił go podobnym do ładnej kobiety, gdy Eugeniusz o wpół do trzeciej nosił czarny frak. Zmyślne dziecię prowincji uczuło przewagę, jaką dzięki swemu strojowi posiada nad nim ów panicz, wysoki, szczupły, jasnooki, bladolicy, jeden z owych ludzi zdolnych zrujnować sieroty. Nie czekając odpowiedzi Eugeniusza pani de Restaud pomknęła niby na skrzydłach do salonu, pozwalając bujać połom peniuaru, które składały się i rozkładały czyniąc ją podobną do motyla; Maksym udał się za nią. Eugeniusz, wściekły, poszedł za Maksymem i hrabiną. Wszyscy troje znaleźli się razem na wprost kominka, na środku salonu. Student wiedział dobrze, że będzie krępował wstrętne Maksyma; ale nawet narażając się na niełaskę pani de Restaud, chciał go krępować. W jednej chwili przypomniał sobie, że widział młodego człowieka na balu u pani de Beauseant; odgadł, czym jest Maksym dla pani de Restaud; i z tym młodzieńczym zuchwalstwem, które płodzi wielkie głupstwa lub wielkie tryumfy, rzekł sobie:

– Oto mój rywal, muszę go pokonać.

Niebaczny! Nie wiedział, że hrabia de Trailles prowokował obrazę, strzelał pierwszy i kładł przeciwnika na miejscu. Eugeniusz był dobrym strzelcem, ale nie zwał jeszcze dwudziestu lalek na dwadzieścia dwie w strzelnicy. Młody hrabia rzucił się w berżerkę²⁵ przy kominku, wziął szczypce i zaczął grzebać w ogniu tak gwałtownym i niecierpliwym ruchem, że piękna twarz Anastazji powlokła się nagle chmurą. Młoda kobieta obróciła się do Eugeniusza i rzuciła mu jedno z owych zimno pytających spojrzeń, które mówią tak wyraźnie: „Czemu się nie wynosisz?”, że ludzie dobrze wychowani umieją natychmiast sklecić jakiś frazes, który można by nazwać pożegnalnym.

Eugeniusz przybrał uprzejmy wyraz i rzekł:

– Pani, śpieszno mi było widzieć panią, aby...

Urwał nagle. Drzwi otworzyły się. Ukazał się w nich pan, który zajechał w *tilbury*, bez kapelusza, nie przywitał się z hrabiną, spojrzał spod oka na Eugeniusza i wyciągnął rękę do Maksyma mówiąc: „Jak się masz?” z serdecznym akcentem, który szczególnie zdziwił Eugeniusza. Młodzi parafianie nie wiedzą, jak słodkie jest życie we troje.

– Pan de Restaud – rzekła hrabina do studenta, wskazując męża.

Eugeniusz skłonił się głęboko.

– Pan de Rastignac – dodała przedstawiając Eugeniusza hrabiemu de Restaud. – Krewny wicehrabiny de Beauséant przez Marcillaców; miałam przyjemność spotkać go u niej na balu.

„Krewny wicehrabiny de Beauséant przez Marcillaców”; słowa te wymówiła hrabina prawie z emfazą, z dumą pani domu szczycącej się, iż przyjmuje u siebie jedynie ludzi dystygowanych. Wywarły one zresztą magiczny skutek: hrabia stracił chłodno-ceremonialny wyraz i skłonił się.

– Cieszę się serdecznie – rzekł – że mam przyjemność poznać pana.

Nawet hrabia de Trailles objął Eugeniusza niespokojnym spojrzeniem i porzucił nagle impertynencką minę. To dotknięcie różdżki, którym stał się potężny dźwięk jednego nazwiska, otworzyło trzydzieści przegródek w mózgu południowca i wróciło mu zapasy przygotowanego dowcipu. Nagły błysk światła pozwolił mu wejrzeć w mroczną dlań jeszcze atmosferę wielkiego świata. Pensjonat pani Vauquer, ojciec Goriot byli wówczas bardzo daleko od jego myśli.

– Sądziłem, że rodzina Marcillac wygasła? – rzekł hrabia de Restaud do Eugeniusza.

– Tak, panie hrabio – odparł. – Mój stryjeczny dziadek, kawaler de Rastignac, zaślubił dziedziczkę rodu Marcillac. Miał tylko jedną córkę, która wyszła za marszałka de Clarimbault, przodka po kądzieli pani de Beauséant. Pochodzimy z młodszej gałęzi, gałęzi tym uboższej, iż mój stryjeczny dziadek, wiceadmirał, wszystko stracił w służbach króla. Rząd rewolucyjny nie chciał uznać naszych wierzytelności w likwidacji Kompanii Indyjskiej.

– Czy pański dziadek nie dowodził „Mścicielem” przed rokiem 1789?

– Właśnie.

– Zatem znał mego dziadka, który dowodził „Warwickiem”.

Maksym lekko wzruszył ramionami, patrząc na panią de Restaud, jak gdyby chciał powiedzieć: „Jeżeli się zapuszczą w rodowody marynarskie, jesteście zgubieni”. Anastazja zrozumiała spojrzenie pana de Trailles. Z owym cudownym panowaniem nad sobą, które posiadają kobiety, uśmiechnęła się i rzekła:

– Panie Maksymie, niech pan pójdzie, mam pana o coś zapytać. Panowie, zostawiamy panom swobodę żeglowania wspólnie na „Warwicku” i „Mścicielu”.

Wstała skinąwszy z żartobliwą chytryością na Maksyma, który skierował się za nią do buduaru. Ledwie ta morgantyczna para (ładne wyrażenie niemieckie, które nie ma

²⁵ berżerka – rodzaj kanapki lub wyścielanego fotela (franc.).

odpowiednika w języku francuskim) znalazła się przy drzwiach, hrabia przeciął rozmowę z Eugeniuszem.

– Anastazjo, zostańże, moja droga! – wykrzyknął niechętnie. – Wiesz dobrze, że...

– W tej chwili wracam – przerwała. – Muszę tylko wyjaśnić panu Maksymowi pewne zlecenie.

W istocie wróciła szybko. Wszystkie kobiety zmuszone śledzić charakter mężów, aby sterować nimi wedle ochoty, umieją ocenić, do jakiego punktu mogą się posunąć, aby nie stracić szacownego zaufania, i nigdy nie sprzeciwiają się w drobiazgach. Hrabina poznała z intonacji hrabiego, że pobyt w buduarze nie dawałby gwarancji bezpieczeństwa. Utrapienia te były dziełem Eugeniusza; toteż hrabina z niechętną miną i gestem wskazała studenta Maksymowi, który rzekł dość kostycznie do hrabiego, jego żony i Eugeniusza:

– Moi państwo, widzę, że jesteście zajęci, nie chcę was krępować; do zobaczenia.

I wyszedł.

– Zostańże, Maksymie – zawołał hrabia.

– Niech pan przyjdzie na obiad – rzekła hrabina, która opuszczając jeszcze raz Eugeniusza i hrabiego udała się za Maksymem do saloniku, gdzie zostali razem dość długo w nadziei, że Restaud wyprawi tymczasem Eugeniusza.

Rastignac słyszał, jak kolejno wybuchali śmiechem, rozmawiali, milkli; ale uparty student silił się na inteligencję w rozmowie z panem de Restaud, pochlebiał mu lub wyciągał go na dyskusję, chcąc ujrzyć jeszcze hrabinę i wybadać, jakie stosunki wiążą ją z ojcem Goriot. Ta kobieta oczywiście zakochana w Maksymie, ta kobieta mająca władzę nad mężem, związana tajemnie ze starym handlarzem, zdawała mu się wielką zagadką. Chciał przeniknąć tajemnicę, spodziewając się w ten sposób zapanować wszechwładnie nad tą wcieloną paryżanką.

– Anastazjo! – rzekł hrabia wołając znowu żonę.

– Trudno, mój biedny Maksymie – rzekła do młodego człowieka. – Trzeba dać za wygraną. Do wieczora...

– Mam nadzieję, Nasieńko – rzekł jej do ucha – że pozbędziesz się raz na zawsze tego smarkacza, któremu oczy żarzyły się jak węgle, ile razy twój peniuar się rozchylił. Umizgałby się do ciebie, naraziłby cię i byłbym zmuszony go zabić.

– Czyś ty oszalał, Maksymie? – rzekła. – Te studenciki czyż to nie są, przeciwnie, wyborne gromochrony? Właśnie postaram się, aby mąż go znieawdził.

Maksym parsknął śmiechem i wyszedł przeprowadzony przez hrabinę, która stanęła w oknie, aby widzieć, jak wsiada do powoziku, ujmuje lejce i potrząsa batem. Wróciła dopiero wówczas, kiedy brama się zawarła.

– Słyszysz, moja droga! – zawołał hrabia, kiedy żona weszła. – Majątek, gdzie mieszkają rodzice pana de Rastignac, leży niedaleko Verteuil, nad Charente. Stryjeczny dziadek pana kawalera i mój dziadek znali się.

– Cieszę się, że mamy wspólnych znajomych – rzekła hrabina z roztargnieniem.

– Więcej, niż pani myśli – rzekł półgłosem Eugeniusz.

– Jak to? – spytała żywo.

– Ależ – rzekł student – widziałem, jak wychodził z tego domu ktoś, z kim mieszkam drzwi w drzwi w tym samym pensjonacie, ojciec Goriot.

Na to nazwisko, ozdobione wyrazem „ojciec”, hrabia, który grzebał w piecu, rzucił szczypce w ogień, jak gdyby go sparzyły w palce, i wstał.

– Można by powiedzieć: „pan Goriot”? – wykrzyknął.

Hrabina zbladła w pierwszej chwili, widząc podrażnienie męża, następnie poczerwieniała, widocznie zakłopotana; wreszcie odparła z fałszywą swobodą, głosem, który silił się być naturalny:

– Niepodobna wymenić kogoś, do kogo byśmy serdecznie byli przywiązani...

Przerwała, spojrzała na klawikord, jak gdyby pod wpływem nagłej inspiracji, i rzekła:

– Lubi pan muzykę?
– Bardzo – odparł Eugeniusz, czerwony i zmartwiały od mętnej myśli, że popełnił jakieś ciężkie głupstwo.

– Śpiewa pan? – zawołała podchodząc do klawikordu i wprawiając w żywy ruch wszystkie klawisze, począwszy od dolnego c aż do f na górze. Rrrrach!

– Nie, pani.

Hrabia de Restaud przechadzał się wzdłuż i wszerz.

– To szkoda, pozbawia się pan znakomitego środka powodzenia. *Ca-aro; ca-a-ro, ca-a-a-ro, non du-bi-ta-re* – zaśpiewała hrabina.

Wymówione przez Eugeniusza nazwisko było niby dotknięcie różdżki czarodziejskiej, ale o działaniu wręcz przeciwnym temu, jakie wywarły słowa: „krewny pani de Beauséant”. Znajdował się w położeniu człowieka, którego, mocą szczególnego faworu, wprowadzono do mieszkania amatora osobliwości i który trąciwszy przez nieuwagę szafę pełną rzeźbionych figurynek odbije jakąś źle przyklejoną główkę. Byłby chciał, aby ziemia się pod nim zapadła. Twarz pani de Restaud była sucha, zimna; oczy jej przybrawszy z powrotem obojętny wyraz unikały oczu nieszczęsnego studenta.

– Pani – rzekł – ma pani zapewne do pomówienia z panem de Restaud, zechce pani przyjąć wyrazy mego szacunku i pozwoli...

– Za każdym razem, kiedy pan się zjawi – rzekła śpiesznie hrabina, wstrzymując Eugeniusza gestem – może być pan pewny, iż sprawi pan, tak memu mężowi jak i mnie, najżywszą przyjemność.

Eugeniusz skłonił się i wyszedł przeprowadzony przez pana de Restaud, który mimo wzdragań studenta towarzyszył mu aż do przedpokoju.

– Kiedykolwiek ten pan się zjawi – rzekł hrabia do Maurycego – ani mnie, ani pani nie ma w domu.

Skoro Eugeniusz znalazł się przed domem, spostrzegł, że deszcz pada.

– Ech – rzekł do siebie – palnąłem jakieś głupstwo, którego nie znam ani przyczyn, ani doniosłości, na dobitkę zniszczę sobie ubranie i kapelusz. Powinien bym siedzieć w kącie dukając pandekty²⁶ i myśleć tylko o tym, aby zostać tęgim urzędnikiem. Czyż mogę bywać w świecie, skoro aby się tam przywoicicie prezentować, trzeba całej fury kabrioletów, lakierów, nieodzownych drobiazgów, złotych łańcuszków, od rana zamszowych białych rękawiczek po sześć franków para i żółtych rękawiczek wieczór? Ech, ty stary hyclu Goriot, niech cię!...

Wyszedł na ulicę. Siedzący na koźle karety woźnica, który z pewnością odstawił właśnie parę nowożeńców i bardzo był nie od tego, aby uszczknąć swemu panu przemycany kurs, dał Eugeniuszowi znak, widząc go bez parasola, w czarnym ubraniu, białej kamizelce, żółtych rękawiczkach i lakierowanych trzewikach. Eugeniuszem trzęsła owa głucha wściekłość, z tych, co to każą młodemu człowiekowi brnąć coraz głębiej w otchłań, w którą się zapadł, jak gdyby się spodziewał znaleźć szczęśliwsze wyjście. Skinieniem zgodził się na propozycję. Mając ledwie dwadzieścia dwa su w kieszeni, wsiadł do powozu, gdzie strzęp pomarańczowego kwiatu i parę srebrnych nitek świadczyło o niedawnej obecności oblubieńców.

– Dokąd pan każe? – spytał woźnica, który ściągnął już białe rękawiczki.

– Do kata! – rzekł sobie Eugeniusz. – Skoro się topię, niechże mi to bodaj zda się na coś! Do pałacu Beauséant – dodał głośno.

– Którego? – rzekł woźnica.

Szczytne to słowo wprawiło Eugeniusza w pomieszanie. Świeżo upieczony złoty młodzian nie wiedział, że są dwa pałace Beauséant; nie miał pojęcia, jak bardzo był bogaty w krewnych, którzy się o niego nie troszczyli.

²⁶ pandekty – dział kodeksu Justyniana obejmujący fragmenty z pism prawników rzymskich (śrdw.-łac.).

– Wicehrabia de Beauséant, ulica...

– De Grenelle – rzekł stangret potrząsając głową. – Bo to, widzi pan, jest jeszcze pałac hrabiego i margrabiego de Beauséant przy ulicy Świętego Dominika – dodał podnosząc stopień.

– Wiem – odparł Eugeniusz sucho. – Cały świat drwi sobie dzisiaj ze mnie! – rzekł rzucając kapelusz na przednie siedzenie. – Oto wyprawa, która mnie będzie kosztowała złote góry. Ale przynajmniej złożę wizytę rzekomej kuzynce w sposób niezbitcie arystokratyczny. Ojciec Goriot kosztuje mnie już co najmniej dziesięć franków, stary ladaco! Na honor, opowiem swoją przygodę pani de Beauséant, może ją zabawię. Musi z pewnością znać tajemnicę zbrodniczych stosunków tego starego kreta i pięknej hrabiny. Więcej jest warte przypodobać się kuzynce niż rozbijać sobie nos o tę Messalinę, która, coś mi się widzi, musi być bardzo kosztowna. Jeśli imię pięknej wicehrabiny jest tak potężne, jakąż musi wagę mieć jej osoba? Zaczniemy od szczytów. Kiedy człowiek ma zamiar coś uzyskać w niebie, trzeba się zwracać do samego Boga!

Słowa te dają obraz tysiąca i jednej myśli, które kłębiły mu się w głowie. Odzyskał nieco spokoju i pewności, widząc, że deszcz pada. Powiedział sobie, że jeśli mu przyjdzie strwonić dwie szacowne pięciofrankówki, odbije tę rozrzutność oszczędzając w zamian ubrania, butów i kapelusza. Nie bez odruchu zadowolenia usłyszał, jak woźnica wrzasnął: „Bra–a–ma!” Czerwono–złocisty szwajcar rozwarł szeroko bramę. Rastignac ujrzał ze słodkim zadowoleniem, iż powóz jego mija wrota, zatacza w dziedzińcu koło i zatrzymuje się pod markizą wjazdu. Woźnica, w grubym niebieskim szarafanie z czerwoną wypustką, zeszedł, aby spuścić stopień. Wysiadając Eugeniusz usłyszał w przedsionku stłumione śmiechy. Kilku lokajów już dworowało sobie z tego pojazdu, jaki najmuje się na śluby w drobnym mieszczaństwie. Student zrozumiał ten śmiech, porównując swą karocę z jednym z najwykwintniejszych pojazdów w Paryżu, zaprzężonym w dwa ogniste konie, strojne w róże przy uszach. Upudrowany woźnica w wytwornym krawacie trzymał na uwięzi koniki, które żuły wędzidło, jak gdyby chciały ponosić. Na Chaussée d'Antin, w dziedzińcu pani de Restaud, Eugeniusz spotkał zgrabny kabriolecik dwudziestosześcioletniego młodzika. W dzielnicy Saint-Germain olśnił go zbytek wielkiego pana, którego ekwipażu nie opłaciłoby się ani trzydziestoma tysiącami franków.

– Któż tam tkwi znowu? – rzekł do siebie Eugeniusz, pojmując nieco za późno, że niewiele znajdzie się kobiet w Paryżu, które by nie były zajęte, i że nawet za cenę krwi niełatwo jest zdobyć jedną z tych monarchiń. – Do diaska! Kuzyneczka także będzie miała z pewnością swego Maksyma.

Wszedł na schody z rozpaczą w duszy. Na jego widok oszklone drzwi otwały się; zastał lokajów poważnych jak mumie. Bal, na którym był Eugeniusz, odbywał się w salonach recepcyjnych na parterze. Nie mając czasu między zaproszeniem a balem złożyć wizyty, nie wniknął jeszcze w apartamenty pani de Beauséant; miał tedy po raz pierwszy ujrzeć cudzy tego wykwintu, w którym odbija się dusza kobiety z wielkiego świata. Studium tym ciekawsze, iż salon pani de Restaud dostarczał mu skali porównań.

Było wpół do piątej, wicehrabina była widzialna. Pięć minut wcześniej nie przyjęłaby krewniaka. Eugeniusza, który nie miał pojęcia o subtelności paryskiej etykiety, poprowadzono przez wielkie schody pełne kwiatów, białe ze złoconą poręczą i czerwonym dywanem, do pani de Beauséant, której ustna biografia, jedna z owych czarodziejskich historii, szeptanych do ucha we wszystkich salonach, nie była mu znana.

Wicehrabina utrzymywała od trzech lat serdeczne stosunki z jednym z najgłośniejszych i najbogatszych magnatów portugalskich, margrabią d'Ajuda-Pinto. Był to jeden z owych niewinnych związków, mających tyle uroku dla osób, które łączy, że nie mogą znieść obecności nikogo trzeciego. Toteż wicehrabia de Beauséant sam dał publiczności przykład szanując, rad nierad, ten morgantyczny węzeł. Osoby, które w pierwszej epoce tej przyjaźni

odwiedzały wicehrabinę o drugiej po południu, zastawały zawsze margrabiego. Nie mogąc zamknąć drzwi swego domu, co byłoby wielce rażące, pani de Beauséant przyjmowała gości tak chłodno i wpatrywała się tak pilnie w sufit, iż każdy musiał spostrzec, jak bardzo jej jest nie na rękę. Skoro rozeszło się w Paryżu, że jest się nie na rękę pani de Beauséant, odwiedzając ją między drugą a czwartą, ujrzała koło siebie zupełną pustkę. Chodziła do Bouffons lub do Opery w towarzystwie pana de Beauséant i pana d'Ajuda-Pinto; ale jak człowiek dobrze wychowany, pan de Beauséant usadowiwszy żonę i Portugalczyka, stale zostawiał ich samych. Pan d'Ajuda miał się żenić. Żenił się z panną de Rochefide. W całym wielkim świecie jedna tylko osoba nie wiedziała jeszcze o jego małżeństwie, a była nią pani de Beauséant. Ta i owa przyjaciółka natrącała o tym z daleka; wicehrabina śmiała się tylko, sądząc, że przyjaciółki pragną zamącić szczęście, którego zazdrościły. Tymczasem zbliżały się zapowiedzi. Piękny Portugalczyk przybył, aby oznajmić wicehrabinie małżeństwo; mimo to nie śmiał jeszcze puścić ani pary z ust. Czemu? Nie ma z pewnością nic trudniejszego, jak notyfikować kobiecie podobne ultimatum. Wielu mężczyzn czuje się swobodniej na „udeptanej ziemi”, w obliczu przeciwnika godzącego im szpadą w serce, niż wobec kobiety, która po dwugodzinnych lamentach zaczyna mdleć i woła o pomoc. W tej chwili zatem d'Ajuda-Pinto był na rozżarzonych węglach; chciał wyjść, powiadając sobie, że pani de Beauséant dowie się o tej nowinie, że napisze do niej, że łatwiej będzie załatwić to morderstwo miłosne przez korespondencję niż ustnie. Toteż skoro pokojowiec oznajmił Eugeniusza de Rastignac, margrabia drgnął z ukontentowania. Wiedząc o tym, kochająca kobieta jest o wiele jeszcze przemyślniejsza w stwarzaniu sobie podejrzeń niż w urozmaicaniu przyjemności. Kiedy zbliża się moment, że kochanek ma ją porzucić, chyżej odgaduje wymowę każdego ruchu, niż biegun Wergilego wietrzy odległe atomy, zwiastujące mu miłość²⁷. Toteż możecie być pewni, iż pani de Beauséant podchwyciła ten mimowolny dreszcz, lekki, ale straszliwy w swej szczerości. Eugeniusz nie wiedział, że nie powinno się nigdy zjawiać u kogo bądź w Paryżu nie wypytawszy wprzód przyjaciół domu o historię męża, żony i dzieci; inaczej jest się narażonym na owe niezgrabstwa, o których mówi się malowniczo w Polsce: *zaprząże pięć wołów*²⁸ – zapewne aby się wydobyć z bagna, w które się zapchałeś. We Francji te salonowe katastrofy nie mają jeszcze nazwy; uważa się je zapewne za niemożliwe, zważywszy olbrzymi rozgłos, jaki tam ma obmowa. Zabrnawszy w bagno u pani de Restaud, która nie zostawiła mu nawet czasu na „zaprzęzenie pięciu wołów”, jeden Eugeniusz zdolny był zacząć na nowo profesję wolarza, zjawiając się u pani de Beauséant. Ale o ile był straszliwie nie na rękę pani de Restaud i panu de Trailles, o tyle wydobywał z kłopotów pana d'Ajuda.

– Do widzenia – rzekł Portugalczyk, śpiesząc skwapliwie ku drzwiom, skoro Eugeniusz wszedł do rozkosznego szaro-różowego saloniku, gdzie zbytek zdawał się tylko wykwintem.

– Do wieczora tylko? – rzekła pani de Beauséant, odwracając głowę i rzucając spojrzenie margrabiemu. – Czy nie idziemy do Bouffons?

– Nie mogę – rzekł, ujmując kławkę.

Pani de Beauséant wstała, przywołała go do siebie, nie zważając na Eugeniusza, który stał oszołomiony blaskiem tych bogactw. Wierzył w prawdziwość bajek wschodnich, nie wiedział, gdzie się podziać w obecności tej kobiety, która nie zwracała nań żadnej uwagi. Wicehrabina podniosła wskazujący palec i ruchem pełnym wdzięku wskazała margrabiemu miejsce naprzeciw siebie. Był w tym geście tak gwałtowny despotyzm namiętności, że margrabia puścił kławkę i wrócił. Eugeniusz przyglądał mu się nie bez zazdrości.

– Oto – mówił sobie w duchu – właściciel pojazdu! Trzebaż zatem mieć rasowe konie, liberię i złota garściami, aby uzyskać spojrzenie paryżanki?

²⁷ por: III księga „Georgik” Wergiliusza.

²⁸ *Attelez cinq boeufs à votre char* (w orygu.) – nie wiadomo, o jakim przysłowiu myśli Balzac.

Demon zbytku ukąsił go w serce, gorączka chciwości chwyciła go, pragnienie złota wysuszyło mu gardło. Miał sto trzydzieści franków na kwartał. Ojciec, matka, bracia, siostry, ciotka nie wydawali razem ani dwustu franków miesięcznie. To błyskawiczne porównanie obecnego położenia z celem, do którego trzeba było dobić, oszołomiło go do reszty.

– Czemu – rzekła, śmiejąc się wicehrabina – nie może pan być w teatrze?

– Różne sprawy! Obiad u ambasadora angielskiego...

– Odłoży pan.

Kiedy mężczyzna oszukuje, nieuchronnie zmuszony jest piętrzyć kłamstwo na kłamstwo. D'Ajuda odparł śmiejąc się:

– Żąda pani?

– Tak.

– Oto co pragnąłem usłyszeć – odparł z wymownym spojrzeniem, które byłoby uspokoiło każdą inną.

Ujął rękę wicehrabiny, ucałował i wyszedł.

Eugeniusz poprawił ręką włosy i zwinął się w ukłonie, sądząc, że pani de Beauséant zajmie się nim wreszcie; naraz ona rzuca się, pędzi do galerii, biegnie do okna i wygląda za panem d'Ajuda, gdy on wsiada do powozu; nadstawia ucha i słyszy, jak strzelec powtarza woźnicy:

– Do pałacu Rochefide.

Te słowa i ruch, jakim d'Ajuda rozparł się w powozie, podziały jak piorun na tę kobietę, która wróciła wydana na pastwę śmiertelnych obaw. W wielkim świecie straszliwe katastrofy wyrażają się tylko w takich rzeczach. Wicehrabina przeszła do sypialni, siadła przy stoliku i wzięła wykwintny papier listowy.

Z chwilą – pisała – kiedy jesteś na obiedzie u państwa de Rochefide, a nie w ambasadzie, winien mi jesteś wyjaśnienia; oczekuję...

Poprawiwszy kilka liter zniekształconych konwulsyjnym drżeniem, nakreśliła K., które miało znaczyć: „Klara de Bourgogne”, i zadzwoniła.

– Jakubie – rzekła do lokaja, który zjawił się natychmiast – pójdziesz o wpół do ósmej do państwa de Rochefide, spytasz o margrabiego d'Ajuda. Jeśli pan margrabia jest, każesz mu oddać list, nie żądając odpowiedzi; jeżeli nie, wrócisz i odniesiesz mi list.

– Ktoś czeka na panią wicehrabinę w salonie.

– A, prawda – rzekła, otwierając drzwi.

Eugeniusz zaczynał się czuć bardzo nieswojo, wicehrabina ukazała się wreszcie i rzekła głosem, którego drżenie wstrząsnęło go do dna.

– Przepraszam, musiałam napisać słówko, jestem na pańskie usługi.

Nie wiedziała, co mówi, myślała w tej chwili: „Ha! Chce się żenić z panną de Rochefide! Ależ czyż on jest wolny? Dziś wieczór to małżeństwo będzie zerwane albo ja... Ba! Jutro nie będzie już o tym mowy”.

– Kuzynko... – odparł Eugeniusz.

– Jak? – rzekła wicehrabina, obrzucając go spojrzeniem, którego duma zmroziła studenta.

Eugeniusz zrozumiał to: „jak”? Od trzech godzin nauczył się tylu rzeczy, że miał się wciąż na baczności.

– Pani... – podjął, rumieniąc się.

Zawahał się, po czym ciągnął dalej:

– Niech mi pani daruje; tak bardzo potrzebuję oparcia, że odrobina pokrewieństwa nie byłaby wcale nadto.

Pani de Beauséant uśmiechnęła się, ale smutno; czuła już nieszczęście huczące nad jej głową.

– Gdyby pani знаła położenie, w jakim znajduje się moja rodzina – ciągnął dalej – zechciałaby może pani odegrać rolę owych dobroczynnych wrózek, które dla rozrywki usuwają przeszkody piętrzące się dokoła ich chrześniaków.

– A zatem, kuzynie – rzekła, śmiejąc się – w czym mogę ci być pomocna?

– Czyż ja wiem? Być z panią związanym węzłem pokrewieństwa, który gubi się w pomroce, to już cała fortuna. Odebrała mi pani odwagę, nie wiem już, co chciałem mówić. Jest pani jedyną osobą, jaką znam w Paryżu... Ach, chciałbym móc radzić się pani, prosząc, byś mnie przyjęła jak biedne dziecko, które chce się ucześcić twojej sukni i które umiałoby umrzeć za panią.

– Umiałbyś zabić dla mnie człowieka?

– Dwóch – odparł Eugeniusz.

– Dziecko! Tak, dziecko z pana – rzekła, powściągnąwszy parę łez. – Ty umiałbyś kochać szczerze.

– Och! – rzekł, wstrząsając głową.

Dzięki jego hardej odpowiedzi wicehrabina zainteresowała się żywo studentem. Południowiec pierwszy raz działał z wyrachowania. Między błękitnym buduaem pani de Restaud a różowym salonikiem pani de Beauséant przeszedł trzy lata tego prawa paryskiego, o którym się nie mówi, mimo iż stanowi ono wysokie studium społeczne: dobrze poznane i dobrze stosowane prowadzi ono do wszystkiego.

– A! Już mam – rzekł Eugeniusz. – Na balu u pani zauważyłem panią de Restaud i wybrałem się dziś do niej z wizytą.

– Musiał jej pan być bardzo nie na rękę – rzekła z uśmiechem pani de Beauséant.

– Och, tak, jestem nowicjuszem, który narazi się całemu światu, o ile mi pani odmówi swej pomocy. Zdaje mi się, że bardzo trudno znaleźć w Paryżu kobietę młodą, ładną, bogatą, wykwinną, która by nie była zajęta, a potrzebuję takiej, aby mnie nauczyła tego, co panie, kobiety, umiecie tak dobrze wyłożyć: życia. Wszędzie zastanę jakiegoś pana de Trailles. Przyszedłem zatem do pani, aby spytać o słowo zagadki i prosić o objaśnienie, co za głupstwo popełniłem. Wspomniałem o niej jakimś ojcu...

– Księżna de Langeais – oznajmił Jakub, przerywając studentowi, który uczynił gest człowieka wybitnie niezadowolonego.

– Jeżeli pan chce mieć powodzenie – szepnęła wicehrabina – przede wszystkim nie objawiaj tak wyraźnie swych uczuć. Dzień dobry, dzień dobry, droga – rzekła wstając i idąc naprzeciw księżnej. Ścisnęła jej ręce z pieszczotliwym wylaniem, jakie mogłaby mieć dla siostry, księżna zaś odpowiedziała najtkliwszą serdecznością.

Oto dwie szczerze przyjaciółki – pomyślał Rastignac. – Będę miał tedy dwie protektorki; muszą mieć wspólne sympatie; ta druga zainteresuje się mną z pewnością.

– Jakiemuż dobremu natchnieniu zawdzięczam szczęście oglądania cię, droga Antosiu? – rzekła pani de Beauséant.

– Mnie? Ujrzałam pana d'Ajuda-Pinto, jak wchodził do państwa Rochefide, pomyślałam tedy, że jesteś sama.

Pani de Beauséant nie zagryzła warg, nie zaczerwieniła się, spojrzenie jej zachowało spokój, czoło zdawało się rozjaśniać, gdy księżna wymawiała te złowrózbnne słowa.

– Gdybym wiedziała, że jesteś zajęta... – dodała księżna, zwracając się w stronę Eugeniusza.

– Pan de Ratignac, mój krewny – rzekła wicehrabina. – Czy masz wiadomość o generale de Montriveau? – rzekła. – Serizy mówił mi wczoraj, że nigdzie go nie widać, był może u ciebie dzisiaj?

Księżna, o której powiadano, że pan de Montriveau, przedmiot jej gorącej miłości, opuścił ją, uczuła w sercu ostrze tego pytania i zaczerwieniła się:

– Był wczoraj w pałacu Elizejskim.

– Służbowo? – rzekła pani de Beauséant.
– Klaro, wiesz zapewne – odparła księżna, strzelając z oczu snopami złości – że jutro wychodzą zapowiedzi pana d'Ajuda-Pinto i panny Rochefide?

Cios był zbyt gwałtowny, wicehrabina zbladła i odpowiedziała, śmiejąc się.

– Jedna z tych bajek, które obnoszą głupcy. Dlaczego pan d'Ajuda miałby wnosić w dom Rochefidów jedno z najpiękniejszych nazwisk Portugalii? Rochefide to szlachta ledwie wczorajsza.

– Ale Berta będzie miała, jak mówią, dwieście tysięcy franków renty.

– Pan d'Ajuda jest zbyt bogaty na takie rachuby.

– Ale, moja droga, panna de Rochefide jest urocza.

– A!...

– Wreszcie, jest tam dziś na obiedzie, warunki już ułożono. Dziwi mię niesłychanie, że tak mało wiadomo ci o tym.

– Jakież głupstwo strzelił pan dzisiaj, panie de Rastignac? – rzekła pani de Beauséant. – To biedne dziecko jest takim nowicjuszem w świecie, że nic nie rozumie, droga Antosiu, z naszej rozmowy. Bądź poczciwa dla niego, odłóżmy ten przedmiot do jutra. Jutro, widzisz, rzecz rozgłosi się niezawodnie urzędowo i będziesz mogła rozwijać przyjacielską usłużność już na pewne.

Księżna obrzuciła Eugeniusza jednym z tych lekceważących spojrzeń, które mierzą człowieka od stóp aż do głowy, spłaszczają go i sprowadzają do zera.

– Zdaje się, pani, iż bezwiednie utopiłem sztylet w sercu pani de Restaud. Bezwiednie, oto moja wina – ciągnął student, któremu instynkt posłużył wcale dobrze i który odgadł gryzące docinki ukryte pod wymianą czułości obu pań. – Znosimy obecność i lękamy się może nawet ludzi, którzy urażą nas świadomie; ale ten, kto zrani nie znając głębokości rany, ten uchodzi za głupca, człowieka niezręcznego, który nie umie z niczego korzystać i zasługuje na wzgardę.

Pani de Beauséant obrzuciła studenta jednym z owych głębokich spojrzeń, w które wielkie dusze umieją włożyć równocześnie wdzięczność i godność. Spojrzenie to było niby balsam i ukoilo ranę zadaną sercu studenta wzgardliwym rzutem oka, jakim oszacowała go księżna.

– Niech pani sobie wyobrazi – ciągnął Eugeniusz – iż właśnie zdobyłem życzliwość hrabiego de Restaud; trzeba mi bowiem powiedzieć pani – rzekł zwracając się w stronę księżnej z miną pokorną i złośliwą zarazem – że jestem dopiero mizernym studenciną, bardzo samotnym, bardzo biednym...

– Niech pan nie mówi w ten sposób, panie de Rastignac. My, kobiety, nie chcemy nigdy tego, czego nikt nie chce.

– Ba! – rzekł Eugeniusz. – Mam dopiero dwadzieścia dwa lata, trzeba umieć znosić niedolę swego wieku. Zresztą, jestem u spowiedzi, a nie podobna byłoby klęknąć przy piękniejszym konfesjonale: człowiek popełnia przy nim grzechy, za które kaja się w innym.

Księżna przybrała oziębłą minę na tę antyreligijną wycieczkę, której zły smak potępiła, mówiąc do wicehrabiny:

– Pan przybywa...

Pani de Beauseant zaczęła się szczerze śmiać i ze swego krewniaka, i z księżnej.

– Przybywa, moja droga, i szuka nauczycielki, która by go nauczyła dobrego smaku.

– Ach, księżno – podjął Eugeniusz – czy nie jest naturalne chcieć wnikać w sekrety tego, co nas czaruje? – Ech – rzekł do siebie w duchu – zdaje się, że je częstuję frazesami godnymi fryzjera.

– Ależ pani de Restaud jest, o ile mi się zdaje, uczennicą pana de Trailles – rzekła księżna.

– Nie wiedziałem o tym, pani – odparł student. – Toteż wpakowałem się niebacznie między tę parę. Wreszcie porozumiałem się dość dobrze z mężem, żona zgodziła się mnie

cierpieć na chwilę, kiedy wpadło mi do głowy wspomnieć, że znam człowieka, który w moich oczach wyszedł z domu tylnymi schodami ucałowawszy w korytarzu hrabinę.

– Któż taki? – wykrzyknęły obie kobiety.

– Starzec, który żyje za dwa ludwiki na miesiąc w zapadłym kącie Saint-Marceau, jak ja, biedny student: nieszczęśliwa istota, której kosztem wszyscy się bawią: nazywamy go ojcem Goriot!

– Cóż za dziecko z pana – krzyknęła wicehrabina. – Toż pani de Restaud jest z domu Goriot.

– Córka handlarza mąki – dodała księżna – kobiecinka, którą przedstawiono na dworze w tym samym dniu co i córkę pasztetnika. Nie przypominasz sobie, Klaro? Król zaczął się śmiać i powiedział po łacinie jakiś dowcip o mące. Ludzie... jakże to? Ludzie...

– *Eiusdem farinae*²⁹ – rzekł Eugeniusz.

– To właśnie – rzekła księżna.

– Ach! To jej ojciec – rzekł student ze zgrozą.

– Ależ tak; nieborak ma dwie córki, które kocha do obłędu, mimo że obie wyparły się go prawie.

– Czy ta druga – rzekła wicehrabina spoglądając na panią de Langeais – nie jest za bankierem o niemieckim nazwisku, jakimś baronem de Nucingen? Zdaje mi się, że nazywa się Delfina? ... Czy to nie ta blondynka, która ma lożę w Operze w bocznej stalli, bywa także w Bouffons i śmieje się bardzo głośno, aby zwrócić na siebie uwagę?

Księżna uśmiechnęła się mówiąc:

– Ależ, moja droga, podziwiam cię. Po co ty się tyle zajmujesz tymi ludźmi? Trzeba było zakochać się jak szaleniec, jak zakochał się Restaud, aby ugrzęznąć w mące panny Anastazji. Och, nie będzie miał dobrego chleba z tej mąki! Jest w rękach pana de Trailles, który ją zgubi.

– Zaparły się własnego ojca! – powtarzał Eugeniusz.

– No tak, tak, własnego ojca, ojca – rzekła wicehrabina. – Dobrego ojca, który dał każdej, jak mówią, po pięćkroć czy sześćkroć tysięcy franków, by je dobrze wydać za mąż, i zachował dla siebie jedynie osiem czy dziesięć tysięcy renty, mniemając, iż córki zostaną jego córkami, że stworzył sobie u nich dwa istnienia, dwa domy, gdzie go będą ubóstwiać, pieścić. W dwa lata zięciowie wygnali go ze swych domów jak ostatniego nędznika...

Parę łez zakręciło się w oczach Eugeniusza, świeżo skrzepionego czystym i świętym wspomnieniem rodziny, jeszcze pod urokiem młodzieńczych wierzeń: był to dopiero pierwszy dzień spędzony na polu bitwy paryskiej cywilizacji. Prawdziwe wzruszenia udzielają się: przez chwilę te trzy osoby zachowały milczenie.

– Ech, Boże – rzekła pani de Langeais – tak, to wydaje się bardzo ohydne, a mimo to widzimy takie rzeczy co dzień. Gdzie źródło? Powiedz mi, droga, czy pomyślałaś kiedy, co to zięć? Zięć to człowiek, dla którego wychowamy, ty czy ja, drogą małą istotkę zrośniętą z nami tysiącem węzłów, istotę, która będzie przez siedemnaście lat radością rodziny, jej „białą duszą”, powiedziałby Lamartine, a w końcu stanie się jej zakałą. Skoro ten człowiek nam ją weźmie, zacznie od tego, iż chwyci jej miłość niby ostry topór, aby wyciąć w sercu i w żywym ciele tego anioła wszystkie uczucia wiążące ją do rodziny. Wczoraj córka była wszystkim dla nas, my wszystkim dla niej; nazajutrz staje się wrogiem. Czyż nie patrzymy co dzień na te tragedie? Tu synowa dokucza, jak może, teściowi, który wszystko poświęcił dla syna. Tam zięć wyrzuca za drzwi świekrę. Słyszę nieraz pytania, co jest dziś dramatycznego w społeczeństwie; ależ dramat zięcia jest przerażający, nie licząc naszych małżeństw, które stały się czymś bardzo niemądrym. Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, co się zdarzyło staremu handlarzowi mąki. Zdaje mi się, przypominam sobie, że ów Foriot...

– Goriot, pani.

²⁹ *eiusdem farinae* – z tej samej mąki (łac.).

– Tak, ów Moriot był podczas rewolucji przewodniczącym Sekcji; posiadał sekrety sławnego nieurodzaju i rzucił podwaliny pod swą fortunę tym, że sprzedawał w owym czasie mąkę dziesięć razy drożej, niż go kosztowała. Towaru miał tyle, ile sam zapragnął. Intendent mojej babki sprzedawał mu zboża za olbrzymie sumy. Ów Noriot dzielił się z pewnością, jak wszyscy ci ludzie, z Komitetem Ocalenia Publicznego. Przypominam sobie, że intendent powiadał babce, iż może zostać zupełnie bezpiecznie w Grandvilliers, ponieważ jej zboże jest doskonałym paszportem. Otóż ten Lorient, który sprzedawał zboże rezunom³⁰, miał w życiu jedną tylko namiętność. Ubóstwia, powiadają, swoje córki. Wściubił starszą w rodzinę Restaud, młodszą zaś uszczęśliwił barona de Nucingen, bogatego bankiera, który udaje rojalistę. Łatwo zrozumieć, że za Cesarstwa zięciowie nie formalizowali się z przyjmowaniem starego jakobina; pod Buonapartem³¹ dało się to jeszcze przełknąć. Ale kiedy Burboni wrócili, nieborak zaczął być nie na rękę panu de Restaud, a bardziej jeszcze bankierowi. Córki, które wciąż może jeszcze kochały ojca, chciały palić świeczkę i Panu Bogu, i diabłu, i ojcu, i mężowi; przyjmowały Toriota, kiedy nie było nikogo; wymyślały czule pozory. „Papusiu, przyjdź, lepiej nam będzie, gdy będziemy sami!” etc. Co do mnie, wierzę w to, że prawdziwe uczucia mają oczy i inteligencję: serce biednego jakobina krwawiło się. Widział, że córki go się wstydzą; że o ile one kochają mężów, on szkodzi zięciom. Trzeba było wtedy się poświęcić. Poświęcił się, bo był ojcem: sam skazał się na wygnanie. Widząc córki zadowolone, rozumiał, że dobrze uczynił. Ojciec i dzieci stali się współnikami tej cichej zbrodni. Widzi się takie rzeczy wszędzie. Czy ów ojciec Doriot nie byłby brudną plamą w salonie córek? Czułby się skępowany, nudziłby się. To, co się zdarzyło temu ojcu, może się zdarzy najładniejszej kobiecie z człowiekiem, którego najbardziej kocha: jeśli go znudzi swą miłością, kochanek wymyka się, popełnia nikiemność, aby uciec przed nią. To sekret wszystkich uczuć. Serce nasze to skarb, niech je kto opróżni od razu, jest zrujnowany. Tak samo nie przebaczymy uczuciu, że się oddało całe, jak nie darujemy człowiekowi, że jest bez grosza. Ów ojciec oddał wszystko. Dawał przez dwadzieścia lat serce, miłość; oddał majątek w ciągu jednego dnia. Wycisnąwszy cytrynę, córki porzuciły ją na rogu ulicy.

– Świat jest bezecny – rzekła wicehrabina skubiąc szal i nie podnosząc oczu, dojechała ją bowiem do żywego aluzja księżnej.

– Bezecny? Nie – odparła księżna. – Idzie swoim torem, to wszystko. Jeśli tak mówię, to dlatego, aby pokazać, że mnie świat nie oszuka. Jestem twojego zdania – rzekła ściskając dłoń wicehrabiny. – Świat to śmietnik; starajmy się utrzymać na wyzynach.

Wstała, ucałowała panią de Beauséant w czoło, mówiąc:

– Śliczna jesteś w tej chwili, moja droga. Nigdy nie widziałam u ciebie tak ładnych kolorów.

Wyszła skinąwszy lekko głową kuzynkowi.

– Ojciec Goriot jest wspaniały! – rzekł Rastignac, przypominając go sobie, jak ugniatał tej nocy serwis srebrny.

Pani de Beauséant nie słyszała, utonęła w myślach. Uplłynęło kilka chwil; biedny student, odrętwiały, nie miał odwagi ani odejść, ani zostać, ani mówić.

– Świat jest bezecny i zły – rzekła wreszcie. – Ledwie się nam zdarzy nieszczęście, zawsze znajdzie się przyjaciel gotowy powiadomić o nim i obracać nam pugnał w sercu, każąc podziwiać rękojeść. Już sarkazm, już szyderstwa! Och, będę się broniła!

Podniosła głowę ruchem urodzonej wielkiej damy, błyskawice strzeliły z dumnych oczu.

– A! – rzekła widząc Eugeniusza. – Pan tutaj!

³⁰ rezun – morderca (ukr.).

³¹ księżna de Langeais świadomie wymawia nazwisko Napoleona Bonaparte w jego oryginalnym korsykańskim brzmieniu, chcąc zaznaczyć swą pogardę wobec cesarza niskiego pochodzenia.

– Jeszcze – rzekł miłosiernym tonem.

– Zatem, panie de Rastignac, obchodź się ze światem tak, jak na to zasługuje. Chcesz wypłynąć, pomogę ci. Zbadasz, jak głębokie jest kobiece zepsucie, zmierzysz szerokość nędznej ludzkiej próżności. Mimo że dużo czytałam w księdze świata, były stronicie, które pozostały mi nie znane. Obecnie wiem wszystko. Im zimniej będziesz obliczał, tym dalej zajdziesz. Uderzaj bez litości, będą się ciebie bali. Bierz mężczyzn i kobiety jedynie za konie pocztowe, choćby miały paść na stacji; dojdiesz w ten sposób do celu. Pojmujesz, nie będziesz niczym w tym świecie, jeśli nie znajdziesz kobiety, która by się tobą zajęła. Musi być młoda, bogata, wytworna. Ale jeżeli masz prawdziwe uczucie, ukryj je jak skarb; nie pozwól się go nigdy domyślić, byłbyś zgubiony. Nie byłbyś już katem, stałbyś się ofiarą. Jeśli kiedykolwiek pokochasz, strzeż pilnie swego sekretu. Nie wydawaj go, nim dobrze poznasz tę, której otworzysz serce. Aby zabezpieczyć z góry tę miłość, która jeszcze nie istnieje, naucz się mieć na baczości przed światem. Słuchaj mnie, Miguel... (Mylila naiwnie imię, sama nie wiedząc o tym.) Istnieje rzecz straszliwsza niż opuszczenie ojca przez córki, które chciałyby go widzieć na marach: to rywalizacja dwóch siostr. Restaud jest „urodzony”, żonę jego przyjęto za swoją, jest przedstawiona u dworu; natomiast siostra jej, bogata siostra, piękna Delfina de Nucingen, żona giełdjarza, umiera ze zgrzyoty, zazdrość ją pożera, jest o sto mil od siostry; siostra nie jest już jej siostrą; te kobiety zapierają się sobie wzajem, jak zaparły się ojca. Toteż pani de Nucingen wychłptałaby wszystko błoto między ulicą Świętego Łazarza a ulicą de Grenelle, aby dostać się do mego salonu. Sądziła, że de Marsay doprowadzi ją do tego celu, stała się niewolnicą de Marsaya, zamęcza de Marsaya. De Marsay nie dba o nią. Jeśli mi ją przedstawisz, staniesz się jej beniaminkiem, będzie cię ubóstwiać. Kochaj ją, jeśli zdołasz potem; jeśli nie, posłuż się nią. Dopuszczę ją raz lub dwa na wielkim przyjęciu, kiedy będzie tłum; ale nigdy nie przyjmę jej w dzień. Odkłonię się jej, to wystarczy. Sprawileś, że ci zamknęto drzwi u hrabiny za to, żeś wymówił nazwisko Goriot. Tak, mój drogi, możesz dwadzieścia razy chodzić do pani de Restaud, dwadzieścia razy nie zastaniesz jej w domu. Zapisano cię na czarnej liście. Otóż niech ojciec Goriot wprowadzi cię do Delfiny. Piękna pani de Nucingen będzie dla ciebie szyldem. Stań się człowiekiem, którego wybrała, kobiety będą szalały za tobą. Jej rywalki, przyjaciółki, najlepsze przyjaciółki zechcą cię jej sprzątnąć. Istnieją kobiety, które kochają mężczyznę już wybranego przez drugą, jak są biedne mieszczyki, które naśladowując nasze kapelusze łudzą się, że są do nas podobne. Będziesz miał powodzenie. W Paryżu powodzenie jest wszystkim, to klucz do władzy. Jeżeli kobiety znajdą w tobie dowcip, talenty, mężczyźni uwierzą w to, o ile ich nie wywiedziesz z błędu. Posiadasz wówczas wszystko, czego zapragniesz, będziesz u siebie wszędzie. Dowiesz się wtedy, co to jest świat: gromada dudków i hultajów. Nie bądź w liczbie ani jednych, ani drugich. Daję ci swoje nazwisko jak nić Ariadny, abyś wszedł w ten labirynt. Nie pobrudź go – rzekła podnosząc głowę i obrzucając studenta spojrzeniem królowej – oddaj mi je czyste. No, zostaw mnie teraz. My kobiety, my także mamy swoje bitwy.

– Gdyby pani było trzeba człowieka gotowego iść podłożyć ogień pod minę? – rzekł Eugeniusz, przerywając.

– Cóż wtedy? – rzekła.

Uderzył się w serce, odpowiedział uśmiechem na uśmiech kuzynki i wyszedł. Była piąta. Eugeniusz był głodny, lękał się, że nie zdąży na obiad. Ta obawa dała mu odczuć rozkosz pojazdu unoszącego go przez Paryż.

Przyjemność ta, czysto machinalna, pozwoliła mu dalej tonąć w myślach. Skoro chłopak w jego wieku spotka się ze wzgardą, unosi się, wścieka, wygraża pięścią całemu społeczeństwu, chce się zemścić, a zarazem wątpi o sobie. Rastignac był w tej chwili pod obuchem słów: „Zamknąłeś sobie drzwi u hrabiny”.

– Pójdę! – rzekł sobie. – I jeśli pani de Beauséant ma słuszość, jeśli mnie

proskrybowano... to... Pani de Restaud znajdzie mnie w salonach, gdzie bywa. Nauczę się robić broń, strzelać, zabiję jej Maksyma.

–A pieniądze! – krzyknęło mu sumienie. – Skąd je weźmiesz?

Naraz bogactwo, rozpościerające się u hrabiny de Restaud, błysło mu przed oczyma. Ujrzał tam zbytek, w którym panna Goriot musiała być rozkochana; złocenia, kosztowne cacka, nieinteligentny zbytek dorobkiewicza, marnotrawstwo utrzymanki. Kuszący ten obraz zmiażdżyło nagle wspomnienie imponującego pałacu Beauséant. Wyobraźnia Eugeniusza, przeniesiona w wysokie sfery paryskie, tchnęła w jego serce tysiąc złych myśli, rozszerzając mu głowę i sumienie. Ujrzał świat, jakim jest: prawo i moralność bezsilne wobec bogaczy; ujrzał w majątku *ultima ratio mundi*³².

Vautrin ma słuszność, majątek to cnota! – pomyślał. Przybywszy na ulicę Neuve-Sainte-Geneviève wbiegł szybko do domu, wyniósł dziesięć franków woźnicy i wszedł do cuchnącej jadalni, gdzie ujrzał, niby bydłęta przy żłobie, osiemnastu stołowników. Widok tej nędzy, wygląd sali były mu straszne. Przejście było zbyt gwałtowne, kontrast zbyt pełny, aby nie miały w nim rozwinąć nad miarę uczucia ambicji. Z jednej strony urocze obrazy najwyższej sfery, młode, żywe twarze, oprawne w cuda sztuki i zbytku, głowy pełne poezji, uczucia; z drugiej ponure obrazy ochlastane kałem, twarze, w których namiętności zostawiły jedynie swoje sznurki i swój mechanizm. Nauki, które wściekłość opuszczonej kobiety wydarła pani de Beauséant, jej kuszące nadzieje wróciły mu na pamięć, a nędza dorobiła do nich komentarz. Rastignac postanowił wytyczyć dwa równoległe podkopy, aby dojść do fortuny: oprzeć się na wiedzy i miłości, stać się uczonym i światowcem. Był jeszcze wielkim dzieckiem. Te dwie linie to asymptoty, które nie spotykają się nigdy.

– Ponury coś dziś jesteś, panie margrabio – rzekł Vautrin obrzucając go jednym z owych spojrzeń, którymi zdawał się przenikać najskrytsze tajemnice.

– Nie jestem usposobiony, aby cierpieć żarciki osób, które nazywają mnie margrabią – odparł. – Tu, aby być naprawdę margrabią, trzeba mieć sto tysięcy funtów renty; kto zaś gnije w pensjonacie pani Vauquer, nie jest szczególnie ulubieńcom losu.

Vautrin popatrzył na Rastignaca ojcowskim i pogardliwym wzrokiem, jak gdyby mówił: „Smarkaczu, połknąłbym cię na jeden kąsek!...” Po czym odparł:

– Jest pan w złym humorze: może nie powiodło się panu u pięknej hrabiny de Restaud?

– Zamknęła mi drzwi, gdym się wygadał, że jej ojciec jada przy naszym stole! – krzyknął Rastignac.

Stołownicy spojrzeli po sobie. Ojciec Goriot spuścił oczy i odwrócił się, aby je obetrzeć.

– Zaproszył mi pan oko tabaką – rzekł do sąsiada.

– Kto zechce dręczyć ojca Goriot, będzie miał odtąd ze mną do czynienia – odparł Eugeniusz spoglądając na sąsiada starca. –Wart jest więcej niż my wszyscy. Nie mówię o paniach – dodał zwracając się ku pannie Taillefer.

Zdanie to było niby konkluzją; ton Eugeniusza nakazał pensjonarzom milczenie. Jeden Vautrin ozwał się żartobliwie:

– Aby wziąć ojca Goriot na swój rachunek i stać się jego odpowiedzialnym wydawcą, trzeba nauczyć się dobrze władać szablą i strzelać z pistoletu.

– Tak też uczynię – rzekł Eugeniusz.

– Wyruszyłeś pan tedy dziś na wojnę?

– Może – odparł Rastignac. – Ale nie jestem winien rachunku ze swoich spraw nikomu, ile że nie staram się dochodzić tych, które inni załatwiają po nocy.

Vautrin spojrział koso na studenta.

– Mój młody paniczku, kiedy się kto nie chce dać oszukać marionetkom, trzeba mu wejść ze wszystkim do budy, a nie tylko zaglądać przez dziurkę w kulisach. Dostyc tej gawędy – dodał

³² *ultima ratio mundi* – ostateczny argument świata (łac.).

widząc, że Eugeniusz gotów jest jeszcze się srożyć. – Pomówimy ze sobą, kiedy będziesz miał ochotę.

Obiad stał się ponury i zimny. Ojciec Goriot, zatopiony w głębokiej boleści, jaką sprawiły mu słowa studenta, nie zrozumiał, że nastrój dla niego się zmienił i że młody człowiek, zdolny nakazać prześladowcom milczenie, wziął go w obronę.

– Byłżeby pan Goriot – rzekła pani Vauquer po cichu – istotnie ojcem jakiej hrabiny?

– I baronowej – odparł Rastignac.

– Tylko to mu zostało – rzekł Bianchon do Rastignaca. – Zmacałem mu głowę: ma tylko jeden guz, guz ojcostwa, to będzie wiekuisty ojciec.

Eugeniusz był w tej chwili zbyt poważny, aby go mógł rozśmieszyć koncept Bianchona. Chciał skorzystać z rad pani de Beauséant i pytał sam siebie, gdzie i jak wystara się o pieniądze. Zasepił się widząc prerie świata równocześnie puste i pełne; skoro obiad się skończył, został w jadalni sam.

– Widział pan tedy mą córkę? – zagadnął go Goriot ze wzruszeniem.

Zbudzony z dumań Eugeniusz ujął nieboraka za rękę i spoglądając nań prawie z rozczuleniem, odparł:

– Jest pan zacny i godny człowiek. Porozmawiamy później o pańskich córkach.

Wstał nie wdając się w gawędę z ojcem Goriot i poszedł do swego pokoju, gdzie napisał do matki następujący list:

Droga matko, rozpatrz się, czy nie znajdziesz trzeciej piersi, którą byś mi mogła otworzyć. Znajduję się w położeniu, dającym szybkie widoki fortuny. Trzeba mi tysiąc dwustu franków, ale trzeba mi ich za wszelką cenę. Nie mów nic o mej prośbie ojcu, sprzeciwiłby się może; ja zaś, w razie gdybym nie dostał tych pieniędzy, stałbym się pastwą rozpacz, może samobójstwa. Wytłumaczę Ci pobudki za najbliższym widzeniem; trzeba by pisać tomy, aby określić położenie, w którym się znajduję. Nie grałem, złota mamusiu, nie mam grosza długu, ale jeśli pragniesz zachować życie, któreś mi dała, trzeba mi wydobyć tę sumę. Krótko mówiąc, byłem u wicehrabiny de Beauséant, która wzięła mnie w opiekę. Mam bywać w świecie, a nie mam ani grosza na czyste rękawiczki. Umiałbym jeść suchy chleb, pić wodę, przymierać głodem w potrzebie; ale nie mogę się obejść bez narzędzi, którymi ryje się tutaj ziemię. Rozstrzyga się dla mnie to, czy wejdę na drogę przyszłości, czy też zostanę w błocie. Wiem, jakie nadzieje pokładacie we mnie, i chcę je prędko ziszczyć. Droga mamo, sprzedaj kilka starych klejnotów, odkupię Ci je rychło. Dostyc znam położenie rodziny, aby ocenić takie poświęcenia; możesz wierzyć, że nie żądam ich na próżno, byłbym potworem. Uważaj mą prośbę jedynie za krzyk konieczności. Cala nasza przyszłość leży w tym zasiłku, z którym muszę rozpocząć kampanię; życie paryskie jest ustawną walką! Jeżeli dla zaokrąglenia sumy nie ma innego sposobu, jak tylko sprzedać ciotczyne koronki, powiedz, że kupię jej ładniejsze...

Napisał do sióstr, prosząc, aby mu przesłały swoje oszczędności; aby zaś wycisnąć z nich tę ofiarę, o której wiedział, że poniosą ją dlań z radością, a zarazem zapobiec, by nie wspominały o niej rodzinie, podsycił ich delikatność poruszając struny honoru, tak silnie napięte i dające taki oddźwięk w młodych sercach! Napisawszy te listy czuł mimowolne drzenie: trząsał się, dygotał. Ambitny chłopiec znał nieskalaną szlachetność tych dusz zagrzebanych w samotności; wiedział, ile cierpień sprawi siostronom i jaka będzie ich radość; z jaką lubością będą spiskowały w ogrodzie dla ukochanego brata. Ujrzał je, niby w jasnowidzeniu, jak liczą potajemnie mały skarbczyk; jak rozwijają geniusz dziewczęcej chytryści, aby mu wysłać *incognito* te pieniądze, ważąc się na pierwsze kłamstwo dla spełnienia szlachetnego czynu.

– Serce siostry to diament czystości, otchłań uczucia! – rzekł sobie.

Wstydział się swego listu. Jak gorące będą ich modły, jak czysty wzlot ich dusz ku niebu! Z jakąż rozkoszą poświęciłyby się! Jakież ból odczułaby matka, gdyby nie mogła posłać całej sumy! Te piękne uczucia, te straszliwe poświęcenia miały mu posłużyć za szczeble, aby dotrzeć do Delfiny de Nucingen. Wypłynęło mu z oczu parę łez – ostatnie ziarnka kadzidła rzucone na święty ołtarz rodziny. Przebiegł pokój w podnieceniu, graniczącym z rozpacą. Goriot widząc go przez uchylone drzwi, wszedł i spytał:

– Co panu?

– Ach, dobry sąsiedzie, jestem jeszcze synem i bratem, jak pan ojcem. Masz słusność, że drżysz o hrabinę Anastazję: jest w rękach niejakiego Maksyma de Trailles, który ją zgubi.

Ojciec Goriot wyszedł bełkocąc kilka słów, których znaczenia Eugeniusz nie pojął. Nazajutrz Rastignac poszedł wrzucić listy. Wahał się do ostatniej chwili, ale w końcu wrzucił je do skrzynki mówiąc: „Zwycięzę!” Okrzyk gracza, wielkiego wodza, okrzyk fatalistyczny, który częściej ludzi gubi, niż ocala.

W kilka dni później Eugeniusz udał się do pani de Restaud, gdzie go nie przyjęto. Trzy razy wrócił i trzy razy zastał drzwi zamknięte, mimo że zjawiał się w godzinach, w których hrabiego Maksyma nie było. Wicehrabina miała słusność. Student przestał myśleć o nauce. Chodził na wykłady, aby odpowiedzieć przy czytaniu katalogu, wykazawszy zaś swą obecność, zmykał. Uspokoił się rozumowaniem, które czyni większość studentów. Odkładał naukę na moment egzaminów; postanowił zebrać testy drugiego i trzeciego roku, aby przestudiować gruntownie całe prawo naraz, w ostatniej chwili. Miał w ten sposób pięć kwartałów swobody, aby żeglować po oceanie Paryża, aby frymarczyć względami kobiet lub łowić w nim fortunę. Tego tygodnia odwiedził dwa razy panią de Beuséant, do której udawał się aż w chwili, gdy wyjeżdżał z bramy powóz pana d'Ajuda. Na kilka dni jeszcze ta świetna kobieta, najpoetyczniejsza postać dzielnicy Saint-Germain, odniosła zwycięstwo i zdołała odsunąć ślub panny de Rochefide. Ale te ostatnie dni, które obawa postradania szczęścia uczyniła najgorszymi ze wszystkich, miały przyspieszyć katastrofę. Margrabia d'Ajuda, w porozumieniu z państwem Rochefide, uważał tę sprzeczkę i to pojednanie za szczęśliwą okoliczność: mieli nadzieję, że pani de Beuséant oswoi się z myślą o małżeństwie i poświęci wreszcie swoje popołudniowe wywczasy dla przyszłości zwyczajnej w życiu mężczyzny. Mimo najświetniejszych przyrzeczeń ponawianych co dnia d'Ajuda grał wtedy komedię, wicehrabina zaś chciała być oszukana. „Zamiast dumnie wyskoczyć oknem, daje się wlec po schodach”, powiadała księżna de Langeais, jej najlepsza przyjaciółka. Mimo to ostatnie błyski lśniły dość długo, aby wicehrabina została w Paryżu i zaopiekowała się młodym krewniakiem, do którego przywiązała się niemal zabobonnie. Eugeniusz okazał jej serce w okoliczności, w której kobiety w żadnym oku nie widzą szczerego współczucia ni pociechy. Jeżeli który mężczyzna mówi im wówczas słodkie słówka, mówi je przez wyrachowanie.

Pragnąc doskonale poznać szachownicę, nim się pokusi o wkroczenie do Nucingenów, Rastignac starał się zapoznać z dawnym życiem ojca Goriot i zebrał niewątpliwe dane, streszczające się mniej więcej w tym:

Jan Joachim Goriot był przed Rewolucją prostym robotnikiem w handlu mąki, zdatnym, oszczędnym i dość przedsiębiorczym, aby kupić interes swego pana, którego los uczynił ofiarą pierwszych rozruchów w 1789. Osiedlił się przy ul. Jussienne, blisko hali zbożowej, i miał ten zdrowy rozsądek, że przyjął prezydenturę sekcji, aby zyskać dla swego przemysłu protekcję najwybitniejszych figur owej niebezpiecznej epoki. Roztropność ta była początkiem jego fortuny, która zaczęła się w dniach nieurodzaju, fałszywego lub prawdziwego, będącego przyczyną olbrzymiego wzrostu cen zboża w Paryżu. Lud dusił się u bram piekarzy, gdy pewne osoby znajdowały bez kłopotu bułeczki i ciasta u pasztetników. W ciągu tego roku obywatel Goriot zebrał sumy, dzięki którym mógł później uprawiać handel z całą przewagą kapitału; zdarzyło mu się to, co się zdarza ludziom posiadającym jedynie specjalne zdolności: mierność ocaliła go. Zresztą, ponieważ majątek jego wyszedł na jaw dopiero w chwili, gdy

bogactwo nie przedstawiało już niebezpieczeństwa, nie obudził niczyjej zazdrości. Handel zbożem pochłaniał całą jego inteligencję. Kiedy chodziło o zboże, mąkę, poślad, o rozpoznanie ich jakości, pochodzenia, o przechowanie zapasów, przewidywanie kursów, wróżbę obfitości lub ubóstwa zbiorów, wystaranie się o produkty po niskiej cenie, zaprowiantowanie się na Sycylii, na Ukrainie – Goriot nie miał równego sobie. Patrząc nań, jak prowadzi interesy, jak tłumaczy prawa eksportu, importu, jak wnika w ich ducha, chwytając braki, uznaliby się go za ministerialną głowę. Cierpliwy, czynny, energiczny, wytrwały, szybki w interesach, miał rzut oka wręcz orli, uprzedzał, przewidywał, wiedział, ukrywał wszystko; dyplomata w pomysłach, żołnierz w wykonaniu. Wyszedłszy ze swej specjalności, ze swego prostego i ciemnego sklepu, na którego progu wystawał w godzinach beczynności wsparty o framugę, stawał się z powrotem tępym i grubym robotnikiem, niezdolnym pojąć żadnego rozumowania, nieczułym na przyjemności duchowe, człowiekiem, który zasypia w teatrze, jednym z owych paryskich Dolibanów, silnych jedynie w głupocie. Te natury są prawie wszystkie podobne do siebie. Prawie u wszystkich znajdziecie w sercu jakiś szczytny sentyment.

Dwa wyłączone uczucia wypełniły serce handlarza mąki, pochłonęły cały jego sok, jak handel zbożem zużywał całą jego inteligencję. Żona jego, jedyna córka bogatego rolnika z Brie, stała się dlań przedmiotem ubóstwienia, miłości bez granic. Goriot podziwiał w niej naturę delikatną a silną, tkliwą a wdzięczną – przeciwieństwo jego własnej. Jeśli istnieje jakie uczucie wrodzone sercu człowieka, czyż nie jest nim duma z opieki roztrzaskanej bez przerwy nad słabą istotą? Dołączcie do tego miłość, ową żywą wdzięczność szczytnych dusz dla źródła ich rozkoszy, a zrozumiecie wiele osobliwych zjawisk. Po siedmiu latach szczęścia bez chmurki Goriot, nieszczęściem dla siebie, stracił żonę: zaczynała i poza sferą miłości zdobywać na niego wpływ. Może byłaby uszlachetniła tę ciężką naturę, może byłaby tchnęła w nią zrozumienie świata i życia. W tych okolicznościach uczucia ojcowskie rozwinęły się u Goriota niemal do obłędu. Przywiązanie swoje, zawiedzione przez śmierć, przeniósł na dwie córki, które zrazu zadowolili wszystkie jego uczucia.

Mimo świetnych propozycji, jakie mu czynili kupcy lub rolnicy, pragnący gorąco mieć go za zięcia, Goriot uparł się pozostać wdowcem. Teść jego, jedyny człowiek, do którego miał zaufanie, utrzymywał, iż wie stanowczo, że Goriot przysiągł nie sprzeniewierzyć się żonie nawet po śmierci. Sąsiedzi z hal, niezdolni zrozumieć tego szczytnego szaleństwa, dworowali zeń sobie i nadali Goriotowi jakiś ucieszny przydomek. Pierwszego z nich, który przepijając doń przy targu, pozwolił sobie z tym wystąpić, poczęstował handlarz mąki tak skutecznie, że poleciał na łeb aż na róg ulicy d'Oblin. Ślepe oddanie, zazdrosna i delikatna miłość ojcowska Goriota były tak znane, iż pewnego dnia konkurent chcąc się go pozbyć z targu, aby zostać panem rynku, powiedział mu, że Delfina wpadła pod kabriolet. Handlarz mąki, błądzący i drżący, opuścił natychmiast halę. Chorował kilka dni od sprzecznych uczuć, w jakie wtrącił go ten fałszywy alarm. Jeżeli nie opuścił groźnej pięści na kark tego człowieka, w zamian wypędził go z hal, zmuszając w krytycznej sytuacji do zgłoszenia upadłości.

Wychowanie córek było oczywiście niedorzeczne. Posiadając przeszło sześćdziesiąt tysięcy dochodu, a wydając na siebie ledwie tysiąc dwieście, Goriot znajdował szczęście w tym, aby zadowalać kaprysy córek. Najwyborniejsi nauczyciele kształcili je w talentach znamionujących dobre wychowanie. Miały damę do towarzystwa: szczęściem była to osoba rozumna i taktowna; jeździły konno, miały powóz, żyły niby kochanki starego magnata. Starczyło im wyrazić najkosztowniejsze zachcenia, aby ojciec czym prędzej je zaspokoił; w zamian za swe dary żądał jedynie pieśczoć. Goriot stawiał córki w rzędzie aniołów, oczywiście o całe niebo wyżej siebie: kochał w nich – biedny człowiek! –nawet zło, które mu czyniły. Skoro dorosły, pozwolił im wybrać mężów wedle upodobania: każda miała w posagu połowę ojcowskiego majątku. Anastazja, która pięknnością swoją zawróciła głowę hrabiemu de Restaud, miała popędy arystokratyczne; opuściła dom rodzinny, aby wejść w wysokie

sfery. Delfina lubiła pieniądze: zaślubiła Nucingena, bankiera niemieckiego pochodzenia, świeżo upieczonego barona Stolicy Apostolskiej. Goriot pozostał handlarzem mąki. Niebawem córki i zięciów zaczęło razić, iż stary zajmuje się dalej tym przemysłem, mimo że to było całe jego życie. Zniósłszy przez pięć lat nalegania zgodził się wreszcie wycofać z kapitałem osiągniętym ze sprzedaży sklepu oraz z zysków ostatnich lat. Kapitał oszacowany przez panią Vauquer, u której Goriot się osiedlił, mógł przedstawiać osiem do dziesięciu tysięcy renty. Zagrzebał się w tym pensjonacie pod wpływem rozpacz, w jaką popadł widząc, iż córki, z rozkazu mężów, nie tylko odmówiły goszczenia ojca u siebie, ale nawet przyjmowania go jawnie.

Oto wszystko, co wiedział z danej kwestii niejaki Muret, który nabył sklep od ojca Goriot. Tak więc przypuszczenia, które Rastignac słyszał z ust księżnej de Langeais, były prawdą. Na tym kończy się ekspozycja tej pokątnej, ale straszliwej tragedii paryskiej.

Z początkiem grudnia Rastignac otrzymał dwa listy, jeden od matki, drugi od starszej siostry. Znany charakter pisma obudził w nim wraz drżenie radości i dreszcz obawy. Te dwie wątle ćwiartki papieru zawierały wyrok życia lub śmierci dla jego nadziei. Jeżeli doznawał nieco lęku przypominając sobie oplakane położenie rodziny, zbyt dobrze znał czułość zacnych istot: obawiał się, że z nich wycisnął ostatnie krople krwi! List matki brzmiał, jak następuje:

Drogi dziecko, posyłam Ci to, o co prosisz. Zrób dobry użytek z tych pieniędzy; nie mogłabym, choćby nawet szło o ocalenie Ci życia, wydobyć drugi raz tak znacznej sumy bez powiadomienia ojca, co zmąciłoby domową harmonię. Aby wycisnąć więcej, musielibyśmy zaciągnąć pożyczkę pod zastaw naszych posiadłości. Niepodobna mi sądzić projektów, których nie znam; jakież są tedy, skoro lękasz się mi je zwierzyć? Nie potrzebowalbyś pisać całych tomów: nam, matkom, starczy jedno słowo, a to słowo oszczędziłoby mi niepewności i lęku. Nie potrafię przed Tobą zataić, jak bolesne wrażenie wywarł na mnie Twój list. Mój drogi synu, cóż to za uczucie, które kazało Ci tak doświadczyć moje serce? Musiałeś bardzo cierpieć pisząc, bo ja bardzo cierpiałam czytając Twój list. Na jaką Ty drogę wchodzisz? Twoje życie, szczęście miałyby zależeć od udawania tego, czym nie jesteś, opierać się na bywaniu w świecie, w którym nie możesz żyć bez nadmiernych wydatków, bez straty czasu tak szacownego dla studiów! Mój drogi Eugeniuszu, wierzaj sercu matki, kręte drogi nie prowadzą do niczego wielkiego. Cierpliwość i rezygnacja winny być cnotą chłopca w Twoim położeniu. Nie łaję Cię, nie chciałabym zaprawić naszej ofiary goryczą. To, co mówię, to słowo matki równie ufnej jak przewidującej. Jeżeli Ty wiesz, jakie są Twoje zobowiązania, ja wiem, jak Twoje serce jest czyste, jak znaczne są Tve intencje. Dlatego mogę Ci rzec bez obawy: idź, mój kochany, kroc naprzód! Drżę dlatego, że jestem matką, ale każdemu Twemu krokowi będą towarzyszyły nasze życzenia i błogosławieństwa. Bądź ostrożny, drogie dziecko! Musisz być roztropny jak mężczyzna! Losy pięciorga osób, które Ci są drogie, są na Twej głowie. Tak, od Ciebie zawisła nasza fortuna. Twoje szczęście jest naszym. Prosimy wszyscy Boga, aby Cię wspierał. Ciotka Marcillac okazała w tej okoliczności dobroć wprost niesłychaną: posunęła się tak daleko, że uznała Twój argument o rękawiczkach! Sama żartowała z siebie, że ma słabość do pierworodnego. Mój Eugeniuszu, kochaj swoją ciotkę; co uczyniła dla Ciebie, powiem Ci dopiero, gdy zwyciężysz: inaczej pieniądze jej parzyłyby Ci palce. Wy nie wiecie, dzieci, co to znaczy poświęcić wspomnienia. Ale czegoż nie oddałoby się dla was? Każę Ci powiedzieć, że całuje Cię w czoło i że chciałaby Ci udzielić tym pocałunkiem trwałego szczęścia. Zaczna, najlepsza kobieta napisałaby do Ciebie, gdyby nie jej chiragra. Ojciec ma się dobrze. Zbiory r. 1819 przewyższyły nasze nadzieje. Bądź zdrow, drogie dziecko; nie mówię nic o siostrach: Laura pisze do Ciebie. Zostawiam jej przyjemność szczebiotania o drobnych sprawach domowych. Dałby Bóg, aby Ci się powiodło! Och, tak, zwycięż, Eugeniuszu; daleś mi poznać boleść zbyt żywą, abym ją mogła przenieść po raz

drugi. Uczulam, co to jest być biedną, wówczas kiedy by się pragnęło mieć fortunę, aby ją oddać dziecku. No, do widzenia. Nie zostawiaj nas bez wiadomości i przyjm pocałunek, który przesyła Ci

Matka

Kiedy Eugeniusz skończył, twarz miał zalaną łzami: myślał o ojcu Goriot gniotącym srebra i niosącym je na sprzedaż, aby wykupić weksel córki.

– Matka pozbyła się klejnotów! – powiedział sobie. – Ciotka płakała z pewnością, sprzedając swoje relikwie! Jakim prawem miałbyś przeklinać Anastazję? Dla egoizmu swej przyszłości zrobiłeś to samo, co ona dla kochanka. Któż więcej wart z dwojga?

Student uczuł, że nieznośny żar pali mu wnętrzości. Chciał wyrzec się świata, nie przyjąć tych pieniędzy. Doświadczył owych szlachetnych i pięknych wyrzutów, których wartość rzadko oceniają ludzie, kiedy sądzą bliźnich, a które często każą aniołom w niebie rozgrzeszyć zbrodniarza skazanego przez ziemskie trybunały. Rastignac otworzył list siostry, którego słowa pełne niewinnego wdzięku orzeźwiły mu serce:

List Twój przyszedł bardzo w porę, drogi bracie. Obie z Agatą chciałyśmy zużyć swoje oszczędności na tyle sposobów, że nie wiedziałyśmy już, jaki zbytek wymyślić. Zrobiłeś tak jak ów służący króla hiszpańskiego, kiedy upuścił zegarki swego pana: pogodziłeś nas. Doprawdy, sprzeczałyśmy się bez ustanku, któremu z zachceń dać prym, a nie odgadłyśmy, drogi Eugeniuszu, celu, który obejmuje wszystkie nasze pragnienia. Agata podskoczyła z radości. Słowem, byłyśmy obie cały dzień jak szalone, „w takim sposobie „ (styl ciotki), że matka powtarzała raz po raz, robiąc surową minę: „ Co się dziś z wami dzieje, moje panny? „ Gdyby nas połajano troszeczkę, zdaje mi się, że byłybyśmy jeszcze bardziej rade. To musi być wielka rozkosz dla kobiety cierpieć dla kogoś kochanego! Ja jedna wśród mej radości byłam zadumana i zmartwiona. Będzie ze mnie z pewnością zła żona, zbyt jestem marnotrawna. Kupiłam sobie dwa paski, śliczne szydełko do przekłuwania dziurek w gorsecie, drobiazgi, głupstwa, tak że miałam mniej pieniędzy niż Agata, która jest oszczędna i dusi talary jak sroka. Miała dwieście franków! Ja, mój złoty braciszku, mam ledwo sto pięćdziesiąt. Jestem bardzo biedna, chciałabym rzucić swój pasek do studni, nie będę go mogła włożyć bez zgryzoty. Okradłam Cię. Agata była cudowna; powiedziała: „Poślijmy trzysta pięćdziesiąt franków od obu razem!”, ale nie mogłam się wstrzymać i musiałam Ci opowiedzieć wszystko, jak było. Czy wiesz, jak wzięłyśmy się do rzeczy, aby być posłuszne Twym rozkazom? Zgromadziłyśmy swoje bogactwa, wybrałyśmy się niby na przechadzkę, znalazłszy się zaś na gościńcu pobiegłyśmy do Ruffec, gdzie oddałyśmy po prostu całą sumę panu Gimbert, poczmistrzowi! Wracając byłyśmy lekkie jak jaskółki. „ Czyżby to szczęście tak dodawało skrzydeł? „ – mówiła Agata. Nagadałyśmy tysiąc rzeczy, których Ci nie powtórzę, mości paryżaninie, za wiele w nich było mowy o Tobie! Och, drogi bracie, kochamy Cię bardzo, oto wszystko w dwóch słowach. Co się tyczy sekretu, zdaniem ciotki takie szelmeczki jak my potrafią wszystko, nawet trzymać język za zębami. Matka udała się tajemniczo do Angoulême z ciotką; obie zachowały dyplomatyczne milczenie co do tego wyjazdu, owocu długich narad, z których nas wykluczono, równie jak pana barona. Ważne wydarzenia zajmują umysły mieszkańców państwa Rastignac. Muślinowa suknia w ażurowe kwiaty, którą haftują infantki dla Jej Królewskiej Mości, postępuje w najgłębszym sekrecie. Brak już tylko dwóch brytów³³. Postanowiono nie stawiać muru od strony Verteuil; posadzi się żywopłot. Drobny ludek postrada przez to owoce, szpalery, ale zyska się piękny widok dla cudzoziemców. Gdyby następca tronu potrzebował chustek, królowa wdowa Stanów Marcillac donosi mu, iż przetrząsają swoje skarby i walizy, ochrzczone nazwą „Herkulanum”

³³ bryt – klin wszywany w spódnice (niem.).

i „Pompei”, odkryła sztukę pięknego holenderskiego płótna, o którym nie wiedziała; księżniczki Agata i Laura oddają na rozkazy nici, igły i ręce, zawsze nieco zbyt czerwone. Dwaj młodzi książęta, don Henryk i don Gabriel, zachowali oplakany zwyczaj opychania się powidłem, droczenia się z siostrami, opierania się wszelkiej nauce, wybierania ptasich gniazd, hałasowania i, mimo Ustaw Państwowych, wycinania leszczyny na szpicróżgi. Nuncjusz papieski, pospolicie zwany księdzem proboszczem, grozi im ekskomuniką, w razie jeśli nadal będą obchodzili święte kanony gramatyki łacińskiej, bacząc tylko na wojenną chwałę. Bywaj zdrow, drogi bracie; nigdy żaden list nie zawierał tylu życzeń ani tyle miłości. Będiesz miał dużo do opowiadania, skoro wrócisz! Mnie opowiesz wszystko, prawda? Ja jestem starsza. Ciotka dała nam do zrozumienia, że masz sukcesy w świecie:

Mówią o jednej damie, a o innych milczą...

Przed nami, rozumie się! Słuchaj, Genku, gdybyś chciał, mogłybyśmy obejść się bez chustek, a zrobiłybyśmy Ci koszulę? Odpowiedz szybko w tej materii. Gdyby Ci trzeba było pięknych, starannie uszytych koszul, musiałybyśmy się zaraz wziąć do roboty; jeżeli zaś w Paryżu są mody, których nie znamy, posłałbyś nam wzór, zwłaszcza do mankietów. Do widzenia, do widzenia, całuję Cię w czoło po lewej, w tę skroń, która jest wyłącznie moja... Zostawiam drugą ćwiartkę dla Agaty, która przyrzekła nie czytać tego, co Ci wypisuję. Ale dla większej pewności będę jej pilnowała w czasie pisania. Twoja bardzo kochająca siostra

Laura de Rastignac

– Och, tak – rzekł do siebie Eugeniusz – tak, zdobyć fortunę za wszelką cenę. Żadne skarby nie opłaciłyby tego poświęcenia. Chciałbym im dać wszystko możliwe szczęście. Tysiąc pięćset pięćdziesiąt franków! – rzekł po pauzie. – Każda sztuka srebra musi być jak celny nabój! Laura ma słuszość. Do kroćset! Mam koszule tylko z grubego płótna. Gdy chodzi o szczęście drogiej istoty młoda dziewczyna staje się chytra jak złodziej. Naiwna, gdy chodzi o nią, a przewidująca dla mnie, jest niby anioł z nieba, który niesie przebaczenie winom świata, nie rozumiejąc ich.

Świat należał do niego! Już Eugeniusz odbył naradę z krawcem, wszystko obmyślił, zważył. Widząc pana de Trailles, Rastignac zrozumiał wpływ, jaki posiadają krawcy na życie młodych ludzi. Niestety! Nie istnieje nic pośredniego między tymi ostatecznościami: krawiec jest albo śmiertelnym wrogiem, albo sprzymierzeńcem pozyskanym traktatami rachunku. Eugeniusz znalazł w swoim krawcu człowieka, który rozumiał ojcowskie posłannictwo swego przemysłu i który czuł się łącznikiem między teraźniejszością a przyszłością młodych ludzi. Toteż wdzięczny Rastignac dał w rękę fortunę temu człowiekowi za pomocą jednego z owych powiedzeń, w których później celował:

– Znam – powiadał – dwie pary spodni jego roboty, z których każda przyniosła w posagu dwadzieścia tysięcy franków renty.

Tysiąc pięćset franków i nieograniczony kredyt u krawca! W tej chwili ubogi południowiec nie wątpił już o niczym; zszedł na śniadanie z tą nie dającą się określić miną, jaką daje młodemu człowiekowi posiadanie większej sumy. W chwili gdy pieniądz wpada do kieszeni studenta, natychmiast wyrasta w nim samym niby fantastyczna kolumna. Stąpa lepiej, pewniej, ma uczucie, że dźwignia jego zdobyła punkt oparcia, spojrzenie staje się pełne, śmiałe, ruchy zręczne. Poprzedniego dnia, pokorny i nieśmiały, byłby zniósł ciężki; nazajutrz dałby je choćby samemu prezydentowi ministrów. Odbywają się w nim niesłychane zjawiska: wszystko chce i wszystko może, śle pragnienia na prawo i lewo, jest wesoły, szczodry, rozlewny. Słowem, ptak, niegdyś bez skrzydeł, rozwinął je szeroko. Student bez pieniędzy łasuje odrobinę przyjemności jak pies, który ściąga kość wśród tysiąca niebezpieczeństw, rozłupuje ją, wysysa szpik i znów ucieka; ale młody człowiek, który potrząsa w sakiewce parą sztuk złota, smakuje swoje uciechy, rozbiera je, lubuje się w nich, pływa w niebie, nie wie już, co znaczy słowo nędza. Cały Paryż należy doń. O wieku, w

którym wszystko jest lśniące, w którym wszystko migota i płonie! Wieku radosnej siły, z której nikt nie korzysta, ani mężczyzna, ani kobieta! Wieku długów i spazmatycznych lęków, które mnożą dziesięciokrotnie rozkosze! Kto nie pędził dni na lewym brzegu Sekwany, między ulicą Saint-Jacques a ulicą des Saints-Pères, ten nie wie, co to życie!

– Ach, gdyby paryżanki wiedziały! – mówił do siebie Rastignac pożerając pieczone gruszki po dwa grosze sztuka, podane przez panią Vauquer. – Przyszłyby tutaj po miłość!...

W tej chwili woźny poczt królewskich, zapukawszy do szklanych drzwi, zjawił się w jadalni. Spytał o pana de Rastignac, któremu wręczył dwa worki, żądając podpisu. Wówczas Rastignac uczuł, niby smagnięcie biczem, głębokie spojrzenie, jakim objął go Vautrin.

– Będzie pan miał z czego opłacić lekcje fechtunku i strzelnicę – rzekł ten człowiek.

– Flota przypłynęła – rzekła pani Vauquer spoglądając na worki.

Panna Michonneau lękała się spojrzeć na pieniądze z obawy, by nie zdradzić swej pożądlivosti.

– Ma pan dobrą matkę – rzekła pani Couture.

– Pan de Rastignac ma dobrą matkę – powtórzył Poiret.

– Tak, mama upuściła sobie krwi – rzekł Vautrin. – Może pan teraz szastać się do woli, bywać w świecie, polować na posagi i obwąchiwać w tańcu kwiat brzoskwini we włosach hrabin. Ale wierzaj mi, młodzieńcze, zachodź do strzelnicy.

Vautrin uczynił gest człowieka, który mierzy do przeciwnika. Rastignac chciał dać na piwo i nie znalazł w kieszeni nic. Vautrin poszukał i rzucił posłańcowi franka.

– Ma pan kredyt – dodał spoglądając na studenta.

Rastignac musiał podziękować, mimo że od cierpkiej wymiany słów w dniu, w którym wrócił od pani Beauséant, człowiek ten był mu nie do zniesienia. W ciągu tego tygodnia Eugeniusz i Vautrin milczeli i obserwowali się wzajem. Student pytał na próżno sam siebie o przyczynę. Bez wątplenia myśli wydzielają się w prostym stosunku do siły, z jaką je poczęto i uderzają tam, dokąd mózg je wysyła na mocy matematycznego prawa, podobnego temu, które kieruje bombą wylatującą z mózdzierza. Skutki tego są rozmaite. Istnieją natury miękkie, w które myśli wdzierają się i czynią w nich spustoszenie; ale istnieją też natury silnie opancerzone, czaszki ze spiżu, o które obca wola splaszczcza się i odpada jak kula od muru; istnieją wreszcie natury miękkie i gąbczaste, w których cudze myśli zamierają, jak kule tracą siłę w miękkiej ziemi okopów. Rastignac miał głowę z tych, które są pełne prochu i wybuchają za lada zderzeniem. Był nadto żywy i młody, aby nie być dostępnym owemu promieniowaniu myśli, owej zaraźliwości uczuć, której tyle zjawisk uderza nas bezwiednie. Duchowy wzrok młodzieńca posiadał dalekowidztwo jego rysich oczu. Każdy z jego podwójnych zmysłów miał to tajemnicze rozpięcie, tę gibkość w przebieganiu tam i z powrotem, jaka nas zdumiewa u ludzi wyższych, fehmistrzów zdolnych pochwylić szczelinę każdego pancerza. Zresztą od miesiąca rozwinęło się w Eugeniuszu tyleż wad, co zalet. Wady były te, jakich żądał świat i spełnienie jego rosnących pragnień. Między zaletami górowała owa południowa żywość, która sprawia, że człowiek idzie prosto naprzeciw trudności, i która nie pozwala człowiekowi zza Loary pozostawać w jakiej bądź niepewności. Przymiot ten ludzie Północy nazywają wadą; dla nich, o ile to było źródłem fortuny Murata, było też przyczyną jego śmierci. Trzeba by stąd wyciągnąć wniosek, że kiedy południowiec umie połączyć chytryść Północy z odwagą zza Loary, wówczas jest kompletny i zostaje królem szwedzkim³⁴. Rastignac nie mógł tedy długo pozostawać pod ogniem baterii Vautrina, nie wiedząc, czy ten człowiek jest jego przyjacielem, czy wrogiem. Z każdą chwilą bardziej miał wrażenie, że ta szczególna osobistość przenika jego uczucia i czyta w jego sercu, gdy u niego samego wszystko było tak szczelnie zamknięte, jak gdyby posiadał nieruchomą głębię

³⁴ Jean Baptiste Bernadotte, marszałek Francji, uważany za rywala Napoleona I; adoptowany przez Karola XIII, objął rządy Szwecji jako Karol XIV Jan.

sfinksa, który wie, widzi wszystko i nie mówi nic. Czując pełną sakiewkę, Eugeniusz zbuntował się.

– Niech pan będzie łaskaw chwileczkę zaczekać – rzekł do Vautrina, który wstał dopiwszy ze smakiem ostatniego łyku kawy.

– Po co? – pytał ten kładąc na głowę kapelusz o szerokich brzegach i ujmując żelazną łaskę, którą często robił młyńce jak człowiek nie obawiający się napaści czterech złodziei.

– Chcę panu oddać – odparł Rastignac, który szybko rozwiązał worek i wyliczył sto czterdzieści franków pani Vauquer. – Kochajmy się jak bracia, rachujmy się jak Żydzi – rzekł do wdowy. – Jesteśmy w porządku do św. Sylwestra. Niech mi pani zmieni pięć franków.

– Kochajmy się... tak... rachujmy się... – powtórzył Poiret patrząc na Vautrina.

– Oto pański frank – rzekł Rastignac podając sfinksowi w peruce sztukę srebra.

– Można by rzec, że pan się boi być mi dłużny cokolwiek? – wykrzyknął Vautrin, zapuszczając jasnowidzące spojrzenie w duszę młodego człowieka i obejmując go owym uragliwym i diogenicznym uśmiechem³⁵, o który Eugeniusz miał się już pogniewać sto razy.

– Więc... tak – odparł student, który ujął dwa worki i wstał, aby się udać do siebie.

Vautrin wychodził do salonu, student zaś zwrócił się ku drzwiom prowadzącym wprost do sieni i na schody.

– Czy pan wie, margrabio de Rastignacorama, że to, co mówisz, nie jest zbyt uprzejme – rzekł Vautrin, trzaskając drzwiami i podchodząc do studenta, który patrzył nań chłodno.

Rastignac zamknął drzwi, wyprowadzając z sobą Vautrina do sieni, która dzieliła jadalnię od kuchni. Sień ta posiadała wychodzące na ogród drzwi z zakratowaną podłużną szybą. Tam student rzekł wobec Sylwii, która wynurzyła się z kuchni.

– Panie Vautrin, nie jestem margrabią i nie nazywam się Rastignacorama.

– Pobiją się – rzekła panna Michonneau obojętnie.

– Będą się bić! – powtórzył Poiret.

– Ale nie – odparła pani Vauquer gładząc słupek talarów.

– O, o, są tam, idą pod lipy! – krzyknęła Wiktoryna wstając i patrząc w ogród. – A przecież ten biedny pan Eugeniusz nic nie zawinił.

– Chodźmy do siebie, dziecko – rzekła pani Couture. – Te sprawy nas nie obchodzą.

Skoro pani Couture i Wiktoryna wstały, aby odejść, spotkały w drzwiach grubą Sylwię, która im zagroziła drogę.

– Co się nie dzieje! – rzekła. – Pan Vautrin powiedział panu Eugeniuszowi: „Chodźmy pogadać trochę!” Po czym ujął go pod ramię i chodzą ot tam po ogrodzie.

W tej chwili zjawił się Vautrin.

– Mamo Vauquer – rzekł z uśmiechem. – Niech się pani nie przeraża, chcę pod lipami wypróbować pistolety.

– Och! panie – rzekła Wiktoryna składając ręce. – Czemu pan chce zabić Eugeniusza?

– Nowa historia – rzekł drwiącym tonem, który przyprawił o rumieńce biedną dziewczynę.

– Milusi chłoptaş, nieprawdaż? – dodał. – Poddałaś mi myśl. Uszczęśliwię was oboje, ślicznotko.

Pani Couture ujęła wychowanicę za rękę i pociągnęła ją mówiąc do ucha:

– Ależ, Wikciu, niepojęta jesteś dziś rano.

– Nie życzę sobie strzelaniny w domu – rzekła pani Vauquer. – Co panu w głowie przerażać całe sąsiedztwo i sprowadzić jeszcze policję?

– No, no, spokojnie, mamu Vauquer – odparł Vautrin. – Dobrze już, dobrze, pójdziemy do strzelnicy.

Wrócił do Rastignaca, którego ujął poufale pod ramię.

– Gdybym panu udowodnił, że na trzydzieści pięć kroków pakuję pięć razy z rzędu kulę w

³⁵ diogeniczne – tu: cyniczne.

pikowego asa, to by panu nie odjęło odwagi. Wydaje mi się pan cokolwiek krewki; dałbyś się zastrzelić jak głupiec.

– Cofa się pan – rzekł Eugeniusz.

– Nie drażnij mnie, młodzieńcze – rzekł Vautrin. – Nie jest zimno dziś rano, siądźmy sobie – rzekł wskazując pomalowaną na zielono ławeczkę. – Tam nikt nas nie usłyszy. Mam z panem do pomówienia. Jesteś dobry chłopczyzna, słowo Ołży... (kroćset bomb!), słowo Vautrina. Czemu cię lubię, zaraz powiem. Tymczasem znam cię tak dobrze, jak gdybym był twoim ojcem, i zaraz ci tego dowiodę. Złóż pan tu swoje worki – rzekł wskazując okrągły stół.

Rastignac położył pieniądze na stole i usiadł wiedziony palącą ciekawością, jaką rozbudziła w nim nagła zmiana w obejściu tego człowieka, który po uprzednich pogróżkach występował teraz w roli jego protektora.

– Rad byś wiedzieć, kto jestem, com robił albo co robię –ciągnął Vautrin. – Jesteś nadto ciekawy, chłopczyku. No, no, spokojnie. Usłyszysz lepsze rzeczy! Miałem swoje nieszczęścia. Wysłuchaj wprzód, odpowiesz potem. Oto moje poprzednie życie w trzech słowach. Kto jestem? Vautrin. Co robię? Co mi się podoba. Mniejsza. Chcesz poznać mój charakter? Jestem dobry dla tych, którzy są dobrzy dla mnie lub których serce odpowiada memu. Tym wszystko wolno, mogą mi deptać po odciskach bez obawy, abym im rzekł: „Strzeż się!” Ale, do stu kaduków! Jestem zły jak diabeł z ludźmi, którzy mi dokuczają lub którzy mi są niemili. I nie od rzeczy będzie mi pouczyć cię, że zabić człowieka to dla mnie, ot, tyle... – rzekł spluwając na kilka kroków. – Tylko kiedy już koniecznie trzeba, dokładam starań, aby go zabić schludnie. Jestem to, co nazywacie „artysta”. Czytałem, jak mnie tu widzisz, pamiętniki Benvenuto Cellini, i to w oryginale! Nauczyłem się od tego człowieka – tęgi kawał hultaja! – naśladować Opatrzność, która nas zabija na prawo i lewo, i kochać piękno wszędzie, gdzie się znajduje. Czyż to nie jest zresztą ładna partia do rozegrania znaleźć się samemu przeciw wszystkim i być górą? Zastanowiłem się dobrze nad obecnym ustrojem waszego nieładu społecznego. Moje dziecko, pojedynek to igraszka dla dzieci, błazeństwo. Kiedy z dwóch żywych ludzi jeden musi zniknąć, trzeba być głupcem, aby się spuszczać na los. Pojedynek? Cetno czy lichy³⁶, ot, co. Pakuję pięć kul z rzędu w pikowego asa, jedna za drugą, i to o trzydzieści pięć kroków. Kto posiada ten talencik, może się spodziewać, że sprzątnie człowieka. I ot, strzelałem się z kimś na dwadzieścia kroków i chybiłem. Hultaj w życiu nie miał pistoletu. Ot patrz! – rzekł ten niezwykle człowiek, rozpinając kamizelkę i pokazując pierś kosmatą jak grzbiet niedźwiedzia, porośniętą płową szczecią, która budziła uczucie wstępu i grozy. – Ten smarkacz osmalił mi sierść – dodał, kładąc palec Rastignaca na dziurze, którą miał w piersi. – Ale wówczas byłem dzieckiem w twoim wieku, dwadzieścia jeden lat! Wierzyłem jeszcze w coś, w miłość, kobietę, w całą pakę głupstw, w których ty się jeszcze babrzesz. Bilibyśmy się, nieprawdaż? Mógłbyś mnie zabić. Przypuściwszy, że ja znalazłbym się pod ziemią, cóż z tobą? Trzeba by zmykać, jechać do Szwajcarii, przejechać talary papusia, który ich nie ma do zbytku. Otóż ja ci objaśnię położenie, w jakim się znajdujesz; ale uczynię to z wysokości człowieka, który rozpatrzywszy się na tym ziemskim padole, ujrzał jedynie dwie możliwe drogi: albo głupie posłuszeństwo, albo bunt. Ja nie słucham nikogo i niczego, czy to jasne? Czy wiesz, ile ci trzeba przy tempie, które wzięłeś? Milion, i to szybko; inaczej przy naszej gorącej główce możemy znaleźć się na dnie Sekwany, pytać o drogę do Pana nad pany. Ten milion ja ci dam.

Zrobił pauzę patrząc na Eugeniusza.

– Ha, ha! Lepszym już okiem patrzysz na ojczulka Vautrina. Słyszac to, jesteś jak młoda dziewczyna, której powiedziano: „Dziś wieczór” i która się stroi, oblizując się jak kotek na mleko. Doskonale. A zatem porozumiejmy się. Oto twój bilans, młodzieńcze. Posiadamy tam

³⁶ cetno czy lichy – popularna niegdyś w Polsce zgadywanka; tu w załączeniu: na dwoje babka wróżyła.

na wsi papę, mamę, ciocię czy babcię, dwie siostry (osiemnaście i siedemnaście lat), dwóch małych braci (piętnaście i jedenaście), oto inwentarz. Ciotka wychowuje panny. Proboszcz udziela łaciny braciom. Rodzina jada więcej kasztanów niż chleba, papa oszczędza spodni, mama sprawia jedną suknię w zimie, jedną w lecie, siostry latają, jak mogą. Wiem, wiem, bywałem na Południu. Tym trybem idą rzeczy u was, skoro ci posyłają tysiąc dwieście franków, folwarczek zaś przynosi ledwo trzy tysiące. Trzymamy kucharkę i służącego: trzeba zachować *decorum*, papa jest baronem! Co do nas, jesteśmy ambitni, krewni Beauséantów, a chodzimy pieszo; chce nam się majątku, a nie mamy szeląga, jadamy frykanda mamy Vauquer, a smakowałyby nam książęce obiady, sypiamy na tapczanie, a chcielibyśmy pałacu! Nie potępiam twoich chęci. Mieć ambicję, serdeczko, to nie każdemu jest dane! Spytaj się kobiet, jakich mężczyzn szukają: ambitnych. Ambitni mają wytrwalsze łądzwie, krew bogatszą w żelazo, serce gorętsze od innych. A kobieta czuje się tak szczęśliwa i tak piękna w godzinach, gdy jest silna, że nad wszystkich przekłada tego, który ma olbrzymią siłę, choćby jej groziło, że ją ta siła złamie. Sporządzam inwentarz twoich pragnień, nim zadam ci pytanie. A pytanie brzmi tak: Mamy wilczy apetyt, ostre ząbki, jak weźmiemy się do rzeczy, aby napęlić miskę? Mamy najpierw do schrupania kodeks: to nie jest zabawne i nie uczy niczego; ale trzeba. Niech będzie. Zdajemy egzamin adwokacki, aby zostać sędzią karnym, wysyłać nieboraków więcej wartych od nas na galery z T. F.³⁷ na barku, izby bogacze mogli spać spokojnie. To niewesołe, a przy tym diablo długie. Najpierw dwa lata obkuwania w Paryżu, przyglądania się na czczo ananasom, na które idzie nam ślinka. To męczące: wciąż pragnąć, nigdy się nie nasycić. Gdybyś był chłopczykiem bladym, z rodziny mięczaków, nie potrzebowałbyś się niczego obawiać; ale ty masz gorącą krew lwa i apetyt zdolny przyprawić o dwadzieścia głupstw na dzień. Strawisz się tedy w tej meczarni, najokropniejszej ze wszystkich, jakie nam pokazano w piekle dobrego Boga. Przypuśćmy, że będziesz rozsądny, że będziesz pił mleko i układał elegie; trzeba ci będzie, przy twej bujnej krwi, po wielu przykrościach i prywacjach, które psa by przyprawiły o wściekliznę, zacząć od tego, aby zostać podprokuratorzyną w zapadłej dziurze, gdzie rząd ciśnie ci tysiąc franków lafy³⁸, tak jak się stawia miskę zupy psu. Naszczekuj za złodziejami, pieniaj się za bogacza, wysyłaj na gilotynę tęgich zuchów. Moje uszanowanie! Jeśli nie będziesz miał protekcji, zginiesz na prowincji. Około trzydziestki będziesz sędzią z tysiąc dwustoma frankami na rok, jeśli do tego czasu nie śmigniesz togą o sosnę. Skoro dojdiesz czterdziestki, ożenisz się z córką młynarza, posiadającą jakieś sześć tysięcy franków renty. Padam do nóżek. Miej protekcje, będziesz prokuratorem w trzydziestym roku z tysiącem talarów płacy i ożenisz się z córką mera. Jeśli popełnisz parę politycznych podłostek, jak na przykład odczytasz na kartce wyborczej: Villèle zamiast Manuel (rym jest, to uspokaja sumienie), będziesz w czterdziestym roku prezesem sądu i możesz zostać posłem. Uważ, drogie dziecko, że dopuściliśmy małe kompromisy z sumieniem, wytrzymaliśmy dwadzieścia lat nudy, tajonych udręczeń i że siostrzyczki zwiędły tymczasem w paniństwie. Mam zaszczyt również zwrócić twą uwagę, że jest we Francji tylko dwudziestu prezesów sądu, a jest was dwadzieścia tysięcy kandydatów, między którymi znajdują się chwaty gotowe sprzedać własną rodzinę, aby się wspiąć o jeden szczebel. Jeśli cię to rzemiosło mierzi, przyjrzyjmy się innemu. Baron de Rastignac chce zostać obrońcą? Och! Ślicznie. Trzeba szamotać się dziesięć lat, wydawać tysiąc franków miesięcznie, mieć bibliotekę, gabinet, bywać w świecie, całować togi adwokatów, aby dostać sprawę, zamiatać trybunał własnym językiem. Gdyby ten fach prowadził do czegoś, nie mówię ani słowa: ale pokaż mi w Paryżu pięciu obrońców, którzy w pięćdziesiątym roku zarabiają ponad pięćdziesiąt tysięcy rocznie? Ba! Nim bym wydał duszę na takie plugastwo, wolałbym zostać korsarzem. Zresztą skąd wziąć pieniędzy? Wszystko to

³⁷ Travaux Forces – przymusowe roboty.

³⁸ lafa – żold (tur.).

nie jest wesołe. Ratunek masz w posagu. Chcesz się żenić? To znaczy uwiązać sobie kamień u szyi; przy tym, jeśli się ożenisz dla pieniędzy, cóż się stanie z honorem, ze szlachectwem? Raczej zacząć dziś bunt przeciw ludzkim umowom. To by było nic płaszczyć się jak pluskwa przed żoną, lizać nogi teściowej, popełniać nikczemności zdolne przyprawić świnię o wymioty, tfe! Gdybyś przynajmniej znalazł w tym szczęście. Ale z żoną, którą zaślubisz w ten sposób, będziesz nieszczęśliwy jak kamień w zlewie. Lepiej już wojować z mężczyznami niż walczyć z własną żoną. Oto rozstajne drogi, młodzieńcze, wybieraj. Już wybrałeś: poszedłeś z wizytą do kuzynki de Beauséant i powąchałeś zbytek. Poszedłeś do pani de Restaud, córki ojca Goriot, i zwąchałeś paryżankę. Tego dnia wróciłeś, mając wypisane na czole jedno słowo, które łatwo mi było wyczytać: „wywindować się”. Za wszelką cenę. „Brawo! – pomyślałem sobie – ten zuch mi się podoba”. Trzeba ci było pieniędzy. Skąd wziąć? Upuściłeś krwi siostrom. Wszyscy bracia doją mniej albo więcej siostry. Twoje tysiąc pięćset franków, wyrwane Bóg wie jak; w stronach, gdzie rośnie więcej kasztanów niż talarów, rozleżą się jak garść maruderów. A potem cóż poczniesz? Będziesz pracował? Praca, pojęta jak tyją pojmujesz w tej chwili, daje na stare lata apartament u mamy Vauquer dla chwatów w typie Poireta. Szybka fortuna to problem, który sobie stawia w tej chwili pięćdziesiąt tysięcy młodych ludzi w twoim położeniu. Jesteś jednostką tej liczby. Osądź, jakie wysiłki cię czekają i jak zacięta będzie walka. Musicie się pozjadać wzajem, niby pająki w garnku, ponieważ nie ma pięćdziesiąt tysięcy dobrych posad. Czy wiesz, jak się tu robi karierę? Błyskiem geniusza albo zręcznością zepsucia. Trzeba wejść w tę masę ludzi jak kula armatnia albo wśliznąć się jak zaraza. Uczciwość nie zda się na nic. Ludzie gną się pod władzą geniusza, nienawidzą go, starają się go spotwarzyć, ponieważ bierze bez podziału; ale uginają się przed nim, jeśli wytrwa; słowem, świat ubóstwia go na kolanach, o ile nie zdołał go zagrzebać w błocie. Zepsucia jest w bród, talent jest rzadki. Dlatego zepsucie jest bronią miernoty, której jest pełno, i wszędzie uczujesz jego ostrze. Ujrzysz kobiety, których mężowie mają całej parady sześć tysięcy płacy, a które wydają więcej niż dziesięć tysięcy na stroje. Ujrzysz urzędników po tysiąc dwieście franków pensji, kupujących majątki. Ujrzysz, jak kobiety się prostytuują, aby się pokazać w powozie syna para Francji, który może jechać w Longchamps główną aleją. Widziałeś, jak ten biedny fujara, ojciec Goriot, musiał zapłacić weksel córki, której mąż ma pięćdziesiąt tysięcy renty. Spróbuj, spróbuj zrobić dwa kroki w Paryżu nie natykając się na piekielne machinacje. Stawiłbym w zakład głowę przeciw tej główce sałaty, że wpakujesz się w pasztet przy pierwszej kobiecie, która ci się spodoba, choćby była bogata, młoda i ładna. Wszystkie są omotane przez prawa, w wojnie z mężami dla tej czy owej przyczyny. Nie skończyłbym nigdy, gdyby ci trzeba było tłumaczyć handle, jakie czynią dla kochanka, dla szmatek, dla dzieci, dla domu lub dla próżności, rzadko przez cnotę, możesz być pewny. Toteż uczciwy człowiek jest wrogiem wszystkich. Ale, jak myślisz, kto jest uczciwym człowiekiem? W Paryżu uczciwy człowiek to ten, który milczy i nie chce iść do działu. Nie mówię o tych biednych helotach, którzy dźwigają wszędzie mazoły, nigdy nie wynagrodzeni za swą pracę i których nazywamy arcybractwem pantofli bożych. Zapewne, tam jest cnota w całym kwiecie swej głupoty, ale tam jest także nędza. Widzę stąd kwaśną minę tych zacnych ludzi, gdyby Bóg sobie pozwolił na ten lichy koncept i nie zjawił się na Sądzie Ostatecznym. Jeżeli chcesz tedy rychło dojść do fortuny, trzeba być już bogatym albo bogatego udawać. Aby się tu wzbogacić, trzeba jechać całą parą; inaczej, najniższy sługa! Jeżeli w stu zawodach, których możesz się chwycić, zdarzy się dziesięciu ludzi, którym się szybko powiedzie, publiczność nazywa ich złodziejami. Wyciągnij z tego wnioski. Oto życie, takie jak jest. Nie jest to ładniejsze niż kuchnia: tak samo cuchnie i trzeba sobie powalać ręce, jeśli się chce pitrasić; umiej tylko dobrze się umyć: w tym cała moralność naszej epoki. Jeżeli mówię tak o świecie, dał mi do tego prawo, znam go. Myślisz, że go potępiam? Wcale nie. Zawsze był taki. Moraliści nie zmieniają go nigdy. Człowiek nie jest doskonały. Bywa bardziej albo mniej obłudny; głupcy powiadają wówczas, że jest moralny

albo niemoralny. Nie obwiniam bogatych w imię ludu; człowiek jest ten sam u góry, w dole, w środku. Znajdzie się na każdy milion tego ulepszanego bydła dziesięciu chwatów, którzy się stawiają powyżej wszystkiego, nawet praw; ja należę do nich. Ty, jeśli jesteś człowiekiem wyższym, idź prosto i z podniesioną głową. Ale trzeba będzie walczyć z zawiścią, oszczerstwem, miernotą, z całym światem. Napoleon napotkał ministra wojny, nazwiskiem Aubry, który omal nie wysłał go do kolonii. Wejdz w siebie! Zastanów się, czy zdołasz budzić się co rano z większą sumą woli, niż jej miałeś w wilię. Wszystko to wzięwszy pod rozwagę, uczynię ci propozycję, której by nikt nie odrzucił. Posłuchaj uważnie. Ja, widzisz, mam pewną myśl. Marzeniem moim jest pędzić życie patriarchalne na wielkiej przestrzeni, jakieś sto tysięcy morgów, na przykład w Stanach Zjednoczonych, na Południu. Chcę zostać plantatorem, mieć niewolników, zarobić parę ładnych milionów sprzedając woły, tytoń, lasy, żyjąc jak udzielny monarcha, robiąc, co mi się podoba, prowadząc życie, którego nikt nie pojmuje tutaj, gdzie ludzie gniotą się w norach z tynku. Ja jestem wielki poeta. Nie piszę swoich poezji: są w czynach i uczuciach. W tej chwili posiadam pięćdziesiąt tysięcy franków, które by mi dały ledwie pięćdziesięciu Murzynów. Trzeba mi dwustu tysięcy, bo chcę mieć dwustu czarnych, aby uczynić zadość swoim patriarchalnym upodobaniom. Murzyni, widzisz, to nowo narodzone dzieci, z którymi robi się, co chce, i wścibski prokurator nie przyjdzie żądać z nich rachunku. Z tym czarnym kapitałem w dziesięć lat będę miał trzy albo cztery miliony. Jeśli mi się powiedzie, nikt się nie spyta: „Kto jesteś?” Będę pan Cztery Miliony, obywatel Stanów Zjednoczonych. Będę miał pięćdziesiąt lat, nie będę jeszcze strupieszalały, użyję sobie życia na swój sposób. W dwóch słowach, jeśli ci dostarczę posagu w wysokości miliona, czy dasz mi dwieście tysięcy franków? Dwadzieścia od sta prowizji, he? Czy to nie za drogo? Rozkochasz w sobie młodą żonkę. Raz będąc po ślubie, zdradzisz niepokój, zgryzoty, będziesz udawał smutnego przez dwa tygodnie. Pewnej nocy, po paru takich scenkach, przyznasz się żonie, między dwoma karesami, do dwustu tysięcy długów, mówiąc do niej: „Mój aniele!” Wodewil ten odgrywają codziennie najdystyngowańsi młodzi ludzie. Kobieta nie odmawia sakiewki temu, który zdobył jej serce. Myślisz, że stracisz na tym? Nie. Znajdziesz sposób odbicia swoich dwustu tysięcy franków w jakimś interesie. Mając kapitał i przy twoim sprycie, zrobisz pieniędzy, ile sam zapragniesz. Ergo, zapewnisz w ciągu pół roku szczęście własne, szczęście miłej kobietki, a wreszcie i papy Vautrin, nie licząc swej rodziny, która w zimie chucha w palce w braku drzewa na opał. Nie dziw się ani temu, co ofiaruję, ani temu, o co cię proszę! Na sześćdziesiąt świetnych małżeństw w Paryżu czterdzieści siedem odbywa się na zasadzie podobnych targów. Izba notarialna zmusiła pana...

– Co trzeba uczynić? – rzekł chciwie Eugeniusz, przerywając Vautrinowi.

– Prawie nic – odparł ten człowiek, czyniąc mimowolny gest radości, podobny do niemego okrzyku rybaka, który czuje rybę na wędce. – Słuchaj mnie dobrze! Serce biednej dziewczyny, nieszczęśliwej i ubogiej, jest gąbką najchciwszą wilgoci miłosnej, suchą gąbką, która pęcznieje natychmiast, skoro tylko padnie na nią kropla uczucia. Umizgać się do młodej osoby, którą się spotka w samotności, rozpaczy i ubóstwie, kiedy nie przeczuwa w niczym przyszłej fortuny, ba! To znaczy mieć cztery tuzy w rękę, to znaczy znać numery na loterii, grać na rentę na podstawie murowanych wiadomości. Zbudujesz na tęgich palach niezniszczalne małżeństwo. Niech spadną na młodą dziewczynę miliony, rzuci ci je do stóp, jakby to były kamyki. „Bierz, ukochany! Bierz, Adolfie! Bierz, Alfredzie! Bierz, Geniu!” powie, jeżeli Adolf, Alfred lub Genio miał ten spryt, aby się dla niej poświęcić. Poświęceniem na przykład nazywam sprzedać stare ubranie, aby ją zabrać do restauracji Cadran-Bleu na grzanki z pieczarkami; stamtąd wieczorem do teatrzyku Ambigu-Comique; zastawić zegarek, aby jej ofiarować szal. Nie mówię ci o liścikach miłosnych ani o tych błazeństwach, na które kobiety są tak łase; jak na przykład, kapnąć kroplę wody na papier w postaci łez, kiedy jesteś z dala od niej: wyglądasz na chłopca, który doskonale się rozumie na serdecznej gwarze. Paryż, widzisz, chłopcze, jest niby las Nowego Świata, gdzie porusza się

dwadzieścia dzikich plemion, Illinoisi, Huronowie, żyjący ze zdobyczy, jakie dają rozmaite łowy społeczne; ty jesteś łowcą milionów. Aby je chwycić, używasz podstępów, zasadzek, przynęt. Są rozmaite rodzaje łowów. Jedni polują na posag, inni na bankructwo, ci łowią sumienia, tamci sprzedają swoich abonentów niby stado baranów. Tego, kto wraca z pełną torbą myśli, wielki świat wita, fetuje, przyjmuje. Oddajmy sprawiedliwość tej gościnnej ziemi, masz do czynienia z najwyrozumialszym miastem na świecie. Jeżeli dumne arystokracje innych stolic Europy wzdragają się przyjąć w swoje szeregi bezecnego milionera, Paryż wyciąga doń ramiona, pędzi na jego ucztę, zjada jego obiady i trąca się z jego bezceństwem.

– Ale gdzie znaleźć pannę? – rzekł Eugeniusz.

– Masz ją przy sobie, pod ręką.

– Wiktoryna?

– Właśnie!

– I jak?

– Już kocha się w tobie młoda baronowa de Rastignac!

– Toż ona nie ma ani grosza – rzekł Eugeniusz zdumiony.

– Tum cię czekał! Jeszcze dwa słowa – rzekł Vautrin – i wszystko się wyjaśni. Ojciec Taillefer to stary łajdak, który, jak szepcą, zamordował ponoć swego przyjaciela za Rewolucji. To jeden z moich chwatów, którzy wyznają zasady niepodległości. Jest bankierem, głównym wspólnikiem firmy „Fryderyk Taillefer i Spółka”. Ma jedyne go syna, któremu chce zostawić majątek ze szkodą Wiktoryny. Co do mnie, nie lubię takich niesprawiedliwości. Jestem jak Donkiszot, rad biorę w obronę słabszego przed silnym. Gdyby wola Boga było zabrać mu tego syna, Taillefer przygarnąłby córkę; chciałby mieć jakiegoś spadkobiercę – ot, głupstwo, które tkwi w naturze – a nie może już mieć dzieci, wiem o tym. Wiktoryna jest słodka i miła, omotałaby niebawem ojca, kręciłaby nim jak bakiem za pomocą bacika uczucia! Miłość twoja zapadnie jej zbyt głęboko w serce, aby cię mogła zapomnieć: ożenisz się z nią. Ja podejmuję się roli Opatrzności, spełnię wolę dobrego Boga. Mam przyjaciela, dla którego się poświęciłem, pułkownika napoleońskiego, obecnie gwardii królewskiej. Słucha moich rad i zrobił się ultraroyalistą: nie należy do tych głupców, którym zależy na przekonaniach. Jeżeli mogę ci dać jeszcze jedną radę, mój aniołku, to abyś nie przywiązywał wagi zarówno do swoich przekonań, jak do słów. Kiedy znajdziesz na nie popyt, sprzedaj je. Człowiek, który się chwali, że nigdy nie zmienił poglądów, to człowiek, który podejmuje się iść zawsze linią prostą, głupiec wierzący w nieomyślność. Nie ma zasad, są tylko wypadki; nie ma praw, tylko okoliczności: człowiek wyższy chwyta w ręce wypadki i okoliczności, aby nimi kierować. Gdyby istniały stałe zasady i prawa, ludy nie zmieniałyby ich tak, jak się zmienia koszulę. Jednostka nie ma obowiązku być cnotliwsza niż cały naród. Człowiek, który najmniej oddał usług Francji, jest fetyszem wenerowanym³⁹ za to, że zawsze widział wszystko na czerwono; nadaje się co najwyżej, aby go pomieścić w muzeum między starymi machinami, pod etykietą „Lafayette”, gdy książę⁴⁰, na którego każdy rzuca kamieniem i który gardzi ludzkością na tyle, aby jej pluć w twarz tyle przysiąg, ile odeń wymaga, zapobiegł podziałowi Francji na kongresie wiedeńskim. Powinno by mu się wic wieńce, obrzuca się go błotem! Och! Ja znam politykę! Znam, posiadam tajemnice wielu ludzi. Dość o tym. Będę miał opinię niewzruszoną w dniu, w którym spotkam trzy głowy zgodne co do zastosowania danej zasady, a będę długo czekał! Nie znajdzie się w trybunałach trzech sędziów, którzy by byli jednego zdania co do jakiegoś paragrafu. Wracam do swego pułkownika. Przybiłby z powrotem Chrystusa na krzyż, gdybym mu kazał. Na jedno słowo

³⁹ jest fetyszem wenerowanym... – jest czczony jak wcielenie bóstwa.

⁴⁰ mowa o markizie Lafayette, uczestniku walk o niepodległość Stanów Zjednoczonych, rewolucji 1789 i 1830 roku oraz o Talleyrandzie, który nosił tytuł księcia Benewentu (por. przyp. na s. 53).

papy Vautrin poszuka zwady z tym nicponiem, który nie daje siostrze ani grosza, i...

Tutaj Vautrin zerwał się, stanął w pozycji i uczynił ruch fechmistrza, który zadaje cios.

– I w ziemię! – dodał.

– Cóż za ohyda! – rzekł Eugeniusz. – Pan żartuje, nieprawdaż, panie Vautrin?

– Ta, ta, ta, spokojnie – odparł. – Nie udawaj dziecka; a zresztą, jeśli cię to bawi, gniewaj się, oburzaj! Powiedz, że jestem bezecnik, zbrodniarz, łajdak, bandyta, ale nie nazywaj mnie oszustem ani szpiegiem! No, gadaj, ulżyj sobie! Przebaczam ci, to takie naturalne w twoim wieku! I ja byłem taki! Ale zastanów się. Zrobisz kiedyś gorzej. Pójdiesz się bałamucić z jaką ładną panią i weźmiesz od niej pieniądze. Myślałeś już o tym! – rzekł Vautrin. – Jakże zdołałbyś wypłynąć, jeśli nie wybijesz monety ze swojej miłości? Cnoty, panie studencie, nie da się dzielić na kawałki: albo jest, albo jej nie ma. Mówią nam o pokutowaniu za winy. Też ładny system, dzięki któremu można się skwitować ze zbrodni za pomocą skruchy! Uwieść kobietę, aby z jej pomocą wspiąć się o szczebel wyżej, zasiać niesnaski między dziećmi jednej rodziny, słowem, wszystkie bezceństwa, jakie się praktykuje w ogniskach domowych dla przyjemności lub osobistego interesu, czy myślisz, że to są akty wiary, nadziei i miłości? Czemu dwa miesiące aresztu dandysowi, który w ciągu jednej nocy wydziera dziecku połowę majątku, a galery biednemu chłopcu, który skradnie banknot tysiacc frankowy w okolicznościach obciążających? Oto wasze prawa. Nie ma w nich ani jednego paragrafu, który by nie prowadził do absurdu. Elegant w żółtych rękawiczkach i o słodkich słówkach popełnił morderstwa, w których nie wytacza się krwi, ale się ją daje; morderca otworzył drzwi wytrychem; ot, nocne sprawki! Między tym, co ci poddaję, a tym, co uczynisz kiedyś, różnica jest tylko w przelewie krwi. Ty wierzysz w coś stałego na świecie! Pogardzajże ludźmi i szukaj oczek, którymi można przejść przez sieć kodeksu. Tajemnicą wielkich fortun bez jawnego źródła jest zawsze jakaś zbrodnia, zapomniana, bo wykonano ją schludnie.

– Milcz pan! Nie chcę więcej słyszeć, kazałby mi pan zwątpić o samym sobie. W tej chwili uczucie jest całą moją wiedzą.

– Jak ci się podoba, piękne dziecię. Uważałem cię za mocniejszego – rzekł Vautrin. – Nic już nie powiem. Jeszcze tylko słowo. Popatrzył bystro na studenta.

– Masz moją tajemnicę – rzekł.

Młody człowiek, który odmawia panu współnictwa, potrafi zapomnieć.

– Dobrze powiedziałaś, cieszy mnie to. Inny, widzisz, mógłby być mniej skrupulatny. Pamiętaj o tym, co chcę dla ciebie uczynić. Daję ci dwa tygodnie czasu. Masz wóz albo przewóz.

– Cóż za żelazny łeb u tego człowieka! – rzekł sobie Rastignac, widząc, jak Vautrin oddala się spokojnie z laską pod pachą. – Powiedział bez ogródek to, co pani de Beauséant mówiła w delikatnej formie. Darł mi serce pazurami ze stali. Po cóż chcę dostać się do pani de Nucingen? Odgadł moje pobudki, zaledwie je powziąłem. W dwóch słowach ten opryszek powiedział więcej o nocie, niż dotąd powiedziały mi książki i ludzie... Jeśli cnota nie znosi kompromisu, zatem okradałem siostry? – rzekł, rzucając worki na stół.

Usiadł pogrążony w oszalamiającej zadumie.

Być wiernym nocie, wzniosłe męczeństwo! Ba! Cały świat wierzy w cnotę, ale kto jest cnotliwy? Bóstwem ludów jest wolność; ale gdzie jest wolny lud na ziemi? Młodość moja jest jeszcze błękitna jak niebo bez chmur; chcieć być wielkim lub bogatym czyż to nie znaczy skazywać się na to, aby kłamać, giąć się, pełzać, piąć, pochlebiać, udawać? Czy nie znaczy zostać lokajem tych, którzy kłamali, gięli się, pełzali? Nim będę ich współnikiem, trzeba im służyć. Otóż nie. Chcę pracować szlachetnie, święcie; chcę pracować dzień i noc, zawdzięczać los tylko własnym trudom. Będzie to nader powolna droga, ale co dzień wieczorem głowa moja spocznie na poduszce bez jednej złej myśli. Cóż może być piękniejszego niż spojrzeć na swoje życie i ujrzeć je czystym jak lilia? Ja i życie jesteśmy niby młodzian i jego oblubienica. Vautrin ukazał mi, co się dzieje po dziesięciu latach

małżeństwa. Do diabła! W głowie mi się mąci. Nie chcę myśleć o niczym, serce jest dobrym przewodnikiem.

Zadumę Eugeniusza przerwał gruby głos Sylwii, która oznajmiła krawca. Eugeniusz wyszedł doń, trzymając w rękach dwa worki srebra: rad był tej okoliczności. Przymierzywszy stroje wieczorowe wdział nowy kostium ranny, który go przeobrażał zupełnie.

– Wart jestem co najmniej tyle, co pan de Trailles – rzekł. – Wyglądam wreszcie na panicza!

– Proszę pana – rzekł ojciec Goriot wchodząc do Eugeniusza. – Pytał mnie pan, czy wiem, w jakich domach bywa pani de Nucingen?

– Tak.

– Otóż w najbliższy poniedziałek wybiera się na bal do marszałkostwa Carigliano. Jeśli pan będzie mógł się tam dostać, opowie mi pan, czy moje córuchy dobrze się bawiły, jak były ubrane, słowem – wszystkim.

– Jak się pan dowiedział o tym, dobry ojcie Goriot? – rzekł Eugeniusz, sadzając go przy ogniu.

– Pokojówka mi powiedziała. Wiem o wszystkim, co one robią, przez Teresę i Konstancję – dodał radośnie.

Starzec podobny był do kochanka, dość młodego jeszcze, aby się cieszyć z podstępów, który pozwala mu się zbliżyć do ubóstwianej bez jej wiedzy.

– Zobaczy je pan! – rzekł, dając naiwny wyraz bolesnej zazdrości.

– Nie wiem – odparł Eugeniusz. – Pójdę do pani de Beauséant zapytać, czy może mnie wprowadzić do marszałkowej.

Eugeniusz myślał z tajemną radością o tym, iż pokaże się wicehrabinie ubrany tak, jak będzie się ubierał odtąd. To, co moralisci nazywają przepaściami ludzkiego serca, to jedynie obłudne myśli, mimowolne drgnienia osobistego interesu. Te perypetie, przedmiot tyłu deklamacji, te nagle zwroty to rachuby czynione na rzecz naszych przyjemności. Czując się dobrze ubranym, wykwinicie obutym, w świeżych rękawiczkach, Rastignac zapomniał o swym cnotliwym postanowieniu. Młodość nie śmie się przejrzyć w zwierciadle sumienia wówczas, kiedy się chyli na stronę nieprawości; wiek dojrzały już się w nim oglądał; w tym cała różnica tych dwóch okresów. Od kilku dni dwaj sąsiedzi, Eugeniusz i ojciec Goriot, zbliżyli się do siebie. Tajemna ich przyjaźń płynęła z tych samych głębokich przyczyn, które zrodziły sprzeczność uczuć między Vautrinem a studentem. Śmiały filozof, który zechce stwierdzić objawy naszych uczuć w świecie fizycznym, znajdzie z pewnością niejednego dowód i chciałby istotnej materialności w stosunkach, jakie wytwarzają się między nami a zwierzętami. Któryż fizjonomista zdoła szybciej przeniknąć dany charakter, niż pies umie odgadnąć, czy nieznajomy człowiek lubi go lub nie? „Powinowactwo”, przysłowiowe wyrażenie, którym każdy się posługuje, jest jednym z tych frazesów, które utrwalają się w języku, aby przeczyć niedorzecznościom filozoficznym, jakimi zajmują się ludzie lubiący mleć puste słowa. Człowiek czuje się kochanym. Uczucie wyciska się we wszystkich rzeczach i przebiega przestrzeń. List jest duszą, jest tak wiernym obrazem żywego głosu, iż delikatne natury liczą go między najbogatsze skarby miłości. Ojciec Goriot, którego instynkt wznosił do wyżyn natury psiej, zwęszył współczucie, pełną podziwu dobroć, młodzieńcze sympatie, jakie zbudziły się dlań w sercu studenta. Jednakże ta rodząca się spójnia nie sprowadziła jeszcze żadnych zwierzeń. Jeżeli Eugeniusz objawił chęć widzenia pani de Nucingen, to nie dlatego, aby liczył na to, iż starzec wprowadzi go do niej, ale spodziewał się, że jakaś mimowolna wskazówka posłuży mu w tej mierze. Ojciec Goriot mówił z nim o córkach jedynie w związku z tym, z czym on sam się wygadał wówczas wróciwszy z dwóch wizyt.

– Mój drogi panie – rzekł nazajutrz – jak pan mógł uwierzyć, iż pani de Restaud miała ci za złe, żeś wymówił moje nazwisko? Obie córki kochają mnie szczerze. Jestem szczęśliwym

ojcem. Jedynie zięciowie zachowali się wobec mnie niegodziwie. Nie chciałem dręczyć drogich istotek dochodząc swoich nieporozumień z tymi panami, wolę tedy widywać je po kryjomu. Tajemnica ta daje mi tysiące przyjemności, których nie znają inni ojcowie mogący widywać córki, kiedy zechcą. Ja nie mogę, rozumie pan? Idę tedy, kiedy jest ładnie, na Pola Elizejskie, dowiedziawszy się od pokojówek, czy córki wyjeżdżają na spacer. Czekam na nie na ulicy, serce mi bije, kiedy zbliżają się pojazdy, podziwiam ich stroje; one rzucają mi w przelocie uśmiech, który złoci mi cały świat, jak gdyby nań padł promień cudnego słońca. I stoję dalej, czekam, aż będą wracały. Widzę je znowu! Powietrze dobrze im zrobiło, poróżnowiały. Słyszę, jak ludzie mówią naokoło: „Cóż za śliczna kobieta!” To mi rozgrzewa serce. Czyż to nie moja krew! Kocham konie, które je ciągną, chciałbym być pieskiem, którego trzymają na kolanach. Żyję ich przyjemnościami. Każdy kocha na swój sposób, mój nie czyni krzywdy nikomu, czegoż tedy świat się mną zajmuje? Jestem szczęśliwy, jak umiem. Czyż w tym jest co sprzeczne z prawem, że idę oglądać córki wieczór, w chwili gdy wyjeżdżają na bal? Cóż za rozpacz, kiedy przybędę za późno i usłyszę: „Pani już wyjechała”. Jednego razu czekałem do trzeciej rano, aby ujrzeć Nasieńkę, której nie widziałem od dwóch dni. Myślałem, że padnę ze szczęścia! Proszę, jeżeli wspomnisz komuś o mnie, mów wszystkim, jakie moje córki są dobre. Chcą mnie obsypywać podarkami; ja nie pozwalam, mówię: „Schowajcież swoje pieniądze! Co wy chcecie, abym z tym robił? Nie trzeba mi niczego”. W istocie, drogi panie, co ja jestem? Nędzny trup, którego dusza jest wszędzie tam, gdzie są córki. Kiedy poznasz panią de Nucingen, powiesz mi, którą wolisz – rzekł pocziwiec po chwili milczenia, widząc, że Eugeniusz gotuje się do wyjścia, aby się przejść po Tuilleriach, w oczekiwaniu, aż będzie się mógł udać do pani de Beauséant.

Przechadzka ta stała się zgubą studenta. Kilka kobiet zwróciło nań uwagę. Był tak piękny, młody, wykwintny! Widząc się przedmiotem uwagi, graniczącej niemal z podziwem, zapomniał o obskubanych siostrach i ciotce, o skrupułach! Ujrzał przelatującego nad głową demona, którego tak łatwo wziąć za anioła, owego szatana o mieniących się skrzydłach, który sieje rubiny, ciska swoje złote strzały na frontony pałaców, barwi purpurą kobiety, odziewa niedorzecznym blaskiem trony, tak proste w swoich początkach; usłyszał boga owej hałaśliwej próżności, którego brzęk zdaje się nam symbolem potęgi. Słowa Vautrina, mimo całego ich cynizmu, utkwily w jego sercu, tak jak w pamięci dziewicy ryje się nikkzemny profil starej stręczycielki, która szepce: „Złota i miłości w bród!” Po długiej chwili leniwego wałęsania, około piątej, Eugeniusz zjawił się u pani de Beauséant; otrzymał tam straszliwy cios, jeden z tych, wobec których młode serca są bez obrony. Dotąd wicehrabina była dlań zawsze pełna tej lubej uprzejmości, tego słodkiego wdzięku, który rodzi się z arystokratycznego wychowania, a który jest zupełny jedynie wtedy, kiedy płynie z serca.

Na jego widok pani de Beauséant uczyniła niechętny gest i rzekła sucho:

– Panie de Rastignac, nie podobna mi przyjąć pana, w tej chwili przynajmniej. Jestem zajęta...

Dla obserwatora, a Rastignac stał się nim rychło, to zdanie, gest, spojrzenie, głos były historią charakteru i nawyków kasty. Ujrzał żelazną rękę pod aksamitną rękawiczką; egotyzm, samolubstwo pod światową formą, drzewo pod lakierem. Usłyszał wreszcie owo MY, KRÓL, które zaczyna się pod baldachimem tronu, a kończy się pod strzechą ostatniego szlachetki. Eugeniusz zbyt łatwo uwierzył, na jej słowo, w szlachetność kobiety. Jak wszyscy wydziedziczeni, podpisał w dobrej wierze rozkoszny pakt, który powinien łączyć dobroczyńcę z obdarowanym i którego pierwszy punkt uświęca między wielkimi sercami zupełną równość. Dobrodziejstwo, które zespała dwie istoty w jedną, jest uczuciem równie niebiańskim, równie nie rozumianym, równie rzadkim, jak prawdziwa miłość. Jedno i drugie jest hojnością pięknych dusz. Rastignac chciał się dostać na bal do księżnej de Carigliano, zniósł tę burzę.

– Pani – rzekł wzruszonym głosem – gdyby nie chodziło o ważną rzecz, nie ośmieliłbym

się narzucać pani; niech pani będzie tak łaskawa i pozwoli mi odwiedzić się później, zaczekam.

– Więc dobrze, niech pan przyjdzie zjeść obiad ze mną – rzekła, nieco zawstydzona twardością swoich poprzednich słów; była to bowiem kobieta naprawdę równie dobra jak wielka.

Mimo iż ujęty tą nagłą przemianą, Eugeniusz powiadał sobie odchodząc:

– Pełzaj, znoś wszystko. Jacy muszą być inni, skoro w jednej chwili najlepsza z kobiet przekreśla obietnice przyjaźni i rzuca cię, ot, jak stary trzewik? Każdy dla siebie zatem? To prawda, że jej dom to nie sklep: tym gorzej dla mnie, że jej potrzebuję. Trzeba, jak mówi Vautrin, stać się kulą armatnią.

Gorzkie rozmyślania studenta rozproszyły się rychło pod wpływem przyjemności, jaką sprawiła mu nadzieja obiadu u wicehrabiny. Tak jakby przez jakąś fatalność, wszystkie wydarzenia spiknęły się, aby go pchać w szranki, w których, wedle przepowiedni straszliwego sfinksy z gospody Vauquer, trzeba mu było, jak na polu bitwy, zabijać, aby nie być zabitym, oszukiwać, aby nie być oszukanym; gdzie miał u wrót złożyć sumienie, serce, włożyć maskę, deptać bez litości po ludziach i, jak w Sparcie, chwytać fortunę chyłkiem, aby zdobyć wieniec. Skoro Eugeniusz wrócił, znalazł wicehrabinę pełną tej miłej dobroci, jaką mu zawsze okazywała. Przeszli do jadalni, gdzie wicehrabia oczekiwał żony i gdzie lśnił ten zbytek, który za Restauracji doprowadzono, jak wiadomo, do najwyższego stopnia. Pan de Beauséant, jak wielu ludzi przeżytych, nie miał już innych uciech prócz dobrej kuchni; był to smakosz ze szkoły Ludwika XVIII i księcia d'Escars. Stół jego błyszczał tedy podwójnym zbytkiem, treści i formy. Nigdy podobne widowisko nie oślepiło oczu Eugeniusza: po raz pierwszy jadł obiad w jednym z tych domów, w których wszelkie przepychy są dziedzicznym spadkiem. Moda zniosła od niedawna wieczerze, jakimi kończyły się bale Cesarstwa: wieczerze, których wojskowi potrzebowali, aby nabrać sił do wszystkich walk, jakie czekały ich na froncie i na tyłach. Eugeniusz bywał dotąd jedynie na balach. Tupet, który był później jego tak wybitną cechą i którego zaczynał nabierać, wstrzymywał go od objawów niezgrabnego podziwu. Ale widząc te rzeźbione srebra i tysiącne wykwinety stołu, podziwiając pierwszy raz dyskretną usługę, nie mógł, jako człowiek gorącej wyobraźni, nie przełożyć tego życia wciąż wytwornego nad życie wyrzeczeń, któremu chciał się poświęcić rano. Przeniósł się na chwilę myślą do swej gospody; uczuł tak gwałtowną odrazę, iż przysięgł sobie opuścić ją w styczniu, zarówno dlatego, by znaleźć sobie coś przyzwoitszego, jak aby uciec przed Vautrinem, którego szeroką dłoń czuł na ramieniu. Jeżeli się pomyśli o tysiącu form, jakie przybiera w Paryżu głośnie lub nieme zepsucie, myślący człowiek zastanawia się, jaki obłęd przywodzi państwo do zakładania tu szkół i umieszczania w nich młodzieży, jakim sposobem ktoś tu jeszcze szanuje ładne kobiety i jakim cudem złoto wystawione za szybą kantorów nie ulatnia się magicznie z miseczek. Ale jeżeli się pomyśli, iż mało jest przykładów zbrodni, a nawet przestępstw wśród młodych ludzi, jakież szacunek winno by się tym cierpliwym Tantalom, którzy walczą z samymi sobą i prawie zawsze wychodzą z walki zwycięsko! Gdyby dobrze odmalować ubożego studenta w walce z Paryżem, byłby to może jeden z najdramatyczniejszych tematów nowoczesnej cywilizacji. Pani de Beauséant na próżno spoglądała na Eugeniusza, aby go zachęcić do rozmowy, nic nie mógł z siebie wycisnąć w obecności wicehrabiego.

– Odwieszysz mnie dziś wieczór do Teatru Włoskiego? – spytała męża.

– Nie możesz wątpić w przyjemność, z jaką pragnąłbym ci być posłuszny – odparł z drwiącą rycerskością, którą student wziął za dobrą monetę – ale mam się z kimś spotkać w Variétés.

Ze swoją kochanką – pomyślała.

– Pan d'Ajuda nie towarzyszy ci dziś wieczór? – spytał wicehrabia.

– Nie – odparła niechętnie.

– Zatem, jeśli koniecznie trzeba ci męskiego ramienia, poproś pana de Rastignac.

Wicehrabina popatrzyła na Eugeniusza z uśmiechem.

– To będzie dla pana bardzo kompromitujące – rzekła.

–”Francuz kocha niebezpieczeństwo, bo widzi w nim chwałę”, powiedział pan de Chateaubriand – odparł Rastignac z ukłonem.

W kilka chwil później znalazł się obok pani de Beauséant w szybkim pojeździe, który go unosił do modnego teatru. Miał wrażenie jakiejś feerii, skoro wszedł do łoży naprzeciw sceny i skoro ujrzał się celem wszystkich lornetek, wraz z wicehrabiną, która miała zachwycającą toaletę. Kroczył z czarów w czary.

– Miał pan ze mną do pomówienia – rzekła pani de Beauséant. – O, niech pan patrzy, oto pani de Nucingen o trzy łoże od nas. Siostra jej i pan de Trailles są po drugiej stronie.

Mówiąc te słowa wicehrabina patrzyła na łożę, w której miała być panna de Rochefide; nie ujrzawszy w niej pana d'Ajuda, rozpromieniła się osobliwym blaskiem.

– Urocza jest – rzekł Eugeniusz przyjrzawszy się pani de Nucingen.

– Ma białe ręce.

– Tak, ale jaka ładna, smukła kibić!

– Ma grube ręce.

– Śliczne oczy!

– Twarz ma za długą.

– Ależ podłużny owal jest znamieniem dystynkcji.

– Szczęście dla niej, że ma ją choć w tym. Niech pan patrzy, jak ona ujmuje i opuszcza lornetkę. Goriot przebija w każdym ruchu – rzekła wicehrabina ku wielkiemu zdziwieniu Eugeniusza.

W istocie pani de Beauséant lornetowała salę i zdawała się nie zwracać uwagi na panią de Nucingen, nie tracąc mimo to ani jednego jej ruchu. Publiczność była niezwykle świetna. Delfina de Nucingen była bardzo dumna, że zajmuje tak wyłącznie młodego, pięknego, wytwornego kuzyna pani de Beauséant; Eugeniusz patrzył tylko na nią.

– Jeżeli pan będzie nadal pożerał ją spojrzeniem, wywoła pan skandal, panie de Rastignac. Do niczego pan nie dojdzie narzucając się ludziom w ten sposób.

– Droga kuzynko – rzekł Eugeniusz – dałaś mi już wiele dowodów dobroci; jeżeli chcesz dokończyć dzieła, proszę jeszcze tylko o jedną rzecz, która pani sprawi bardzo mało kłopotu, a mnie wiele dobrego. Jestem zakochany.

–Już?

–Tak.

– W tej kobiecie?

– Czyż moich pragnień wysłuchałaby inna – rzekł, obejmując wicehrabinę przenikliwym spojrzeniem. – Pani de Carigliano jest bardzo oddana księżnej de Berry – dodał po pauzie. –Z pewnością bywa pani u niej; gdyby pani zechciała być tak dobra i przedstawić mnie jej oraz wprowadzić na bal, który daje w poniedziałek! Spotkam tam panią de Nucingen i wydam pierwszą bitwę.

– Chętnie – odparła. – Jeżeli już czujesz do niej sympatię, sprawa stoi doskonale. Oto de Marsay wszedł do łoży księżnej Galathionne. Pani de Nucingen jest na torturach, wścieka się. Nie ma lepszego momentu, aby się zbliżyć do kobiety, zwłaszcza żony bankiera. Te panie z Chaussée d'Antin wszystkie lubią zemstę.

– A pani co uczyniłaby w podobnym wypadku?

– Cierpiałabym w milczeniu.

W tej chwili margrabia d'Ajuda zjawił się w łoży pani de Beauséant.

– Zaniedbałem wszystkie sprawy, aby się stawić – rzekł. –Mówię pani o tym, iżby to nie było poświęceniem.

Promienie strzelające z twarzy wicehrabiny nauczyły Eugeniusza poznawać wyraz

prawdziwego uczucia i nie mieszać go z komedią paryskiej zalotności. Zdjęty podziwem dla kuzynki zamilkł i ustąpił miejsca panu d'Ajuda, wzdychając.

Co za szlachetną, szczytną istotą jest kobieta, która kocha w ten sposób! – pomyślał. – I ten człowiek miałby ją zdradzić dla lalki! Jakże można ją zdradzić?

Uczuł w sercu dziecinną wściekłość. Byłby chciał upaść do stóp pani de Beauséant, pragnął mocy demonów, aby ją unieść do swego serca, jak orzeł porywa z łąki do gniazda białe koźle, które ssie jeszcze. Czuł się upokorzony, że w tym wielkim muzeum piękności nie posiada swego obrazu, własnej kochanki.

– Mieć kochankę i pozycję niemal królewską – mówił sobie – to znak potęgi.

I spojrzął na panią de Nucingen, jak człowiek znieważony spogląda na przeciwnika. Wicehrabina obróciła się do Eugeniusza, aby mu przesłać za jego dyskrecję tysiąc podziękowań w jednym spojrzeniu. Pierwszy akt skończył się.

– Czy pan zna na tyle panią de Nucingen, aby przedstawić pana de Rastignac? – rzekła do margrabiego.

– Ależ będzie uszczęśliwiona – odparł.

Piękny Portugalczyk wstał, ujął pod ramię studenta, który w mgnieniu oka znalazł się przed panią de Nucingen.

– Baronowo – rzekł margrabia – mam zaszczyt przedstawić kawalera Eugeniusza de Rastignac, kuzyna wicehrabiny de Beauséant. Robi pani na nim tak żywe wrażenie, iż chciałem dopełnić szczęścia kawalera zbliżając go do jego bóstwa.

Słowa te wypowiedziane były tonem żartu, pokrywającym ich myśl cokolwiek brutalną, która zresztą – dobrze osłonięta – nie jest nigdy przykra kobiecie. Pani de Nucingen uśmiechnęła się i wskazała Eugeniuszowi miejsce męża, który właśnie wyszedł.

– Nie śmiem pana zapraszać, aby pan został w łoży – rzekła. – Kiedy kto ma szczęście być z panią de Beauséant, nie opuszcza jej.

– Ależ pani – rzekł po cichu Eugeniusz – zdaje mi się, że jeśli zechcę być uprzejmy wobec mej kuzynki, zostanę tutaj. Przed przybyciem pana margrabiego mówiliśmy o pani i dystynkcji całej jej osoby – dodał głośno.

Pan d'Ajuda pożegnał się.

– Doprawdy – rzekła baronowa – zostanie pan ze mną? Zaznajomimy się tedy; pani de Restaud obudziła już we mnie żywą ochotę poznania pana.

– Jest zatem bardzo fałszywa: zamknęła mi bowiem drzwi swego domu.

– Jak to?

– Czuję się w obowiązku wyjawić pani przyczynę tego, ale proszę o całą pobłażliwość, zdradzając podobny sekret. Jestem sąsiadem pani szanownego ojca. Nie wiedziałem, że pani de Restaud jest jego córką. Popełniłem tę nieostrożność, że wspomniałem o nim bardzo niewinnie i ściągnąłem na siebie gniew siostry pani i jej męża. Nie uwierzyłyby pani, jak bardzo księżnej de Langeais i mojej kuzynce wydała się w złym guście ta apostazja⁴¹. Wówczas to, czyniąc porównanie między panią a siostrą, pani de Beauséant wspomniała mi o pani w bardzo pochlebnych słowach i opowiedziała, jak bardzo pani jest dobra dla mego sąsiada, pana Goriot. W istocie, jak mogłaby go pani nie kochać? Ubóstwia panią tak namiętnie, że już jestem o niego zazdrosny. Mówiliśmy o pani dziś rano dwie godziny. Następnie, jeszcze pełen tego, co pani ojciec mi opowiedział, dziś wieczór, będąc u kuzynki na obiedzie, rzekłem, że uroda pani nie może dorównywać pani sercu. Zapewne chcąc przyjść w pomoc tak gorącemu uwielbieniu, pani de Beauséant przyprowadziła mnie tutaj, mówiąc mi ze swoim zwykłym wdziękiem, iż ujrzę tu panią.

– Jak to – rzekła żona bankiera – już panu winna jestem wdzięczność? Jeszcze trochę, a staniemy się starymi przyjaciółmi.

⁴¹ apostazja – odszczepieństwo (gr.).

– Mimo że przyjaźń musi być w stosunku do pani niebanalnym uczuciem – rzekł Rastignac – nie chcę być nigdy pani przyjacielem.

Te stereotypowe głupstwa na użytek początkujących zdają się zawsze urocze kobietom: chłodne i mdłe są jedynie w czytaniu. Gest, akcent, spojrzenie młodego człowieka dają im nieobliczalną wartość. Rastignac wydał się pani de Nucingen czarujący. Następnie, jak wszystkie kobiety, nie mogąc nic rzec na tak jasno postawioną kwestię, odpowiedziała na co innego.

– Tak, siostra szkodzi sama sobie obchodząc się w ten sposób z biednym ojcem, który w istocie dobry był dla nas jak anioł. Trzeba było, by pan de Nucingen formalnie mi zakazał przyjmować ojca, abym ustąpiła w tej mierze. Ale długi czas byłam bardzo nieszczęśliwa. Płakałam, Ta przemoc, która przysłała po brutalnościach małżeństwa, była jedną z przyczyn, które najbardziej zamąciły moje pożycie. Jestem z pewnością ze wszystkich kobiet w Paryżu najszcześniejszą w oczach świata, najnieszczęśliwszą w rzeczywistości. Będzie mnie pan uważał za szaloną, że mówię do pana w ten sposób. Ale zna pan mego ojca, nie mogę pana uważać za obcego.

– Nie spotka pani człowieka – odparł Eugeniusz – który by był ożywiony gorętszym pragnieniem poświęcenia pani życia. Czegóż szukacie wszystkie? Szczęścia – odparł głosem wnikającym do duszy. – Otóż jeżeli dla kobiety jest szczęściem czuć się kochaną, ubóstwianą, mieć przyjaciela, któremu można zwierzyć swoje pragnienia, kaprysy, zgryzoty, radości; ukazać się w nagości swej duszy, ze swymi ładnymi wadami i pięknymi przymiotami bez obawy zdrady; wierzyć mi, pani, to serce oddane, zawsze gorące możesz znaleźć tylko u człowieka młodego, pełnego złudzeń, który potrafi umrzeć na najlżejszy znak pani, który nie wie jeszcze nic o świecie i nie chce nic wiedzieć, bo pani staje się światem dla niego. Ja, widzi pani – będzie się pani śmiała z mojej naiwności – przybywam zupełnie świeży z zapadłej prowincji, gdzie znałem jedynie piękne dusze: myślałem, że przyjdzie mi żyć bez miłości. Zdarzyło mi się ujrzeć mą kuzynkę, która dopuściła mnie zbyt blisko do swego serca, dała mi odgadnąć tysiące skarbów uczucia; jestem jak Cherubin⁴² rozkochany we wszystkich kobietach, zanim będę mógł poświęcić się jednej. Na widok pani, kiedy wszedłem, uczułem, że jakiś prąd pociąga mnie ku pani. Tyle już myślałem o pani! Ale nie marzyłem, abyś była tak piękna. Pani de Beauséant zabroniła mi tak wciąż na panią patrzeć. Nie wie, jaki jest w tym urok, aby oglądać te różowe usteczka, tę białą płeć, te oczy tak słodkie... I ja też mówię szaleństwa, ale niech mi pani pozwoli je mówić...

Nic nie sprawia tyle przyjemności kobietom, co słuchanie takich słodkich słówek. Najsurowsza dewotka słucha ich, nawet kiedy nie chce na nie odpowiedzieć. Zaczawszy w ten sposób Rastignac ciągnął swój różaniec kusząco stłumionym głosem; pani de Nucingen zachęcała go uśmiechem, spoglądając od czasu do czasu na de Marsaya, który nie opuszczał łoża księżnej Galathionne. Rastignac został przy pani de Nucingen aż do chwili, w której przyszedł mąż, aby ją zabrać.

– Pani – rzekł Eugeniusz – będę miał zaszczyt złożyć jej uszanowanie przed balem księżnej Carigliano.

– Zgoro paronofa zabraza bana – rzekł baron, typowy Alzatzczyk, którego okrągła twarz zwiastowała niebezpieczną chytrą – jest ban befien topreko bzyjęcia.

– Sprawy dobrze stoją, nic się nie obraziła, kiedy mówił: „Czy zechce mnie pani kochać?” Uzda założona, skaczmyż na grzbiet bydłatka i ujeżdźmy je – rzekł do siebie Eugeniusz, idąc pożegnać panią de Beauséant, która opuszczała teatr z panem d'Ajuda.

Biedny student nie wiedział, że baronowa była roztargniona i że czekała od de Marsaya rozstrzygającego listu, jednego z tych, co drą duszę w strzępy. Uszczęśliwiony swoim fałszywym sukcesem, Eugeniusz przeprowadził kuzynkę do przedsionka, gdzie każdy czekał

⁴² Cherubin – postać z „Wesela Figara” Beaumarchais'go.

na swój powóz.

– Pani kuzyn niepodobny jest do samego siebie – rzekł Portugalczyk śmiejąc się do wicehrabiny, skoro Eugeniusz ich opuścił. – Rozbije bank, ani chybi. Zwinny jest jak piskorz i sędzę, że zajdzie daleko. Pani jedna zdolna byłaś wyłowić mu w całym Paryżu kobietę w chwili właśnie, gdy potrzebuje pocieszyciela.

– Ba – rzekła pani de Beauséant – trzeba by wiedzieć, czy kocha jeszcze tego, który ją porzuca.

Student wrócił pieszo na ulicę Neuve–Sainte–Geneviève pieszcząc najśłodsze plany. Zauważył baczność, z jaką przyglądała mu się hrabina de Restaud, bądź to w loży wicehrabiny, bądź u pani de Nucingen, i wywnioskował, że drzwi hrabiny nie będą już dlań zamknięte. Tak więc miał pozyskać w sercu wielkiego świata paryskiego cztery potężne domy, liczył bowiem, że zdobędzie sympatię marszałkowej. Nie rozbierając zbytnio środków zgadywał, że w skomplikowanej grze interesów trzeba się uczepić jednego kółka, aby znaleźć się na górze maszyny, czuł się zaś na siłach, aby zahamować jej koło.

– Jeśli pani de Nucingen zainteresuje się mną, nauczę ją panować nad mężem. Ten mąż robi złote interesy, pomoże mi zdobyć od jednego zamachu fortunę.

Nie powiadał tego sobie wprost, nie był jeszcze dość wytrawny, aby ująć sytuację w cyfry, ocenić ją i obliczyć; myśli te bujały na horyzoncie w postaci lekkich chmurek i mimo że nie miały ostrości poglądów Vautrina, gdyby je zanurzyć w tyglu sumienia, nie dałyby nic bardzo czystego. W następstwie tego rodzaju transakcji ludzie dochodzą do owej wątpliwej moralności, jaką wyznaje obecna epoka. Rzadziej niż kiedykolwiek spotyka się dziś ludzi z jednej sztuki, tęgie charaktery, które nie ugną się nigdy wobec złego, którym najmniejsze zboczenie z prostej linii wydaje się zbrodnią; wspaniałe obrazy cnoty, które dały nam dwa arcydzieła: Alcesta Moliera, a później świeżo Jenny Deans i jej ojca w dziele Waltera Scotta. Być może, iż dzieło z przeciwnego krańca, malowidło krętych dróg, po których ambitny światowiec toczy swoje sumienie, starając się okrążyć występki, aby dojść do celu zachowując pozory, byłoby nie mniej piękne i dramatyczne. Dochodząc do domu Rastignac był zakochany w pani de Nucingen; wydawała mu się smukłą, zwinna jak jaskółka. Upajająca słodyczą oczu, delikatna i jedwabna płeć, pod którą widział niejako krążącą krew, czarodziejski dźwięk głosu, blond włosy, wszystko stawało mu w pamięci; może i przechadzka, pobudzając krążenie krwi, przyczyniła się do tego urzeczenia. Student zapukał energicznie do ojca Goriot.

– Sąsiedzie – rzekł – widziałem panią Delfinę.

– Gdzie?

– W teatrze.

– Bawiła się dobrze?... Wejdźże pan.

I poczciwiec, który wstał w koszuli, otworzył drzwi i położył się szybko z powrotem.

– Mówże mi pan o niej – prosił.

Eugeniusz, który był pierwszy raz u ojca Goriot, nie mógł opanować gestu zdumienia na widok nory, w jakiej żył ojciec córki, której toaletę podziwiał przed chwilą. Okna były bez firanek; obicia odstawały w wielu miejscach wskutek wilgoci i zwijały się ukazując ścianę pożółkłą od dymu. Nieborak leżał na nędznym łóżku, miał tylko lichy kocyk i watowane okrycie na nogi, sporządzone z kawałków starych sukien pani Vauquer. Podłoga była wilgotna i pełna kurzu. Naprzeciw okna znajdowała się stara komoda z różanego drzewa, o wydętym brzuchu, mosiężnych uchwytach skrzyconych niby pędy winorośli i zdobnych w liście i kwiaty; na drewnianym blacie stał w miednicy dzbanek na wodę i przyrządy do golenia. W kącie trzewiki; przy łóżku nocny stolik bez drzwiczek i bez płyty; koło kominka, na którym nie było ani śladu ognia, orzechowy kwadratowy stolik; to jego listwa posłużyła ojcu Goriot do ugniecenia pozłacanej czarki. Mizerny sekretarzyk, na którym spoczywał kapelusz nieboraka, ciemny wyplatany fotel i dwa krzesła dopełniały umeblowania. Ze słupka

u wezglowia łózka, strzępem jakimś umocowanego do podłogi, zwisała nędzna płachta w białą i czerwoną kratę. Najlichszy tragarz na poddaszu z pewnością mieszkał mniej nędznie niż ojciec Goriot u pani Vauquer. Widok tej izby przejmował chłodem i przyprawiał o ściśnienie serca: podobna była do smutnej celi więziennej. Szczęściem Goriot nie widział fizjonomii Eugeniusza, kiedy ów postawił świecę na stoliczku. Nieborak obrócił się ku niemu, podciągając kołdrę pod brodę.

– I cóż, którą pan woli, panią de Restaud czy de Nucingen?

– Wolę panią Delfinę – odparł student – bo pana więcej kocha. Na te wypowiedziane gorąco słowa pocziwiec wydobyl rękę spod kołdry i uściśnął dłoń Eugeniusza.

– Dziękuję, dziękuję – rzekł starzec wzruszony. – Co panu mówiła o mnie?

Student powtórzył słowa baronowej, upiększając je, starzec zaś słuchał tak, jakby słuchał słów samego Boga.

– Drogie dziecko! Tak, tak, ona mnie bardzo kocha. Ale nie wierz pan w to, co mówiła o Anastazji. Widzi pan, one zazdrosne są o siebie: to jeszcze jeden dowód ich przywiązania. Pani de Restaud też mnie bardzo kocha; wiem o tym. Ojciec jest wobec swoich dzieci jak Bóg wobec nas: wnika do głębi serc i sądzi intencje. Obie jednak kochają. Och! Gdybym miał dobrych zięciów, byłbym aż nadto szczęśliwy. Widocznie nie ma doskonałego szczęścia tu na ziemi. Gdybym mógł żyć w ich pobliżu, nic, tylko słyszeć ich głos, wiedzieć, że są obok, widzieć, jak wracają, wychodzą, tak jak wtedy, kiedy je miałem u siebie... serce by mi wyskoczyło z piersi... Czy były ładnie ubrane?

– Tak – rzekł Eugeniusz. – Ale powiedz mi pan, panie Goriot, w jaki sposób mając córki tak bogate, może pan mieszkać w podobnej norze?

– Daję słowo – rzekł pozornie niedbałym tonem – na co by mi się zdało lepiej mieszkać? Nie mogę panu wytłumaczyć tego: nie umiem skleić dwóch słów do kupy, jak się należy. Wszystko jest tutaj – dodał uderzając się w serce. – Życie moje jest w moich córkach. Jeśli one się bawią, jeżeli są szczęśliwe, ładnie ubrane, jeżeli stąpają po dywanach, cóż mi znaczy, jak ja jestem odziany i jak wygląda moje legowisko? Nie jest mi zimno, jeżeli im jest ciepło, nie nudzę się nigdy, jeżeli one się śmieją. Nie mam innych zmartwień, jak tylko ich zmartwienia. Kiedy pan będziesz ojcem, kiedy słysząc, jak twoje dzieci szczebiocą, powiesz sobie: „To moja krew!”, kiedy uczujesz, jak te istotki zrosnięte są z każdą kroplą twojej krwi, której są najdelikatniejszym kwiatem, bo tak jest! będziesz miał wrażenie, że siedzisz w ich skórze, będziesz myślał, że poruszasz się, gdy one chodzą. Ich głos odpowiada mi wszędzie. Kiedy są smutne, spojrzenie ich ścina mi krew. Kiedyś dowie się pan, że można być o wiele szczęśliwszym ich szczęściem niż własnym. Nie umiem panu tego wytłumaczyć; to jakieś wewnętrzne drganie, które wszędzie rozlewa ciepło. Słowem, żyję trzykrotnie. Powiedzieć panu coś pocieszającego? Otóż kiedy zostałem ojcem, zrozumiałem Boga. Jest cały wszędzie, skoro stworzenie wyszło z niego. Panie, tak samo ze mną i z moimi córkami. Tylko ja bardziej kocham córki, niż Bóg kocha świat, bo świat nie jest tak piękny jak Bóg, a córki moje są piękniejsze ode mnie. Są tak zrosnięte z moją duszą, że czułem to, iż pan je zobaczy dziś wieczór. Mój Boże! Człowiekowi, który by uczynił moją Delfinkę tak szczęśliwą, jak może być kobieta, kiedy się czuje naprawdę kochaną, ależ takiemu człowiekowi ja bym buty czyścił, goniłbym dłań z posyłkami. Dowiedziałem się od jej pokojówki, że ten paniczyk, de Marsay, to pies bezecny. Brała mnie ochota kark mu skrócić. Nie kochać takiej kobiety, takiego klejnociku! Głos skowroneczka, a zbudowana jak posąg! Gdzie ona miała oczy, żeby wychodzić za tego alzackiego kloca? Obu im było trzeba młodych, ładnych mężczyzn, ładnych i miłych! Ano cóż! Zrobiły, jak im się zdało.

Ojciec Goriot był wzniosły. Nigdy Eugeniusz nie miał sposobności oglądać go promieniającego blaskiem ojcowskiej miłości. Rzeczą godną uwagi jest ta potęga oddziaływania, jaką posiada uczucie. Żeby jakaś istota była nie wiem jak pospolita, z chwilą gdy wyraża mocne i prawdziwe uczucie, wydziela osobliwy fluid, który przekształca

fizjonomię, ożywia gesty, barwi głos. Często najlepszy osobnik dochodzi pod wpływem uczucia do najwyższej wymowy myśli, jeżeli nie słowa; porusza się jakby w promienistej sferze. W tej chwili głos, gest nieboraka posiadały sugestywną potęgę wielkiego aktora. Ależ czyż nasze uczucia są poematami woli?

– Otóż, miło może panu będzie dowiedzieć się – rzekł Eugeniusz – że zapewne niebawem zerwie z de Marsayem. Ten lalusz rzucił ją, aby się oddać na usługi księżnej Galathionne. Co do mnie, dziś wieczór zakochałem się w pani Delfinie.

– Och! – rzekł ojciec Goriot.

– Tak. Przyjęła mnie nienajgorzej. Mówiliśmy godzinę o miłości i pojutrze, w sobotę, mam ją odwiedzić.

– Och, jakżebym pana kochał, drogi panie, gdybyś się jej spodobał. Jest pan dobry, nie dręczyłbyś jej. Zresztą gdybyś ją zdradził, poderżnąłbym ci gardło. Kobieta kocha tylko raz w życiu, rozumiesz? Mój Boże! Głupstwa gadam, panie Eugeniuszu. Chłodno tu panu. Mój Boże! Zatem słyszał ją pan? Co mi kazała powiedzieć?

Nic – pomyślał Eugeniusz.

– Powiedziała – rzekł głośno – że panu przesyła serdecznego całusa.

– Bądź pan zdrow, sąsiedzie! Śpij dobrze, miej przyjemne sny; moje już mieszczą się całe w tym słowie. Niech pana Bóg wspomaga we wszystkich pragnieniach! Byłeś dziś dla mnie wieczór niby dobry anioł, przyniosłeś mi oddech mej córki.

– Biedny człowiek! – rzekł do siebie Eugeniusz, kładąc się. – Mógłby doprawdy poruszyć serca z kamienia. Córka myślała o nim tyle co o sultanie tureckim.

Od tej rozmowy ojciec Goriot widział w swoim sąsiedzie nieoczekiwanego powiernika, przyjaciela. Zadzierzgnęły się między nimi jedyne węzły, jakie mogły złączyć starca z innym człowiekiem. Namiętności nigdy nie chybują w swoich obliczeniach. Ojciec Goriot odgadywał, iż będzie bliższy swej Delfiny, milej widziany, jeżeli Eugeniusz pozyska jej serce. Zresztą powierzył mu jedną ze swych zgryzot. Pani de Nucingen, której życzył szczęścia po tysiąc razy dziennie, nie zaznała słodyczy miłości. To pewna, że Eugeniusz był – aby się posłużyć wyrażeniem starego – najbardziej cacany chłopiec, jakiego w życiu widział; toteż ojciec jak gdyby przeczuwał, że jej da wszystkie rozkosze, których była pozbawiona. Pocziwiec powziął tedy dla sąsiada przyjaźń, która wciąż rosła i bez której byłoby wręcz niemożliwe poznać rozwiązanie tej historii.

Nazajutrz rano przy śniadaniu serdeczność, z jaką ojciec Goriot patrzył na Eugeniusza usiadłszy koło niego, kilka słów jego i zmiana fizjonomii, zazwyczaj podobnej do gipsowej maski, zdumiały pensjonarzy. Vautrin, który widział studenta pierwszy raz od czasu ich rozmowy, silił się czytać w jego duszy. Przypominając sobie zamysły tego człowieka, Eugeniusz, który nim usnął, zmierzył szerokie pole otwierające się jego oczom, pomyślał mimo woli o posagu panny Taillefer i nie mógł się wstrzymać, aby nie popatrzeć na Wiktorynę tak, jak najcnotliwszy młody człowiek patrzy na bogatą dziedziczkę. Przypadkowo oczy ich spotkały się. W nowym ubraniu Eugeniusz wydał się biednej dziewczynie zachwycający. Spojrzenie, jakie zamienili, było dość znaczące, aby upewnić Rastignaca, że jest dla niej treścią owych mglistych marzeń, których przedmiotem bywa u młodej dziewczyny pierwszy z brzegu spotkany ładny chłopiec. Głos jakiś wołał mu: „Osiemset tysięcy franków!” Ale nagle ozwały się w jego sercu wspomnienia wczorajszego wieczoru i pomyślał, że miłość, którą jak na zamówienie poczuł do pani de Nucingen, będzie odtrutką na mimowolne pokusy.

– Dawano wczoraj we Włoskim „Cyrulika”⁴³. Nigdy nie słyszałem równie rozkosznej muzyki – rzekł. – Mój Boże, jacyż szczęśliwi są ci, którzy mają własną lożę!

Ojciec Goriot chwycił te słowa w lot, jak pies poruszenie pana.

⁴³ „Cyruk sewilski” – popularna opera Rossiniego.

– Wy, mężczyźni, opływacie jak pączki w maśle – rzekła pani Vauquer. – Robicie, co wam się podoba.

– Jak pan wrócił? – spytał Vautrin.

– Pieszko – odparł Eugeniusz.

– Ja – rzekł kusiciel – nie lubiłbym połowicznych przyjemności, chciałbym jechać do teatru we własnym powozie, do własnej łoży i wracać wygodnie. Wszystko albo nic! to moja dewiza.

– Dobra dewiza – dodała pani Vauquer.

– Będzie pan może u pani de Nucingen – szepnął Eugeniusz do Goriota. – Przyjmie pana z pewnością z otwartymi rękami; będzie chciała dowiedzieć się tysiąca szczegółów o mnie. Słyszałem, że uczyniłaby wszystko w świecie, aby bywać u mojej kuzynki, wicehrabiny de Beauséant. Nie zapomnij pan powiedzieć córce, że nadto ją kocham, aby nie pamiętać o zniszczeniu tego marzenia.

Rastignac udał się szybko do kolegium, starał się jak najkrócej zostać w tym wstrętnym budynku. Przewalał się prawie cały dzień, wydany na pastwę owej gorączki, jaką znają młodzi ludzie trawieni zbyt żywą nadzieją. Pobudzony rozumowaniem Vautrina, tonął właśnie w refleksjach nad społeczeństwem, nad życiem, kiedy w Parku Luksemburskim spotkał przyjaciela swego Bianchona.

– Skąd ta poważna mina? – rzekł medyk, ujmując go pod rękę i wiodąc go wzdłuż pałacu.

– Złe myśli mnie dręczą.

– W jakim rodzaju? Myśli to rzecz, którą można uleczyć.

– Jak?

– Poddając się im.

– Żartujesz, a nie wiesz, o co chodzi. Czytałeś Russa?⁴⁴

– Owszem.

– Przypominasz sobie, jak pyta czytelnika, co by uczynił, gdyby mógł się stać bogatym, zabijając w Chinach, jedynie mocą swojej woli, nie ruszając się z Paryża, starego mandaryna?

– Tak.

– No i?...

– Ba! Jestem właśnie przy trzydziestym trzecim mandarynie.

– Nie żartuj. No więc, gdyby ci udowodniono, że rzecz jest możliwa i że wystarczy skinienie głową, zrobiłbyś?...

– A stary ten mandaryn? Ale ba! Młody czy stary, sparaliżowany czy zdrow jak ryba, na honor... Do paralusza! Otóż – nie.

– Jesteś zacy chłópiec, Bianchon. Ale gdybyś kochał kobietę tak, żebyś wariował dla niej, i gdyby ci trzeba było pieniędzy, dużo pieniędzy, na jej stroje, na powóz, na wszystkie fantazje wreszcie?

– Ależ ty mi odbierasz rozum i chcesz, żebym rozumował!

– Otóż, Bianchon, ja jestem szalony, ulecz mnie. Mam dwie siostry, dwa anioły piękności, czystości, i chcę, aby były szczęśliwe. Skąd w ciągu pięciu lat wziąć dwieście tysięcy franków na posag dla nich? Bywają, widzisz, okoliczności, gdzie trzeba puszczać się na grubą grę i nie zużywać szczęścia na groszaki.

– Ależ ty stawiasz kwestię, która nastęcza się w zaraniu życia każdemu, i chcesz przeciąć węzeł gordyjski mieczem. Aby tak sobie poczynać, mój drogi, trzeba być Aleksandrem Wielkim, inaczej idzie się na galery. Co do mnie, jestem szczęśliwy ze skromnej egzystencji, jaką sobie stworzę na prowincji, gdzie po prostu obejmę warsztat po ojcu. Upodobania człowieka dadzą się zaspokoić w najmniejszym kółku równie pełno co w olbrzymim kręgu. Napoleon nie jadł dwóch obiadów i nie mógł mieć więcej kochanek, niż ich znajdzie student

⁴⁴ chodzi o Jana Jakuba Rousseau.

medycyny, kiedy jest internem u kapucynów. Szczęście, mój drogi, zawsze będzie się mieściło między naszą stopą a ciemieniem: czy kosztuje rocznie milion, czy sto ludwików, wrażenie jest zawsze jedno i to samo. Konkluzja: darujmy Chińczykom życie.

– Dziękuję, dobrze mi zrobiło pogadać z tobą, Bianchon! Będziemy zawsze przyjaciółmi.

– Słuchaj no – rzekł student medycyny – wychodząc z wykładu Cuviera w Ogrodzie Botanicznym spostrzegłem tę Miszonice i Poireta rozmawiających na ławce z jegomością, którego widziałem w czasie zeszłorocznych rozruchów w okolicy Izby i który robi na mnie wrażenie szpicla ucharakteryzowanego na poczciwca mieszcza, żyjącego z renty. Warto by uważać na tę parę; powiem ci czemu. Do widzenia, idę na wykład, już czwarta.

Skoro Eugeniusz wrócił do domu, zastał ojca Goriot, który nań czekał.

– O! – rzekł starowina – ma pan list od niej. Ładne pismo, co?

Eugeniusz otworzył list i czytał:

Ojciec powiedział mi, że pan lubi włoską muzykę. Byłabym szczęśliwa, gdyby mi pan uczynił tę przyjemność i zechciał przyjąć miejsce w mojej łoży. W sobotę będziemy mieli Fodor i Pellegriniego; pewna tedy jestem, że mi pan nie odmówi. Mąż polecił mi pana zaprosić bez ceremonii na obiad. Jeżeli pan przyjmie, sprawi mu pan tę satysfakcję, że nie będzie musiał dźwigać jarzma małżeńskiego towarzysząc mi. Proszę nie odpowiadać, tylko przyjąć oraz przyjąć uprzejme wyrazy od

D. de N.

–Niech mi pan pokaże – rzekł poczciwiec, skoro Eugeniusz przeczytał list. – Pójdzie pan, nieprawdaż? – dodał powąchawszy papier. – Jak to ładnie pachnie. Jej paluszki dotykały tego!

Kobieta nie rzuca się w ten sposób na szyję mężczyźnie – pomyślał. – Chce się mną posłużyć, aby ściągnąć z powrotem de Marsaya. Jedynie wściekłość może popchnąć kobietę do takich rzeczy.

–I cóż – rzekł ojciec Goriot – nad czym pan myśli?

Eugeniusz nie znał szalu próżności, jaki ogarnął pewne kobiety w tej dobie, i nie wiedział, że aby sobie otworzyć drzwi arystokratycznych salonów, żona bankiera zdolna była do wszystkich poświęceń. W owej epoce zaczynała się moda, aby powyżej wszystkich kobiet stawiać te, które dopuszczono do sosjety Saint-Germain, tzw. dam z Zameczku, między którymi pani de Beauséant, przyjaciółka jej księżna de Langeais i księżna de Maufrigneuse zajmowały pierwsze miejsce. Jeden Rastignac nie był świadom namiętności pań z Chaussée d'Antin, żądnych wejść w błyszczącą sferę, w której jaśniały konstelacje ich płci. Ale nieufność wyszła mu na dobre; dała mu chłód i smutną możność stawiania warunków miast przyjmowania ich.

– Owszem, pójdę – odparł.

Tak więc ciekawość prowadziła go do pani de Nucingen: gdyby ta kobieta wzgardziła nim, byłaby go może wiodła tam miłość. Mimo to oczekiwał jutrzejszego wieczora z niecierpliwością. Dla młodego człowieka w pierwszej jego przygodzie mieści się może tyleż uroku co w pierwszej miłości: pewność zwycięstwa daje tysiące rozkoszy, do których mężczyźni się nie przyznają, a które tworzą cały urok niektórych kobiet. Pragnienie rodzi się zarówno z trudności, jak z łatwości tryumfu. Wszystkie namiętności ludzkie podsyca albo podtrzymuje niewątpliwie jedna lub druga z tych przyczyn, dzielących na dwie połacie królestwo miłości. Może podział ten jest kwestią temperamentów, która, cokolwiek by ktoś mówił, dominuje w społeczeństwie. O ile natury melancholiczne potrzebują ostrogi zalotności, nerwowi lub sangwinicy zrażają się może zbyt długim oporem. Innymi słowy, elegia jest zasadniczo limfatyczna, dyrtiramb żółciowy. Ubierając się, Eugeniusz kosztował wszystkich tych drobnych słodczy, do których młodzi ludzie nie śmieją się przyznawać z

obawy, aby z nich nie drwiono, ale które głaszczą miłość własną. Trefiacz włosy myślał, że spojrzenie ładnej kobiety będzie się ślizgało po ich czarnych puklach. Pozwolił sobie na dziecinne minki, jakie robi młoda dziewczyna wybierając się na bal. Spoglądał z upodobaniem na swą smukłą kibić, wygładzając fałdy fraka.

– Niczego figurka – rzekł – ani słowa!

Zeszedł w chwili, gdy stołownicy znajdowali się w jadalni, i wesoło przyjął grad konceptów, jakie ściągnęła jego strojna postać. Jedną z charakterystycznych cech tego rodzaju pensjonatów jest zdumienie, które wywołuje staranny strój. Nie można się pokazać w nowym ubraniu, aby każdy nie rzucił jakiegoś słówka.

– Kt, kt, kt, kt! – rzekł Bianchon, uderzając językiem o podniebienie, jakby popędzał konia.

– Mina księcia i para! – rzekła pani Vauquer.

– Wybiera się pan na podboje? – zauważyła panna Michonneau.

– Kukuryku! – zapiał malarz.

– Najniższe ukłony szanownej małżonce pańskiej – rzekł urzędnik Muzeum.

– Pan de Rastignac ma małżonkę? – spytał Poiret.

– Małżonkę z przegródkami, która pływa po wodzie pod gwarancją niepuszczenia farby, w cenie od dwudziestu pięciu do czterdziestu, deseń w kratkę najlepszego gustu, nadaje się do prania, dobrze się nosi, półwełna, półbawełna, skuteczna na ból zębów i inne choroby uznane przez Królewską Akademię Medyczną! Wyborna przy tym dla dzieci! Jeszcze lepsza na ból głowy, pletorę⁴⁵ i inne choroby śledziony, oczu i uszu! – wykrzyknął Vautrin z komiczną swadą i werwą jarmarcznego szarlatana. – „Ależ, po czemu ten cud? – spytacie panowie – dwa su?” Nie. Zupełnie gratis. To resztki zapasów Wielkiego Mogoła, które wszyscy panujący Eurrrropy, łącznie z wielkim księciem badeńskim, śpieszyli oglądać! Tędy, panowie, tędy: kasa na lewo. Dalej, muzyka. Bum, bum, ta ra ra! bum, bum! Hej, tam, klarnet! fałszujesz – dodał zachrypłym głosem – oberwiesz po palcach!

– Mój Boże! Jaki ten człowiek przyjemny! – rzekła pani Vauquer do pani Couture. – Nie znudziłabym się przy nim nigdy.

Wśród śmiechów i żartów, do których ten komiczny monolog był hasłem, Eugeniusz zdołał podchwycić ukradkowe spojrzenie panny Taillefer, która pochyliła się do pani Couture i szepnęła jej kilka słów.

– Jest już kabriolet – rzekła Sylwia.

– Gdzież on idzie na obiad? – spytał Bianchon.

– Do baronowej de Nucingen.

– Córki pana Goriot – odparł student.

Na to nazwisko spojrzenia skierowały się na ekshandlarza mąki, który przyglądał się Eugeniuszowi z zazdrością.

Rastignac zajechał na ulicę Świętego Łazarza przed jeden z owych lekkich domów o smukłych kolumnach, mizernym portyku, które wypełniają nowy, „ładny” Paryż; prawdziwy dom bankiera, pełen kosztownych ozdób, stiuków, z klatką schodową wyłożoną mozaiką z marmuru. Zastał panią de Nucingen w saloniku, zdobnym w malowidła włoskie, którego styl trącił kawiarnią. Baronowa była smutna. Wysiłki, które czyniła, aby ukryć *zgryzotę*, zainteresowały Rastignaca tym żywiej, iż nie było w nich udania. Spodziewał się zastać kobietę ucieszoną jego przybyciem, a ujrzał ją w rozpacz. Zawód ten ubódl jego ambicję.

– Mało mam praw do zaufania pani – rzekł po chwili przekomarzania się na temat jej zadumy. – Gdyby jednak obecność moja była nie na rękę, liczę na pani szczerłość, iż powiedziałyby mi to pani.

⁴⁵ pletora – nadmierne wypełnienie naczyń krwią.

– Niech pan zostanie – rzekła. – Byłabym sama, gdyby pan odszedł. Baron jest na obiedzie gdzieś w mieście, a nie chciałabym być sama, trzeba mi towarzystwa.

– A co pani?

– Byłby pan ostatnią osobą, której bym to powiedziała! – wykrzyknęła.

– Ja chcę wiedzieć. Koniecznie. W takim razie muszę grać jakąś rolę w tej tajemnicy?

–Może! Ale nie – dodała – to jedna z owych domowych sprzeczek, które należy pogrzebać na dnie serca. Czy nie mówiłam panu przedwczoraj? Nie jestem szczęśliwa. Złote kajdany są najcięższe ze wszystkich.

Kiedy kobieta mówi młodemu człowiekowi, że jest nieszczęśliwa, jeżeli ten młody człowiek jest zuch, dobrze ubrany i ma za tysiąc pięćset franków wolnego czasu w kieszeni, musi pomyśleć sobie to, co sobie powiedział Eugeniusz, i nabiera pewności siebie.

– Czego pani może pragnąć? – odparł. – Jest pani młoda, piękna, kochana, bogata.

– Nie mówmy o mnie – rzekła, wstrząsając posępnie głową. –Zjemy obiad razem, sam na sam, pójdziemy słuchać najrozkoszniejszej muzyki. Podobam się panu? – dodała, wstając i ukazując suknię z białego kaszmiru w perski deseń, wykwinętą i bogatą.

– Chciałbym, aby pani cała była moją – rzekł Eugeniusz. –Jest pani urocza.

– Zrobiłby pan smutny nabytek – rzekła, uśmiechając się z goryczą. – Nic tu nie zwiastuje panu nieszczęścia, a jednak mimo pozorów jestem w rozpacz. Zgryzoty odbierają mi sen, zrobię się brzydka.

– Och! To niemożliwe – rzekł student. – Ale ciekaw jestem poznać te troski, których oddana miłość nie zdołałaby zatrzeć.

– Ach, gdybym je zwierzyła, uciekłyby pan ode mnie – rzekła. – Teraz kocha mnie pan jedynie, ot tak, dla rozrywki, jak to zwykle mężczyźni; ale gdyby pan kochał naprawdę, to byłaby dla pana rozpacz. Widzi pan, że trzeba milczeć. Zlituj się – dodała – mówmy o czym innym. Pokażę panu mieszkanie.

– Nie, zostanmy tu – odparł Eugeniusz siadając na kozetce u kominka obok pani de Nucingen, której rękę ujął śmiało.

Pozwoliła mu ją wziąć, oparła ją nawet na rękę młodego człowieka z siłą, która zdradzała wzruszenie.

– Pani Delfino – rzekł Rastignac – jeżeli pani ma zgryzoty, powinna mi je pani zwierzyć. Chcę pani dowieść, że kocham panią dla niej samej. Albo mi pani opowie swoje troski, abym je mógł rozproszyć, choćby trzeba było zabić sześciu ludzi, albo wyjdę stąd i więcej nie wrócę.

– Więc dobrze! – wykrzyknęła, uderzając się ręką w czoło, jakby pod wpływem rozpaczliwej myśli. – Poddam pana próbie natychmiast. Tak – rzekła do siebie – zostaje tylko ten środek.

Zadzwoniła.

– Powóz pana barona zaprzężony? – rzekła do lokaja.

– Tak, proszę jaśnie pani.

– Biorę go. Dacie panu mój powóz i konie. Obiad dopiero o siódmej.

– Niech pan idzie ze mną – rzekła do Eugeniusza, który myślał, że śni, znalazłszy się w powozie pana de Nucingen obok tej kobiety. – Do Palais-Royal – rzekła do woźnicy – niedaleko Komedii.

W drodze Delfina zdradzała niepokój, uchylała się od odpowiedzi na tysięczne pytania Eugeniusza, który nie wiedział, co myśleć o tym niemym, zaciętym, tępym oporze.

– Wymyka mi się – powiadał sobie.

Skoro powóz się zatrzymał, baronowa objęła studenta wzrokiem, który nakazał milczenie jego szalonym wybuchom; Eugeniusz był jak nieprzytomny.

– Kocha mnie pan naprawdę? – rzekła.

– Tak – odparł, pokrywając niepokój, który go ogarniał.

– Nie pomyśli pan nic złego o mnie, czego bądź zażądałabym od pana?

– Nie.

– Będzie mi pan posłuszny?

– Ślepo.

– Był pan kiedy w domu gry? – rzekła drżącym głosem.

– Nigdy.

– Ach, oddycham. Będzie pan miał szczęście. Oto moja sakiewka – rzekła. – Weźże pan! Jest tam sto franków: to wszystko, co posiada ta kobieta tak szczęśliwa. Idź pan do domu gry, nie wiem gdzie to, ale wiem, że w Palais-Royal. Postaw pan sto franków w grze, którą nazywają ruletką, i strać wszystko albo przynieś mi sześć tysięcy. Opowiem panu swoje zgrzyzoty, skoro wrócisz.

– Niech mnie diabeł porwie, jeżeli rozumiem cokolwiek, ale będę pani posłuszny – rzekł, kryjąc tę radosną myśl: „Kompromituje się ze mną, nie będzie mogła niczego mi odmówić”.

Eugeniusz bierze ładną sakiewkę, pędzi pod numer dziewięć wypytawszy się w jakimś magazynie o najbliższy dom gry. Wchodzi, oddaje kapelusz, następnie pyta, gdzie jest ruletka. Ku zdumieniu bywalców garson prowadzi go do podłużnego stołu. Eugeniusz, któremu przyglądają się wszyscy, pyta bez ceremonii, gdzie się stawia.

– Jeżeli pan położy ludwika na jeden z tych numerów i numer wyjdzie, otrzyma pan trzydzieści sześć ludwików – objaśnił go czcigodny siwy starzec.

Eugeniusz rzucił sto franków na cyfrę swego wieku, dwadzieścia jeden. Krzyk zdumienia rozległ się, zanim miał czas ochłonać. Wygrał, nie wiedząc o tym.

– Zabierz pan swe pieniądze – rzekł starzec – nie wygrywa się dwa razy przy tym systemie.

Eugeniusz ujmuje grabki, jakie mu podał starszy pan, ściąga ku sobie trzy tysiące sześćset franków i wciąż nie mając pojęcia o grze stawia na czerwone. Galeria przygląda mu się z zazdrością, widząc, że gra dalej. Koło obraca się, wygrywa znowu i bankier rzuca mu znowu trzy tysiące sześćset franków.

– Masz pan siedem tysięcy dwieście franków – szepnął mu starszy pan. – Wierzaj mi, wycofaj się pan, czerwone przeszło już osiem razy. Gdybyś był miłosierny, odwzięczyłbyś się za dobrą radę, wspomagając byłego napoleońskiego prefekta, który znajduje się w ostatniej nędzy.

Rastignac oszołomiony pozwala człowiekowi o siwych włosach zabrać dziesięć ludwików i schodzi z siedmioma tysiącami, nie rozumiejąc jeszcze nic, ale zdumiony swym szczęściem.

– I cóż! Gdzie mnie pani wiezie teraz? – rzekł pokazując siedem tysięcy franków pani de Nucingen, skoro zamknięto drzwiczki.

Delfina objęła go szalonym uściskiem i ucałowała żywo, ale bez namiętności.

– Ocalił mnie pan!

Łzy radości spłynęły jej obficie po licach.

– Powiem ci wszystko, mój przyjacielu. Będziesz moim przyjacielem, nieprawdaż? Widzisz mnie bogatą, otoczoną dostatkiem, niczego mi nie zbywa, tak się wydaje przynajmniej! Otóż wiedz, że pan de Nucingen nie zostawia mi do rozporządzenia ani szeląga: opłaca cały dom, powozy, łoże; daje mi za mało na toalety, chce mnie przez wyrachowanie trzymać w tajemnej nędzy. Jestem nadto dumna, aby go błagać. Czyż nie byłabym ostatnią z ostatnich, gdybym kupowała jego pieniądze za cenę, po jakiej chce mi je sprzedawać! W jaki sposób ja, mając posagu siedemset tysięcy franków, dałam się ograbić? Przez dumę, przez wzgardę. Jesteśmy tak młode, tak naiwne, kiedy zaczynamy życie małżeńskie! Słowa, które trzeba było wyrzec, aby prosić męża o pieniądze, kaleczyły mi usta; nie śmiałam nigdy, zjadałam swoje oszczędności i to, co mi dawał biedny ojciec; potem weszłam w długi. Małżeństwo jest dla mnie najstraszliwszym zawodem, nie mogę panu o tym mówić, niech wystarczy, gdy powiem, że rzuciłabym się z okna, gdyby mi przyszło żyć z

Nucingenem dzieląc z nim sypialnię. Kiedy trzeba mi było przyznać się do długów – ot, zwykle dłużki kobiece, klejnoty, fantazje (biedne ojczyisko przyzwyczaił nas, żebyśmy sobie nie odmawiały niczego) – wycierpiałam męki; wreszcie znalazłam odwagę, żeby wszystko powiedzieć. Czyż nie miałam własnego majątku? Nucingen uniósł się, powiedział, że go rujnuję, ohyda! Byłabym chciała znaleźć się sto stóp pod ziemią. Ponieważ wziął mój posag, zapłacił; ale wyznaczył mi od tego czasu pensję, na którą się zgodziłam, aby mieć spokój. Później chciałam uczynić zadość miłości własnej kogoś, kogo pan zna – rzekła. – Ten człowiek mnie oszukał, prawda; ale byłoby niegodne z mej strony nie uznać szlachetności jego charakteru. Wreszcie rzucił mnie nikczemnie. Nie powinno się nigdy rzucać kobiety, której się cisnęło w rozpaczliwym momencie stos złota! Powinno się ją kochać zawsze! Pan, piękna dwudziestoletnia dusza, pan, młody i czysty, zapytasz, w jaki sposób kobieta może przyjąć złoto od mężczyzny? Mój Boże! Czyż nie jest naturalne wszystko dzielić z istotą, której zawdzięczamy szczęście? Kiedy się ktoś oddał cały, czyż mógłby się troszczyć o część tej całości? Pieniądz staje się czymś dopiero w chwili, gdy uczucie umiera. Czyż nie jest się związanym na życie? Któż z nas przewiduje rozstanie, gdy ufa, że jest mocno kochanym? Przysięgacie nam wiekuiącą miłość: jak wówczas zachować rozdział interesów? Nie wie pan, co wycierpiałam dzisiaj, kiedy Nucingen odmówił mi wręcz sześciu tysięcy; on, który daje je co miesiąc swej kochance, dziewczynie z baletu! Chciałam się zabić. Najszaleńsze myśli przychodziły mi do głowy. Były chwile, że zazdrościłam losu służącej, mojej pokojówce. Udać się do ojca: szaleństwo. Zarznęłyśmy go obie z Anastazją; biedny ojciec sprzedałby samego siebie, gdyby mógł uzyskać sześć tysięcy. Wtraciłabym go tylko na próżno w rozpacz. Ocalił mnie pan od wstydu i śmierci, byłam pijana z bólu. Ach, panie, winna byłam panu to wyjaśnienie, postąpiłam sobie z panem jak szalona. Kiedy pan odszedł i kiedym pana straciła z oczu, chciałam uciec pieszo... gdzie? nie wiem. Oto życie połowy kobiet w Paryżu: zbytek na zewnątrz, męczarnie w duszy. Znam stworzenia jeszcze nieszczęśliwsze ode mnie. Wszak istnieją kobiety zmuszone prosić kupców o fałszywe rachunki. Inne muszą okradać mężów: jedni myślą, że kaszmir za dwa tysiące franków kosztuje pięćset, drudzy, że kaszmir za pięćset wart jest dwa tysiące. Spotyka się biedne kobiety, które głodzą własne dzieci i ciułają, aby mieć suknię. Ja nie skalałam się dotąd takim oszukaństwem. A teraz moja największa udręka... Są kobiety, które sprzedają się mężom, aby panować nad nimi, ale ja przynajmniej jestem wolna! Gdybym chciała, Nucingen okryłby mnie złotem, a ja wolę płakać z głową na sercu człowieka, którego mogę szanować. Och, dziś wieczór de Marsay nie będzie miał prawa patrzeć na mnie jak na kobietę, którą zapłacił.

Wcisnęła twarz w dłonie, nie chcąc pokazać łez Eugeniuszowi, który odkrył jej lica, aby się przyjrzeć: wspaniała była w tej chwili.

– Mieszać pieniądze w rzeczy serca, czyż to nie jest okropne? Nie będzie mnie pan mógł kochać – rzekła.

To pomieszanie dobrych uczuć, które czynią kobietę tak wzniosłą, oraz błędów, do których zmusza ją nasz ustrój społeczny, oszałamiało Eugeniusza. Szeptał słodkie i kojące słowa, podziwiając tę piękną kobietę, tak naiwnie nieostrożną w wybuchu bólesci.

– Nie ukujesz sobie z tego bronii przeciw mnie? – rzekła. –Przyrzeknij mi.

– Och, pani, niezdolny jestem... – odparł.

Wzięła go za rękę i położyła ją na sercu ruchem pełnym wdzięczności i uroku.

– Dzięki panu znów jestem wolna i szczęśliwa. Żyłam jak pod uciskiem żelaznej ręki. Chcę teraz żyć skromnie, nic nie wydawać. Będę ci się podobała tak, jak jestem, nieprawdaż? Niech pan to zachowa – rzekła biorąc jedynie sześć banknotów. – Sumiennie biorąc, winna panu jestem tysiąc talarów: umyśliłam sobie, że będziemy grali do połowy.

Eugeniusz bronił się jak dziewica. Ale kiedy baronowa rzekła: „Będę pana uważała za wroga, jeśli nie chcesz być moim współnikiem”, wziął pieniądze.

– To będzie kapitał zakładowy w razie nieszczęścia – rzekł.

– Oto słowo, którego się lękam – rzekła blednąc. – Jeśli pan chce, abym czymś była dla pana, przysiąż mi, że nie wrócisz nigdy do szulerni. Boże! Ja miałabym pana pchnąć na złe drogi! Umarłabym z bólu.

Przybyli do domu. Kontrast tej nędzy i bogactwa oszałamiał studenta; w uszach zabrzmiały mu posępne słowa Vautrina.

– Niech pan siada tutaj – rzekła baronowa, wchodząc do swego pokoju i wskazując kozetkę przy kominku. – Trzeba mi napisać bardzo trudny list! Może mi pan doradzi.

– Niech pani nic nie pisze – rzekł Eugeniusz. – Niech pani włoży banknoty do koperty, zaadresuje i odeśle przez pannę służącą.

– Ależ pan jest kochany, nieoceniony człowiek – rzekła. – Ach, co to znaczy wychowanie! To, co mi pan poradził, to czystej krwi „Beauséant” – dodała z uśmiechem.

– Urocza jest – rzekł do siebie Eugeniusz, coraz bardziej rozkochany.

Rozejrzał się po pokoju, który oddychał rozkosznym wykwintem bogatej kurtyzany.

– Podoba się? – rzekła, dzwoniąc na służącą. – Tereso, zanieś to do pana de Marsaya i oddaj jemu samemu. Jeśli go nie zastaniesz, odniesiesz list z powrotem.

Teresa wyszła obrzuciwszy Eugeniusza sprytnym spojrzeniem. Oznajmiono obiad. Rastignac podał ramię pani de Nucingen i przeszedł z nią do wytwornej jadalni, gdzie zastał ten sam zbytek, który podziwiał u kuzynki.

— W dniu opery – rzekła – przyjdzie pan zawsze na obiad i będzie mi pan towarzyszył.

— Przyzwyczaiłbym się do tego słodkiego życia, gdyby ono miało trwać; ale jestem biednym studentem, który musi zdobywać fortunę.

— Zdobędzie pan – rzekła śmiejąc się. – Widzi pan, wszystko się układa: nie spodziewałam się, że będę tak szczęśliwa.

Jest w naturze kobiet dowodzić niemożliwego możebnym i niweczyć fakty przecuciami. Kiedy pani de Nucingen i Rastignac weszli do łoży, Delfina miała wyraz zadowolenia, co ją czyniło tak piękną, że sala zaszemrała od owych ploteczek, wobec których kobiety są bezsilne i które często utrwalają rozmyślnie stworzone pozory. Kto zna Paryż, nie wierzy w to, co się tu mówi, a nie mówi o tym, co się tu robi. Eugeniusz ujął baronową za rękę, porozumiewali się uściskami dłoni, udzielając sobie wrażeń, jakie w nich budziła muzyka. Dla nich wieczór ten był upajający. Opuścili teatr razem; pani de Nucingen odwiozła Eugeniusza aż do Nowego Mostu, spierając się z nim przez całą drogę o jedną z owych pieszczot, którymi go tak hojnie obsypała w Palais-Royal. Eugeniusz wymówił jej tę niekonsekwencję.

– Wówczas – odparła – to była wdzięczność za niespodziewane poświęcenie, teraz byłaby to obietnica.

– A ty mi nie chcesz dać żadnej, niewdzięczna!

Pogniewał się. Gestem zniecierpliwienia, tak czarującym dla kochanka, dała mu do pocałowania rękę: przyjął z dąsem, który zachwycił Delfinę.

– Do poniedziałku, na balu – rzekła.

Idąc pieszo w piękną noc księżycową, Eugeniusz utonął w zadumie. Był szczęśliwy i niezadowolony: szczęśliwy z przygody, której spodziewany wynik dawał mu w ręce jedną z najpiękniejszych i najwykwintniejszych kobiet w Paryżu, przedmiot jego pragnień; niezadowolony, że jego zamiary zdobycia fortuny padły: uczuł wówczas całą realność mętnych myśli, którym oddawał się przedwczoraj. Zawód ujawnia zawsze siłę naszych pragnień. Im bardziej Eugeniusz napawał się paryskim życiem, tym mniej godził się zostać biednym ciurą. Gniótł w kieszeni banknot tysiącfrankowy snując pasmo kuszących rozumowań, pozwalających uznać go za swą własność. W końcu zaszedł na ulicę Neuve-Sainte-Geneviève; znalazłszy się na górze ujrzał światło. Ojciec Goriot zostawił otwarte drzwi i zapaloną świecę, aby student nie zapomniał opowiedzieć mu wrażeń. Eugeniusz nic nie ukrywał.

– Ależ – wykrzyknął ojciec Goriot w szale zazdrości – one myślą, że ja jestem

zrujnowany: toć ja mam jeszcze tysiąc trzysta franków renty! Mój Boże! Biedna mała, czegoż do mnie nie przyszła? Byłbym sprzedał papiery, wzięlibyśmy z kapitału, resztę zmienilibym na dożywocie. Czemuś nie przyszedł mi powiedzieć?... Jak miałaś serce narażać jej biedne sto franków? Serce się rozdziera! Oto zięciowie! Och, gdybym ich miał w ręku, karki bym im poskręcał. Mój Boże! Płakała, ona płakała?

– Z głową na mojej kamizelce – rzekł Eugeniusz.

– Och, daj mi ją pan – rzekł ojciec Goriot. – Jak to! Są tu łzy mojej córki, mojej drogiej Delfiny, która nie płakała nigdy będąc dzieckiem! Och! kupię panu inną, niech jej pan już nie nosi, zostaw mi ją. Wszakże Delfina powinna, wedle kontraktu, korzystać ze swego majątku. Zaraz jutro pójde do pana Derville, do adwokata. Zażądam stanowczo gwarancji. Znam prawo, jestem stary wilk, pokażę im zęby.

– Oto, ojczu, tysiąc franków, które chciała mi dać z wygranej. Zachowaj je dla niej, w tej kamizelce.

Goriot spojrział na Eugeniusza, wyciągnął rękę, aby ująć dłoń studenta, na którą uronił łzę.

– Powiedzie się panu w życiu – rzekł starzec. – Bóg, widzi pan, jak sprawiedliwy. Ja się znam na uczciwości; mogę zapewnić, że mało jest podobnych panu. Chcesz tedy być także moim drogim dzieckiem? No, idź, wyśpij się. Możesz spać, nie jesteś jeszcze ojcem. Ona płakała! Dowiaduję się o tym ja, który najspokojniej zajadałem sobie jak głupiec, gdy ona cierpiała; ja, który sprzedałbym Ojca, Syna i Ducha Świętego, aby oszczędzić jednej łzy im obu!

– Na honor – rzekł Eugeniusz, układając się do snu – zdaje mi się, że będę całe życie uczciwym człowiekiem. Jest w tym przyjemność, aby iść za głosem sumienia.

Jedynie może ci, co wierzą w Boga, czynią dobrze po kryjomu, Eugeniusz zaś wierzył w Boga. Nazajutrz wieczór Rastignac udał się do pani de Beauséant, która zawiozła go do pani de Carigliano. Spotkał się z najuprzejmiejszym przyjęciem marszałkowej, u której zastał panią de Nucingen. Delfina wystroiła się z intencją podobania się wszystkim, aby tym lepiej spodobać się Eugeniuszowi, którego spojrzenia czekała, źle ukrywając niecierpliwość. Rozkoszna chwila dla każdego, kto umie odgadywać wzruszenia kobiety. Któż nie lubował się często w tym, aby się ociągać ze słówkiem zachwytu, ukrywać zalotnie swą przyjemność, szukać wyznania w przedłużanym niepokoju, cieszyć się obawami, które rozproszy jednym uśmiechem? Na tym balu student zmierzył nagle wartość swojej pozycji; zrozumiał, że ma stanowisko w świecie będąc niejako uznanym kuzynem pani Beauséant. Podbój pani de Nucingen, który mu już przypisywano, stawiał go na świeczniku; młodzi ludzie mierzyli go zawistnymi spojrzeniami; pochwyciwszy parę takich spojrzeń Eugeniusz zakosztował pierwszych upojeń miłości własnej. Przechodząc z salonu do salonu, mijając grupy słyszał, jak sławiono jego szczęście. Kobiety przepowiadały mu wszelkie sukcesy. Delfina, lękając się go stracić, przyrzekła mu wieczorem pocałunek, którego tak broniła przedwczoraj. Rastignac otrzymał wiele zaproszeń. Kuzynka przedstawiła go kilku kobietom, które wszystkie miały pretensje do elegancji i których domy uchodziły za miłe; od razu wpadł w największy i najpiękniejszy świat Paryża. Wieczór ten miał dlań urok świetnego debiutu; miał o nim pamiętać do późnej starości, jak młoda dziewczyna wspomina tryumfy pierwszego balu. Kiedy nazajutrz przy śniadaniu opowiadał swoje powodzenia ojcu Goriot wobec pensjonarzy, Vautrin uśmiechał się szatańsko.

–I pan sądzisz – wykrzyknął ten okrutny mistrz logiki – że złoty młodzieniec może mieszkać przy ulicy Neuve-Sainte-Geneviève, u mamy Vauquer, w gospodzie niezmiernie szacownej pod każdym względem, ani słowa, ale bardzo odległej od światowych splendorów? Nie ma co, dom bogaty, dom piękny swoim dostatkami i dumny, iż służy za przelotne zamczysko potomkowi Rastignaców; ale, ostatecznie, ulica Neuve-Sainte-Geneviève, zbytek tu jest nieznanym; *patriarchorama* i koniec. Mój młody przyjacielu – rzekł Vautrin ojcowsko-drwiącym tonem – jeśli chcesz błyszczeć w Paryżu, musisz mieć trzy konie i *tilbury* na rano,

karetę wieczór, razem dziewięć tysięcy franków na same wehikuly. Byłbyś niegodny swego losu, gdybyś zostawił tylko trzy tysiące rocznie u krawca, sześćset franków w perfumerii, trzysta u szewca, tyleż u kapelusznika. Co się tyczy praczek, będzie cię kosztowała tysiąc franków. Młodzi ludzie mający powodzenie muszą przestrzegać wzorowo artykułu bielizny: czy to nie jest szczegół najczęściej sprawdzany? Miłość i kościół żądają pięknych obrusów na swoich ołtarzach. Doszliśmy do czternastu tysięcy. Nie mówię, ile stracisz na grę, zakłady, podatki; niepodobna tych drobiazgów liczyć niżej dwóch tysięcy. Prowadziłem to życie, znam jego bilans!... Dodaj do tych pierwszych potrzeb trzysta ludwików na papu, tysiąc franków na dach nad głową. Razem, piękne dziecię, doliczylibyśmy się dwustu pięciu tysięcy na rok, inaczej wleziemy w błoto, ściągniemy na siebie drwiny i możemy pożegnać przyszłość, powodzenie, kochanki! Zapominam służącego i *grooma*⁴⁶! Może Krzysztof będzie nosił twoje czułe bileciki? Czy napiszesz je na papierze, którym dotąd się posługujesz? To byłoby samobójstwo. Wierzaj starcowi pełnemu doświadczenia – dodał *rinforzando*⁴⁷ basem. – Albo przenieś się na cnotliwe poddasze i zawrzyj śluby z pracą, albo obierz inną drogę.

I Vautrin mrugnął okiem, zerkając na pannę Taillefer, jakby chcąc streścić w tym spojrzeniu pokusy, które zasiał w sercu studenta. Upłynęło kilka dni, w czasie których Rastignac prowadził życie nad wyraz rozproszone. Jadł prawie co dzień obiad u pani de Nucingen, której towarzyszył w „świecie”. Wracał o trzeciej lub czwartej rano, wstawał w południe, aby się ubrać, jechał z Delfiną do Lasku, kiedy było ładnie, trwoniąc w ten sposób czas, którego nie znał ceny, i wciągając w płuca wszystkie nauki, wszystkie pokusy zbytku z owym żarem, z jakim niecierpliwy kielich żeńskiego daktyla przyjmuje płodny pyłek swego oblubieńca. Grał grubo, wygrywał lub przegrywał, przyzwyczał się w końcu do hulaszczego trybu młodych paryżan. Z pierwszych wygranych sum odesłał tysiąc pięćset franków matce i siostrze, dołączając upominki. Mimo iż oznajmił, że chce opuścić gospodę pani Vauquer, tkwił w niej jeszcze pod koniec stycznia i nie wiedział, jak się wydostać. Młodzi ludzie ulegają prawie wszyscy prawu na pozór niewytłumaczonemu, ale którego racja płynie z samej ich młodości i z furii, z jaką rzucają się w życie. Bogaci czy biedni, nigdy nie mają pieniędzy na to, co konieczne, ale znajdują je zawsze na swoje zachcenia. Hojni we wszystkim, co na kredyt, skapią na rzeczy, które się płaci gotówką, jak gdyby się mścili za to, czego nie mają, trwoniąc wszystko, co mogą mieć. Toteż aby jasno postawić kwestię, student o wiele więcej dba o kapelusz niż o ubranie. Olbrzymi zysk sprawia, że krawiec skłonny jest do kredytu, gdy nikłość sumy czyni kapelusznika najbardziej nieprzystępnym wśród dostawców, z którymi trzeba paktować. Jeżeli młody człowiek rozparty na balkonie olśniewa lornetki ładnych kobiet przepychem kamizelek, wątpliwe jest, czy ma skarpetki: pończoszki to również czerw sakiewki! Rastignac był w tym położeniu. Zawsze pusta dla pani Vauquer, zawsze pełna dla wymagań próżności sakiewka jego przechodziła fazy księżycowe, w niezgodzie z najnaturalniejszymi wypłatami. Aby opuścić cuchnącą i plugawą gospodę, która co dnia upokarzała jego pretensje, czyż nie musiałby spłacić należności i urządzić wykwiniego apartamentu? Było to wciąż niemożliwe. Aby wydostać pieniądze na grę, Rastignac umiał kupować na kredyt złote zegarki i łańcuszki, drogo opłacane z wygranej, które niósł do lombardu, owego ponurego i dyskretnego przyjaciela młodzieży; był natomiast bez inwencji i energii, gdy chodziło o to, aby opłacić jedzenie, mieszkanie lub kupić niezbędne w życiu światowca przybory. Pospolita konieczność, długi zaciągnięte na zaspokojone już potrzeby niezdolne były go natchnąć. Jak większość tych, co poznali to cygańskie życie, zwlekał do ostatniej chwili z wyrównaniem należności świętych dla mieszczucha. Tak robił Mirabeau, który płacił rachunek za chleb aż wówczas, kiedy się zjawił w piorunującej formie pozwu. W

⁴⁶ *groom* – chłopak do koni (ang.).

⁴⁷ *rinforzando* – mocniejszym głosem (wł.).

tej epoce Rastignac stracił już gotowiznę i wszedł w długi. Student zaczynał rozumieć, że nie podobna mu będzie prowadzić tej egzystencji bez stałych źródeł dochodu. Ale wzdychając nad utrapieniami swej kruchej sytuacji, niezdolny był wyrzec się rozkoszy tego życia, chciał je podtrzymać za wszelką cenę. Przypadki, na które liczył rojąc o fortunie, stawały się chimeryczne, rzeczywiste zaś przeszkody rosły. Poznając sekrety domowe państwa de Nucingen, przekonał się, iż aby znaleźć w miłości narzędzie fortuny, trzeba wypić całą czarę bezwstydu i wyrzec się szlachetnych pojęć, które są rozgrzeszeniem błędów młodości. To życie, świetne na zewnątrz, ale żarte wszystkimi tasiemcami wyrzutu, życie, którego ulotne słodycze okupował drogo ciągłymi zgryzotami, stało mu się nałogiem, tarzał się w nim czyniąc sobie, jak Wartogłów La Bruyere'a⁴⁸, legowisko w błotnym rowie; ale, jak Wartogłów, dotąd walał jedynie odzież.

–Zabiliśmy tedy mandaryna? – rzekł doń pewnego dnia Bianchon, wstając od stołu.

– Jeszcze nie – odparł – ale rzezi.

Student wziął to za żart, a nie było to żartem! Eugeniusz, który pierwszy raz od dłuższego czasu jadł w domu, trwał przez cały czas posiłku w zadumie. Zamiast wyjść po deserze, został w jadalni z panną Taillefer, rzucając od czasu do czasu wymowne spojrzenia w jej stronę. Kilku pensjonarzy siedziało jeszcze przy stole i jadło orzechy, inni przechadzali się, wiodąc rozpoczęte dyskusje. Jak co wieczora, każdy opuszczał pokój, kiedy chciał, zależnie od zainteresowania rozmową albo ociężałością trawienia. W zimie rzadko zdarzało się, aby jadalnia opróżniła się przed ósmą: o tej porze cztery kobiety zostawały same i wynagradzały sobie milczenie, które niewieścia skromność narzucała im w towarzystwie mężczyzn. Uderzony zadumą studenta, Vautrin został w jadalni, mimo iż zrazu miał się do wyjścia; ale uczynił to w ten sposób, aby nie być widzianym przez Eugeniusza. Po czym, zamiast przyłączyć się do ostatniej grupy odchodzących, przycisnął się podstępnie w salonie. Czytał w duszy studenta i przeczuwał zwrot. Rastignac znajdował się w owym niezdecydowanym położeniu, jakie poznało z pewnością wielu młodych. Wiedziona uczuciem czy zalotnością pani de Nucingen wiodła go przez wszystkie męki namiętności, rozwijając niewieścią dyplomację praktykowaną w Paryżu. Naraziwszy się na plotki, aby zagarnąć kuzyna pani de Beauséant, wahała się z udzieleniem mu w rzeczywistości praw, którymi na pozór się cieszył. Od miesiąca drażniła tak skutecznie zmysły Eugeniusza, iż wreszcie dosięgła jego serca. O ile w pierwszych chwilach student uważał się za zwycięzcę, z czasem pani de Nucingen stała się silniejsza, za pomocą tego manewru, który poruszał w Eugeniuszu złe i dobre uczucia owego podwójnego czy potrójnego człowieka, jaki znajduje się w każdym młodym paryżaninie. Wyrachowanie? Nie; kobiety są zawsze szczerze, nawet w fałszu, bo zawsze są posłuszne jakiemuś naturalnemu uczuciu. Może Delfina dawszy młodemu człowiekowi taką władzę i okazawszy mu zbyt wiele sympatii szła za głosem godności, która nakazywała jej albo cofnąć swe ustępstwa, albo przynajmniej je odwlec. Tak naturalne jest u paryżanki, w chwili gdy ponosi ją namiętność, wahać się, doświadczać serca tego, któremu ma wydać swą przyszłość! Wszystkie nadzieje pani de Nucingen doznały zawodu za pierwszym razem, młody egoista nie ocenił jej wierności. Miała prawo być nieufną. Może w zachowaniu się Eugeniusza, który pod wpływem powodzeń stał się próżny, spostrzegła odcień lekceważenia, spowodowanego okolicznościami ich stosunku. Pragnęła zapewne wydać się imponującą tak młodemu chłopcu, być wielką wobec niego, ona, tak długo mała wobec tego, który ją rzucił! Nie chciała, aby Eugeniusz uważał ją za łatwą zdobycz właśnie dlatego, że wiedział, iż należała do de Marsaya. Tam była łupem rozrywki, miłostki prawdziwego potwora, młodego rozpustnika; obecnie sprawiało jej rozkosz przechadzać się po kwitnących alejach miłości, podziwiać ich perspektywy, słuchać ich delikatnego drżenia i dać się długo pieścić niewinnym powiewom. Prawdziwa miłość płaciła za mękę miłości zwodniczej. Ten paradoks

⁴⁸ jeden z typów ludzkich opisanych w „Charakterach” tegoż autora.

będzie, na nieszczęście, częsty, jak długo mężczyźni nie zdadzą sobie sprawy, ile kwiatów koszą w duszy młodej kobiety pierwsze zawody. Jakiegokolwiek zresztą były jej pobudki, Delfina igrała z Rastignakiem i znajdowała w tym przyjemność zapewne dlatego, iż wiedziała, że jest kochana, i miała świadomość, że może zakończyć zgryzoty kochanka wedle swego królewskiego kaprysu kobiety. Przez szacunek dla samego siebie, Eugeniusz nie chciał, aby jego pierwsza bitwa miała się skończyć porażką; upierał się jak strzelec, który chce bezwarunkowo zastrzelić kuropatwę na swym pierwszym w życiu polowaniu. Jego lęki, jego podrażniona ambicja, udane lub prawdziwe rozpacz, wszystko przywiązywało go do tej kobiety. Cały Paryż uważał go za kochanka pani de Nucingen, on zaś nie był z nią ani na krok bliżej niż pierwszego dnia. Nie wiedząc jeszcze, że zalotność kobiety daje niekiedy więcej korzyści, niż miłość jej daje rozkoszy, wpadał w niedorzeczną wściekłość. Nowalio tej kokieterii, w okresie gdy kobieta wzdraga się jeszcze przed miłością, stawały się dlań równie kosztowne, jak były zielone, kwaskowate i rozkoszne w smaku. Niekiedy, widząc się bez grosza, bez przyszłości, myślał, wbrew głosowi sumienia, o fortunie, której możliwość ukazał mu Vautrin w małżeństwie z panną Taillefer. Otóż Eugeniusz znajdował się wówczas w chwili, gdy nędza przemawiała tak głośno, iż uległ prawie mimo woli pokusom straszliwego sfinksa, którego spojrzenia działały nań magnetycznie. Skoro Poiret i panna Michonneau udali się do siebie, Rastignac – w mniemaniu, że nie ma nikogo w pokoju prócz pani Vauquer i pani Couture, która drzemiąc przy piecu robiła włóczkowe mitenki, spojrzawszy na pannę Taillefer tak, że dziewczyna spuściła oczy.

– Czy pan ma jakie zmartwienie, panie Eugeniuszu? – rzekła Wiktoryna po chwili milczenia.

– Któż nie ma swoich zmartwień? – odparł Rastignac. – Gdybyśmy my, młodzi, mogli mieć pewność, że ktoś nas prawdziwie kocha, z oddaniem zdolnym wynagrodzić poświęcenia, do jakich zawsze jesteśmy gotowi, nie istniałyby dla nas zgryzoty.

Panna Taillefer rzuciła mu za całą odpowiedź spojrzenie zgoła niedwuznaczne.

– Pani, panno Wiktoryno, czuje się pewną swego serca dziś, ale czy mogłaby zaręczyć, że się ono nie zmieni?

Uśmiech zjawił się na wargach biednej dziewczyny, niby promień, który wytrysnął z duszy, i tak rozświetlił jej twarz, że Eugeniusz przeraził się tego wybuchu uczucia.

– Jak to! Gdyby jutro była pani bogata i szczęśliwa, gdyby olbrzymia fortuna spadła z chmur na panią, kochałabyś jeszcze ubogiego młodego człowieka, który ci był miły w czasie twoich smutnych dni?

Skinęła z wdziękiem głową.

– Młodego człowieka bardzo nieszczęśliwego?

Nowy znak.

– Cóż za niedorzeczności pan wypłata? – krzyknęła pani Vauquer.

– Niech nas pani zostawi – odparł Eugeniusz. – My się rozumiemy.

– Czyżby to były zrękowiny między kawalerem Eugeniuszem de Rastignac a panną Wiktoryną Taillefer? – rzekł Vautrin grubym głosem, ukazując się nagle w drzwiach jadalni.

– Och! Przestraszył mnie pan – rzekły równocześnie pani Couture i pani Vauquer.

– Uczyniłbym niezgorszy wybór – odparł, śmiejąc się Eugeniusz, którego głos Vautrina przejął najboleśniej wzniesieniem, jakiego kiedykolwiek doznał w życiu.

– Bez niemądrych żartów, panowie! – rzekła pani Couture. – Moje dziecko, idziemy do siebie.

Pani Vauquer udała się za stołowniczkami, aby oszczędzić świecy i ognia, spędzając wieczór w ich pokoju. Eugeniusz znalazł się sam na sam z Vautrinem.

– Wiedziałem, że do tego dojdiesz – rzekł ów człowiek, zachowując niezmaconą zimną krew. – Ale słuchaj pan! I ja mam swoją delikatność, jak każdy inny. Nie decyduję się w tej chwili, nie jesteś w normalnym usposobieniu. Masz długi. Nie chcę, abyś mi się oddał w ręce

pod wpływem namiętności, z rozpaczy; chcę, byś to uczynił z wyrozumowania. Może panu trzeba jakiego tysiąca talarów? Ot, chce pan?

Demon wydobyl z kieszeni pulares i wyjal trzy banknoty, którymi błysnął przed oczami studenta. Eugeniusz znajdował się w strasliwym położeniu. Winien był margrabiemu d'Ajuda i hrabiemu de Trailles sto ludwików przegranych na słowo. Nie miał ich, nie śmiał iść wieczór do pani de Restaud, gdzie go oczekiwano. Był to jeden z owych wieczorów „bez ceremonii”, gdzie się chrupie ciasteczka, pije herbatę, ale gdzie można przegrać sześć tysięcy franków w wista.

– Panie – rzekł Eugeniusz, ukrywając z trudem konwulsyjne drżenie – po tym, co mi pan zwierzył, rozumie pan, że niepodobna mi zaciągać wobec niego zobowiązań.

– Bravo! Uczyniłbyś mi przykrość, mówiąc inaczej – odparł kusiciel. – Wspaniały z ciebie młodzieniec, delikatny, dumny jak lew, a słodki jak panienka. Piękny łup dla diabła! Lubię ten gatunek. Jeszcze parę refleksji z zakresu wysokiej polityki, a ujrzysz świat, jakim jest. Odgrywając komedię cnoty, człowiek wyższy czyni zadość wszystkim swoim zachceniom, wśród hucznego oklasku głupców cisnących się na parterze. Za niewiele dni będziesz należał do nas. Och! Gdybyś chciał zostać moim uczniem, doprowadziłbym cię do wszystkiego. Ledwie byś powziął pragnienie, już byłoby zniszczone, czegokolwiek mógłbyś sobie życzyć: zaszczytów, fortuny, kobiet... Podalibyśmy ci całą cywilizację w formie ambrozji. Byłbyś naszym pieśczoneym dzieckiem, beniaminkiem, dalibyśmy się wszyscy z przyjemnością zatracić dla ciebie. Zmiażdżylibyśmy wszystko, co by ci było przeszkodą. Masz skrupuły, bierzesz mnie zatem za zbrodniarza? Otóż człowiek, który posiadał tyleż uczciwości, ile ty jej masz jeszcze we własnym mniemaniu, wielki Turenne⁴⁹, wchodził, nie sądząc, aby mu to ubliżało, w konszachty z opryszkami. Nie chcesz mi być zobowiązany, co? O to mniejsza – ciągnął Vautrin, uśmiechając się. – Weź te świstki i napisz tutaj – rzekł, wyjmując weksel – o tu, w poprzek: „Akcept na sumę trzech tysięcy pięciuset franków, płatny za rok od daty”. I połóż datę! Procent jest dość pokaźny, aby ci odjąć wszelki skrupuły; możesz mnie nazywać lichwiarzem i zwolnić się od wszelkiej wdzięczności. Pozwalam ci gardzić mną dzisiaj, z tą pewnością, że później będziesz mnie kochał. Znajdziesz we mnie owe bezbrzeżne przepaści, owe potężne skupienia uczuć, które głupcy nazywają występkiem; ale nie ujrzysz mnie nigdy tchórzem ani niewdzięcznikiem. Bo nie jestem ani pionkiem, ani laufrem, lecz wieżą, mój chłopcze.

– Cóż za człowiek z pana! – wykrzyknął Eugeniusz. – Urodziłeś się chyba po to, aby mnie dręczyć.

– Ależ nie, ja jestem dobry człeczyna, który chce się upaćkać, abyś ty mógł zostać czysty od błota na całe życie. Spytasz, czemu to poświęcenie? Dobrze, powiem ci to po cichu, kiedyś, w samo ucho. Zdumiałem cię raz, pokazując ci mechanizm społeczeństwa; ale twój pierwszy lęk przejdzie jak strach rekruta na polu bitwy. Nauczysz się patrzeć na ludzi jak na żołnierzy, gotowych zginąć dla służby tych, którzy się sami namaszczą na królów. Czasy zmieniły się bardzo! Niegdyś mówiło się do zucha: „Oto sto talarów, sprzątnij mi tego jegomościa”; i wieczerało się spokojnie skrywszy pod ziemię człowieka za jedno skrzywienie. Dziś ofiaruję ci fortunę w zamian za skinienie głowy, które nie naraża cię w niczym, i ty się wahasz! Miękką epoką!

Eugeniusz podpisał weksel i wręczył go w zamian za banknoty.

– Więc dobrze, teraz pomówmy rozsądnie – ciągnął Vautrin. – Chcę, od dziś za kilka miesięcy, puścić się do Ameryki uprawiać tytoń. Przyślę co trochę cygar jako przyjacielski upominek. Jeżeli zrobię majątek, będę ci pomagał. Jeżeli nie będę miał dzieci (rzecz prawdopodobna, nie palę się do tego, aby utrwałać rasę), zapiszę ci majątek. Czy to się nazywa przyjaźń? Tak, ja ciebie kocham. Mam namiętność poświęcania się. Już to robiłem.

⁴⁹ Henry Turenne – marszałek Francji.

Widzisz, chłopcze, ja żyję w sferze wyższej niż inni. Uważam czyny za środki, a widzę jedynie cel. Co jest dla mnie człowiek? – Ot tyle! – rzekł strzelając paznokciem o ząb. – Człowiek to wszystko lub nic. Mniej niż nic, kiedy się nazywa Poiret: można go zdeptać jak pluskwę, jest płaski i cuchnie. Ale człowiek jest bogiem, kiedy jest podobny do ciebie: to już nie okryty skórą automat, to teatr, na którym poruszają się najpiękniejsze uczucia, a ja żyję jedynie uczuciami. Uczucie – czyż to nie jest świat zawarty w myśli? Patrz na ojca Goriot: córki są dlań całym światem, nitką, która go porusza. Otóż dla mnie, który dobrze zgłębiłem życie, istnieje tylko jedno rzeczywiste uczucie: przyjaźń między dwoma mężczyznami. Piotr i Jaffier⁵⁰ oto moja namiętność. Umiem „Wenecję ocaloną” na pamięć. Czyś dużo widział ludzi tęgich, aby kiedy kamrat im powie: „Chodźmy pochować człowieka!”, poszli nie mruknawszy słowa i nie nudząc go morałami? Ja to zrobiłem. Nie mówiłbym do każdego w ten sposób. Ale ty jesteś człowiek wyższy, można ci wszystko powiedzieć, umiesz zrozumieć. Nie będziesz długo sterczał w tych bajorach, w których żyją płazy, jakie nas tu otaczają. A zatem wszystko ułożone. Ożenisz się. Niech każdy z nas dobędzie swojej klingi! Moja jest z żelaza i nie mięknie nigdy, he, he!

Vautrin wyszedł, nie chcąc słyszeć przeczącej odpowiedzi studenta, aby mu zostawić swobodę. Można by rzec, iż zna tajemnicę owych wzdragań, walk, w które ludzie stroją się przed sobą i które pomagają im usprawiedliwić naganne czynności.

– Niech robi, co mu się podoba, to pewna, że się nie ożenię z panną Taillefer – rzekł sobie Eugeniusz.

Przeszedłszy wzruszenia gorączki, spowodowanej myślą o sojuszu z tym człowiekiem, który budził w nim wstręt, ale który rósł w jego oczach cynizmem poglądów i odwagą, z jaką ogarniał społeczeństwo, Rastignac ubrał się, posłał po dorożkę i pojechał do pani de Restaud. Od kilku dni kobieta ta zdwoiła uprzejmość dla młodego człowieka, którego każdy krok był postępek w sercu wielkiego świata i którego wpływ zapowiadał się na przyszłość groźnie. Zapłacił dług panom de Trailles i d'Ajuda, grał w wista do późna i odegrał to, co stracił. Przesądny jak większość ludzi mających przed sobą dzieło życia i stojących się mniej lub więcej fatalistami, chciał widzieć w swoim szczęściu nagrodę nieba za wytrwałość, z jaką upierał się zostać na dobrej drodze. Nazajutrz rano skwapliwie spytał Vautrina, czy ma jeszcze ów weksel. Na twierdzącą odpowiedź oddał mu trzy tysiące franków, objawiając dość naturalne zadowolenie.

– Wszystko idzie dobrze – rzekł Vautrin.

– Ależ ja nie mam z panem nic wspólnego – rzekł Eugeniusz.

– Wiem, wiem – przerwał Vautrin. – Jeszcze tkwisz w swoich dzieciństwach! Robisz ceremonie sam ze sobą.

W dwa dni później Poiret i panna Michonneau siedzieli na ławce w słońcu w ustronnej alei Botanicznego Ogrodu i rozmawiali z człowiekiem, który słuchaczowi medycyny słusznie wydawał się podejrzany.

– Droga pani – mówił pan Gondureau – nie rozumiem, skąd biorą się pani skrupuły. Jego ekscelencja pan minister policji...

– A! Jego ekscelencja pan minister!... – powtórzył Poiret.

– Tak, jego ekscelencja interesuje się tą sprawą – rzekł Gondureau.

Komu nie wyda się dziwne, że Poiret, były urzędnik, wcielenie cnót mieszczańskich, mimo iż wyzuty z mózgu, słuchał dalej rzekomego rentiera z ulicy Buffon, z chwilą gdy ten wymówił słowo „policja”, odsłaniając w ten sposób fizjonomię szpicla pod maską uczciwego człowieka? Nic prostszego wszakże. Aby lepiej zrozumieć specjalny gatunek, do jakiego, wśród wielkiej rodziny głupców, należał Poiret, wystarczy spostrzeżenie dokonane przez

⁵⁰ Piotr i Jaffier – bohaterowie dramatu Otwaya „Wenecja ocalona”; po zdekonspirowaniu ich spisku, Jaffier zabija uwięzionego Piotra, chcąc oszczędzić mu tortur, sam zaś popełnia samobójstwo.

wielu obserwatorów, ale dotąd nie utrwalone drukiem. Istnieje naród „pióronośny”, wciśnięty w budzecie między pierwszym stopniem szerokości, który obejmuje płace tysiąca dwustu franków – rodzaj Grenlandii biurokratycznej – a trzecim stopniem, gdzie zaczynają się płace nieco cieplejsze, od trzech do sześciu tysięcy, strefa umiarkowana, gdzie kielkuje, ba, kwitnie nawet, mimo trudności hodowli, „gratyfikacja”. Znamiennym rysem, który lepiej ujawnia cherlawą płaskość tego mizernego plemienia, jest rodzaj mimowolnego, machinalnego, instynktownego szacunku dla owego Wielkiego Lamy we wszelkim misterium, znanego urzędnikom z nieczytelnego podpisu pod mianem Jego Ekscelencji Pana Ministra, czterech słów równoznacznych z *il Bando Cani* w „Kalifie bagdadzkim”⁵¹. Słowo to w oczach tego płaszczącego się ludu przedstawia potęgę świata, bez odwołania. Jak papież dla chrześcijan, Ekscelencja jest nieomylna w oczach urzędnika; blask, jaki rzuca, udziela się Jej aktom, słowom, tym, które wygłasza się w Jej imieniu, pokrywa wszystko swoim haftem i uprawnia czynności, które nakazuje; miano Ekscelencji, które stwierdza czystość intencji i świętość zamiarów, służy za paszport najwątpliwszym uczynkom. To, czego ci biedni ludzie nie uczyniliby w swoim interesie, pełnią skwapliwie z chwilą, gdy słowo „Jego Ekscelencja” pogłaszcze ich uszy. Biurokracja ma swoje bierne posłuszeństwo jak armia swoje: system, który dławi sumienie, unicestwia człowieka i w końcu czyni zeń śrubkę lub mutrę w machinie administracyjnej. Toteż pan Gondureau, który widać znał się na ludziach, poznał rychło w Poirecie jednego w owych tumanów biurokratycznych i wydobył swoje *deus ex machina*, czarodziejskie miano „Jego Ekscelencji”, w chwili gdy trzeba było, odsłaniając swoje baterie, olśnić Poireta, który zdawał się samczykiem jejmościanki Michonneau, jak jejmościanka Michonneau samiczką Poireta.

– Z chwilą gdy sam ekscelencja, Jego Ekscelencja pan minister... A, to całkiem co innego – rzekł Poiret.

– Słyszysz pani, co mówi pan Poiret, w którego sędzie pokłada pani zaufanie – podjął rzekomy rentier, zwracając się do panny Michonneau. – Otóż, Jego Ekscelencja ma obecnie pewność, że mniemany Vautrin, zamieszkały z gospodzie Vauquer, jest zbrodniarzem zbiegłym z galer tulońskich, gdzie znają go pod przydomkiem „Ołży-Śmierci”.

– A, Ołży-Śmierć? – rzekł Poiret. – Szczęśliwy człowiek, jeżeli zasłużył na to imię.

– Najzupełniej – odparł agent. – Przydomek ten zawdzięcza szczęściu, z jakim zdołał zawsze ocalić życie wśród ryzykownych przedsięwzięć, na które się ważył. Niebezpieczna sztuka, ho! ho! Posiada on przymioty, które czynią zeń nadzwyczajnego człowieka. Nawet jego skazanie to coś, co przyniosło mu w jego świecie wiele honoru...

– Więc to człowiek honorowy? – spytał Poiret.

– Na swój sposób. Zgodził się wziąć na siebie zbrodnię drugiego, fałszerstwo dokonane przez nader urodziwego młodego człowieka, którego bardzo kochał, młodego Włocha nieco lubiącego grę... Młodzian ten wstąpił później do wojska, gdzie zresztą prowadzenie jego było bez zarzutu.

– Ale jeżeli Jego Ekscelencja pan minister policji ma pewność, że pan Vautrin to jest ów Ołży-Śmierć, po cóż mu jeszcze mojej pomocy! – spytała panna Michonneau.

– Pewność! – rzekł Poiret. – W istocie, jeżeli minister, jak pan był łaskaw nam oświadczyć, posiada niejaką pewność...

– Pewność, tego nie można powiedzieć, ale podejrzenie. Zaraz zrozumiecie. Jakub Collin, zwany Ołży-Śmierć, posiada zaufanie trzech galer, które obrały go swoim agentem i bankierem. Ciągnie wielkie zyski z tego rodzaju interesów, które z konieczności wymagają człowieka nacechowanego...

– A, a! rozumie pani kalambur? – rzekł Poiret. – Vautrin człowiek nacechowany.

– Rzekomy Vautrin – ciągnął agent – przyjmuje kapitały panów zbrodniarzy, umieszcza je,

⁵¹ *il Bando Cani* – zaklęcie z popularnej opery Boieldieu.

przechowuje i trzyma do rozporządzenia tych, którzy zdołają się wymknąć, ich rodzin, jeśli tak postanowili w testamencie, lub kochanek, o ile wydadzą polecenie w tym sensie.

– Kochanek! Chce pan powiedzieć żon? – zauważył Poiret.

– Nie, panie. Zbrodniarze posiadają zazwyczaj jedynie nieprawne żony, które zwiemy nałożnicami.

– Żyją tedy wszyscy w stanie małżeństwa?

– Oczywiście.

– A, wie pan – rzekł Poiret – to skandal, którego pan minister nie powinien cierpieć. Skoro pan masz zaszczyt widywać Jego Ekscelencję, do pana, który zdajesz się przeniknięty duchem filantropii, należy oświecić go co do niemoralnego prowadzenia się tych ludzi, dających w tej mierze bardzo zły przykład reszcie społeczeństwa.

– Ależ panie, rząd nie trzyma ich na galerach po to, aby służyli za wzór cnót...

– To prawda. Jednakże, przyzna pan...

– Pozwól panu mówić, kotusieczku – rzekła panna Michonneau.

– Rozumie pani tedy sprawę – podjął Gondureau. – Rząd może mieć wielki interes w tym, aby położyć rękę na nielegalnej kasie, która sięga ponoć wcale okazałej kwoty: Ołży-Śmierć inkasuje znaczne walory, przechowując nie tylko sumy, będące własnością licznych towarzyszy, ale także depozyty Stowarzyszenia Dziesięciu Tysięcy...

– Dziesięć tysięcy złodziei! – wykrzyknął Poiret przerażony.

– Nie, Stowarzyszenie Dziesięciu Tysięcy jest kompanią złodziei w wielkim stylu, ludzi, którzy operują na wielką skalę i nie biorą się do sprawy, gdy nie ma najmniej dziesięciu tysięcy franków do zarobienia. Kompania ta to śmietanka naszej klienteli, która staje przed sądem przysięgłych. Ci ludzie znają kodeks i nie narażają się nigdy na paragraf o karze śmierci, w razie gdy ich przychwycą. Collin jest ich mężem zaufania, doradcą. Przy pomocy swoich olbrzymich środków człowiek ten zdołał sobie stworzyć własną policję, rozległe stosunki, które osłania nieprzeniknioną tajemnicą. Mimo iż od roku otoczyliśmy go szpiegami, nie mogliśmy jeszcze przeniknąć jego gry. Jego kasa i talenty służą tedy ciągle po to, aby wspierać występki, dostarczać zasobów zbrodni i utrzymywać armię nicponiów w wojnie ze społeczeństwem. Chwycić Collina i dostać w ręce jego bank, to by znaczyło uciąć zło u samych korzeni. Toteż ta wyprawa stała się sprawą stanu, sprawą polityczną, zdolną okryć chwałą tych, którzy się przyczynią do jej powodzenia. Pan sam, proszę pana, będziesz mógł wrócić do urzędu, zostać sekretarzem komisarza policji, które to czynności nie przeszkadzają panu pobierać nadal emerytury.

– Ale dlaczego – rzekła panna Michonneau – ten Collin nie ulotni się z kasą?

– Och! – rzekł agent – gdziekolwiek by się udał, podążyłby za nim człowiek, mający zlecenie zabić go, o ile by okradł galery. Następnie kasy nie da się wykraść tak łatwo, jak się wykrada panę z dobrego domu. Zresztą Collin to zuch niezdolny uczynić czegoś podobnego, uważałby to sobie za hańbę.

– Tak – rzekł Poiret – ma pan słuszość, to by go bezwarunkowo okryło hańbą.

– Wszystko to nie tłumaczy, czemu panowie nie chcecie go po prostu uwięzić – zauważyła panna Michonneau.

– Zatem, proszę pani, wytłumaczę się jaśniej... Ale – rzekł jej do ucha – niech pani nie pozwoli panu Poiret przerywać, inaczej nigdy nie dojdziemy do końca. Starowina musiałby mieć gruby majątek, aby znaleźć sobie słuchaczy. Ołży-Śmierć, przybywając tutaj, wdział skórę uczciwego człowieka, przedzierzgnął się w paryskiego mieszczaucha, stanął w przyzwoitym pensjonacie; to sprytny ptaszek, ho, ho! Nie da się zaskoczyć zatem, pan Vautrin to jest szanowny jegomość, mający znaczniejsze interesy.

– Oczywiście – rzekł Poiret do siebie.

– Otóż gdyby się nam zdarzyło pomylić i uwięzić prawdziwego pana Vautrin, minister nie ma ochoty wzburzyć przeciw sobie paryskiego kupiectwa ani opinii. Prefekt policji nie siedzi

zbyt pewnie na krześle, ma wrogów. Gdyby się okazała pomyłka, ci, którzy dybią na jego miejsce, skorzystaliby z ujadań i wrzasku liberalnych pismaków, aby go wysadzić. Chodzi o to, aby sobie tu postąpić jak w sprawie Cogniarda, fałszywego hrabiego de Saint-Hélène; gdyby to był prawdziwy hrabia de Saint-Hélène, ładnie byśmy wpadli. Toteż trzeba sprawdzić!

– Tak, ale na to trzeba panom ładnej kobiety – rzekła żywo panna Michonneau.

– Ołży-Śmierć nie dałby się wziąć kobiecie – rzekł agent. – Zdradzę pani jego tajemnicę: nie lubi kobiet.

– Ależ nie widzę w takim razie, na co mogę być potrzebna do podobnej konfrontacji, w przypuszczeniu, że zgodziłabym się to uczynić za dwa tysiące franków.

– Nic łatwiejszego – rzekł nieznajomy. – Doręcę pani flakon zawierający dawkę płynu przyrządzonego tak, aby spowodować uderzenie krwi, które nie grozi żadnym niebezpieczeństwem, a udaje apopleksję. Miksturę tę można domieszać zarówno do wina, jak do kawy. Natychmiast każe go pani przenieść do łóżka i rozbierzesz go dla przekonania się, czy żyje. W chwili gdy pani znajdzie się z nim sama, klapnie go pani po ramieniu, paf! i ujrzy pani, jak wystąpią litery.

– Ależ to bagatela – rzekł Poiret.

– I cóż, zgadza się pani? – rzekł Gondureau do starej panny.

– Ale proszę pana – rzekła panna Michonneau – w razie gdyby nie było liter, czy także dostanę dwa tysiące?

– Nie.

– Ile wtedy?

– Pięćset franków.

– Robić taką rzecz za tak małą kwotę! Dla sumienia to wychodzi na jedno, a ja muszę uspokoić swoje sumienie.

– Upewniam pana – rzekł Poiret – że panna Michonneau ma bardzo czule sumienie, nie mówiąc, iż jest to osoba nader miła i inteligentna.

– Zatem – podjęła panna Michonneau – niech pan da trzy tysiące, jeżeli to jest Ołży-Śmierć, a nic jeżeli porządny człowiek.

– Stoi – rzekł Gondureau. – Ale pod warunkiem, że załatwimy się z tym jutro.

– Jeszcze nie, drogi panie, muszę poradzić się spowiednika.

– Filutka – rzekł agent wstając z ławki. – Do jutra tedy. A gdyby pani potrzebowała pilno ze mną mówić, przyjdź pani na uliczkę Świętej Anny, w rogu dziedzińca Sainte-Chapelle. Są tylko jedne drzwi. Pytać o pana Gondureau.

Bianchon, który wracał z wykładu Cuviera, zwrócił uwagę na oryginalny przydomek Ołży-Śmierć, który dobiegł jego ucha, oraz usłyszał owo: Stoi! słynnego naczelnika policji.

– Czemu pani nie dobije sprawy? To by dało trzysta franków dożywocia – rzekł Poiret do panny Michonneau.

– Czemu? – rzekła. – Ależ trzeba się zastanowić. Gdyby pan Vautrin był tym Ołży-Śmierć, może korzystniej byłoby z nim się ułożyć. Tak, ale prosić go o pieniądze, to by znaczyło ostrzec go, a ten człowiek byłby zdolny dać nogę *gratis*. To byłby szkaradny psikus.

– Gdybyśmy go nawet uprzedzili – rzekł Poiret – czyż ten jegomość nie mówił, że on jest pod dozorem? Pani zaś straciłaby wszystko.

Przy tym – pomyślała panna Michonneau – ja nie lubię tego człowieka! Zawsze ma mi tylko coś przykrego do powiedzenia,

– Ze wszystkich względów – dodał Poiret – tak będzie lepiej. Wedle tego, co mówił ten pan, który wydaje się bardzo przyzwoitym człowiekiem, obowiązkiem obywatelskim jest uwolnić społeczeństwo od zbrodniarza, choćby nawet był pełen cnót. Czym skorupka nasiąknie, tym trąci. Gdyby mu przyszła ochota wymordować nas wszystkich? Toż u diabła! Bylibyśmy winni wszystkich jego mordów, nie licząc, że padlibyśmy pierwsi ich ofiarą.

Panna Michonneau zbyt była pochłonięta myślami, aby słuchać zdań kapiących z ust Poireta niby krople wody przez źle zamknięty kurek. Skoro starzec zaczął serię aforyzmów, a panna Michonneau go nie zatrzymała, mówił ciągle jak automat. Rozpocząwszy jakiś temat przechodził w szeregu nawiasów do tematów zupełnie przeciwnych, bez żadnej konkluzji. Dochodząc do bramy zabrął w wywody i cytaty, przytaczając szeroko swoje zeznania w sprawie pana Ragoulleau i pani Morin, gdzie go strona wezwała jako świadka. Wchodząc towarzyszką jego zauważyła Eugeniusza zatopionego z panną Taillefer w pogawędce, która tak pochłaniała oboje, że para ta nie zwróciła najmniejszej uwagi na dwoje starych pensjonarzy mijających jadalnię.

– Musiało się tak skończyć – rzekła panna Michonneau do Poireta. – Robili do siebie od tygodnia słodkie oczy, aż mdło było patrzeć.

– Tak – odparł. – Toteż skazano ją.

– Kogo?

– Panią Morin.

– Ja mówię o Wiktorynie – rzekła panna Michonneau, która weszła machinalnie do pokoju Poireta – a pan mi opowiada o pani Morin. Cóż to znowu za jedna?

– A cóż zawiniła panna Wiktoryna? – spytał Poiret.

– Zawiniła to, że kocha się w panu de Rastignac i brnie coraz dalej, nie wiedząc, dokąd ją to zaprowadzi, biedną trusie!

Tego dnia pani de Nucingen przywiodła Eugeniusza do rozpacz. W duszy oddał się już zupełnie Vautrinowi, nie chcąc zgłębiać ani pobudek przyjaźni, jaką obdarzył go ten niezwykły człowiek, ani przyszłości podobnego związku. Trzeba było cudu, aby go wydobyć z otchłani, gdzie tkwił już jedną nogą od godziny, wymieniając z panną Taillefer najśłodsze obietnice. Wiktorynie zdawało się, że słyszy głos anioła; niebo się jej otwierało, pensjonat pani Vauquer stroił się fantastycznymi barwami, jakie dekoratorzy dają teatralnym pałacom; kochała, była kochaną, wierzyła w to przynajmniej! I któraż kobieta nie uwierzyłaby jak ona, widząc Rastignaca, słuchając go przez tę godzinę wykradzioną domowym argusom⁵²? Pasując się ze swym sumieniem, wiedząc, że czyni źle i chcąc czynić źle, powiadając sobie, że odkupi ten błahy grzech szczęściem kobiety, piękny był swą rozpaczą, błyszczał wszystkimi ogniami piekła, które miał w sercu. Szczęściem dlań cud spełnił się: Vautrin wszedł radośnie, wyczytał prawdę w duszy dwojga młodych, których skojarzył kombinacją swego piekielnego geniuszu, ale których radość zmaćcił nagle, nucąc grubym, szyderczym głosem:

*Franusia, dziewczeczka urocza
Skromnością, co bije jej z lic...*

Wiktoryna pierzchła unosząc tyle szczęścia, ile dotąd zaznała niedoli. Biedna dziewczyna! Uścisk ręki, policzek muśnięty włosami Eugeniusza, szept, od którego uczuła ciepło warg studenta, drżące ramię dokoła kibici, pocałunek, który ześliznął się po szyi, oto zrękowiny jej serca, które przez sąsiedztwo Sylwii, grożącej wtargnięciem do tej promiennej jadalni, były tym gorętsze, tym żywsze, bardziej kuszące niż najpiękniejsze dowody tkliwości opowiedziane w sławnych historiach miłosnych. Te „zadatki uczucia”, wedle ładnego wyrażenia naszych przodków, wydawały się zbrodnią nabożnej dziewczynie, spowiadającej się co dwa tygodnie! W godzinę rozrzuciła więcej skarbów duszy, niż później, bogata i szczęśliwa, mogłaby dać oddając całą siebie.

– Sprawa ubita – rzekł Vautrin do Eugeniusza. – Panicze starli się. Wszystko odbyło się

⁵² domowe argusy – czujni strażnicy. Argus – stuoki strażnik jednej z kochanek Zeusa nasłany przez zazdrosną Herę (mit. gr.).

nader przyzwoicie. Rzecz opinii. Gołąbek obraził mego sokoła. Spotkanie jutro w reducie Clignancourt. O wpół do dziewiątej panna Taillefer odziedziczy miłość i majątek ojca, w chwili gdy będzie spokojnie maczała grzaneczki w rannej kawie. Czy to nie zabawne? Ten mały Taillefer jest tęgi gracz na szpady; pewny siebie jak cztery tuzy w garści; ale rozciągniemy go ciosem mego wynalazku; ot, podbija się szpadę i jazda w samo czoło. Nauczę cię tego pchnięcia, jest diabelnie użyteczne.

Rastignac słuchał tępo i nie mógł nic odpowiedzieć. W tej chwili weszli ojciec Goriot, Bianchon i paru stołowników.

– Oto jakim cię pragnąłem – rzekł Vautrin. – Wiesz, co robisz. Dobrze, moje orlątko! Będziesz panował nad ludźmi, jesteś mocny, jurny, z pazurami; masz mój szacunek.

Chciał go ująć za rękę, Rastignac cofnął żywo swoją i upadł na krzesło blednąc; zdawało mu się, że widzi przed sobą kałużę krwi.

– Ach, jeszcze grzebiemy się w pieluszkach zwalanych cnotą – rzekł Vautrin po cichu. – Papa Doliban ma trzy miliony, znam cyfrę. Posag uczyni cię białym jak sukienka oblubienicy, i to w twoich własnych oczach.

Rastignac nie wahał się już. Postanowił iść uprzedzić w ciągu wieczora pana Taillefer i jego syna. W tej samej chwili, skoro Vautrin go opuścił, ojciec Goriot szepnął mu:

– Smutny jesteś dziecko! Ja cię rozweślę, czekaj. Chodź. I stary handlarz mąki zapalił swój stoczek⁵³ o lampę. Eugeniusz udał się za nim, wzruszony i zaciekawiony.

– Wejdźmy do ciebie – rzekł poczcwiwiec, który wziął u Sylwii klucz od pokoju studenta. – Myślałeś dziś rano, że ona cię nie kocha, co? – ciągnął. – Odprawiła cię gwałtem i ty odszedłeś pogniewany, zrozpaczony. Oj, ty dzieciaku. Ona czekała na mnie. Czy rozumiesz? Mieliśmy iść wykończyć cacy-apartamencik, do którego przeniesiesz się za trzy dni. Nie zdradz mnie. Delfinka chce ci zrobić niespodziankę, ale ja nie mam serca dłużej ci ukrywać. Zamieszkaś przy ulicy d'Artois, dwa kroki od ulicy Saint-Lazare. Będiesz tam jak książę. Wybraliśmy ci mebelki jak dla panny młodej. Dużośmy rzeczy załatwiali od miesiąca, nie mówiąc ci o niczym. Mój adwokat wziął się do rzeczy, Delfinka będzie miała swoich trzydzieści sześć tysięcy rocznie, procent od posagu; zażadam ulokowania jej ośmiuset tysięcy franków w ziemi.

Eugeniusz oniemiał; przechadzał się z założonymi rękami po izdebce pełnej nieładu. Ojciec Goriot pochwycił chwilę, w której student odwrócił się doń plecami, i położył na kominku czerwone safianowe puzderko, na którym widniał wyciśnięty w złocie herb Rastignaców.

– Moje drogie dziecko – mówił biedny starowina – naharowałem się koło tego, że niech Bóg zachowa. Ale, widzisz, było w tym wiele egoizmu: ja także chcę coś zyskać na twojej przeprowadzce. Nie odmówisz mi, co, jeśli cię poproszę o jedną rzecz?

– Czego pan żąda!

– Na piątym piętrze nad twoim mieszkaniem jest pokój, który do niego należy; zamieszka tam, nieprawdaż? Robię się stary, za daleko mi do córki. Nie będę cię krępował. Ot, tyle że będę blisko. Będziesz mi mówił o niej co wieczora. To ci nie zrobi przykrości, prawda? Kiedy wrócisz do domu, a ja już będę w łóżku, usłyszę cię, powiem sobie: „Przed chwilą rozstał się z moją Delfinką. Był z nią na balu, szczęśliwa jest z nim”. Gdybym był chory, byłoby mi balsamem słyszeć, jak wracasz, ruszasz się, wychodzisz. Tyle będzie w tobie z mojej córki! Będę miał tylko dwa kroki, aby się znaleźć na Polach Elizejskich, gdzie jeżdżą co dzień; będę je widział zawsze, teraz spóźniam się niekiedy. A potem ona może przyjdzie czasem do ciebie! Usłyszę ją, ujrzę w rannej sukience, jak śpieszy, jak pomyka niby młoda kotka. Od miesiąca stała się tym, czym była dawniej, młodą dziewczyną, wesołą, rozbawioną. Dusza jej przychodzi do zdrowia, tobie zawdzięcza szczęście. Och! Nie ma

⁵³ stoczek – świeczka.

rzeczy, której bym nie zrobił dla ciebie. Przed chwilą, gdyśmy wracali, Delfinka rzekła: „Papuśku, jestem bardzo szczęśliwa!” Kiedy mi mówią ceremonialnie: „ojcze”, mrożą mnie; ale kiedy mnie nazywają papuśkiem, zdaje mi się, że widzę je jeszcze małe, wracają mi wszystkie wspomnienia. Bardziej czuję się ich ojcem, wydaje mi się, że jeszcze nie należą do nikogo!

Pocziwiec tarł oczy, płakał.

– Od dawna już nie słyszałem tego słowa, od dawna już nie trzymałem jej pod rękę. Och, tak niedługo będzie dziesięć lat, jak nie szedłem obok żadnej z córek. Jak to miło ocierać się o jej suknię, stosować się do jej kroku, czuć jej ciepło! Towarzyszyłem dziś rano mojej Delfince wszędzie. Chodziłem z nią po sklepach, odprowadziłem ją do domu. Och! Weź mnie do siebie. Czasem może się zdarzyć, że będziesz potrzebował jakiejś usługi: będę tuż. Och! Gdyby ten kloc alzacki umarł, gdyby podagra miała tyle rozumu, aby mu się rzucić na serce, jakaż Delfinka byłaby szczęśliwa! Byłbyś moim zięciem, byłbyś jawnie jej mężem. Och, ona jest taka biedna, nie znalazła nic ze słodyczy życia, rozgrzeszam ją ze wszystkiego. Dobry Bóg musi być zawsze po stronie ojców, którzy bardzo kochają. Ona zanadto cię kocha! – rzekł po pauzie, potrząsając głową. – Po drodze rozmawiała ze mną o tobie. „Nieprawdaż, ojczulku, jaki on miły! Jakie ma dobre serce! Czy mówi o mnie?” Ba, tomy całe nagadała mi przez ten kawałek drogi! Przeląła całe swoje serce w moje. Cały ten rozkoszny ranek nie czułem się stary, lekki byłem jak piórko. Powiedziałem jej, żeś mi oddał owe tysiąc franków. Złota dziecina wzruszona była do łez. Co pan tam ma na kominku? – rzekł w końcu ojciec Goriot, który umierał z niecierpliwości, widząc, że Rastignac stoi nieruchomo.

Eugeniusz oszołomiony patrzył na sąsiada z otępiłą twarzą. Ten pojedynek oznajmiony na jutro przez Vautrina stanowił tak gwałtowny kontrast ze spełnieniem najdroższych nadziei młodzieńca! Miał uczucie jakiego koszmaru. Obrócił się do kominka, ujrzał puzderko i znalazł wewnątrz śliczny zegarek Brégueta, zawinięty w papier. Na papierze były te słowa:

Chcę, aby pan myślał o mnie o każdej godzinie, dlatego że...

Delfina

To ostatnie słowo mieściło zapewne aluzję do jakiejś sceny, która zaszła między nimi. Eugeniusz patrzył rozczulony. Herb jego błyszczał w emalii na złotej tafli puzderka. Klejnot ten od tak dawna upragniony, zegarek, kluczyk, kształt, rysunek odpowiadały wszystkim jego marzeniom. Ojciec Goriot promieniał. Przyrzekł zapewne córce, że zda jej sprawę z najmniejszych objawów wrażenia, które niespodzianka uczyni na Eugeniuszu, stary bowiem dzielił z nimi te młode wzruszenia i wydawał się nieomal najszczęśliwszym z trojga. Kochał już Rastignaca za córkę i za siebie.

– Pójdiesz tam dziś wieczór, ona czeka na ciebie. Ten kloc alzacki wieczerza u swojej tancerki. Ha, ha! Głupią miał minę, kiedy mój adwokat wypalił mu *verba veritatis*. Łajdak twierdzi, że kocha moją córkę do szaleństwa! Niech jej tknie tylko, a utrupię go.

Myśl o tym, że moja Delfinka należy do... (westchnął), popchnęłaby mnie do zbrodni; ale to by nie było zabójstwo człowieka; to głowa wołu na ciele wieprza. Weźmiesz mnie do siebie, nieprawdaż?

– Tak, pocziwy ojcze Goriot, wiesz dobrze, że cię kocham.

– Widzę to, och, ty się mnie nie wstydzisz! Pozwól mi się uściskać!

I objął studenta.

– Dasz jej dużo szczęścia, przyrzeknij mi! Pójdiesz do niej dziś wieczór, prawda?

– Och, tak. Muszę wyjść w interesie, którego niepodobna mi odłożyć.

– Czy mogę zdać ci się na co?

– Tak, tak, owszem. Gdy ja pójdem do pani de Nucingen, idź pan do starszego pana

Taillefer, poproś, aby mi zechciał dziś wieczór jeszcze użyczyć rozmowy: mam z nim pomówić w sprawie niesłuchanie ważnej.

– Byłabyż to prawda, młodzieńcze – wykrzyknął ojciec Goriot, mieniając się na twarzy – że ty się zalecasz do jego córki, jak twierdzą ci tam głupcy na dole?... Do kroćset! Ty nie wiesz, co znaczy pięść starego Goriot. Słuchaj ty: gdybyś nas oszukał, wystarczyłoby mi jedno uderzenie... Och, to niemożliwe.

– Przysięgam panu, kocham tylko jedną kobietę na świecie – rzekł student. – Przekonałem się o tym dopiero przed chwilą.

– Och, co za szczęście! – rzekł ojciec Goriot.

– Ale – rzekł student – syn pana Taillefer ma jutro pojedynek, w którym padnie.

– Co ciebie to obchodzi? – rzekł Goriot.

– Ależ trzeba go ostrzec, aby nie pozwolił synowi... – wykrzyknął Eugeniusz.

W tej chwili przerwał mu głos Vautrina, który wychylił się na próg, śpiewając:

O Ryszardzie, o królu mój!

Świat cały cię opuszcza...

Bum, bum, tra, ra, bum, bum!

Długom wędrował po tym świecie,

Zdeptałem go... tra la la...

– Panowie! – zawołał Krzysztof – zupa czeka, wszyscy już przy stole.

– Krzysztofie – rzekł Vautrin – chodź no, weź na dół flaszkę mego bordeaux.

– Podoba ci się zegareczek – rzekł ojciec Goriot. – Mała ma gust, co?

Vautrin, ojciec Goriot i Rastignac zeszli razem i zajęli wskutek spóźnienia miejsca obok siebie. Podczas obiadu Eugeniusz okazywał najwyższą oziębłość Vautrinowi, mimo iż nigdy ten człowiek, tak miły w oczach pani Vauquer, nie rozwinął tyle humoru. Iskrzył się werwą i zdołał rozruszać wszystkich. Ta pewność, ta zimna krew oszałamiały Eugeniusza.

– Co panu się dziś zdarzyło najlepszego – spytała pani Vauquer. – Wesół pan jak szczygieł.

– Zawszem wesół, kiedy robię dobre interesy.

– Interesy? – rzekł Eugeniusz.

– Ano, tak. Dostarczyłem partię towaru, która mi przyniesie ładne komisowe. Panno Michonneau – rzekł widząc, że stara panna mu się przygląda – czy jest w mojej fizjonomii coś, co się pani nie podoba, że pani robi do mnie takie amerykańskie oko? Trzeba tylko powiedzieć! Odmienię facjatę, aby pani sprawić przyjemność... Poiret, nie poprzytkamy się o to, hę? – rzekł zerkając na urzędnika.

– Do kaduka! Mógłby pan pozować do „Igrającego Herkulesa” – rzekł młody malarz do Vautrina.

– Daję słowo, zgoda! Jeżeli panna Michonneau zgodzi się pozować do Wenus z cmentarza Père-Lachaise – odparł Vautrin.

– A Poiret?

– Och, Poiret będzie jako Poiret. Poiret, toć to pochodzi od Priapa, boga ogrodów...

– Et, głupstwa pleciecie – rzekła pani Vauquer. – Lepiej byś pan zrobił, częstując nas swoim bordeaux, którego, widzę, buteleczka wyścibia tam swój nosek. To nam rozweseli serce, nie mówiąc, że dobrze robi na żondolek.

– Panowie – rzekł Vautrin – pani przewodnicząca przywołuje nas do porządku. Pani Couture i panna Wiktoryna nie zgorszą się waszymi płochymi rozmówkami, ale szanujcie niewinność ojca Goriot. Proponuję małą *butelczynorama* winka bordeaux, które nazwa

„Laffitte”⁵⁴ czyni podwójnie cennym, powiedzmy to bez politycznej aluzji. Dalej, Chińczyku! – rzekł, patrząc na Krzysztofa, który się nie ruszył. – Sam tu, Krzysztof. Jak to, nie rozumiesz swego imienia? Chińczyku, przynieś napoje!

– Oto są, proszę pana – rzekł Krzysztof, podając butelkę.

Napełniwszy szklanek Eugeniusza i ojca Goriot Vautrin nalał sobie wolno kilka kropel, które wysączył, gdy dwaj sąsiedzi pili; nagle skrzywił się.

– Tam do kata, czuć je korkiem. Weź to dla siebie, Krzysztofie, i przynieś nam inną, po prawej, wiesz? Jest nas szesnaście osób, przynieś osiem butelek.

– Skoro pan się tak szarpie – rzekł malarz – ja płacę setkę kasztanów.

– Och, och!

– Pi, pi, pi!

– Prrr!

Deszcz wykrzykników posypał się niby iskry fajerwerku.

– No, mam Vauquer, dwie flaszeczki szampana! – zakrzyknął Vautrin.

– Tarara! Właśnie! Dlaczego nie cały dom! Dwie flaszki szampana! Ależ to kosztuje dwanaście franków! Ja tyle nie zarabiam, nie! Ale jeżeli pan Eugeniusz zechce je zapłacić, ja ofiaruję likier.

– Znamy jej likier, czyści niegorzej manny – rzekł półgłosem medyk.

– Cicho siedź, Bianchon! – wykrzyknął Rastignac. – Nie mów nic o mannie, bo mi się zbiera na... Dobrze, niech będzie szampańskie, stawiam! – zawołał student.

– Sylwio – rzekła pani Vauquer – podaj biszkopty i ciasteczka.

– I tłuczek do orzechów! Nie mamy zębów na panine ciasteczka – rzekł Vautrin. – Znamy je.

W jednej chwili wino zaczęło krążyć, biesiadnicy ożywili się, wesołość wzrosła w dwójnasób. Były to dzikie wybuchy śmiechu, wśród których rozlegało się naśladowanie rozmaitych zwierząt. Urzędnik wpadł na pomysł, aby odtworzyć jakiś krzyk paryskich wywoływaczy, który miał podobieństwo miauczeniem kota w marcu; natychmiast osiem głosów ryknęło równocześnie:

– No-że, no-że ostrzyć!

– Siemię dla ptaszków, siemię!

– Wągle, wągle!

– Porcelanę kleję, fajansy!

– Garnki drutować!

– Lo-o-dy! Lo-o-dy!

– Stare ubrania, ubrania, stare kapelusze!

– Do wisien, do słodkich!

Palma pierwszeństwa przypadła Bianchonowi za nosowy akcent, z jakim wrzasnął:

– Paraso-o-le! Paraso-o-le!

W kilka chwil powstał oszałamiający hałas, gwar pełen strzelających konceptów, prawdziwa opera, którą Vautrin prowadził niby kapelmistrz, mając oko na Eugeniusza i na ojca Goriot, którzy zdawali się już pijani. Z grzbietem opartym o krzesło, obaj spoglądali na ten zamęt z poważną miną, pijąc niewiele; obaj byli pochłonięci tym, co mieli zrobić w ciągu wieczora, a mimo to nie czuli się zdolni podnieść. Vautrin, który śledził spod oka zmiany ich fizjonomii, pochwycił chwilę, w której oczy ich zaczęły się mrużyć i zdawały się bliskie zamknięcia, aby się nachylić do uszu Rastignaca i rzec:

– Mój chłoptasiu, nie jesteśmy dość ostro kuci, aby walczyć z papą Vautrin, a on zanadto się kocha, aby ci pozwolić robić głupstwa. Kiedym coś postanowił, jeden Pan Bóg jest dość silny, aby mi stanąć w drodze. A, chcieliśmy uprzedzić papę Taillefer, zakowskie głupstwa!

⁵⁴ skojarzenie marki wina Château-Laffitte z nazwiskiem bankiera Jacques'a Laffitte'a.

Piec jest gorący, mąka umieszona, chleb na szuflę; jutro okruszyny będą aż pryskać, gdy zatopimy w nim ząbki; i mielibyśmy przeszkodzić w chwili, gdy się go wsuwa do pieca? O, nie! Jeśli mamy leciutkie wyrzuty sumienia, miną z trawieniem. Podczas gdy będziemy słodko drzemać, pułkownik hrabia Franchessini otworzy ci sukcesję po Michale Taillefer ostrzem szpady. Dziedzicząc po bracie Wiktoryna będzie miała swoich piętnaście tysięcy renty. Wywiedziałem się dobrze o wszystkim i wiem, że spadek po matce wynosi więcej niż trzysta tysięcy...

Eugeniusz słuchał tych słów, nie mogąc odpowiedzieć; czuł, że język przykleja mu się do podniebienia, doświadczał niezwalczonej senności; stół i twarze widział jedynie przez mgłę. Niebawem hałas uśmierzył się, stołownicy rozeszli się po jednemu. Następnie, kiedy zostali już tylko pani Vauquer, pani Couture, panna Wiktoryna, Vautrin i ojciec Goriot, Rastignac ujrzał, jak gdyby we śnie, panią Vauquer zajęętą zbieraniem butelek, aby zlać z nich resztki, na czym zyskiwała parę butelek całych.

– Ależ to młode, ależ to ma pstro w głowie! – mówiła wdowa.

Było to ostatnie zdanie, jakie mógł zrozumieć Eugeniusz.

– Jeden pan Vautrin potrafi urządzić taki jubel – rzekła Sylwia. – Dobryś, Krzysztof tam chrapie jak trąba jerychońska!

– Do widzenia, mamusi – rzekł Vautrin. – Idę na bulwary podziwiać pana Marty w „Dzikiej Górze”, wielkiej sztuce przerobionej z „Samotnika”... Jeżeli pani chce, wezmę panią, również i te damy.

– Dziękuję panu – rzekła pani Couture.

– Jak to, paniusiu! – wykrzyknęła pani Vauquer. – Nie jest pani ciekawa ujrzeć sztukę przerobioną z „Samotnika”, dzieła napisanego przez Atalę Chateaubrianda⁵⁵, które czytałyśmy tak namiętnie? To takie śliczne, że płakałyśmy jak bobry pod lipami zeszłego roku; dzieło moralne, które może tylko zbudować młodą panienkę...

– Nie wolno nam chodzić do teatru – odparła Wiktoryna.

– Ho, ho! Ci już mają dość – rzekł Vautrin, poruszając w komiczny sposób głową ojca Goriot i Eugeniusza.

Układając głowę studenta na krześle, aby mógł spać wygodnie, ucałował go serdecznie w czoło, nucając:

*Spij, duszo ma ukochana,
Ja czuwać będę nad twym snem!*

– Boję się, aby się nie rozchorował – rzekła Wiktoryna.

– Zostań tedy, dziecko, i czuważ przy nim. To – szepnął jej do ucha – jest obowiązkiem dobrej żony. Ubóstwia cię ten młodzian i będziesz jego kochaną żonusią, przepowiadam ci. Słowem – rzekł głośno – „cieszyli się poważaniem w całym kraju, żyli szczęśliwie i mieli dużo dzieci”. Oto jak kończą się wszystkie historie miłosne. No, mamusi – rzekł, obracając się do pani Vauquer, którą uściskał – włoż mama kapelusz, piękną suknię w kwiaty i szal po hrabinie. Ja pójdę sprowadzić dorożkę... Osobiście.

I wyszedł, śpiewając:

*Słońca ty boski promieniu,
Co złocisz miłośnie świat...*

– Mój Boże, powiedz paniusia, pani Couture, z tym człowiekiem byłabym szczęśliwa bodaj w czterech gołych ścianach. A to dopiero – rzekła, obracając się w stronę handlarza

⁵⁵ pani Vauquer myli powieść „Samotnik” d'Arlicourta z „Atalą” Chateaubrianda.

mąki – ojciec Goriot ululany. Staremu kutwie nigdy nie przyszło do głowy, aby mnie gdzie zaprosić! Ależ on wywali się na ziemię, Panie święty! Także ładnie, aby człowiek w jego wieku tracił rozum. Powie kto, że nie można stracić tego, czego się nie miało... Sylwio, zaprowadź go do pokoju.

– Biedny chłopiec – rzekła pani Couture, rozgarniając włosy Eugeniusza, które spadały mu na oczy. – Zupełnie jest jak młoda dziewczyna, nie wie, co hulanka.

– A, mogę powiedzieć, że od trzydziestu jeden lat, przez które prowadzę pensjonat – rzekła pani Vauquer – wielu młodych ludzi przeszło mi przez ręce, jak to mówią; ale nie widziałam jeszcze takiego miłusiego, tak dystygowanego jak pan Eugeniusz. Jaki on ładny, kiedy śpi! Podnieśże mu pani głowę, pani Couture. Ba! Osuwa się na ramię panny Wiktoryny; jest jakaś opatrność dla młodych. Jeszcze trochę, a byłby sobie rozbił czoło o poręcz. Ładna byłaby z nich para.

– Cicho że pani bądź, pani Vauquer! – wykrzyknęła pani Couture. – Mówi pani rzeczy...

– Ba! – rzekła pani Vauquer – nie słyszy. No, Sylwio, chodź mnie ubrać. Włożę wielki gorset.

– A ba! Wielki gorset zaraz po obiedzie? – rzekła Sylwia. –Nie, niech pani szuka kogo innego, aby panią zasznurował, ja nie mam ochoty mieć pani na sumieniu. Toć pani by mogła życiem to przyplacić.

– Wszystko jedno, chcę przynieść zaszczyt panu Vautrin.

– Zatem tak pani kocha swoich spadkobierców?

– No, Sylwio, nie rezonuj – rzekła wdowa, odchodząc.

– W jej wieku! – wykrzyknęła kucharka pokazując swoją panią Wiktorynie.

Pani Couture i jej pupilka, na której ramieniu spał Eugeniusz, zostały same. Chrapanie Krzysztofa rozlegało się w cichym domu i stanowiło kontrast ze spokojnym snem Eugeniusza, który spał tak wdzięcznie, jak dziecko. Szczęśliwa, że sobie może pozwolić na jeden z owych aktów miłosierdzia, w których wyrażają się wszystkie uczucia kobiety i który dawał jej bez winy uczuć serce młodego człowieka bijące na swoim, Wiktoryna miała w fizjonomii coś macierzyńsko-opiekuńczego, co jej dawało odcień dumy. Poprzez tysiąc myśli, które wznosiły się w jej sercu, przebijało burzliwe uczucie rozkoszy, pobudzone wymianą młodego i czystego ciepła.

– Pocziwe, drogie dziecko! – rzekła pani Couture, ściskając jej rękę.

Starsza dama podziwiała tę niewinną i bolesną twarzyczkę, na którą zstąpiła aureola szczęścia. Wiktoryna podobna była do owych naiwnych średniowiecznych malowideł, w których artysta zaniedbuje wszystkie akcesoria i skupia całą magię spokojnego i dumnego pędzla na twarzy, żółtej w tonie, w której wszelako niebo odbija się złotymi błyskami.

– A przecież on nie wypił więcej niż dwa kieliszki, mamusiu – rzekła Wiktoryna, wodząc ręką po włosach Eugeniusza.

– Ba, gdyby to był hulaka, moje dziecko, byłby zniósł wino jak inni. To upicie się przynosi mu zaszczyt.

Turkot pojazdu rozległ się na ulicy.

– Mamusiu – rzekła młoda dziewczyna – oto pan Vautrin. Weźmy pana Eugeniusza. Nie chciałabym, aby ten człowiek nas tak zastał: on ma wyrażenia, które brukają duszę, i spojrzenia, które obrażają kobietę, tak jakby ktoś zdierał z niej suknię.

– Nie – rzekła pani Couture – ty się mylisz! Pan Vautrin to dzielny człowiek, trochę w rodzaju nieboszczyka Couture, szorstki, ale zacny.

W tej chwili Vautrin wszedł bez hałasu i popatrzył na młodocianą parę, którą światło lampy zdawało się pieścić.

– Ot – rzekł, zakładając ręce na piersiach – oto scena, która byłaby podyktowała piękne stronice dobremu Bernadin de Saint-Pierre, autorowi „Pawła i Wirginii”. Młodość to piękna rzecz, pani Couture! Biedne dziecko, śpij – rzekł, patrząc na Eugeniusza. – Szczęście

przychodzi niekiedy we śnie. Pani – ciągnął, zwracając się do wdowy – co mnie przywiązuje do tego młodego człowieka, co mnie wzrusza, to że piękność jego duszy jest w harmonii z postacią. Popatrz pani, czy to nie cherubin, który się skłonił na ramię anioła? Godny jest, aby go kochać! Gdybym był kobietą, chciałbym umrzeć (nie, nie ma głupich!), chciałbym żyć dla niego. Kiedy ich tak podziwiam, droga pani – rzekł po cichu, nachylając się do wdowy – nie mogę się wstrzymać od myśli, że Bóg stworzył ich dla siebie. Opatrzność posiada bardzo ukryte drogi, zgłębia ludzi do bebeczków – wykrzyknął głośno. – Widząc was tak, moje dzieci, zjednoczonych wspólną czystością, wszystkimi ludzkimi uczuciami, powiadam sobie, że niepodobieństwem jest, aby kiedykolwiek przyszłość miała was rozdzielić. Bóg jest sprawiedliwy. Ale – rzekł do młodej dziewczyny – zdaje mi się, że widziałem u pani linię pomyślności. Niech mi pani da rękę, panno Wiktoryno; znam się na chiromancji, nieraz wróżyłem z ręki. No, niech się pani nie boi. Ho, ho! Co ja widzę! Słowo uczciwego człowieka, maluczko, a będziesz jedną z najbogatszych dziedziczek w Paryżu. Obsypiesz szczęściem kogoś, kto cię kocha. Ojciec wzywa cię do siebie. Wychodzisz za mąż za młodego człowieka, pięknego, utytułowanego, który cię ubóstwia.

W tej chwili ciężkie kroki zalotnej wdowy przerwały proroctwa Vautrina.

– Oto mama Vauquerrre, piękna jak gwiazda na firmamencie, wysznurowana jak melon w prążki. Czy nie dławi ociupineczkę? – rzekł, kładąc jej rękę na przedniej brykli⁵⁶. – Przedsięwzięcie jest cokolwiek stłoczone, mammusiu! Jeśli będziemy płakać, nastąpi eksplozja, ale ja pozbiaram kawałki z troskliwością antykwarza.

– Ten człowiek zna język francuskiej galanterii! – rzekła wdowa, pochylając się do pani Couture.

– Bywajcie, dzieci! – rzekł Vautrin, zwracając się w stronę Eugeniusza i Wiktoryny. – Błogosławię was – rzekł, wyciągając ręce nad ich głowami. – Wierz mi, panienko, to jest coś: życzenia uczciwego człowieka powinny przynieść szczęście. Bóg ich słuca.

– Bądź zdrowa, droga przyjaciółko – rzekła pani Vauquer do stołowniczki. – Czy sądzi pani – dodała po cichu – że pan Vautrin ma jakie zamiary względem mej osoby?

– Hm, hm!

– Och! Droga mamó – rzekła Wiktoryna, wdychając i patrząc na swoje ręce, kiedy dwie kobiety zostały same – gdyby ten dobry pan Vautrin mówił prawdę!

– Ależ wystarczyłoby na to – odparła stara dama – jedynie tyle, aby ten potwór, twój brat, spadł na przykład z konia...

– Och, mamó!...

– Mój Boże, może to i grzech życzyć złego wrogowi – rzekła wdowa. – Więc dobrze, godzę się ponieść pokutę. Doprawdy, z szczerego serca zaniósłabym kwiaty na jego grób. Niegodziwe serce! Nie ma odwagi ująć się za matką, której schedę przywłaszczył sobie z twoją szkodą dzięki kręctwom ojca. Biedna kuzynka miała ładny majątek. Na twoje nieszczęście w kontrakcie nie uwidoczniło wcale jej wiana.

– Zbyt ciężko by mi było udźwignąć szczęście, gdyby ono miało kogoś kosztować życie – rzekła Wiktoryna. – I gdyby trzeba było dla mej pomyślności, aby brat zniknął za świata, wolałabym raczej na zawsze zostać tutaj.

– Mój Boże! Jak mówi ten zacny pan Vautrin, który, sama widzisz, jest bardzo religijny – rzekła pani Couture. – Przyjemnie mi było dowiedzieć się, że nie jest niedowiarkiem jak tamci, którzy mówią o Bogu z mniejszym uszanowaniem od samego diabła. Otóż któż może wiedzieć, jakimi drogami podoba się Opatrzności nas prowadzić?

Wspomagane przez Sylwię kobiety zdołały w końcu przenieść Eugeniusza do jego pokoju, ułożyły go na łóżku, po czym kucharka rozebrała go, by mógł swobodniej oddychać. Przed odejściem, kiedy opiekunka się odwróciła, Wiktoryna złożyła pocałunek na czole Eugeniusza,

⁵⁶ brykla – fiszbina w gorsiecie (niem.).

z całym szczęściem, jakie jej musiała sprawiać ta niewinna zbrodnia. Po czym wróciwszy do swego pokoju, zebrała, można powiedzieć, w jednej myśli tysiączne lubości owego dnia, stworzyła z nich obraz, w który wpatrywała się długo, i usnęła jako najszczęśliwsza istota w Paryżu.

Uczta, pod której płaszczykiem Vautrin dał się napić Eugeniuszowi i ojcu Goriot wina zaprawnego narkotykiem, rozstrzygnęła o zgubie tego człowieka. Bianchon wpół pijany zapomniał zagadnąć pannę Michonneau na temat Ołży-Śmierci. Gdyby wymówił to słowo, obudziłby z pewnością czujność Vautrina lub, aby mu wrócić prawdziwe nazwisko, Jakuba Collin, jednej ze znakomitości galer. Wreszcie przydomek Wenus z Père-Lachaise skłonił pannę Michonneau do wydania galernika w chwili, gdy ufna we wspaniałomyślność Collina obliczała, czy nie byłoby korzystniej ostrzec go i pozwolić mu umknąć w nocy. Wyszła właśnie w towarzystwie Poireta, aby odwiedzić słynnego naczelnika policji przy uliczce Świętej Anny, wciąż mniemając, że ma do czynienia z wyższym urzędnikiem, nazwiskiem Gondureau. Dyrektor policji kryminalnej przyjął ją nader uprzejmie. Następnie po rozmowie, w której wszystko omówiono, panna Michonneau poprosiła o napój, za pomocą którego miało się odbyć sprawdzenie piętna. Z gestu zadowolenia, jaki uczynił luminarz policji, szukając fiolki w szufladzie, panna Michonneau odgadła, że w tej zdobyczy tkwi coś ważniejszego niż ujęcie zwykłego zbrodniarza. Łamiąc sobie głowę nad tą zagadką, zaczęła podejrzewać, że policja spodziewa się, dzięki pewnym zeznaniom, uzyskanym na galerach od zdrajców, przybyć w samą porę, aby położyć rękę na znacznych sumach. Kiedy wyraziła policyjnemu lisowi swoje domysły, uśmiechnął się i starał się odwrócić podejrzenia starej panny.

– Myli się pani – odparł – Collin to najniebezpieczniejsza główka, jaka kiedykolwiek znajdowała się w plemienu złodziei. Oto wszystko. Hultaje wiedzą to dobrze; on jest ich podporą, sztandarem, słowem, ich Bonapartem, kochają go wszyscy. Ten drab nie zostawi nigdy głowy na placu de Grève⁵⁷. Collin igra sobie z nami – dodał. – Kiedy trafimy na którego z tych ludzi podobnych sztobie z angielskiej stali, możemy zgładzić ich, jeśli przy arestowaniu pozwolą sobie na najłżejszy opór. Liczymy na jakiś akt gwałtu, aby utrupić Collina jutro. Unika się w ten sposób procesu, kosztów dozoru, żywienia i oczyszcza się społeczeństwo. Procedury słuchania świadków, odszkodowanie ich, egzekucja, wszystko to, co ma nas legalnie uwolnić od tych łotrów, kosztuje o wiele więcej niż te tysiąc talarów, które pani otrzyma. Oszczędza się na czasie. Dając Ołży-Śmierć tęgi sztyk bagnetem w brzuch, przeszkodzimy setce zbrodni i uchronimy od zepsucia z pięćdziesięciu nicponiów, którzy się zatrzymają przezornie w okolicach domu poprawy. Tak wnioskuje policja rozumiejąca dobrze swe zadanie. Wedle prawdziwych filantropów postępować w ten sposób znaczy zapobiegać występkom.

–I służyć krajowi – rzekł Poiret.

– Ot co! – rzekł naczelnik policji – mówi pan dziś wcale rozsądnie. Tak jest, ani słowa, służymy krajowi. Toteż świat jest niesprawiedliwy wobec nas. Oddajemy społeczeństwu bardzo wielkie, ciche usługi. Ostatecznie, rzeczą człowieka wyższego jest umieć się wznieść ponad przesady, rzeczą zaś chrześcijanina przyjąć z poddaniem nieszczęścia, które pociąga za sobą czynienie dobrego, o ile nie odpowiada ono uznanym pojęciom. Paryż to Paryż, widzicie państwo! To słowo tłumaczy moje życie. Moje uszanowanie pani. Będę jutro z mymi ludźmi w Ogrodzie Królewskim. Niech pan pošle Krzysztofa na ulicę Buffon do pana Gondureau. Sługa pański, panie Poiret. Gdyby panu kiedy coś ukradziono i chodziłoby o odnalezienie, jestem na pańskie usługi.

–I cóż – rzekł Poiret do panny Michonneau – i są głupcy, których słowo „policja” doprowadza do szału. To bardzo miły człowiek, a to, o co prosi, proste jest jak bułka za grosz.

⁵⁷ Plac de Grève – miejsce straceń w Paryżu.

Dzień, który przypadł nazajutrz, miał zająć miejsce pośród najniezwykleszych w historii pensjonatu pani Vauquer. Dotąd najwybitniejszym zdarzeniem tego spokojnego życia był meteor rzekomej hrabiny de l'Ambermesnil. Ale wszystko miało zblednąć wobec perypetyj wielkiego dnia, o którym miała być wiecznie mowa w opowiadaniu pani Vauquer.

Najpierw Goriot i Rastignac spali do jedenastej. Pani Vauquer, która wróciła o północy z Gaité, spoczywała w łóżku do wpół do jedenastej. Długi sen Krzysztofa, który dokończył butelki Vautrina, spowodował opóźnienie w gospodarstwie. Poiret i panna Michonneau nie skarżyli się, że śniadanie się odwleka. Co do Wiktoryny i pani Couture, to również spały do późna. Vautrin wyszedł przed ósmą i wrócił, kiedy podano do stołu. Nikt nie podnosił tedy gwałtu, skoro dobrze po jedenastej Sylwia i Krzysztof obeszli wszystkie drzwi, oznajmiając, że śniadanie na stole. Gdy Sylwia i służący opuścili jadalnię, panna Michonneau, która zeszła pierwsza, wlała płyn do srebrnego kubka ze śmietanką do kawy dla Vautrina. Stara panna umyśliła sobie, że do spełnienia swego zamiaru wykorzysta praktykowany w pensjonacie zwyczaj podawania mieszkańcom śmietanki w ich własnych kubkach, umieszczonych w dużym naczyniu z gorącą wodą.

Zwołanie siedmiu pensjonarzy nie odbyło się bez trudności. W chwili gdy Eugeniusz, przeciągając się, schodził ostatni, posłaniec oddał mu list pani de Nucingen. List brzmiał następująco;

Nie bawię się z Tobą ani w fałszywą ambicję, ani w urazy, drogi mój. Czekałam na Ciebie do drugiej w nocy. Czekać na istotę, którą się kocha! Kto poznał tę męczarnię, nie zadaje jej nikomu. Widzę, że kochasz po raz pierwszy. Cóż się stało? Niepokój mnie ogarnął. Gdybym się nie obawiała zdradzić tajemnicy mego serca, pobiegłabym dowiedzieć się, co Ci się zdarzyło dobrego lub złego. Ale wyjść z domu o tej porze, pieszo czy powozem, czyż nie znaczyłoby zgubić się? Odczułam, co za nieszczęście jest być kobietą. Uspokój mię, wytłumacz, czemu nie przybyłeś po tym, co Ci powiedział ojciec? Pogniewam się, ale przebaczę. Jesteś chory? Czemuż mieszkasz tak daleko! Jedno słowo, przez litość. Zobaczę Cię niedługo, prawda? Jedno słowo wystarczy, jeśli jesteś zajęty. Powiedz: „Biegnę” albo: „Jestem cierpiący”. Ale gdybyś był chory, ojciec przyszedłby mi powiedzieć. Cóż się więc stało?...

– Tak, co się stało? – wykrzyknął Eugeniusz, który wpadł do jadalni, mnąc list nie dokończywszy go. – Która godzina?

– Wpół do dwunastej – rzekł Vautrin, kładąc cukier do kawy.

Galernik obrzucił Eugeniusza niesamowitym spojrzeniem, jakie umięją rzucać ludzie posiadający magnetyczną siłę: spojrzeniem, którym podobno uspokajają się furiantów w domach obłąkanych. Eugeniusz zaczął drzeć na całym ciele. Turkot dorożki dał się słyszeć na ulicy: służący w barwach pana Taillefer, którego pani Couture poznała natychmiast, wbiegł z pomieszaną twarzą.

– Proszę panienki – rzekł – ojciec wzywa panienkę... Zdarzyło się nieszczęście. Pan Fryderyk bił się w pojedynku, otrzymał pchnięcie w czoło, lekarze nie mają nadziei. Ledwie będzie pani miała czas go pożegnać, nieprzytomny jest.

– Biedny chłopiec! – wykrzyknął Vautrin. – Jak można wdawać się w burdy, kiedy się ma rzetelnych trzydzieści tysięcy franków rocznie? Stanowczo młodzież nie umie cenić życia.

– Panie! – krzyknął Eugeniusz.

– No, co tam, ty duży dzieciaku? – rzekł Vautrin, kończąc spokojnie pić kawę, którą to czynność panna Michonneau śledziła ze zbyt baczną uwagą, aby ją mógł wzruszyć fakt wywołujący zdumienie całego stołu. – Czy nie odbywają się co dnia w Paryżu pojedynki?

– Idę z tobą, Wiktoryno – rzekła pani Couture.

I obie kobiety pobiegły bez szalów i kapeluszy.

Przed odejściem Wiktoryna, z oczami we łzach, rzuciła Eugeniuszowi spojrzenie, które mówiło: „Nie myślałam, aby naszeszcęcie miało mi wycisnąć łzy!”

– Ba! Pan jest zatem prorokiem, panie Vautrin? – rzekła pani Vauquer.

– Jestem wszystkim – rzekł Jakub Collin.

– To nadzwyczajna awantura! – podjęła pani Vauquer niszając szereg komunałów dokoła tego wydarzenia. – Śmierć chwyta nas, nie pytając, czy nam do smaku. Nie wiadomo nigdy, kto z brzegu. Szczęśliwe jesteśmy, my kobiety, że nie znamy pojedynków; ale za to mamy inne choroby, których nie znają mężczyźni. Rodzimy dzieci, a choroba macierzyństwa trwa długo. Cóż za los dla Wiktoryny! Ojciec musi przyjąć ją za swoją.

– Ot co! – rzekł Vautrin, patrząc na Eugeniusza. – Wczoraj nie miała szeląga, dziś dziedziczy kilka milionów.

– Powiedz pan, panie Eugeniuszu – wykrzyknęła pani Vauquer – wiedział pan, gdzie sięgać!

Na te słowa ojciec Goriot spojrział na studenta i ujrzał w jego ręku zmięty list.

– Nie dokończyłeś listu! Cóż to znaczy? Byłżebyś taki sam jak inni? – spytał.

– Niech pani wie zatem, że nigdy nie zaślubię panny Wiktoryny Taillefer – rzekł Eugeniusz, zwracając się do pani Vauquer z uczuciem wstydu i grozy, który zdumiał obecnych.

Ojciec Goriot chwycił rękę studenta i uściśnął ją; byłby ją chciał ucałować.

– Och! Och! – rzekł Vautrin. – Włosi mają dobre wyrażenie: *col tempo!*⁵⁸

– Czekam na odpowiedź – rzekł posłaniec.

– Powiedzcie, że przyjdę.

Człowiek odszedł. Eugeniusz znajdował się w stanie podniecenia, które nie pozwoliło mu być ostrożnym.

– Co czynić? – powtarzał głośno sam do siebie. – Żadnych dowodów!

Vautrin uśmiechnął się. W tej chwili napój, wchłonięty przez żołądek, zaczął działać. Mimo to galernik był tak silny, że wstał, spojrział na Rastignaca, rzekł zmienionym głosem:

– Młodzińcze, niekiedy szczęście przychodzi we śnie...

I padł, jakby rażony gromem.

– Jest więc sprawiedliwość boska! – rzekł Eugeniusz.

– Jezu miłosierny! Cóż się stało? Co temu zacnemu panu Vautrin?

– Apopleksja! – krzyknęła panna Michonneau.

– Sylwio, dziecko, idź po lekarza – rzekła wdowa.

– Ach, panie Rastignac, biegnij pan prędko po pana Bianchon: Sylwia może nie zastać naszego lekarza, pana Grimprel.

Rastignac, szczęśliwy, że ma pozór do opuszczenia tej strasznej jaskini, wybiegł.

– Krzysztofie, dalej pędź do aptekarza, przynieś coś na apopleksję.

Krzysztof wyszedł.

– Ojcie Goriot, prosimy, pomóż nam pan przenieść go na górę.

Uniesiono Vautrina, przebyto z trudem schody i ułożono go na łóżku.

– Nie zdam się wam już na nic, pójdę odwiedzić córkę – rzekł Goriot.

– Stary egoista! – wykrzyknęła pani Vauquer. – Idź, życzę ci, żebyś zdechł jak pies.

– Niech pani pójdzie zobaczyć, czy nie ma gdzie eteru – rzekła panna Michonneau, która z pomocą Poireta rozebrała Vautrina.

Pani Vauquer zeszła do siebie, zostawiając pannie Michonneau wolne pole.

– Dalej, zdejm mu pan koszulę; odwróć go szybko. Bądźże raz dobry na coś i oszczędź mi widoku nagości – rzekła do Poireta. – Stoisz jak ślup soli.

⁵⁸ *col tempo* – powoli (wł.).

Skoro Vautrina odwrócono, panna Michonneau zaaplikowała mu na kark silnego klapsa, dwie nieszczęsne litery zajaśniały białą w zaczerwienionym miejscu.

– Ot, i zarobiłaś pani lekko trzy tysiące! – wykrzyknął Poiret, podtrzymując Vautrina w siedzącej pozycji, gdy panna Michonneau wkładała mu koszulę. – Uf! Ciężki jest – dodał, kładąc go z powrotem.

– Cicho bądź. Czyżby tu gdzie była kasa? – rzekła żywo stara panna, której oczy zdawały się przebijać mury, tak chciwie przeglądała najdrobniejsze sprzęty. – Gdyby można otworzyć ten sekretarzyk pod jakimś pozorem? – dodała.

– To byłoby może niewłaściwe – odparł Poiret.

– Nie – odparła. – Pieniądze kradzione, które wprzód należały do wszystkich, są już niczyje. Ale nie ma czasu. Słyszę starą Vauquer.

– Jest eter – rzekła pani Vauquer. – A to mi doprawdy! Bania rozbiła się z awanturami. Boże! Ten człowiek nie może być chory, biały jest jak kurczątko.

– Jak kurczątko?

– Serce bije regularnie – rzekła wdowa, kładąc mu rękę na sercu.

– Regularnie? – rzekł Poiret zdumiony.

– Ma się bardzo dobrze.

– Uważa pani? – spytał Poiret.

– Ba! Wygląda, jakby spał. Sylwia poszła po lekarza. Powiedz pani, panno Michonneau; poczuł eter. Et, to tylko spazma, nie żaden apopleks. Puls ma dobry. Silny jest jak Herkules. Patrz pani, jaki ten człowiek ma obrośnięty żołądek; będzie żył sto lat, niebożatko! Peruka też trzyma się dobrze. Aha, przylepiona jest: ma fałszywe włosy, niby względem tego, że jest ryż. Powiadają, że tacy rudzi są albo ze wszystkim dobrzy, albo ze wszystkim źli. Ten chyba jest dobry?

– Dobry, aby go powiesić – rzekł Poiret.

– Chce pan powiedzieć, na szyi ładnej kobiety! – krzyknęła żywo panna Michonneau. – Idźże pan stąd, panie Poiret. To nasza rzecz pielęgnować was, kiedy jesteście chorzy. Zresztą, tyle co pan pomoże, a nic, to jedność. Obie z panią Vauquer będziemy czuwały przy tym zacnym panu Vautrin.

Poiret odszedł cicho i bez szemrania, jak pies, którego pan wyrzuci kopnięciem nogi. Rastignac wyszedł, aby odetchnąć powietrzem, dławił się. Tej zbrodni, którą spełniono o oznaczonej godzinie, pragnął przecież w wilię zapobiec! Co się stało? Co począć? Drżał, iż stał się jej współnikiem. Zimna krew Vautrina przerażała go jeszcze.

–Ale gdyby Vautrin miał umrzeć, nie rzekłszy słowa?... – powiadał sobie Rastignac.

Szedł przez aleje Luksemburgu, jak gdyby go ścigała sfora psów: zdawało mu się, że słyszy ich szczekanie.

–I cóż – zakrzyknął nań Bianchon – czytałeś „Pilota”?

„Pilot” był to radykalny dziennik prowadzony przez pana Tissot, puszczający na prowincję w kilka godzin po rannych dziennikach wydanie, gdzie znajdowały się wszystkie nowiny dnia; w ten sposób dziennik zyskiwał w większych prowincjonalnych miastach całą dobę przed innymi.

– Jest tam bajeczna historia – rzekł. – Młody Taillefer bił się z hrabią Franchessini, ze starej gwardii, który mu wpakował szpadę na dwa cale w czoło. I oto nasza Wiktoryna jest jedną z najbogatszych partii w Paryżu. Hej! Gdyby to człowiek przewidział. Cóż za ruletka ta śmierć! Czy to prawda, że Wikcia robiła do ciebie słodkie oczy?

– Przestań, Bianchon, nie ożenię się z nią nigdy. Kocham uroczą kobietę, mam jej wzajemność i...

– Mówisz tak, jakbyś wyteżał wszystkie siły, aby jej nie zdradzić. Pokażże mi kobietę, która by była warta, aby dla niej poświęcić fortunę imię pana Taillefer.

– Czy wszystkie demony z piekła uwzięły się na mnie? – wykrzyknął Rastignac.

– O co tobie chodzi! Czyś oszalał? Podajże mi rękę – rzekł Bianchon – niech ci zmacam puls. Masz gorączkę.

– Leżę do starej Vauquer – rzekł Eugeniusz – ten opryszek Vautrin padł przed chwilą jak martwy.

– A – rzekł Bianchon, opuszczając Rastignaca – potwierdzasz podejrzenia, które muszę sprawdzić.

Długa przechadzka, jaką odbył student, miała coś uroczystego. Uczynił poniekąd rachunek sumienia. Jeśli pasował się z sobą, zgłębiał się, wahał, bądź co bądź uczciwość jego wyszła z tej twardej i straszliwej dyskusji niby sztaba żelaza, która oprze się wszystkim próbom. Przypomniawszy sobie wczorajsze zwierzenia ojca Goriot, przypomniał sobie mieszkanko wybrane dlań przy ulicy d'Artois, blisko Delfiny; wyjął na nowo list, odczytał go, ucałował.

– Ta miłość jest kotwicą mego zbawienia – rzekł sobie. – Ten biedny starzec wiele wycierpiał. Nie mówi nic o swoich zgryzotach, ale któż by ich nie odgadł! Dobrze więc, będę dbał o niego jak o własnego ojca, dostarczę mu tysięcznych radości. Jeśli Delfina mnie kocha, często będzie zachodziła do mnie, aby spędzić dzień przy ojcu. Ta pyszna hrabina de Restaud to niegodziwa istota, zdolna byłaby z ojca zrobić parobka. Droga Delfina! Ona lepsza jest dla nieboraka, warta, by ją kochać. A! dziś wieczór będę szczęśliwy.

Wyjął zegarek, oglądając go z zachwytem.

– Wszystko mi się uśmiecha! Kiedy dwoje ludzi kocha się na zawsze, mogą sobie pomagać, mogą to przyjać. Zresztą wybije się, to pewna, będę mógł oddać stokrotnie. Nie ma w tym związku zbrodni, nic, co by mogło przyprawić o zmarszczenie brwi najsurowszą cnotę. Iluż uczciwych ludzi zadzierzguje takie węzły! Nie oszukujemy nikogo; tylko kłamstwo upadła. Kłamać, czyż nie znaczy wyrzekać się własnej godności? Delfina nie żyje od dawna z mężem. Zresztą, ja zażądam od tego Alzaczyka, aby mi odstąpił żonę, skoro nie potrafi uczynić jej szczęśliwą.

Walka Rastignaca trwała długo. Mimo iż zwycięstwo miało przypaść młodzieńczej cności, niezwalczona ciekawość sprowadziła go około wpół do piątej, o zmierzchu, do pensjonatu, który, jak sobie przysięgał, miał opuścić na zawsze. Chciał się dowiedzieć, czy Vautrin żyje. Wpadłszy na myśl, aby mu podać środek na wymioty, Bianchon kazał zanieść do szpitala zwrócone substancje celem chemicznego zbadania. Widząc usilność, z jaką panna Michonneau starała się usunąć te wydzieliny, nabrał tym silniejszych wątpliwości. Vautrin zresztą zbyt szybko wrócił do zdrowia, aby Bianchon nie miał podejrzewać jakiegoś spisku przeciw ulubieńcowi gospody. W chwili gdy Rastignac wrócił, Vautrin stał przy piecu w jadalni. Sprowadzeni wcześniej niż zwykle nowiną o pojedynku młodego Taillefera pensjonarze, ciekawi szczegółów sprawy i jej wpływu na losy Wiktoryny, zebrali się wszyscy, z wyjątkiem ojca Goriot, i rozprawiali o tej przygodzie. Skoro Eugeniusz wszedł, oczy jego spotkały się z oczami niewzruszonego Vautrina, którego wzrok wniknął mu w serce tak głęboko i poruszył tak silnie jakieś złe struny, iż student zadrżał.

–I cóż, drogie dziecko – rzekł zbiegły galernik – kostusia dużo będzie miała ze mną kłopotu. Wedle tego, co mówią te damy, przetrzymałem uderzenie krwi, zdolne powalić wołu.

– Powiedz pan byka! – wykrzyknęła wdowa Vauquer.

– Czyżbyś był nierad, że mnie widzisz przy życiu? – rzekł Vautrin pochylając się do Rastignaca, którego myśli zdawał się przenikać. – To by zakrawało na diabelnie silnego człowieka!

– Na honor – rzekł Bianchon – panna Michonneau mówiła przedwczoraj o jakimś jegomościu zwanym Ołży-Śmierć; ten przydomek nadałby się dla pana.

Słowa te podziały na Vautrinajak piorun: zbladł i zachwiał się, jego magnetyczne spojrzenie padło jak promień słońca na pannę Michonneau, której ten prąd niezłomnej woli podciął kolana... Stara panna osunęła się na krzesło. Poiret rzucił się żywo między nią a

Vautrina, rozumiejąc, że grozi jej niebezpieczeństwo: tyle dzikiej wymowy nabrała twarz galernika, gdy odrzucił dobroduszną maskę, pod którą ukrywał prawdziwą naturę. Nie ogarniając jeszcze dramatu, pensjonarze stali w osłupieniu. Równocześnie dały się słyszeć liczne kroki i chrzęst karabinów, które zadźwięczały o bruk. W chwili gdy Collin szukał machinalnie wyjścia, spoglądając na okna i ściany, czterech ludzi ukazało się we drzwiach. Pierwszym był naczelnik policji bezpieczeństwa, trzech inni byli to tak zwani oficerowie pokoju.

– W imieniu prawa i króla – rzekł jeden z oficerów, którego głos zgłuszyły szmery zdumienia.

Niebawem zapanowało w jadalni milczenie; pensjonarze rozstąpili się, aby przepuścić trzech ludzi, z których każdy trzymał rękę w bocznej kieszeni na rękojeści nabitego pistoletu. Dwóch żandarmów, którzy wkroczyli za agentami, zajęło drzwi do salonu; dwaj inni ukazali się w drzwiach prowadzących na schody. Kroki kilku żołnierzy i chrzęst broni rozległy się pod oknami na zwirowanej ścieżce biegnącej wzdłuż domu.

Wszelka nadzieja ucieczki zgasła dla Collina, na którego nieodparcie skierowały się spojrzenia. Szef policji podszedł wprost do niego; zaczął od tego, że uderzył go tak silnie, iż stracił perukę i odsłonił głowę Collina w całej okropności. Fizjonomia ta i głowa – pokryta ceglasterudymi, krótkimi włosami, które dawały jej straszliwe znamię siły skojarzonej z chydrością – harmonizujące z torsem, zabłyły światłem inteligencji, jak gdyby je rozświetliły wszystkie ognie piekła. Każdy zrozumiał całego Vautrina, jego przeszłość, terażniejszość, przyszłość, jego nieubłagane teorie, dogmat własnego zachcenia, królewskość, jaką mu nadawał cynizm jego myśli, uczynków oraz siła zdolnej do wszystkiego organizacji. Krew wystąpiła mu na twarz, oczy błysły niby u dzikiego kota. Skurczył się w sobie gestem tak dzikiej energii, ryknął tak potężnie, iż wydarł okrzyk grozy z piersi pensjonarzy. Na ten ruch lwa agencji, wsparci ogólnym hałasem, chwycili pistolety. Collin zrozumiał niebezpieczeństwo, widząc błyszczące kurki i w jednej chwili dał dowód najwyższej ludzkiej potęgi. Straszliwe i majestatyczne widowisko! Fizjonomia jego urzeczywistniła fenomen, który można porównać jedynie z kotłem pełnym dymiącej pary, zdolnej podnieść góry, a rozpraszającej się w mgnieniu oka pod kroplą zimnej wody. Kroplą wody, która ostudziła jego wściekłość, było zastanowienie się szybkie jak błyskawica. Uśmiechnął się i spojrzał na perukę.

– Nie jesteś dziś najgrzeczniej usposobiony – rzekł do szefa policji.

I podał ręce żandarmom przyzywając ich gestem.

– Panowie żandarmi, załóżcie mi kajdanki. Biorę obecnych za świadków, że się nie opieram.

Rozległ się szmer podziwu, wydarty szybkością, z jaką lawa i ogień buchnęły z tego ludzkiego wulkanu i na powrót się weń cofnęły.

– To ci wchodzi w paradę, mości hyclu – dodał galernik, spoglądając na sławnego naczelnika policji.

– Dalej, rozbierać się! – rzekł ów tonem wzgardy.

– Po co? – rzekł Collin. – Są tu damy. Nie zaprzeczam niczemu i poddam się.

Zamilkł na chwilę i spojrzał po zgromadzeniu niby mówca, który gotuje się powiedzieć zdumiewające rzeczy.

– Pisz, papo Lachapelle – rzekł zwracając się do małego siwego staruszka, który usiadł na końcu stołu i wydobył z teki protokół. – Przyznaję, że jestem Jakub Collin, zwany Ołży-Śmierć, skazany na dwadzieścia lat kajdanów; a dowiodłem właśnie, że nie skradł swego przydomka. Gdybym bodaj podniósł rękę – rzekł do pensjonarzy – ci trzech łapacze byłiby rozlali wszystką moją juszkę na patriarchalną podłogę mamy Vauquer. Te hultaje umieją zastawiać pułapki!

Pani Vauquer omal nie zemdląła słysząc te słowa.

– Mój Boże – rzekła do Sylwii – to można się rozchorować; i ja wczoraj jeszcze byłam z nim w teatrze!

– Trochę filozofii, mamusi – odparł Collin. – Czyż to nieszczęście, żeś była wczoraj ze mną w łoży w Gaité? – wykrzyknął. – Czyś ty lepsza od nas? Mniej hańby jest na naszym barku, niż wy jej macie w sercu, wy, strupieszale członki zgniłego społeczeństwa: najlepszy z was nie umiał mi się oprzeć. – Oczy Vautrina zatrzymały się na Rastignacu, na którego skierował miły uśmiech, stanowiący osobliwą sprzeczność z twardym wyrazem jego twarzy. – Nasza umowa stoi zawsze, mój aniele, naturalnie, o ile się godzisz! Pamiętasz?

Zanucił:

*Franusia moja jest urocza,
Prostoty stroi ją wdzięk...*

– Nie lękaj się o nic – dodał – umiem się upomnieć o swoje wierzytelności. Nadto się mnie boją, aby ktoś śmiał mnie wykiwać!

Galery ze swymi obyczajami i mową, ze swymi straszliwymi przejściami od żartu do grozy, ze swą przerażającą wielkością, rubaszością i spodleniem stały nagle jak żywe w tych słowach, w tym człowieku, który nie był już człowiekiem, ale typem całego tego zwyrodniałego plemienia, ludu dzikiego i logicznego, brutalnego a giętkiego. W jednej chwili Collin stał się piekielnym poematem, w którym wyraziły się wszystkie ludzkie uczucia, z wyjątkiem skruchy. Spojrzenie jego było spojrzeniem upadłego anioła, który wiecznie pragnie wojny. Rastignac spuścił oczy, przyjmując tę zbrodniczą parantełę jako pokutę za swoje złe myśli.

–Kto mnie zdradził – rzekł Collin, wiodąc straszliwym okiem po zebranych i zatrzymując się na pannie Michonneau. – To ty – rzekł – stara wiedźmo! Ty przyprawiłaś mnie o sztuczne uderzenie krwi, ty... szpiegu!... Wystarczyłoby mi powiedzieć dwa słowa, aby ci skrecono szyję w ciągu tygodnia. Przebaczam ci, jestem chrześcijaninem. Zresztą, to nie ty mnie sprzedałaś. Ale kto? Ha, ha! Szukajcie tam na górze! – wykrzyknął słysząc, jak urzędnicy policji otwierają szafy i zagarniają rzeczy. – Nie ma już ptaszków w gnieździe, odfrunęły wczoraj. Niczego się nie dowiecie. Moje księgi handlowe są tu – rzekł uderzając się w czoło. – Wiem teraz, kto mnie zdradził. Nikt inny, tylko ten łotr Jedwabny. Nieprawdaż, ojcze łapaczu? – rzekł do naczelnika policji. – Znadto dobrze się to zgadza z pobytem banknotów na górze. Figa z makiem, moje kochane szpieguny. Co do Jedwabnego, ten znajdzie się pod ziemią do dwóch tygodni, choćby go strzegła cała wasza żandarmeria. Ileście jej dali, tej Miszzonecie? – rzekł zwracając się do urzędników. – Jakież tysiąc talarów! Więcej byłem wart jeszcze, ty przegniła Ninon, ty Pompadour w łachmanach, Wenus z kostnicy! Gdybyś mnie była ostrzegła, dostałabyś sześć tysięcy. Ha! Nie wiedziałaś o tym, stara handlarko mięsa; inaczej dałabyś mi pierwszeństwo. Tak, byłbym chętnie dał tyle, aby sobie oszczędzić podróży, która mi jest nie na rękę i naraża na niepotrzebne koszty – mówił, gdy mu wkładano kajdanki. – Te hycle będą się bawiły ze mną jak kot z myszą, będą umyślnie wlekli sprawę bez końca. Gdyby mnie posłali od razu na galery, rychło wróciłbym do swoich zajęć, na przekór wszystkim lalusiom z policji. Tam wszyscy na głowach się postawią, aby uwolnić swego zacnego generała, dzielnego Ołży-Śmierć! Czy jest między wami ktoś, kto by posiadał, jak ja, więcej niż dziesięć tysięcy braci gotowych uczynić dlań wszystko? – spytał z dumą. – Tak, jest tutaj coś – rzekł uderzając się w piersi. – Nie zdradziłem nigdy nikogo. Patrz, ty ścierwo, spójrz na nich – rzekł zwracając się do starej panny. –Na mnie patrzą ze zgrozą, ale ty przyprawiasz ich o mdłości. Weź swoją zapłatę.

Umilkł na chwilę spoglądając po stołownikach.

– Jacyście wy głupi wszyscy! Nie widzieliście nigdy galernika? Zbrodniarz tej miary co Collin, tu obecny, to człowiek mniej nikczemny od innych, zakładający protest przeciw

straszliwym oszustwom umowy społecznej, jak mówi Jan Jakub, którego mam zaszczyt być uczniem. Ostatecznie jestem sam naprzeciw rządu wraz z jego chmarą trybunałów, żandarmów, budżetów i wodzę ich za nos.

– Do kroćset! – rzekł malarz. – Warto by go odmalować w tej chwili.

– Powiedz no mi, szambelanie Jego Wysokości Kata, ochmistrzu Wdowy (pełne straszliwej poezji miano, jakie złoczyńcy dają gilotynie) – dodał zwracając się do szefa policji – bądź poczciwy, powiedz, czy to Jedwabny mnie sprzedał. Nie chciałbym, aby beknął za kogo innego, to by było niesprawiedliwe.

W tej chwili agenci, którzy wszystko przetrząsnęli w mieszkaniu bandyty i ze wszystkiego sporządzili inwentarz, wrócili i zaczęli szeptać coś cicho do naczelnika wyprawy.

Protokół był skończony.

– Panowie – rzekł Collin, zwracając się do stołowników – zabiorą mnie. Byliście wszyscy bardzo uprzejmi przez czas mego pobytu, zachowam dla was wdzięczność. Przyjmijcie moje pożegnanie. Pozwolicie, abym wam przysłał prowanckich fig.

Uczył kilka kroków i odwrócił się, aby spojrzeć na Rastignaca.

– Bądź zdrow, Eugeniuszu – rzekł smutnym i łagodnym głosem, który szczególnie odbijał od szorstkości poprzednich słów. – Gdybyś był w potrzebie, zostawiłem ci oddanego przyjaciela.

Mimo kajdanków zdołał stanąć w pozycji, wydał okrzyk komendy: „Raz, dwa!” i zadał pchnięcie.

– W razie nieszczęścia – rzekł – zwróć się tam. Człowiek, pieniądze, wszystko na twoje usługi.

Dziwna osobistość zabarwiła ostatnie słowa na tyle żartobliwie, aby mogły być zrozumiałe jedynie dla Rastignaca i Vautrina. Skoro żandarmi, żołnierze i agenci opuścili dom, Sylwia, która rozcierała octem skronie gospodyni, spojrzała po stołownikach trwających w osłupieniu.

– A jednak – rzekła – był to niezły chłop.

Zdanie to rozwiało urok, w jakim pograżyły każdego natłok i rozbieżność uczuć wywołanych tą sceną. W tej chwili pensjonarze spojrzawszy po sobie zwrócili nagle oczy na pannę Michonneau. Stała jak wryta koło pieca, sucha i zimna jak mumia; ze spuszczonej oczami, jakby się obawiała, że cień zielonego daszka nie jest dość silny, aby skryć ich wyraz. Zrozumieli naraz tę postać, która od tak dawna była im antypatyczna. Rozległ się głuchy szmer, który przez swą doskonałą zgodność zdradzał jednomyślną odrazę. Panna Michonneau usłyszała, ale nie ruszyła się z miejsca. Pierwszy Bianchon nachylił się do sąsiada.

– Wynoszę się, jeżeli ta pannica ma nadal z nami siadać do stołu – rzekł półgłosem.

W mgnieniu oka wszyscy, z wyjątkiem Poireta, potwierdzili oświadczenie studenta, który wsparty ogólną zgodą zbliżył się do starego pensjonarza.

– Pan jesteś w bliskich stosunkach z panną Michonneau – rzekł. – Pomów z nią; wytłumacz, że powinna się stąd wynosić natychmiast.

– Natychmiast? – powtórzył Poiret zdziwiony.

Zbliżył się do starej panny i szepnął jej kilka słów.

– Zapłaciłam komorne i mieszkam tu za swoje pieniądze jak wszyscy – rzekła obrzucając obecnych wzrokiem jaszczurki.

– To nic! Złożymy się, aby pani zwrócić – rzekł Rastignac.

– Pan trzyma stronę Collina – odparła rzucając na studenta badawcze i jadowite spojrzenie.

– Nietrudno zgadnąć, czemu.

Na te słowa Eugeniusz skoczył, jak gdyby chciał się rzucić na starą pannę i udusić ją. Spojrzenie to, którego łajdactwo zrozumiał, wniosło straszliwe światło w jego duszę.

– Zostawże ją pan – wykrzyknęli stołownicy.

Rastignac skrzyżował ramiona i stał niemy.

– Skończmyż z tym Judaszem w spódnicy – rzekł malarz, zwracając się do pani Vauquer.

– Jeżeli pani nie wyprosi panny Michonneau, opuszczamy wszyscy paniną budę i opowiemy wszędzie, że mieszkają tu same tylko szpiegi i bandyci. W przeciwnym razie zachowamy milczenie co do tego wypadku, który ostatecznie może się zdarzyć w najlepszym towarzystwie, aż do chwili, gdy zaczną galerników piętnować na czole oraz zabronią im przebierać się za rentierów i odgrywać rolę trefnisiów, w której znajdują szczególne upodobanie.

Na te słowa pani Vauquer cudem odzyskała zdrowie, wyprostowała się, założyła ręce na piersiach, otworzyła oczy jasne i bez śladu łzy.

– Ależ, drogi panie, chce pan tedy ruiny mego domu? Oto pan Vautrin... Och, Boże – rzekła przerywając sama sobie – nie mogę się wstrzymać od nazywania go dawnym, uczciwym nazwiskiem! – Oto – rzekła – jedno mieszkanie próżne, a pan chce, abym została jeszcze z dwoma w porze, kiedy każdy już się ulokował...

– Panowie, bierzmy kapelusze i chodźmy na obiad do Flicoteaux, plac Sorbony.

Pani Vauquer obliczyła jednym rzutem oka, po której stronie jest większa korzyść, i potoczyła się ku pannie Michonneau.

– No cóż, ślicznotko, nie chce pani zguby mego zakładu, co? Widzisz, w jakiej ostateczności stawiają mnie ci panowie; idź pani dziś wieczór jeść w swoim pokoju.

– Nie, nie! – zakrzyknęli pensjonarze. – Chcemy, aby się stąd zabrała natychmiast.

– Ależ ona obiadu nie jadła, biedactwo – rzekł Poiret miłosierdnym tonem.

– Niech sobie idzie jeść, gdzie jej się podoba – wykrzyknęło kilka głosów.

– Za drzwi ze szpiegiem!

– Za drzwi ze szpiegami!

– Panowie! – wykrzyknął Poiret, wznosząc się nagle do wyżyn odwagi, jakiej miłość użycza baranom. – Chciejcie uszanować płęć.

– Szpiegi nie mają płci – rzekł malarz.

– Dobry ze swoją płciorama!

– Za drzwiorama!

– Panowie, to nieprzyzwoicie. Kiedy się komuś wypowiada, trzeba zachować formy. Zapłaciliśmy, więc zostajemy – rzekł Poiret, kładąc na głowę kaszkiet i siadając obok panny Michonneau, której pani Vauquer roztrząsała sumienie.

– Urwisie – rzekł doń malarz komicznym tonem – ej, ty mały urwisie!

– Zatem, jeżeli państwo nie odchodziecie, my wszyscy idziemy – rzekł Bianchon.

I stołownicy skierowali się hurmem ku drzwiom.

– Moja panno, co pani sobie właściwie myśli? – wykrzyknęła pani Vauquer. – Jestem zrujnowana. Nie może pani tu zostać, oni posuną się do gwałtu.

Panna Michonneau wstała.

– Zabierze się! – Nie zabierze! – Zabierze się! – Nie zabierze! Słowa te padające kolejno oraz wrogi ton wykrzykników, które ją dochodziły, zmusiły pannę Michonneau do odwrotu po chwili pertraktacji dokonanych szeptem z gospodynią.

– Idę do pani Buneaud – rzekła tonem groźby.

– Idź pani, gdzie się jej podoba – rzekła pani Vauquer, widząc krwawą zniewagę w wyborze pensjonatu, z którym rywalizowała i który tym samym był jej nienawistny. – Idź panna do Bunodowej, będziesz tam miała wino kwaśne jak ocet i odpadki z traktierni.

Pensjonarze ustawili się w najgłębszym milczeniu w dwa rzędy. Poiret spoglądał tak czule na pannę Michonneau, był tak naiwnie niezdecydowany, czy ma iść za nią, czy zostać, że stołownicy uszczęśliwieni z porażki starej panny, zaczęli się śmiać na jego widok.

– Ksi, ksi, ksi, Poiret! – krzyknął malarz. – Dalej, hopla, hop!

Urzędnik Muzeum zaczął komicznie śpiewać początek znanej romancy:

W dalekie zapuszczając się strony,

Orlando piękny i miody...

– Idźże pan, umierasz z ochoty: *trahit sua quemque voluptas!* – rzekł Bianchon.

– Każda potwora znajdzie swego amatora, wolny przekład z Wergiliusza – rzekł korepetytor.

Panna Michonneau spojrzała na Poireta, czyniąc ruch, jak gdyby chciała wesprzeć się na nim; nie umiał oprzeć się wezwaniu i podał ramię starej. Rozległy się oklaski, połączone z wybuchami śmiechu.

– Brawo, Poiret! – Nie, ten stary Poiret!... – Apollo–Poiret! – Mars–Poiret! – Dzielny Poiret!

W tej chwili wszedł posłaniec i oddał list pani Vauquer, która przeczytawszy osunęła się na krzesło.

– Ależ zostaje tylko podpalić dom, piorun weń uderzył! Młody Taillefer umarł o trzeciej. Ciężko jestem ukarana, że życzyłam pomyślności tym paniom ze szkodą biednego chłopca! – Pani Couture i Wiktoryna proszą o odesłanie rzeczy, przenoszą się do ojca. Taillefer pozwala córce zatrzymać przy sobie panią Couture jako damę do towarzystwa. Cztery mieszkania wolne, pięćcioro pensjonarzy mniej!...

Siadła, zdawała się bliska płaczu.

– Nieszczęście weszło w mój dom! – wykrzyknęła. Turkot pojazdu, który zatrzymał się przed domem, rozległ się nagle na ulicy.

– Jeszcze jakiś pasztet! – rzekła Sylwia.

W drzwiach ukazał się nagle Goriot z twarzą błyszczącą i zarumienioną szczęściem: rzeklibyście odrodzony człowiek.

– Goriot dorożką? – rzekli stołownicy. – Zbliża się koniec świata!

Stary podszedł prosto do Eugeniusza, który stał w kącie zadumany, i ujął go za ramię.

– Chodź pan – rzekł wesoło.

– Nie wiesz pan tedy, co się stało? – rzekł Eugeniusz – Vautrin był opryszkiem i właśnie go ujęto, a młody Taillefer nie żyje.

– I cóż nas to obchodzi? – rzekł ojciec Goriot. – Jem dziś obiad z córką u ciebie, słyszysz? Czeka na ciebie, chodź!

Pociągnął Rastignaca tak gwałtownie za ramię, że Eugeniusz zmuszony był podążyć za nim. Uprowadził go niby kochankę.

– Do stołu! – krzyknął malarz.

Wszyscy przysunęli krzesła i siedli.

– Daję słowo – rzekła Sylwia – wszystko się dziś nieszczęści, potrawka barania na nic się spaliła. Ha, trudno, zjecie państwo jak jest.

Pani Vauquer nie miała siły wyrzec słowa, widząc tylko dziesięć osób zamiast osiemnastu koło stołu: ale wszyscy próbowali ją rozerwać i pocieszyć. O ile zrazu stołownicy rozmawiali o Vautrinie i o wypadkach dnia, rychło podążyli za kapryśnym biegiem rozmowy i zaczęli gwarzyć o pojedynkach, galerach, sądach, prawach, które by trzeba zreformować, więzieniach. Niebawem znaleźli się o tysiąc mil od Jakuba Collin, Wiktoryny i jej brata. Mimo iż było ich tylko dziesięciu, robili hałasu za dwudziestu i zdawali się liczniejsi niż zazwyczaj; to była jedyna różnica między tym obiadem a wczorajszym. Zwykła obojętność samolubnego świata, który nazajutrz miał znaleźć w bieżących paryskich wypadkach nową ofiarę do pożarcia, wzięła górę; nawet pani Vauquer dała się ukoić nadziei, która przybrała głos grubej Sylwii.

Dzień ten miał być aż do wieczora jedną fantasmagorią dla Eugeniusza, który mimo siły swego charakteru i tęgiej głowy niezdolny był zebrać myśli znalazłszy się w dorożce z ojcem Goriot. Odezwania się starego zdradzały niezwykłą radość i po tylu wzruszeniach rozlegały się w uchu młodego człowieka niby słowa we śnie.

– Wszystko skończone dziś rano. Jemy obiad we troje, razem, razem! Rozumiesz? Już cztery lata nie jadłem obiadu z Delfina, z moją Delfinką. Będę ją miał dla siebie cały wieczór. Cały dzień spędziłem w twoim mieszkaniu. Pracowałem jak wyrobnik z zakasnymi rękawami. Pomagałem znosić meble. Ha, ha! Ty nie wiesz, jaka ona jest miła przy stole, będzie się mną zajmowała: „Masz papuśku, zjedz jeszcze tego, to dobre”. A ja wtedy nie mogę jeść. Och, dawno już nie byłem z nią tak spokojnie, jak dziś będziemy!

– Zatem – rzekł Eugeniusz – świat przewrócił się do góry nogami?

– Przewrócił? – rzekł ojciec Goriot. – Ależ nigdy jeszcze nie trzymał się tak dobrze na nogach. Widzę na ulicach same wesole twarze, ludzie ściskają się za ręce, obejmują się; szczęśliwi są tak, jakby wszyscy mieli być na obiedzie u swoich córek i zająć dobry obiad jak ten, który ona zamówiła przy mnie w Cafe Anglais. Ba! Przy niej piołun wydałby się słodki jak miód.

– Mam uczucie, że wracam do życia – rzekł Eugeniusz.

– Jedźże prędzej, człowieku! – krzyknął ojciec Goriot otwierając okno. – Jedźcież prędzej, dam wam pięć franków na piwo, jeśli za dziesięć minut staniemy na miejscu.

Słyszając tę obietnicę woźnica pognął z szybkością błyskawicy.

– Wlecz się noga za nogą – wyrzekął ojciec Goriot.

– Ale gdzie pan mnie wiezie? – spytał Rastignac.

– Do ciebie – odparł ojciec Goriot.

Pojazd zatrzymał się przy ulicy d'Artois. Stary wyskoczył pierwszy i rzucił dziesięć franków woźnicy z hojnością wdowca, który w paroksyzmie uciechy nie liczy się z niczym.

– Dalej, chodźmy – rzekł do Rastignaca prowadząc go przez dziedziniec i wiodąc do mieszkania na trzecim piętrze, w oficynie nowego i okazałego domu.

Ojciec Goriot nie potrzebował dzwonić. Teresa, pokojówka pani de Nucingen, otworzyła. Eugeniusz znalazł się w ślicznym kawalerskim mieszkaniu – przedpokój, salonik, sypialnia oraz gabinet z oknem wychodzącym na ogród. W saloniku, tak urządzone i ozdobione, że mógłby iść w zawody z najładniejszym, najwykwintniejszym apartamentem, spostrzegł przy blasku świec Delfinę, która wstała z kozetki, zasunęła ogień ekranem i rzekła tonem przepojonym czułością:

– Trzeba aż posyłać po pana, sam nie umiesz nic zrozumieć!

Teresa wyszła. Student wziął Delfinę w ramiona, uściskał ją żywo i rozplakał się z radości. Ten ostatni kontrast między tym, co widział w ciągu dnia, a na co patrzył w tej chwili, w dobie, w której tyle wrażeń przeorało jego serce i głowę, wywołał u Rastignaca napad nerwowej tklivości.

– Wiedziałem dobrze, że on cię kocha – szepnął Goriot do córki, gdy Eugeniusz, wyczerpany, osunął się na kozetkę, nie mogąc wymówić słowa ani zdać sobie jeszcze sprawy z tego, w jaki sposób dokonało się ostatnie dotknięcie czarnoksiężskiej różdżki.

– Ale chodźże pan zobaczyć – rzekła pani de Nucingen, ujmując go za rękę i prowadząc do pokoju, którego dywany, meble i najdrobniejsze szczegóły przypominały mu, w mniejszych rozmiarach, pokój Delfiny.

– Brakuje łóżka – rzekł Rastignac.

– Tak – szepnęła rumieniąc się i ściskając mu rękę.

Eugeniusz spojrział na nią i rozumiał, mimo iż tak młody, ile prawdziwej wstydlivości mieści się w sercu kochającej kobiety.

– Należysz do istot, które musi się ubóstwiać zawsze – rzekł jej do ucha. – Tak, mogę ci to powiedzieć, skoro rozumiemy się tak dobrze: im żywsza i szersza jest miłość, tym bardziej powinna być tajemnicza, okryta zasłoną. Nie powierzajmy naszej tajemnicy nikomu.

– Och, ja nie jestem przecież ktoś – rzekł ojciec Goriot z wyrzutem.

– Wiesz przecie, że ty to my...

– Och, o tym marzyłem. Nie będziecie zwracali na mnie uwagi, nieprawdaż? Będę chodził,

snuł się po domu jak dobry duch, który jest wszędzie i którego obecność czuje się, nie widząc go. I cóż, Delfinko, Finko, Delciu! Nie miałem słuszności, gdy ci mówiłem: „Jest mieszkanie przy ulicy d'Artois, urządzmy je dla niego!” Ty nie chciałaś. Och, to ja jestem twórcą tej radości, jak jestem twórcą twego życia. Ojciec powinien ciągle dawać, aby się czuć szczęśliwym. Wciąż dawać to znaczy być ojcem.

– Jak to? – spytał Eugeniusz.

– Tak, ona nie chciała, bała się, że będą gadać głupstwa, jak gdyby świat był wart, aby mu poświęcić szczęście! Toć wszystkie kobiety marzą o tym, aby zrobić to co ona.

Ojciec Goriot mówił w próżnię: pani de Nucingen wciągnęła Eugeniusza do gabinetu, gdzie rozległ się szmer pocałunku, mimo iż uszczkniętego możliwie najdelikatniej. Pokój ten był w harmonii z wykwinem mieszkania, w którym zresztą nie brakowało niczego.

– Cóż, dobrze odgadliśmy pańskie chęci? – rzekła wracając do saloniku, aby usiąść do stołu.

– Ach, tak – odparł – za dobrze. Niestety! Ten zbytek tak pełny to urzeczywistnienie pięknych marzeń, wszystkie poezje młodego wykwinowego życia... Tak, oceniam je zbyt dobrze, abym nie miał ich być wart; ale nie mogę ich przyjąć od pani, a sam jestem jeszcze za biedny, aby...

– Och! Och! Już mi się pan sprzeciwia – rzekła z drwiącą stanowczością, którą przybierają kobiety, kiedy chcą wyszydzić jakiś skrupuł, aby tym lepiej go rozproszyć.

Eugeniusz zbyt uroczyście wszedł w siebie tego dnia, uwięzienie zaś Vautrina, ukazując mu głębię otchłani, w którą omal się nie stoczył, nadto wzmocniło jego szlachetne uczucia i skrupuły, aby miał ustąpić temu pieścizotliwemu zironizowaniu jego szlachetnych pojęć. Owładnął nim głęboki smutek.

– Jak to! – rzekła pani de Nucingen – miałabyś odmówić? Czy wiesz, co znaczy podobna odmowa? Wątpisz o przyszłości, nie śmiesz wiązać się ze mną. Lękasz się zatem, że zdradzisz me uczucie? Jeżeli ty mnie kochasz, jeżeli ja... kocham ciebie, czemu wzdragasz się przed tak błahym zobowiązaniem? Gdybyś wiedział, jaką mi przyjemność sprawiło zajmować się tym mieszkaniem, prosiłabyś mnie o przebaczenie. Miałam twoje pieniądze i dobrze ich użyłam, to wszystko. Sądzisz, że jesteś wzniosły, a jesteś mały. Żądasz o wiele więcej... Och – rzekła chwytając namiętne spojrzenie Eugeniusza – a drożysz się o głupstwo. Jeżeli mnie nie kochasz, och, w takim razie nie przyjmuj. Los mój spoczywa w jednym słowie. Mów! Ależ, ojczu, przemów ty mu do rozsądku – dodała po pauzie, zwracając się do ojca. – Czy on myśli, że ja jestem mniej drażliwa na punkcie naszego honoru?

Twarz ojca Goriot przybrała uśmiech ekstatycznego zachwyty, gdy patrzył na nich, gdy słuchał tej ładnej sprzeczki.

– Dzieciaku! Jesteś na wstępie do życia – ciągnęła ujmując dłoń Eugeniusza – spotykasz zaporę dla wielu nie do przebycia, ręka kobiety usuwa ci ją i ty się cofasz? Ależ ty się wybijesz, czeka cię wspaniała przyszłość, powodzenie wypisane jest na twym pięknym czole. Czy nie będziesz mógł mi oddać wówczas tego, czego ci pożyczam dzisiaj? Czyż nigdyś damy nie dawały swoim rycerzom zbroi, mieczów, kasków, drucianej koszulki, koni, iżby mogli potykać się w ich imię na turniejach? Otóż, Eugeniuszu, to, co ja ci ofiaruję, to broń naszej epoki, narzędzia niezbędne, gdy kto chce być czymś. Ładne jest to poddasze, na którym mieszkasz, jeśli podobne do pokoju papy! No, nie będziemy jedli dziś obiadu? Chcesz mnie zmartwić? Odpowiadaj! – rzekła potrząsając jego rękę. – Mój Boże, ojczulku, przekonaj go albo wychodź stąd i nie chcę go widzieć więcej.

– Ja cię namówię – rzekł ojciec Goriot, budząc się z zachwycenia. – Drogi panie Eugeniuszu, będziesz pożyczał pieniądze od lichwiarzy, nieprawdaż?

– Nie ma innej rady – odparł.

– Dobrze, mam cię zatem – podjął stary, wydobywając lichy i zniszczony pugilares. – Ja przedzierzgałem się w lichwiarza, zapłaciłem wszystkie rachunki, oto są. Nie jesteś winien

ani grosza za wszystko, co się tu znajduje. To nie jest wielka suma, najwyżej pięć tysięcy franków. Pożyczam ci je, słyszysz! Podpiszesz rewers na jakimś świstku i zwrócisz mi je kiedyś.

Łzy zakreściły się w oczach Eugeniusza i Delfiny, którzy spojrzeli po sobie ze zdumieniem. Rastignac podał staremu rękę i uściskał ją.

– No i cóż! Czyż nie jesteście mymi dziećmi? – rzekł Goriot.

– Ależ, biedny ojciec – rzekła pani de Nucingen – jakim cudem zdołałeś to uczynić?

– Ba! – odparł. – Kiedym cię nakłonił, abyś go pomieściła blisko siebie, i kiedym widział, jak meblujesz mieszkanie niby dla panny młodej, pomyślałem sobie: „Napyta się jeszcze kłopotów!” Adwokat twierdzi, że proces, który mamy wytoczyć mężowi, aby go zmusić do oddania ci majątku, potrwa więcej niż pół roku. Dobrze. Otóż sprzedałem swoich tysięcy trzysta pięćdziesiąt franków renty; zapewniłem sobie, oddając piętnaście tysięcy franków, tysiąc dwieście franków dożywocia na pewnej hipotece, a z resztą zapłaciłem wasze rachunki, moje dzieci. Mam tu na górze pokoiów za pięćdziesiąt talarów rocznie, mogę żyć jak księżę za czterdzieści su dziennie i jeszcze mi zostanie. Nie zużywam nic, nie trzeba mi prawie ubrania. Od dwóch tygodni śmieję się w duchu, mówiąc sobie: „Ależ będą szczęśliwi!” I cóż, nie jesteście szczęśliwi?

– Och, tatku, tatku! – rzekła pani de Nucingen, skacząc na szyję ojcu, który ją wziął na kolana.

Okryła go pocałunkami, pieściła mu policzki włosami blond i wylewała łzy na tę starą twarz, rozpromienioną, błyszczącą.

– Ojciec drogi, ty jesteś ojcem! Nie, nie ma pod słońcem dwóch takich jak ty. Eugeniusz już cię bardzo kochał, cóż dopiero teraz!

– Ależ, dzieci – rzekł ojciec Goriot, który od dziesięciu lat nie czuł serca córki bijącego na swoim – ależ, Delfinko, chcesz tedy, abym tu umarł z radości! Moje biedne serce pęknie. Widzisz, panie Eugeniuszu, jużemy się skwitowali.

I starzec tulił córkę uściskiem tak dzikim, tak nieprzytomnym, iż rzekła:

– Och! Ojciec, boli!

– Ból ci sprawiłem – rzekł blednąc.

Spojrzał na nią z nadludzką boleścią. Aby dobrze oddać twarz tego Chrystusa ojcostwa, trzeba by szukać porównań w obrazach, które wymyślili mistrze pędzla, aby odmalować mękę ścierpianą przez Zbawiciela dla dobra świata. Goriot ucałował bardzo delikatnie kibić, którą palce jego zanadto uścisnęły.

– Nie, nie, nie sprawiłem ci bólu? – podjął pytając ją uśmiechem. – To ty sprawiłaś mi ból swoim wykrzyknikiem. To więcej kosztuje – rzekł do ucha córki, całując ją ostrożnie – ale trzeba go było zażyć z mańki, inaczej pogniewałby się.

Eugeniusz osłupiał na widok niewyczerpanego poświęcenia tego człowieka i patrzył nań z naiwnym podziwem, który jest wiarą młodości.

– Stanę się godny tego wszystkiego! – wykrzyknął.

– O, mój Eugeniuszu, to piękne, co powiedziałaś w tej chwili.

I pani de Nucingen ucałowała studenta w czoło.

– Wyrzekł się dla ciebie panny Taillefer i jej milionów – rzekł ojciec Goriot. – Tak, kochała cię ta dziewczyna; obecnie zaś, po śmierci brata, bogata jest jak Krezus.

– Och, po cóż mówić?... – wykrzyknął Eugeniusz.

– Eugeniuszu – rzekła mu Delfina do ucha – to mi zasępiło dzisiejszy wieczór. Och! Ja cię będę bardzo kochała! I na zawsze.

– Oto najpiękniejszy dzień, jaki miałem od czasu waszego zameścia! – wykrzyknął ojciec Goriot. – Dobry Bóg może mi zesłać cierpienie, ile mu się podoba – byle nie przez was – zawsze sobie powiem: „W lutym tego roku byłem przez jedną chwilę szczęśliwszy, niż ludzie potrafią być przez całe życie”. Popatrz na mnie, Delfinko – rzekł do córki. – Ładna,

nieprawdaż? Powiedz mi pan, dużo spotkałeś kobiet, które by miały takie śliczne kolory i ten mały dołeczek? Nie, prawda? I to ja jestem twórcą tej cudnej kobiety. Obecnie, kiedy będzie szczęśliwa przez ciebie, jeszcze się zrobi tysiąc razy ładniejsza. Mogę iść do piekła, mój sąsiedzie – rzekł. – Jeżeli ci trzeba mego miejsca w raju, odstępuję ci je. Jedźmy, jedźmy – dodał nie wiedząc już, co mówi – wszystko to jest nasze.

– Poczciwy ojczulek!

– Gdybyś wiedziała, dziecko – rzekł wstając i podchodząc do niej, ujmując ją za głowę i całując splecione w warkocze włosy – jak ty mnie możesz uczynić szczęśliwym i jak tanim kosztem! Zachodź czasami do mnie, ja będę tam na górze, będziesz miała tylko dwa kroki. Przyrzeknij mi, dobrze?

– Dobrze, ojczulku.

– Powiedz jeszcze raz.

– Tak, dobry ojczulku.

– Cicho już, kazałbym ci powtarzać sto razy, gdybym słuchał swojej ochoty. Siadajmy do stołu.

Cały wieczór upłynął na takich dzieciństwach, przy czym ojciec Goriot nie ustępował młodemu. Kładł się u nóg córki, aby je całować; patrzył przeciągle w jej oczy, ocierał się głową o jej suknię; czynił szaleństwa godne najmłodszego, najczulszego kochanka.

– Widzisz – rzekła Delfina do Eugeniusza – kiedy ojciec jest przy nas, trzeba wyłącznie się jemu poświęcać. To będzie niekiedy bardzo kłopotliwe.

Eugeniusz, który już niejedną raz czuł się zazdrosny, nie mógł wziąć za złe kochance tych słów, w których mieścił się pierwiastek wszelkiej niewdzięczności.

– A kiedy będzie mieszkanie gotowe? – rzekł Eugeniusz rozglądając się. – Trzeba tedy rozstać się dziś wieczór?

– Tak, ale jutro będzie pan u mnie na obiedzie – rzekła z przebiegłą miną. – Jutro jest dzień Włochów.

– Pójdę na parter – rzekł ojciec Goriot.

Była północ. Powóz pani de Nucingen czekał. Ojciec Goriot i student wrócili do pensjonatu rozmawiając z rosnącym zapalem o Delfinie. Ciekawy był kontrast wyrazu tych namiętności. Eugeniusz nie mógł przed sobą zataić, że miłość ojca, nie splamiona żadnym osobistym interesem, miażdży jego uczucie wytrwałością i ogromem. Dla ojca bóstwo było zawsze czyste i piękne, a uwielbienie jego potęgowało się całą przeszłością i przyszłością. Zastali panią Vauquer przed piecem, samą, w towarzystwie Sylwii i Krzysztofa. Stara gospodyni siedziała niby Mariusz na gruzach Kartaginy. Oczekując dwóch jedynych pensjonarzy, którzy jej pozostali, rozplywała się w lamentach z Sylwią. Mimo iż piękne są lamentacje, które lord Byron włożył w usta Tassa, dalekie są one od głębokiej prawdy skarg pani Vauquer.

– Na jutro rano już tylko trzy filiżanki kawy, Sylwio. Cały dom jest opustoszały: czyż to nie może serce pęknąć? Czym jest życie bez moich pensjonarzy? Niczym. Dom bez mieszkańców to niby pokój bez sprzętów. Cóżem ja uczyniła niebu, aby ściągnąć na siebie takie klęski? Zapas fasoli i kartofli na dwadzieścia osób. Policja u mnie! Będziemy żyli samymi kartoflami. Trzeba mi odprawić Krzysztofa!

Sabaudeczyk, który drzemał, zbudził się nagle i rzekł:

– Pani coś mówiła?

– Poczciwy chłopiec! Wierne to jak pies – rzekła Sylwia.

– Martwy sezon, każdy już ma mieszkanie. Gdzie ja znajdę lokatorów? Chyba stracę rozum. A ta wiedźma Michonneau zagarnia mi jeszcze Poireta! Co ona z nim robiła, aby tak przywiązać do siebie tego człowieka? Drepce za nią jak piesek.

– Ho, ho! – rzekła Sylwia potrząsając głową. – Te stare pannice to znają się na interesie.

– A ten biedny pan Vautrin, którego zrobili galernikiem – podjęła wdowa. – Czy wiesz,

Sylwio, niech mi kto mówi, co chce, ja nie mogę jeszcze w to uwierzyć. Człowiek wesoły jak szczygieł, który wypijał likierku za piętnaście franków na miesiąc i płacił akuratnie jak zegarek!

– A i na piwo wyrzucił jak się patrzy! – rzekł Krzysztof.

– To jakaś pomyłka – rzekła Sylwia.

– Ale nie, sam się przyznał – podjęła pani Vauquer. – I powiedzieć, że wszystkie te rzeczy zdarzyły się u mnie, w dzielnicy, gdzie nie zabłąka się ani pies z kulawą nogą! Słowo uczciwej kobiety, ja chyba śnię. Bo to, widzisz, patrzyliśmy na Ludwika XVI i jego nieszczęście, widzieliśmy upadek cesarza, jego powrót i powtórny upadek, wszystko to było w zakresie rzeczy możliwych. Ale pensjonat, taki jak mój, to zupełnie co innego: można się obejść bez króla, ale musi się co dzień jeść obiad; i kiedy uczciwa kobieta, z domu Conflans, daje smacznie, na świeżym maśle, to o ile nie ma przyjść koniec świata... Ale to wszystko to istotnie koniec świata.

–I pomyśleć, że panna Michonneau, która naraziła panią na te straty, ma dostać, wedle tego co mówią, tysiąc talarów renty! – wykrzyknęła Sylwia.

–Nie mów mi o tej zbrodniarce! – rzekła pani Vauquer. –I jeszcze, na dobitkę, przynosi się do Bunodowej! Ale ona jest zdolna do wszystkiego, musi mieć ładne rzeczy na sumieniu; ręczę, że w swoim czasie kradła i zabijała. Ona powinna by iść na galery zamiast tego biednego, zacnego człowieka...

W tej chwili zadzwonił Eugeniusz i ojciec Goriot.

– Oto moi dwaj wierni – rzekła wdowa z westchnieniem.

Dwaj wierni, którzy zachowali bardzo lekkie wspomnienie katastrof zacnego pensjonatu, oznajmili bez ceremonii, że się przenoszą na Chaussée d'Antin.

– Ach! Sylwio – rzekła wdowa – to mój ostatni atut. Zadaliście mi śmiertelny cios, panowie! Aż mnie ścisło w żondułku. Czuję tu niby kłode. Dzisiejszy dzień zwałił mi dziesięć lat na głowę. Oszaleję, słowo honoru! Co zrobić z fasolą? Dobrze, skoro zostaję sama, możesz od jutra szukać miejsca, Krzysztofie. Zegnam panów, dobrej nocy.

– Co jej się stało? – spytał Eugeniusz Sylwii.

– Ano cóż, wszyscy się wynieśli skroś tych brewerii. To jej zmaciło w głowie. O, o słyszy pan, jak płacze. Dobrze jej zrobi wybeczeć się trochę. Od czasu jak jestem w służbie, jeszcze ani razu nie puściła sobie służów.

Nazajutrz pani Vauquer wzięła się, wedle swego wyrażenia, w kupę. Była wprawdzie strapiona, jak godzi się osobie, która postradała wszystkich pensjonarzy i której życie uległo wstrząśnieniu, ale opamiętała się zupełnie i okazała, co jest prawdziwa boleść, boleść głęboka, boleść spowodowana klęską w interesach i zburzeniem przyzwyczajęń. To pewna, że spojrzenie, jakim kochanek obejmuje mieszkanie ukochanej, kiedy mu je przychodzi opuścić, nie bardziej jest brzemienne smutkiem niż wzrok, którym pani Vauquer ogarniała próżny stół. Eugeniusz pocieszył ją mówiąc, że Bianchon, którego internat kończy się za kilka dni, zajmie z pewnością jego miejsce; że urzędnik Muzeum nieraz zdradzał chętkę na mieszkanie pani Couture i że w niedługim czasie pensjonat uzupełni swój personel.

– Oby Bóg pana wysłuchał, drogi panie! Ale nieszczęście spadło na mój dom. Nim upłynie dziesięć dni, śmierć wejdzie tutaj, zobaczy pan – rzekła obejmując posępnym spojrzeniem jadalnię. – Kogo zagarnie?

– Miło będzie wynieść się stąd – rzekł po cichu Eugeniusz do ojca Goriot.

– Proszę pani – rzekła Sylwia wbiegając przerażona –już od trzech dni nie widziałam Mistrigrisa.

– Och, och jeżeli kot zginął, jeżeli nas opuścił, w takim razie...

Biedna wdowa nie dokończyła, złożyła ręce i padła na fotel powalona straszliwą wróżbą.

Około południa, w porze kiedy listonosze zjawiają się w dzielnicy Panteonu, Eugeniusz otrzymał wykwintnie złożony list, zapieczętowany herbem Beauséant. Zawierał zaproszenie

dla obojga państwa de Nucingen na zapowiadany od miesiąca wielki bal u wicehrabiny. Do zaproszenia dołączone było to słówko:

Pomyślałam, drogi kuzynie, że z przyjemnością podejmiesz się być tłumaczem mych uczuć wobec pani de Nucingen; przesyłam Ci zaproszenie, o które mnie prosileś; będzie mi miło poznać siostrę pani de Restaud. Przyrowadź tedy do mnie tę śliczną osobę, ale uważaj, abyś jej nie oddał całego swego serca: winien mi go jesteś wiele w zamian za przyjaźń, jaką mam dla Ciebie

Wicehrabina de Beauseant

– Hm – rzekł sobie Eugeniusz odczytując powtórnie bilecik – pani de Beauséant mówi dość jasno, że nie życzy sobie pana de Nucingen!

Pospieszył do Delfiny, szczęśliwy, że może jej dostarczyć uciechy, za którą spodziewał się niezawodnej nagrody. Pani de Nucingen była w kąpieli. Rastignac czekał w buduarze wydany na pastwę niecierpliwości naturalnej u młodego człowieka, mającego gorącą krew w żyłach i czekającego wreszcie chwili, w której posiadzie ukochaną, przedmiot dwuletnich pragnień. Są to wzruszenia, które nie powtarzają się dwa razy w życiu młodych ludzi. Pierwsza kobieta, naprawdę kobieta, do której przywiąże się mężczyzna, to znaczy ta, która mu się ukaże w całym blasku akcesoriów wymaganych przez atmosferę Paryża, nie będzie miała nigdy rywalki. Miłość w Paryżu nie jest podobna do żadnej innej. Ani mężczyźni, ani kobiety nie dadzą się tu złapać na owe rupiecie komunałów, w jakie każdy stroi dla przyzwoitości swoje niby bezinteresowne uczucia. W tej krainie kobieta winna zaspokoić nie tylko serce i zmysły; wie ona doskonale, że ma większe zobowiązania, wynikłe z tysiącznych próżności, z jakich składa się życie. Miłość jest tu arogancka, bezwstydną, marnotrawną, szarlatańską i próżną. Skoro wszystkie panny na dworze Ludwika XIV zazdrościły pannie de la Valière porywu, który kazał zapomnieć temu wielkiemu monarsze, że mankiety jego kosztują każdy po tysiąc talarów, wówczas kiedy je podarł, aby ułatwić księciu de Vermandois wejście na scenę świata, czegoż żądać od reszty ludzkości? Miejcie młodość, bogactwo i tytuł, miejcie więcej, jeśli możecie; im więcej kadzidła spalicie przed swoim bóstwem, tym będzie wam ono łaskawsze, o ile w ogóle macie bóstwo. Miłość jest religią, a jej kult musi kosztować drożej niż w jakiegokolwiek innej religii; przechodzi ona szybko i przechodzi jak ulicznik, który rad jest znaczyć swe przejście zniszczeniem. Zbytek uczucia jest poezją poddasza: bez niego w cóż by się tam obróciła miłość? Jeśli istnieją wyjątki tego okrutnego paryskiego kodeksu, spotyka się gdzieś na uboczu, wśród dusz, które nie uwiedzione przez doktryny socjalne, żyją blisko jakiegoś źródła o jasnych, chybkich, ale sączących się bez ustanku wodach; dusz, które wierne swej cienistej ustroni, szczęśliwe, iż mogą słuchać wymowy nieskończoności wypisanej dla nich w każdej rzeczy i czerpanej w sobie, czekają cierpliwie, aż im wyrosną skrzydła, ubolewając nad tymi, co są przykuci do ziemi. Ale Rastignac, podobny do większości młodych, którzy wyobraźnią zakosztowali przepychów świata, chciał wstąpić w szranki w pełnym rynsztunku. Zaraził się gorączką świata; może czuł w sobie siłę panowania nad nim, ale bez świadomości środków i celu. W braku czystej i świętej miłości, która wypełnia życie, ten głód potęgi może się stać piękną rzeczą, byle się wyzuć z osobistego interesu i wziąć sobie za cel wielkość kraju. Ale student nie doszedł jeszcze do punktu, w którym człowiek mocen jest ogarnąć bieg życia i osądzić go. Nie strząsnął dotąd całkowicie uroku świeżych i powabnych pojęć, które otulają niby liśćmi młodość dzieci wzrosłych na prowincji. Zawsze jeszcze wahał się przed paryskim Rubikonem. Mimo palącej ciekawości zachował pamięć szczęśliwego życia, jakie wie dzie prawdziwy szlachcic w swoim dworze. Jednakże ostatnie jego skrupuły znikły poprzedniego dnia, w chwili, kiedy się ujrzał w swym mieszkanku. Zaczynając korzystać z materialnych przywilejów majątku, tak jak od dawna korzystał z materialnych i moralnych przewag, które daje urodzenie, zrzucił skórę

provincjonalnego ciury i oswoił się z pozycją, odsłaniającą piękne horyzonty. Toteż czekając na Delfinę, miękko rozparty w tym ładnym buduarze, który stawał się po trosze jego własnym, czuł się tak daleki od zeszłorocznego Rastignaca, iż przyglądając się sobie okiem duszy, pytał, czy jest jeszcze w czymkolwiek podobny do swego sobowtóra.

– Pani baronowa jest w swoim pokoju – oznajmiła Teresa, której głos przejął go dreszczem.

Zastał Delfinę wyciągniętą na kozetce przy ogniu, świeżą, wypoczętą. Widząc tę postać tonącą w falach muślinu, niepodobna było nie porównać jej do owych pięknych indyjskich roślin, których owoc rodzi się w kwiecie,

– A, jest pan nareszcie – rzekła wzruszona.

– Niech pani zgadnie, co przynoszę – rzekł Eugeniusz, siadając obok i ujmując rękę Delfiny, aby ją ucałować.

Czytając zaproszenie, pani de Nucingen drgnęła z radości. Zwróciła na Eugeniusza wilgotne oczy i zarzuciła mu ramiona na szyję, aby go przyciągnąć do siebie w upojeniu zadowolonej próżności.

– I to panu (tobie – rzekła do ucha – ale Teresa jest obok, bądźmy ostrożni!), panu winna jestem to szczęście? Tak, nie waham się nazwać tego szczęściem. Uzyskane przez ciebie, czyż nie staje się czymś więcej niż tryumfem ambicji? Nikt nie chciał mnie wprowadzić do tego świata. Wydam ci się może w tej chwili małą, próżną, lekką paryżanką; ale pomyśl, drogi mój, że ja jestem gotowa wszystko poświęcić tobie i że jeżeli teraz goręcej pragnę bywać w tym świecie, to dlatego, że ty w nim żyjesz.

– Czy pani nie uważa – rzekł Eugeniusz – że pani de Beauséant powiada nam dość wyraźnie, że nie spodziewa się ujrzeć na balu barona?

– Ależ tak – rzekła baronowa oddając list. – Te kobiety mają geniusz impertynencji. Ale mniejsza, pójdę. Siostra ma być również, wiem, że gotuje cudną toaletę. Eugeniusz – rzekła szeptem – Anastazja idzie na ten bal, aby rozproszyć okropne posądenia. Nie wiesz, jakie pogłoski o niej krążą! Nucingen wspomniał dziś rano, że wczoraj mówiono o tym w klubie bez ceremonii. Od czegoż zależy, mój Boże, honor kobiety, rodziny! Odczułam sprawę siostry niby osobistą ranę i zniewagę. Mówią, że pan de Trailles podpisał na sto tysięcy franków weksli; termin ich przeważnie już zapadł, miano go ścigać. W tej ostateczności siostra sprzedała podobno Żydowi rodowe diamenty, te piękne diamenty, które musiałeś u niej widzieć: dar matki męża. Słowem, od dwóch dni tylko o tym mówią. Rozumiem, że Anastazja każe sobie robić suknię ze złotej lamy i że chce ściągnąć na siebie wszystkie spojrzenia, ukazując się w całym blasku i w diamentach. Aleja nie chcę być gorsza od niej. Zawsze starała się mnie zmiażdżyć, nigdy nie była dobra dla mnie... Oddawałam jej tyle usług, zawsze znajdowałam pieniądze dla niej, gdy była w potrzebie... Ale zostawmy świat, dzisiaj chcę być szczęśliwa...

O pierwszej w nocy Rastignac był jeszcze u pani de Nucingen, która przedłużając pożegnanie, owo pożegnanie kochanków tak pełne przyszłych rozkoszy, rzekła z wyrazem melancholii:

– Jestem tak lękliwa, tak przesadna, nazwij wreszcie moje przecucia, jak ci się podoba, że lękam się opłacić szczęście jakąś katastrofą.

– Dzieciaku! – rzekł Eugeniusz.

– A! To ja jestem dzieciakiem dzisiaj – rzekła śmiejąc się.

Eugeniusz wrócił do pensjonatu z tą pewnością, iż opuści go jutro; w drodze oddał się cały owym słodkim marzeniom, jakie snują wszyscy młodzi, kiedy mają jeszcze na ustach smak szczęścia.

– I cóż? – rzekł Goriot, kiedy Rastignac przechodził koło jego drzwi.

– Wszystko dobrze – odparł Eugeniusz. – Powiem panu jutro.

– Wszystko, nieprawdaż? – krzyknął stary. – Połóż się spać. Jutro zaczniesz się dla nas szczęśliwe życie.

Nazajutrz Goriot i Rastignac oczekiwali już tylko dobrej woli jakiegoś tragarza, aby opuścić pensjonat, kiedy około południa turkot ekwipażu, który zatrzymał się wreszcie przed bramą pani Vauquer, rozległ się na ulicy. Z powozu wysiadła pani de Nucingen; spytała, czy ojciec jeszcze w domu. Otrzymałszy twierdzącą odpowiedź Sylwii wbiegła lekko. Bez wiedzy sąsiada Eugeniusz był u siebie. Przy śniadaniu prosił ojca Goriot, aby zabrał jego rzeczy, oświadczając, że spotkają się koło czwartej przy ulicy d'Artois. Ale kiedy stary poszedł szukać tragarzy, Eugeniusz, odpowiedziawszy szybko na apel na wykładzie, wrócił nie spostrzeżony przez nikogo, aby się policzyć z panią Vauquer, nie chcąc zostawić tego zadania Goriotowi, który w swoim zacierzwieniu zapłaciłby z pewnością za niego. Gospodyni wyszła. Eugeniusz wstąpił do siebie, aby się przekonać, czy niczego nie zapomniał; jakoż nie żałował swej przezorności znajdując w szufladzie akcept *in blanco* wystawiony Vautrinowi i porzucony niedbale w biurku po wykupie. Ponieważ na kominku nie było ognia, chciał podrzeć weksel, kiedy usłyszał głos Delfiny. Eugeniusz nie dając znaku życia został w pokoju, aby usłyszeć rozmowę; sądził, że kochanka nie powinna mieć dlań tajemnic. Następnie od pierwszych słów rozmowa między ojcem a córką obudziła w nim zbyt żywe zajęcie, aby się mógł wstrzymać od słuchania.

– Ach, ojczu – rzekła Delfina – dałoby niebo, abyś wpadł na myśl upomnienia się o mój majątek dość wcześnie, by mnie uchronić od ruiny! Czy mogę mówić?

– Tak, nie ma nikogo w całym domu – rzekł Goriot zmienionym głosem.

– Co tobie, ojczu? – spytała pani de Nucingen.

– Uderzyłaś mnie jak obuchem w głowę – odparł starzec. – Niech ci Bóg przebaczy, dziecko; nie wiesz, jak bardzo cię kocham; gdybyś wiedziała, nie mówiłabyś mi tak bez przygotowania podobnych rzeczy, zwłaszcza jeżeli jeszcze nic nie jest stracone. Cóż takiego zaszło, żeś przyjechała do mnie aż tutaj, kiedy za parę chwil mieliśmy być przy ulicy d'Artois?

– Ach, ojczu, czyż w chwili katastrofy panuje się nad pierwszym odruchem? Jestem jak oszalała! Adwokat odsłonił nam nieco wcześniej nieszczęście, które bez wątplenia wybuchnie lada chwila. Będzie nam potrzebne twoje długoletnie doświadczenie, przybiegłam do ciebie, jak tonący czepia się gałęzi. Skoro Derville spostrzegł, że Nucingen zastawia się tysiącem szykan, zagroził mu procesem, oznajmiając, że rychło zdoła uzyskać wyrok. Nucingen przyszedł do mnie dziś rano, zapytując, czy chcę jego i siebie przywieść do ruiny. Odpowiedziałam, że się na tym nie rozumiem, że miałam majątek, że powinnam być w posiadaniu swego majątku, że się zdałam ze wszystkim na adwokata, nic więcej nie wiem i nic nie mogę rozstrzygać. Czy nie tak mi zaleciłeś?

– Tak, dobrze – odparł Goriot.

– Otóż – ciągnęła Delfina – Nucingen przedstawił mi stan interesów. Rzucił wszystkie swoje i moje kapitały w ledwo rozpoczęte przedsiębiorstwo, w które trzeba było włożyć wielkie sumy. Gdybym go zmusiła do wyliczenia się z posagu, trzeba by mu zgłosić upadłość; natomiast jeśli zechcę zaczekać rok, zobowiązuje się honorem zwrócić mi mój majątek pomnożony w dwój- albo w trójnasób, umieszczając moje kapitały w operacjach terytorialnych, z których ukończeniem zostanę panią znacznych dóbr. Ojczu, on był szczery w tej chwili, przeraził mnie. Prosił, abym mu przebaczyła jego postępek; wrócił mi zupełną swobodę, pozwoił sobie urządzić życie, jak zechcę, pod warunkiem, żeby mu zostawić plenipotencję. Aby dowieść swojej dobrej wiary, przyrzekł mi wzywać Derville'a, ilekroć tego zażąda, dla ocenienia, czy akty każdorazowego kupna są prawidłowe. Słowem, oddał się bez zastrzeżeń w moje ręce. Prosił, abym mu jeszcze dwa lata zostawiła rząd domu; błagał, abym nic nie wydawała na siebie ponad to, co mi przeznaczył. Wykazał, że zaledwie jest w stanie zachować pozory: odprawił swoją tancerkę; będzie zmuszony do najściślejszej,

ale tajemnej oszczędności, aby dobić terminu swoich spekulacji nie narażając kredytu. Obeszłam się z nim jak najgorzej, wszystkiemu przeczyłam, aby go doprowadzić do ostateczności i dowiedzieć się jeszcze więcej: pokazał mi swoje księgi, płakał... Nie widziałam człowieka w podobnym stanie. Zupełnie głowę stracił, mówił o samobójstwie, bredził. Żal mi go było.

–I ty wierzysz w te ambaje – wykrzyknął Goriot. – To komediant! Miałem do czynienia z Niemcami: prawie wszystko ludzie uczciwi i prostoduszni; ale kiedy pod maską szczerości i dobroduszności puszczą się na szacherki i cygaństwa, wówczas zakasują wszystkich. Twój mąż cię zwodzi. Czuje, że go przyciskamy do muru: przyczają się, chce pod twoim imieniem zachować tym większą swobodę działania. Chce korzystać z tej okoliczności, aby się ubezpieczyć od ryzyka swoich szacherstw. Jest równie chytry, jak przewrotny: to licha figura. Nie, nie, nie dam się wynieść na cmentarz, zostawiając córki wyzute ze wszystkiego. Znam się jeszcze trochę na interesach. Powiada, że rzucił kapitały w przedsiębiorstwa; więc dobrze, zatem te interesy muszą mieć oparcie w jakichś walorach, kwitach, umowach! Niech je pokaże, niech się z tobą rozliczy. Wybierzemy najlepsze spekulacje, weźmiemy je na swoje ryzyko, będziemy mieli dokumenty uwierzytelnione na imię Delfiny Goriot, „małżonki barona de Nucingen w separacji majątkowej”. Czy ten łajdak bierze nas za głupców? Czy sądzi, że ja ścierpię przez dwa lata myśl, że cię mogę zostawić bez majątku, bez chleba? Nie zniósłbym tego ani dzień, ani jedną noc, ani dwie godziny! Gdyby ta myśl była prawdą, nie przeżyłbym jej. Jak to! Miałbym pracować czterdzieści lat, nosić worki na grzbiecie, pocić się, wszystkiego sobie odmawiać całe życie dla was, moje anioły, dla których wszelka praca, wszelki ciężar były mi lekkie, i dziś majątek mój, życie miałyby iść z dymem! Oszałałbym przed śmiercią. Nie, na wszystko, co jest świętego na niebie i ziemi, wyjaśnimy tę sprawę, sprawdzimy księgi, kasę, przedsiębiorstwa! Nie zasnę, nie położę się, nie wezmę nic do ust, póki nie uzyskam pewności, że majątek twój jest nietknięty. Bogu dzięki, jesteś separowana majątkowo; Derville, twój adwokat, jest na szczęście uczciwy człowiek. Do kroćset! Będiesz miała swój milionik, swoich pięćdziesiąt tysięcy renty do końca życia, albo narobię hałasu w Paryżu, ha, ha! Do Izb się udam, jeśli trybunały będą kręcić. Ta myśl, że jesteś spokojna i zabezpieczona, toż ta myśl łagodziła wszystkie moje bóle, koła zgryzoty. Pieniądz to życie, pieniądz może wszystko. Co on baje za brednie, ten bałwan alzacki! Delfino, nie ustępuj ani na szeląg temu bydlakowi, który cię przykuł do łańcucha i unieszczęśliwił. Jeśli potrzebuje twojej zgody, weźmiemy się do niego ostro, nauczymy go moresu! Mój Boże, głowę mam w ogniu, czuję, że mnie coś pali, tu, pod czaszką. Delfinka w nędzy! Och, moja Fifinko, ty! Do kroćset, gdzie moje rękawiczki? Dalej, chodźmy, chcę wszystko przepatrzeć, księgi, interesy, kasę, korespondencję, natychmiast. Nie uspokoję się, póki się nie upewnię, że twój fundusz jest bezpieczny, i póki nie ujrzę go na własne oczy.

–Ojciec mój, tylko ostrożnie!... Jeśli dasz się unieść chęci zemsty i przeciągniesz strunę, jestem zgubiona. On zna ciebie, uważa za zupełnie naturalne, że pod twoim wpływem zaniepokoiłam się o majątek; ale przysięgam ci, on ma mnie w rękach: postarał się o to! To człowiek zdolny uciec ze wszystkimi kapitałami i zostawić nas na bruku: to łotr! Wie, że nie będę go ścigać, że nie bezcześciłabym nazwiska, które noszę. Jest zarazem i słaby, i silny. Rozważyłam wszystko. Jeśli go przywieziemy do ostateczności, jestem zrujnowana.

– Zatem to oszust?

– A więc tak, ojciec – rzekła rzucając się na krzesło z płaczem. – Nie chciałam mówić tego, aby ci oszczędzić zgryzoty, że mnie wydałeś za takiego człowieka. Nałogi i sumienie, dusza i ciało, wszystko u niego jest w zgodzie! To straszne: nienawidzę go i gardzę nim. Tak, po wszystkim, co mi powiedział, nie podobna mi już szanować tego podłego Nucingena. Człowiek zdolny puścić się na takie kombinacje nie ma najmniejszego poczucia uczciwości. Obawy moje płyną stąd, że jasno czytałam w jego duszy. Ofiarował mi zupełnie po prostu,

on, mój mąż, swobodę, rozumiesz, ojczyste, co to znaczy? Jeśli zgodzę się być na wypadek katastrofy narzędziem w jego rękach, słowem, jeśli zechcę służyć mu za parawan.

– Ale przecież są prawa! Przecież istnieje szafot na takich zięciów! – wykrzyknął Goriot. – Zgilotynowałbym go sam, gdyby nie było kata.

– Nie, ojczyste, nie ma praw na niego. Posłuchaj, w dwóch słowach, jego oświadczenia, odartego z bibulek, w które je zawijał: „Albo wszystko jest stracone, wówczas nie masz ani szeląga, jesteś zrujnowana, bo niepodobna mi wybrać na współnika kogo innego niż ciebie; albo pozwolisz mi doprowadzić do końca moje operacje”. Czy to jasne? Zależy mu jeszcze na mnie. Moja kobieca uczciwość jest dlań rękojmią; wie, że zostawię mu jego majątek i zadowolę się swoim. Oszukańcza i złodziejska spółka, na którą trzeba mi się zgodzić pod grozą ruiny. Kupuje moje sumienie i opłaca je, pozwalając mi w zamian należeć do Eugeniusza. „Pozwalam ci na wszystko, ale ty pozwól mi, abym zbrodniczo rujnował biednych ludzi”. Czy to jeszcze nie dość jasne? Wiesz, ojczyste, co on nazywa „operacją”? Kupuje grunta pod swoim nazwiskiem, następnie daje na nich budować domy podstawionym figurom. Ci ludzie zawierają umowy z przedsiębiorcami, których spłacają w długoterminowych wekslach, następnie, w zamian za skromną sumę, godzą się pokwitować kupno memu mężowi; wówczas on staje się właścicielem domów, tamci zaś załatwiają się z przedsiębiorcami zgłaszając upadłość. Firma Nucingen posłużyła na przynętę dla biednych budowniczych. Zrozumiałam to. Zrozumiałam także, iż aby w razie potrzeby dowieść wypłaty olbrzymich sum, Nucingen wysłał znaczne walory do Amsterdamu, Londynu, Neapolu, Wiednia... Jakżebyśmy je zdołali pochwytać.

Eugeniusz usłyszał głuchy łoskot: to Goriot padł na kolana na podłogę.

– Boże, co ja ci uczyniłem! Córka wydana na łup tego nędznika! Toć on wymoże na niej, co zechce! Przebac mi, dziecko moje!

– Tak, jeśli dziś jestem w otchłani, jest w tym może twoja wina. Tak mało mamy rozumu, kiedy wychodzimy za mąż! Alboż znamy świat, interesa, ludzi, obyczaj? Rodzice powinni by myśleć za nas. Drogi ojczyste, ja ci nic nie wyrzucam, daruj mi te słowa. W tym wypadku całą winę ja ponoszę. No, nie płacz, ojczulku – rzekła całując ojca w czoło.

– Nie płacz i ty, moja Delfinko. Daj oczy, niech je osuszę pocałunkiem. Nie bój się! Odnajdę ja swoją dawną łepetę i rozwiklam ten motek, który twój mąż zaplątał.

– Nie, ojczyste, pozwól mi działać: ja umiem z nim postępować. Kocha mnie: więc dobrze, posłużę się władzą, jaką mam nad nim, aby wymusić lokatę części kapitałów w ziemi. Może skłonię go, aby odkupił na moje imię dobra Nucingen w Alzacji; zależy mu na tym. Przyjdź tylko jutro zbadać księgi, interesy. Derville nie rozumie się na stronie handlowej... Nie, nie przychodź jutro. Nie chcę sobie psuć krwi. Pojutrze bal u pani de Beauséant; chcę się szanować, być piękna, świeża, przynieść chlubę drogiemu Geniowi!... Chodźmy zobaczyć jego pokój.

W tej chwili powóz zatrzymał się na ulicy Neuve-Sainte-Geneviève, po czym dał się słyszeć na schodach głos pani de Restaud zwrócony do Sylwii:

– Czy ojciec w domu?

Ta okoliczność ocaliła Eugeniusza, który już zamierzał rzucić się na łóżko i udać, że śpi.

– Ach, ojczyste! Słyszałeś już o Anastazji – rzekła Delfina, poznając głos siostry. – Zdaje się, że i w jej domu dzieją się osobliwe rzeczy.

– Co takiego? – spytał ojciec Goriot. – To by już był mój koniec. Biedna moja głowa nie przeniosłaby dwóch nieszczęść.

– Dzień dobry, ojczyste – rzekła hrabina wchodząc. – A, i ty tutaj Delfino.

Pani de Restaud zdawała się zakłopotana spotkaniem.

– Dzień dobry, Naściu – rzekła baronowa. – Obecność moja wydaje ci się czymś niezwykłym? Ja widuję ojca co dzień.

– Odkądże?

– Gdybyś zachodziła do niego, wiedziałabyś.

– Nie drażnij się ze mną, Delfino – rzekła hrabina boleściwym głosem. – Jestem bardzo nieszczęśliwa, zgubiona jestem, dobry ojczu! Och, tym razem zgubiona bez ratunku!

– Co tobie, Naściu? – wykrzyknął Goriot. – Powiedz nam wszystko, moja dziecińco. Jak ona zbladła. Delfino, dziecko, ratuj ją, bądź dla niej dobra, będę cię kochał jeszcze więcej, jeśli to możliwe.

– Moja biedna Naściu – rzekła Delfina sadzając siostrę – mów. Oto jedyne dwie osoby, które zawsze będą cię dosyć kochały, aby ci przebaczyć wszystko. Widzisz, Naściu, rodzina to najpewniejsze.

Dała jej powąchać sole, hrabina przyszła do siebie.

– Ja to życiem przypłacę! – rzekł ojciec Goriot. – Słuchajcie – dodał poprawiając w piecu – zbliżcie się tu obie. Zimno mi. Co tobie, Naściu? Powiedz prędko, zabijasz mnie...

– Zatem – rzekła biedna kobieta – mąż wie o wszystkim. Wyobraź sobie, ojczu, przypominasz sobie niedawno ów weksel Maksyma? To nie był pierwszy. Zapłaciłam już takich wiele. W początkach stycznia pan de Trailles wydawał się bardzo stroskany. Nie mówił nic; ale tak łatwo czytać w sercu kogoś, kogo się kocha; wystarczy lada błahostka, przecucie... słowem, był bardziej rozkochany, czulszy niż kiedykolwiek, byłam coraz szczęśliwsza. Biedny Maksym! W myśli zegnał się już ze mną; przyznał się później, że chciał się zastrzelić! Wreszcie poty go dręczyłam, błagałam, dwie godziny włożyłam się u jego kolan. .. aż mi wyznał, że winien jest sto tysięcy! Och, ojczulku, sto tysięcy franków! Byłam jak oszalała. Ty ich nie masz, wszystkim pochłoneła...

– Nie – rzekł ojciec Goriot – nie zdołałbym wycisnąć tej sumy, chyba żebym poszedł ukraść. Ale poszedłbym. Naściu! Pójdę.

Na to słowo, rzucone posępnie niby charkot umierającego, słowo, które wyrażało bezsilną agonię ojcowskiego uczucia, obie siostry zamilkły. Jakiż egoizm pozostałby zimny wobec tego krzyku rozpacz, który podobny kamieniowi rzuconemu w przepaść odsłaniał jej głębię?

– Zdobyłam je, rozporządzając tym, co nie należało do mnie – rzekła hrabina, zalewając się łzami.

Delfina wzruszona zapłakała także, tuląc głowę na łonie siostry.

– Więc wszystko prawda! – rzekła.

Anastazja spuściła głowę, pani de Nucingen objęła siostrę w pól, ucałowała tkliwie i przyciskając ją do serca rzekła:

– Tutaj zawsze znajdziesz miłość, która nie sądzi.

– Moje anioły – rzekł Goriot słabym głosem – czemu serdeczność wasza ma źródło w nieszczęściu?

– Aby ocalić życie Maksyma, aby wreszcie ocalić całe swoje szczęście – podjęła hrabina ośmielona tymi dowodami gorącej i żywej tkliwości – poszłam do lichwiarza, którego znasz, ojczu, człowieka zrodzonego przez piekło, którego nic nie zdoła zmiękczyć, do Gobsecka. Zaniósłam mu rodzinne diamenty, do których pan de Restaud tak jest przywiązany, jego klejnoty, moje klejnoty, wszystko, i sprzedałam. Sprzedałam! Czy rozumiecie? Ocaliłam jego, ale siebie zabiłam. Mąż dowiedział się o wszystkim.

– Przez kogo? Jak? Niech go zabiję! – krzyknął ojciec Goriot.

– Wczoraj wezwał mnie do swego pokoju. Poszłam... „Anastazjo – rzekł głosem... (och, ten głos wystarczył, wszystko odgadłam) – gdzie są twoje diamenty?” – „W kantorku”. – „Nie – odparł, patrząc na mnie – są tu w komodzie”. I pokazał mi puzdro, wprzód zakryte chustką. „Czy wiesz, skąd się tu wzięły?” – rzekł. Padłam mu do nóg... płakałam, spytałam go, jaką śmiercią chce mnie zgładzić...

– Tyś to powiedziała – wykrzyknął Goriot. – Na rany Zbawiciela, ten, kto ośmieli się skrzywdzić jedną z was, póki ja żyję, może być pewien, że spalę go na wolnym ogniu. Tak, poćwiartuję, tak...

Ojciec Goriot zamilkł, słowa zamierały mu w gardle.

–Wreszcie, moja droga, zażądał czegoś trudniejszego do spełnienia niż śmierć! Niech niebo chroni każdą kobietę od tego, co ja usłyszałam!

– Zamorduję tego człowieka – rzekł ojciec Goriot spokojnie. – On ma tylko jedno życie, a jest mi winien dwa. Zatem, co? –dodał, patrząc na Anastazję.

– Otóż – ciągnęła dalej hrabina – po chwili milczenia popatrzał na mnie: Anastazjo – rzekł – zagrzebię wszystko w milczeniu, zostaniemy nadal razem, mamy dzieci. Nie zabiję pana de Trailles, mógłbym go chybić; chcąc zaś pozbyć się go w inny sposób, wszedłbym może w konflikt ze sprawiedliwością. Zabić go w twoich objęciach znaczyłoby zhańbić dzieci. Ale jeżeli chcesz oszczędzić zguby swoim dzieciom, ich ojcu, mnie, nakładam ci dwa warunki: Odpowiedz: „Czy które z dzieci jest moje”? Odparłam, że tak. „Które?” – spytał. – „Ernest, najstarszy”. – „Dobrze” – rzekł. „A teraz przysięgnij, że będziesz mi posłuszna co do pewnego punktu”. Przysięgłam. „Podpiszesz akt sprzedaży swoich dóbr, skoro tego zażadam”.

–Nie podpisuj! – krzyknął ojciec Goriot. – Nie podpisuj za nic! Ha! ha! Panie de Restaud, nie umiesz uczynić kobiety szczęśliwą, idzie szukać szczęścia tam, gdzie je znajduje, i ty ją karzesz za swoje niedołęstwo?... Ja tu jestem, hola! Mnie znajdziesz na drodze. Naściu, bądź spokojna. Aha! Zależy mu na swoim dziedzicu! Dobrze, dobrze. Ja mu go sprzątnę, tego synalka, który, do stu kaduków, jest moim wnukiem. Mam prawo przecież widzieć tego smarkacza! Umieszczę go na wsi, w mojej rodzinnej wiosce, będę miał o nim staranie, bądź spokojna. Doprowadzę do kapitulacji tego potwora, skoro mu powiem: „Między nami sprawa! Jeśli chcesz ujrzeć syna, oddasz córce jej majątek i pozwolisz jej żyć wedle upodobania”.

–Ojcze!

– Tak; ojcze! Ha! Jestem prawdziwym ojcem. Niech ten jasny pan nie waży się znęcać nad mymi córkami. Do kroćset! Sam nie wiem, co za war mam w żyłach. Czuję w sobie krew tygrysa, chciałbym pożreć tych dwóch ludzi. O moje dzieci, więc takie jest wasze życie? Ależ to moja śmierć... Co z wami się stanie, kiedy mnie już nie będzie? Ojcowie powinni żyć póty co i dzieci. Mój Boże, jak Twój świat jest źle urządzony! A wszakże Ty masz syna, jak powiadają! Nie powinien byś nam pozwolić tak cierpieć w naszych dzieciach. Moje drogie anioły, jak to! Jedynie waszym nieszczęściom zawdzięczam to, żeście przyszły? Dzielicie się ze mną tylko łzami! Więc dobrze, tak, kochacie mnie, widzę to. Chodźcie, chodźcie, wyskarżyć się tutaj! Serce moje jest wielkie, wszystko pomieści... Tak, darmo byście je szarpały, każdy strzęp jego będzie jeszcze sercem ojca... Chciałbym wziąć na siebie wasze bóle, cierpieć za was. Ach, kiedyście były małe, byłyście bardzo szczęśliwe...

– To był nasz jedyny dobry czas – rzekła Delfina. – Gdzie te lata, kiedyśmy zjeżdżały z worków w spichrzu?

– Ojcze, to nie wszystko – rzekła Anastazja do ucha Goriota, który się wzdrygnął. – Sprzedaż diamentów nie dała stu tysięcy. Maksyma ścigają. Trzeba nam spłacić jeszcze tylko dwanaście tysięcy franków. Przyrzekł mi, że będzie rozsądny, przestanie grać. Została mi na świecie już tylko jego miłość: za drogo ją opłaciłam, umarłabym, gdybym ją miała stracić. Poświęciłam mu majątek, cześć, spokój, dzieci. Och, spraw bodaj, aby Maksym zachował wolność, szacunek; aby mógł ostać się w świecie, gdzie potrafi sobie zdobyć stanowisko. Obecnie winien mi jest więcej niż szczęście: mamy dzieci, które zostałyby bez majątku. Wszystko przepadnie, jeśli się dostanie do więzienia za długi.

– Nie mam, Naściu. Nie mam już nic, nic! To koniec świata. Och, świat się zawali, to pewna. Uciekajcie, ratujcie się! A, mam jeszcze te srebrne sprzączki, sześć nakryć, pierwszych, jakie miałem w życiu. Wreszcie mam już tylko tysiąc dwieście franków dożywocia.

– Cożeś uczynił, ojcze, ze swoją rentą?

– Sprzedałem, zachowując sobie tę okruszynę dochodu na swoje potrzeby. Trzeba mi było dwunastu tysięcy franków, aby urządzić apartamencik Fifince.

– U ciebie, Delfino? – rzekła pani de Restaud do siostry.

– Och, mniejsza – odparł ojciec Goriot. – Dość, że dwunastu tysięcy nie ma.

– Zgaduję – rzekła hrabina. – Dla pana de Rastignac. Och, moja biedna Delfino, zatrzymaj się. Widzisz, do czego ja doszłam.

– Moja droga, pan de Rastignac nie jest człowiekiem zdolnym zrujnować swoją kochankę.

– Dziękuję ci, Delfino... W położeniu, w jakim się znajduję, spodziewałam się czegoś innego po tobie; ale ty mnie nigdy nie kochałaś.

– Owszem, kocha cię, Naściu! – wykrzyknął ojciec Goriot. – Mówiła mi przed chwilą. Mówiliśmy o tobie: Delfinka twierdziła, że ty jesteś piękna, a ona tylko ładna.

– Ona! – rzekła hrabina. – Ona jest zimna jak glista.

– Gdyby i tak było – rzekła Delfina, czerwieniąc się – a ty jak postępowałaś ze mną? Zaparłaś się mnie, zamknęłaś przede mną drzwi wszystkich domów, w których pragnęłam bywać, nie ominęłaś najmniejszej sposobności, aby mnie upokorzyć. A ja czy przychodziłam, jak ty, wyciągać biednemu ojcu tysiąc po tysiącu jego mienie i doprowadzić go do tego stanu? To twoje dzieło, siostró. Ja widywałam ojca, póki mogłam, nie wyrzuciłam go za drzwi, nie przychodziłam lizać mu rąk, kiedy mi był potrzebny. Nie wiedziałam nawet, że tych dwunastu tysięcy użył dla mnie. Ja się umiem rządzić. Wiesz o tym. Zresztą, jeżeli ojciec zrobił kiedy co dla mnie, nigdy o nic nie zebrała.

– Byłaś w szczęśliwszym położeniu: de Marsay był bogaty, wiadomo ci coś o tym. Byłaś zawsze podła jak złoto. Żegnaj cię, nie mam ani siostry, ani...

– Milcz, Naściu! – krzyknął ojciec Goriot.

– Tylko taka siostra jak ty może powtarzać rzeczy, w które już nikt nie wierzy, wstrętna jesteś! – rzekła Delfina.

– Dzieci, dzieci, przestańcie albo się zabiję w waszych oczach.

– Więc dobrze, przebaczam ci, Naściu – ciągnęła pani de Nucingen. – Jesteś nieszczęśliwa. Ale ja jestem lepsza od ciebie. Mówić mi takie rzeczy w chwili, gdy czułam się zdolna do wszystkiego, aby ci pomóc! Nawet do tego, aby przestąpić próg sypialni męża, czego nie uczyniłabym ani dla siebie, ani dla... To korona postępowania twego ze mną od dziewięciu lat.

– Moje dzieci, moje dzieci, uściskajcie się! – rzekł ojciec. – Jesteście obie dobre jak anioły.

– Nie, zostaw mnie, ojczu! – krzyknęła hrabina wydzierając się Goriotowi, który ujął ją za ramię. – Ona ma mniej litości dla mnie niż mój mąż. Powiedziała by kto, że ona jest wzorem cnót!

– Wolę wreszcie, aby mówiono, że brała pieniądze od de Marsaya, niżbym się miała przyznać, że pan de Trailles kosztuje mnie przeszło dwieście tysięcy – odparła pani de Nucingen.

– Delfino! – krzyknęła hrabina, postępując ku niej.

– Ja mówię prawdę, a ty mnie spotwarzasz – odparła zimno baronowa.

– Delfino! Jesteś...

Ojciec Goriot rzucił się, wstrzymał hrabinę i nie pozwolił dokończyć, zasłaniając jej usta ręką.

– Boże drogi, ojczu, czegoś ty się dotykał dzisiaj? – rzekła Anastazja.

– Tak, prawda, moja wina – rzekł biedny ojciec, wycierając ręce o spodnie. – Ale nie wiedziałem, że przyjdziecie, przeprowadzam się.

Był szczęśliwy, że ściągnął na siebie wymówkę, która zwróciła na niego gniew córki.

– Och – rzekł, siadając – serceście mi rozdarły. Zdaje mi się, że umieram, dzieci moje! Pali mnie pod czaszką, tak jak gdybym miał tam ogień. Bądźcie już poczciwe, kochajcie się. Do grobu mnie wpędzicie. Delfinko, Naściu, no, obie miałyście słuszość; nie, żadna. Słuchaj

Delciu – ciągnął zwracając na baronową oczy pełne łez – potrzeba jej dwunastu tysięcy franków, szukajmyż ich. Nie patrzcie tak na siebie. (Ukląkł przed Delfiną.) Przepróż ją, zrób to dla mnie – rzekł jej do ucha – ona nieszczęśliwsza od ciebie.

– Moja biedna Naściu – rzekła Delfina przerażona dzikim i nieprzytomnym wyrazem, jaki boleść nadała twarzy ojca – zawiniłam, uściskaj mnie...

– Ach, balsam mi wlewasz! – wykrzyknął Goriot. – Ale gdzie znaleźć dwanaście tysięcy? Gdybym się ofiarował na zastępcę do wojska?

– Och, ojczy! – wykrzyknęły obie, podchodząc doń. – Nie, nie!

– Bóg nagrodi ci tę myśl, życie nasze nie wystarczyłoby na to, nieprawdaż, Naściu? – rzekła Delfina.

– A zresztą, biedny ojczulku, to by była kropla w morzu – zauważyła hrabina.

– Nie można tedy nic wycisnąć ze swej krwi? – wykrzyknął starzec zrozpaczony. – Zaprzedam się temu, kto cię wybawi, Naściu, zabiję dla niego człowieka. Zrobię jak Vautrin, pójdę na galery; tak...

Zatrzymał się jak gdyby rażony piorunem.

– Już nic! – rzekł wydzierając sobie włosy. – Gdybym wiedział, gdzie iść, aby ukraść, ale ukraść nie jest łatwo. Aby rozbić jaki bank, trzeba by ludzi i czasu. Och, umrzeć, nie zostało mi nic, tylko umrzeć. Tak, nie jestem już zdatny na nic, nie jestem już ojcem! Nie. Ona mnie prosi, ona potrzebuje! A ja, nędzny, nie mam nic. Ha! Wykroileś sobie dożywocie, stary zbrodniarzu, a miałeś córki! Nie kochasz ich zatem? Zdychaj, zdychaj, psie nikczemny! Tak, jestem gorszy niż pies, pies nie postąpiłby w ten sposób! Och, moja głowa... gotuje się w niej!

– Ależ, tatku! – wykrzyknęły obie młode kobiety, otaczając go, aby mu nie dać rozbić sobie głowy o mur. – Bądźże rozsądny.

Stary szlochął. Eugeniusz przestraszony chwycił podpisany dla Vautrina oblig, którego stempel przypadkowo opiewał na wyższą sumę; poprawił cyfrę i sporządził zeń prawidłowy akcept na dwanaście tysięcy, na zlecenie Goriota.

– Oto jest cała suma, pani – rzekł, podając papier. – Spałem, rozmowa państwa obudziła mnie i dowiedziałem się w ten sposób, co jestem winien panu Goriot. Oto rewers, który może pani puścić w obieg, wykupię go sumiennie.

Hrabina nieruchomo trzymała papier.

– Delfino! – rzekła blada i drżąca z gniewu, wściekłości, szału. – Byłam gotowa przebaczyć wszystko, Bóg mi świadkiem; ale to! Jak to! Pan był tutaj, ty wiedziałas o tym! Miałaś tę nikczemność, aby się pomścić, pozwalając mi zdradzić moje tajemnice, moje życie, życie moich dzieci, moją hańbę, cześć. Ty!... odtąd nie jesteś już niczym dla mnie, nienawidzę cię, będę ci szkodzić, ile tylko zdołam, będę...

Gniew zatamował jej słowa, w gardle jej zaschło.

– Ależ to mój syn, nasze dziecko, twój brat, twój zbawca! – krzyczał Goriot. – Uściskajże go, Naściu! Patrz, ja go ściskam – ciągnął dusząc Eugeniusza we wściekłym uścisku. – O, moje dziecko! Będę dla ciebie więcej niż ojcem, chcę być twoją rodziną. Chciałbym być Bogiem, rzuciłbym ci świat pod stopy. Ależ pocałuj go, Naściu! To nie człowiek, to anioł, prawdziwy anioł.

– Daj jej pokój, ojczy, szalona jest w tej chwili – rzekła Delfina.

– Szalona! Szalona! A ty co? – spytała pani de Restaud.

– Moje dzieci, ja umrę, jeśli nie przestaniecie! – krzyknął starzec, padając na łóżko niby ugodzony kulą. – Zabijają mnie! – rzekł.

Hrabina patrzyła na Eugeniusza, który stał nieruchomy, ogłuszony gwałtownością tej sceny.

– Czy pan... – rzekła, zapytując go gestem, głosem i spojrzeniem, nie zwracając uwagi na ojca, któremu Delfina rozpinała spiesznie kamizelkę.

– Zapłacę i będę milczał – odparł, nie czekając na pytanie.

– Zabiłaś ojca, Naściu – rzekła Delfina ukazując zemdlonego starca.

Hrabina wybiegła.

– Przebaczam jej – rzekł stary otwierając oczy. – Położenie jej jest straszne, zmaćłoby i tęższą głowę. Pociesz Nasieńkę, bądź dla niej dobra, przyrzeknij to biednemu ojcu, który umiera – błagał Delfinę, ściskając jej rękę.

– Ale co tobie, ojczy? – rzekła przestraszona.

– Nic, nic – odparł ojciec – to minie. Coś mi uciska czoło, jakaś migrena... Biedna Naścia, co za przyszłość!...

W tej chwili hrabina wróciła i rzuciła się do kolan ojca.

– Przebacz! – krzyknęła.

– Naściu – rzekł ojciec Goriot. – Zadajesz mi jeszcze większy ból.

– Panie – rzekła hrabina do Rastignaca z oczyma mokrymi od łez. – Boleść uczyniła mnie niesprawiedliwą. Będzie pan bratem dla mnie? – dodała, wyciągając doń rękę.

– Naściu – rzekła Delfina, ściskając ją. – Nasieńko, zapomnijmy wszystko.

– Nie – odparła – ja będę pamiętała.

– Anioły moje – rzekł ojciec Goriot – zdejmujecie mi zasłonę, którą miałem na oczach, wasz głos wraca mi życie. Uściskajcie się jeszcze. I cóż, Naściu, czy cię ten weksel ocali?

– Mam nadzieję. Słuchaj, tatku, czy zechcesz podpisać?...

– Patrzcie, co za głupiec ze mnie, aby o tym zapomnieć! Ale było mi tak niedobrze. Naściu, nie gniewaj się... Prześlij mi wiadomość, że ci już nic nie grozi. Albo nie, przyjdę. Nie, nie, nie przyjdę, nie chcę już widzieć twego męża, zabiłbym go na miejscu. Co do zamiaru wyzucia cię z majątku, ja będę czuwał. Idź prędko, dziecko, i spraw, aby się Maksym ustatkował.

Eugeniusz stał osłupiały.

– Biedna Naścia była zawsze gwałtowna – rzekła pani de Nucingen – ale ma dobre serce.

– Wróciła po podpis – rzekł Eugeniusz do ucha Delfiny.

– Myślisz?

– Pragnąłbym móc w to nie wierzyć. Strzeż się jej – odparł, wznosząc oczy, jak gdyby chcąc zwierzyć Bogu myśli, których nie śmiał wyrazić.

– Tak, zawsze była trochę komediantka, a biedny ojciec daje się brać na te miny.

– Jakże się pan miewa, dobry ojczy Goriot? – spytał Rastignac starca.

– Spać mi się chce.

Eugeniusz pomógł Goriotowi się położyć; następnie, skoro stary usnął trzymając córkę za rękę, Delfina zaczęła się wybierać.

– Dziś wieczór we Włoskim – rzekła do Eugeniusza – powiesz mi, jak się ojciec ma. Jutro pan się przeprowadza, łaskawy panie. Zobaczmyż twój pokój... Och, co za okropność! – rzekła, wchodząc. – Ależ to jeszcze gorzej niż u ojca. Eugeniuszu, ładnieś sobie postąpił, kochałabym cię jeszcze więcej, gdyby to było możliwe; ale, moje dziecko, jeżeli chcesz zrobić majątek, nie trzeba wyrzucać w ten sposób po dwanaście tysięcy franków za okno. Hrabia de Trailles to gracz; siostra nie chce tego widzieć. Poszukałby swoich dwunastu tysięcy franków tam, gdzie umie wygrywać albo przegrywać góry złota.

Głuchy jęk sprowadził ich do izby Goriota, który na pozór spał, ale kiedy para kochanków zbliżyła się, usłyszeli te słowa:

– Nie są szczęśliwe!

Czy starzec spał, czy czuwał, nie wiadomo; ale akcent tych słów zapadł tak w serce córki, że zbliżyła się do barłogu, na którym leżał ojciec, i pocałowała go w czoło. Otworzył oczy, mówiąc:

– To Delfina.

– I cóż, jakże ci, ojczy?

– Dobrze – rzekł. – Nie niepokój się, niebawem wstanę. Idźcie, idźcie, dzieci, bądźcie szczęśliwe.

Eugeniusz odwiózł Delfinę do domu; ale zaniepokojony stanem Goriota, nie chciał zostać u niej na obiedzie i wrócił. Zastał ojca Goriot na nogach w chwili, gdy się gotował sięść do stołu. Bianchon umieścił się tak, aby móc dobrze śledzić twarz handlarza mąki. Kiedy ujrzał, jak bierze chleb i wacha go, aby ocenić gatunek, student stwierdziwszy w tym ruchu zupełny brak tego, co można by nazwać świadomością aktu, uczynił złowróźbny gest.

– Siadaj no koło mnie, wielki internie szpitala Cochin – rzekł Rastignac.

Bianchon przesiadł się tym chętniej, iż w ten sposób znalazł się obok starego pensjonarza.

– Co jemu? – spytał Rastignac.

– Jeżeli się nie mylę, gotów jest! Musiało w nim zajść coś niezwykłego; zdaje mi się, że grozi mu lada chwila udar mózgowy. Mimo że dół twarzy jest dość spokojny, w górze rysy kurczą się mimo woli, o, patrz! Oczy mają szczególne wejście, które zdradza ucisk surowicy na mózg. Czy nie wyglądają tak, jak gdyby były pełne delikatnego pyłu? Jutro rano będziemy mogli powiedzieć więcej.

– Czy byłoby lekarstwo?

– Żadnego. Co najwyżej można opóźnić śmierć, jeśli znajdziemy sposób odciążenia krwi ku kończynom, ku nogom; ale jeżeli do jutra objawy nie ustaną, biedaczysko przepadł. Nie wiesz, co spowodowało chorobę? Musiał otrzymać jakiś cios, pod którym załamała się jego moralna istota.

– Tak – rzekł Rastignac, przypominając sobie, jak obie córki waliły bez wytchnienia w serce ojcowskie. – Przynajmniej – powiadał sobie Eugeniusz – Delfina kocha ojca!

Wieczorem w teatrze Rastignac zaczął mówić o stanie Goriota z pewnymi ostrożnościami, aby nie przerazić zanadto pani de Nucingen.

– Nie lękaj się – odparła po pierwszych jego słowach – ojciec jest silny. Tylko dziś rano zanadtośmy go wstrząsnęły. Majątek nasz jest zagrożony, czy pojmujesz doniosłość takiego nieszczęścia? Nie przeżyłabym tego, gdyby twoje przywiązanie nie czyniło mnie nieczułą na to, co uważałabym niegdyś za śmiertelne przejścia. Istnieje już dla mnie tylko jedna obawa, jedno nieszczęście: stracić miłość, która dała mi rozkosz życia. Poza tym uczuciem wszystko mi jest obojętne, nie kocham nic w świecie. Ty jesteś dla mnie wszystkim. Jeżeli czuję szczęście, jakie daje bogactwo, to by ci się lepiej podobać. Jestem, wyznaję ze wstydem, bardziej kochanką niż córką. Czemu? Nie wiem. Całe moje życie w tobie. Ojciec dał mi serce, ale ty nauczyłeś je bić. Cały świat może mnie potępić; cóż mi znaczy, jeżeli ty, który nie masz prawa czuć o to żalu do mnie, rozgrzeszysz mnie ze zbrodni, na którą mnie skazuje nieprzeparowane uczucie! Czy uważasz mnie za wyrodną córkę? Och, nie, niepodobna jest nie kochać ojca tak dobrego jak nasz. Czyż mogłam zapobiec, aby nie ujrzał w końcu nieuchronnego skutku naszych oplakanych małżeństw? Czemu zgodził się na nie? Czy nie jego rzeczą było mieć rozsądek za nas? Dzisiaj, wiem, cierpi tyle co my, ale cóż my możemy poradzić? Pocieszyć go? Nie ma sposobu! Nasza rezygnacja sprawiłaby mu więcej bólu niż wyrzuty i skargi. Bywają położenia, w których wszystko jest goryczą.

Eugeniusz milczał, wzruszony do głębi tym naiwnym wyrazem szczerzego uczucia. Jeżeli paryżanki są nieraz fałszywe, pijane próżnością, samolubne, zalotne, zimne, to pewna, że kiedy kochają prawdziwie, wkładają w swą namiętność więcej niż inne kobiety; wyrastają ponad swoje małostki, stają się wzniosłe. Następnie uderzył Eugeniusza głęboki i trafny zmysł, jaki kobieta rozwija, aby osądzić najnaturalniejsze uczucia, kiedy wyłączna namiętność odsuwa ją od nich. Panią de Nucingen uraziło milczenie Eugeniusza.

– O czym myślisz? – spytała.

– Słucham jeszcze tego, co mi rzekłaś. Sądziłem do tej chwili, że ja kocham bardziej.

Uśmiechnęła się i opanowała przyjemność, jaką sprawiły jej te słowa, siłąc się utrzymać

rozmowę w granicach konwenansu. Nigdy jeszcze nie słyszała przejmujących wyrazów młodej i szczerzej miłości. Jeszcze kilka słów, a nie byłaby się powściągnęła.

– Eugeniuszu – rzekła, odmieńając rozmowę – ty nie wiesz, co się dzieje? Cały Paryż będzie jutro u pani de Beauséant. Państwo de Rochefide i pan d'AJuda porozumieli się, aby utrzymać rzecz w tajemnicy; ale jutro król podpisuje kontrakt ślubny, a twoja biedna kuzynka nic o tym nie wie jeszcze. Niepodobna jej odwołać przyjęcia, a margrabiego nie będzie na balu. Wszyscy mówią tylko o tym.

–I świat śmieje się z nikczemności i bierze w niej udział! Nie wiesz, że pani de Beauséant przypłaci to życiem?

– Nie – rzekła Delfina z uśmiechem – nie znasz tego rodzaju kobiet. Ale cały Paryż będzie u niej i ja będę! Tobie zawdzięczam to szczęście.

– Ale – rzekł Rastignac – czy to nie jest jedna z owych niedorzecznych pogłosek, jakich tyle krąży?

– Dowiemy się jutro.

Eugeniusz nie wrócił do pensjonatu. Nie mógł przemóc na sobie, aby się nie ucieszyć nowym mieszkaniem. W wilię tego dnia musiał się rozstać z Delfiną, o pierwszej po północy: tym razem Delfina pożegnała go koło drugiej, aby się udać do siebie. Nazajutrz spał dość długo; oczekiwał pani de Nucingen, która przyszła koło południa zjeść z nim śniadanie. Młodzi ludzie tak są łakomi tych słodkich chwil szczęścia, że Eugeniusz prawie zapomniał o ojcu Goriot. Oswajac się z każdą z wytwornych rzeczy, które doń należały, było dlań niby długim świętem. Delfina opromieniała wszystko swą obecnością, dodając wszystkiemu nowej ceny. Mimo to koło czwartej kochankowie przypomnieli sobie o ojcu Goriot oraz o radości, jaką stary obiecywał sobie po mieszkaniu w tym domu. Eugeniusz zauważył, iż na wypadek choroby należy co rychlej przenieść tam nieboraka; pożegnał tedy Delfinę, aby pobiec do pani Vauquer. Ani ojca Goriot, ani Bianchona nie było przy stole.

– Ano tak – rzekł malarz – ojciec Goriot gotuje się odwalić kitę. Bianchon jest na górze, przy nim. Starowinę odwiedziła jedna z córek, hrabina de Restorama, potem uparł się wyjść na miasto i pogorszyło mu się. Społeczeństwo utraci jedną ze swoich najpiękniejszych ozdób.

Rastignac rzucił się ku schodom.

– Hej, panie Eugeniuszu!

– Panie Eugeniuszu! Pani woła pana! – krzyknęła Sylwia.

– Proszę pana – rzekła wdowa – pan Goriot i pan mieliście się wyprowadzić piętnastego lutego. Oto już trzy dni, jak piętnasty minął, mamy dziś osiemnasty; będzie mi się należało za cały miesiąc od panów obu; ale jeśli pan zechce zaręczyć za ojca Goriot, pańskie słowo wystarczy.

– Po co? Czy pani nie ma zaufania?

– Zaufania! Gdyby nieborak stracił przytomność i umarł, córki nie dałyby mi grosza, a wszystkie jego graty nie są warte ani dziesięciu franków. Wyniósł dziś rano ostatni kawałek srebra, nie wiem po co. Wystroił się na młokosa; niech mi Bóg odpuści, ale zdaje mi się, że się uróżował: był jak odmłodzony.

– Ręczę za wszystko – rzekł Eugeniusz, który zadrzał od grozy, lękając się nowej katastrofy.

Udał się do ojca Goriot. Starzec leżał na łóżku, Bianchon siedział obok.

– Dzień dobry, ojczy – rzekł Eugeniusz. Starzec uśmiechnął się łagodnie i odpowiedział, zwracając nań szklane oczy:

– Jak się ma Delfina?

– Dobrze. A ty, ojczy?

– Nieźle.

–Nie męcz go – rzekł Bianchon, odciągając Eugeniusza w kąt pokoju.

–I cóż? – spytał Rastignac.

– Chyba cud mógłby go ocalić. Uderzenie na mózg już nastąpiło, przyłożyłem mu synapizmy⁵⁹; na szczęście czuje je, działają.

– Czy można go przenieść?

– Niepodobna. Trzeba go zostawić, gdzie jest, strzec go od wszelkiego ruchu, wzruszenia.

– Mój poczciwy Horacy – rzekł Eugeniusz – będziemy go pielęgnowali we dwóch.

– Wezwałem już naczelnego lekarza ze szpitala.

– I cóż?

– Zawyrokuje jutro wieczór. Przyrzekł mi, że przyjdzie, kiedy skończy wizyty. Na nieszczęście ten opętany stary popełnił dziś nieostrożność, z której nie chce się wytłumaczyć. Zaparł się jak muł. Kiedy doń mówię, udaje, że nie słyszy; śpi, aby nie odpowiadać; lub jeśli ma oczy otwarte, zaczyna jęczeć. Wychodził dziś rano, gonił pieszo po Paryżu, nie wiadomo gdzie. Wyniósł wszystko, co tylko miał w domu, poszedł gdzieś robić jakieś szacherki, na które wyczerpał resztę sił. Jedna z córek była tutaj.

– Hrabina? – spytał Eugeniusz. – Słuszna brunetka, oko żywe, ładne, zgrabna nóżka, smukła kibić?

– Tak.

– Zostaw mnie chwilę z nim samym – rzekł Rastignac. – Wyspowiadam go, mnie wszystko opowie.

– Pójdę przez ten czas zjeść obiad. Uważaj tylko, żeby go nadto nie wzruszać; mamy jeszcze jakąś nadzieję.

– Bądź spokojny.

– Jutro będą się dobrze bawiły – rzekł Goriot do Eugeniusza, kiedy zostali sami. – Idą na wielki bal.

– Co ty robiłeś rano, ojczulku, że ci się pogorszyło i że musisz leżeć?

– Nic.

– Anastazja była tutaj? – spytał Rastignac.

– Tak – odparł ojciec Goriot.

– No i cóż? Nie ukrywaj nic przede mną. Czego jeszcze żądała?

– Och! – odparł, zbierając resztkę sił – była bardzo nieszczęśliwa, wierzaj! Od czasu sprawy z diamentami Naścia nie ma ani grosza. Zamówiła na dzisiejszy bal suknię ze złotogłowi, w której będzie wyglądała jak klejnocik. Krawcowa, podła istota, nie chciała robić na kredyt, tak że pokojówka musiała zaliczyć tysiąc franków na tę toaletę. Biedna Naścia, do tego doszła! Myślałem, że mi serce pęknie. Ale pokojówka widząc, że ten Restaud stracił do Naści całe zaufanie, zlekła się o swoje pieniądze i porozumiała się z krawcową, aby nie wydała sukni, póki ona nie dostanie z powrotem tysiąca franków. Bal jutro, suknia gotowa, Naścia w rozpacz. Chciała wziąć moje resztki srebra, aby je zastawić. Mąż chce, aby była na balu dla pokazaniu całemu Paryżowi diamentów, o których mówią, że je sprzedała. Czyż może powiedzieć temu potworowi: „Winna jestem tysiąc franków, zapłać”? Nie. Ja to rozumiem. Delfina będzie miała wspaniałą toaletę; Anastazja nie może być gorsza od młodszej siostry. A przy tym tak płakała, tak płakała, biedna córuchna! Byłem tak upokorzony, iż nie miałem wczoraj dwunastu tysięcy, że byłbym oddał resztę nędznego życia, aby okupić tę winę. Widzisz, dziecko, miałem siłę wszystko znieść, ale ta ostatnia klęska pieniężna rozdarła mi serce. Och, nie namyślałem się długo: zabrałem się, wyświeżyłem, sprzedałem za sześćset franków nakrycie i kłamry, potem zastawiłem u starego Gobsecka cały rok dożywocia za jednorazowe czterysta franków. Ba! Będę żył suchym chlebem! Wystarczyło mi to, kiedy bym był młody, wystarczy i teraz. Przynajmniej moja Naścia będzie miała ładny wieczór, wystroi się jak lalczka. Mam tysiąc franków tu, pod głową. Aż mi cieplej w sercu od tego, że mam pod poduszką coś, co robi przyjemność biednej Naści.

⁵⁹ synapizm – okład z gorczycy (z gr.).

Będzie mogła oddalić tę niegodziwą Wiktorię. Widziane to rzeczy, aby służba nie miała zaufania do państwa! Jutro będę już zdrow. Naścia przychodzi o dziesiątej. Nie chcę, aby myślała, że jestem chory, nie poszłyby na bal, czuwałyby przy mnie. Naścia uściska mnie jutro jak swoje dziecko, pieszczoty jej uzdrowią mnie. Ostatecznie, czyżbym nie wydał tysiąca franków na aptekę? Wolę je dać swemu nadwornemu lekarzowi, swojej Naści. Przynajmniej pocieszę ją w jej nieszczęściu. Okupię tę winę, że sobie zapewniłem dożywanie. Ona jest na dnie przepaści, a ja już nie mam dość siły, aby ją wydobyć. Och! Wezmę się z powrotem do handlu. Pojadę do Odessy po zboże: trzy razy tańsze niż u nas. Przywóz w naturze jest wprawdzie wzbroniony, ale zacni pracodawcy nie pomyśleli o tym, aby zabronić importu przetworów. He, he! Dziś rano przyszło mi do głowy! Ładne rzeczy można by zrobić na przykład z krochmalem.

Oszalał – pomyślał Eugeniusz patrząc na starca.

– No, ojczulku, uspokój się, nie mów już...

Skoro Bianchon wrócił, Eugeniusz zszedł na obiad. Następnie spędził noc, czuwając kolejno przy chorym, przy czym Bianchon czytał medyczne książki, Rastignac zaś pisał do matki i sióstr. Nazajutrz objawy, które wystąpiły u chorego, były, zdaniem Bianchona, raczej pomysłne; ale żądały ustawicznych starań, do których jedynie dwaj studenci byli zdolni, a których opis musiałby obrazić wstydliwą frazeologię naszej epoki. Przystawiono do wychudłego ciała nieboraka pijawki: po nich kataplazmy, kąpiele nożne, szereg zabiegów, które wymagały zresztą siły i poświęcenia dwóch młodzieńców. Pani de Restaud nie przyszła; przysłała po pieniądze posłańca.

– Myślałem, że przyjdzie sama. Ale to lepiej, byłaby się zaniepokoiła – rzekł ojciec na pozór rad z tej okoliczności. O siódmej wieczór Teresa przyniosła list od Delfiny.

Co się z Tobą dzieje, drogi mój? Czyżby miłość Twoja, tak młoda, już ustąpiła zapomnieniu? Objawiłeś mi w chwili serdecznych zwierzeń zbyt piękną duszę, abyś nie miał być z rzędu tych, co zostają zawsze wierni, widząc, ile uczucie może mieć odcieni. Jak ty to powiedziałeś, słuchając modlitwy Mojżesza⁶⁰: „Dla jednych to powtarzająca się nuta; dla drugich nieskończona harmonia!” Pamiętaj, że oczekuję Cię dziś wieczór, aby iść z Tobą do pani de Beauséant. Już jest pewne: kontrakt ślubny pana d'Ajuda podpisano dziś rankiem, a biedna wicehrabina dowiedziała się o tym dopiero o drugiej. Cały Paryż stawi się u niej, tak jak ludzie tłoczą się na placu de Grève w godzinie egzekucji. Czyż to nie straszne iść się przyglądać, czy ta kobieta potrafi ukryć swą boleść, czy potrafi pięknie umrzeć? Nie poszłabym, to pewna, gdybym wprzód bywała u niej; ale nie będzie już z pewnością przyjmować i wszystkie moje wysiłki byłyby stracone. Moje położenie jest bardzo odmienne niż innych osób. Zresztą idę i dla Ciebie. Czekam Cię. Gdybyś nie miał się stawić u mnie do dwóch godzin, nie wiem, czybym Ci przebaczyła takie wiarołomstwo.

Rastignac wziął pióro i odpisał:

Oczekuję lekarza, który ma orzec, czy ojciec Twój będzie żył. Jest umierający. Przyniosę Ci wyrok, ale lękam się, że to będzie wyrok śmierci. Okaże się, czy będziesz mogła być na balu. Tysiąc czułości.

Lekarz przyszedł o wpół do dziewiątej; mimo iż sąd wypadł niekorzystnie, nie przypuszczał, aby śmierć groziła bezpośrednio. Zapowiedział wahania choroby, od których będą zależały życie i rozum biedaka.

– Lepiej byłoby dlań, aby umarł prędko – rzekł w końcu.

⁶⁰ aria z opery „Mojżesz w Egipcie” Rossiniego.

Eugeniusz zostawił starca pod opieką Bianchona, pomknął zanieść pani de Nucingen smutne nowiny, które w pojęciach jego, jeszcze przemienionych obowiązkami rodzinnymi, powinny były zgasić wszelkie uciechy.

– Powiedz jej i tak, żeby się dobrze bawiła – krzyknął za nim Goriot, który na pozór uśpiony podniósł się na łóżku, gdy Rastignac wychodził.

Młody człowiek stanął pełen rozpaczy przed Delfiną, którą zastał uczesaną, w balowych trzewikach: pozostawało tylko włożyć suknię. Ale te ostatnie przygotowania, podobne dotknięciom pędzla, którymi malarz kończy obraz, wymagały więcej czasu niż samo podmalowanie płótna.

– Jak to, jeszcze nie ubrany? – rzekła.

– Ależ, pani ojciec...

– Jeszcze ojciec! – przerwała. – Nie będzie mnie pan uczył obowiązków. Znam ojca od dawna. Ani słowa, Eugeniuszu. Będę słuchała dopiero wtedy, kiedy będziesz ubrany. Teresa wszystko przygotowała u ciebie, mój powóz czeka, weź go i wracaj. Pomówimy o ojcu, jadąc na bal. Trzeba wyjechać wcześniej; jeśli się dostaniemy w sznur powozów, dobrze będzie, skoro o jedenastej zdołamy wejść na salę.

– Pani...

– Śpiesz! Ani słowa – rzekła, biegnąc do buduaru po naszyjnik.

– Ależ niech pan idzie, panie Eugeniuszu, bo pani się pogniewa – rzekła Teresa, wypychając młodego człowieka, przerażonego tym wykwintnym ojcobójstwem.

Poszedł się ubrać, oddając się bolesnym dumaniami. Świat przedstawiał mu się jak ocean błota, w którym człowiek grzęźnie po szyję, skoro raz utkwi w nim nogą.

– Same mizerne zbrodnie! – rzekł sobie. – Vautrin jest większy.

Ujrzał trzy wielkie wyrazy społeczeństwa: Posłuszeństwo, Walkę i Bunt; Rodzinę, Świat i Vautrina. I nie miał odwagi wybrać. Posłuszeństwo było nudne, Bunt niemożliwy. Walka niepewna. Myśl przeniosła go na łono rodziny. Przypomniał sobie czyste wzruszenia spokojnego życia, dni spędzone wśród tych, których był ukochaniem. Trzymając się naturalnych praw domowego ogniska, te drogie istoty znajdowały w nim szczęście pełne, ciągle, niezmacone. Mimo tych dobrych myśli nie miał odwagi złożyć przed Delfiną wyznania wiary czystych dusz, nakazując jej Cnotę w imię Miłości. Niedawno rozpoczęte jego wychowanie wydało owoce. Już kochał samolubnie. Instynkt pozwolił mu przejrzeć serce Delfiny, przeczuwał, że jest zdolna przejść po trupie ojca, aby iść na bal, i nie miał ani siły odgrywania moralisty, ani odwagi narażania się jej, ani dość męstwa, aby ją opuścić.

– Nie przebaczyłaby mi nigdy, gdybym jej przeszkodził.

Następnie zaczął roztrząsać słowa lekarza: tłumaczył sobie, że Goriot nie jest może tak chory, jak on przypuszcza; słowem gromadził obłudne rozumowania, aby usprawiedliwić Delfinę. Nie zna stanu ojca. Nieborak sam wyprawiłby ją na bal, gdyby doń poszła. Często prawo społeczne, nieubłagane w swej formie, potępia pozór zbrodni, którą usprawiedliwiają niezliczone odcienie charakterów, interesów, sytuacji. Eugeniusz chciał oszukać samego siebie; gotów był uczynić kochance ofiarę z własnego sumienia. Od dwóch dni wszystko zmieniło się w jego życiu. Wtargnęła w nie kobieta i zaćmiła pamięć rodziny, zagarnęła wszystko. Rastignac i Delfina spotkali się w okolicznościach, dzięki którym dali sobie zakosztować najwyższych upojeń. Namietność ich, dobrze przygotowana, wzmogła się przez to, co ją dławi zazwyczaj: posiadanie. Posiadłszy tę kobietę Eugeniusz spostrzegł, że dotąd pragnął jej tylko, pokochał ją dopiero nazajutrz: miłość jest może tylko wdzięcznością za szczęście. Nie pytając, czy jest nikczemna, czy wzniosła, ubóstwiał tę kobietę za rozkosz, którą jej przyniósł w wianie i którą od niej otrzymał; Delfina zaś kochała Rastignaca tak, jak Tantal kochałby anioła, który by spłynął, aby zaspokoić głód lub ugasić pragnienie wyschłej gardzieli.

– I cóż, jak się ma ojciec? – rzekła pani de Nucingen, skoro wrócił już w stroju balowym.

– Bardzo źle – odparł – jeżeli chcesz mi dać dowód przywiązania, wstąpmy do niego.
– Owszem – rzekła – ale po balu. Mój złoty Geniu, bądź dobry, nie mów mi morałów, chodź.

Pojechali. W drodze Eugeniusz milczał.

– Co tobie? – rzekła.

– Słyszę rżenie twego ojca – odparł z urazą.

I z gorącą młodzieńczą wymową zaczął jej opowiadać okrutny czyn, do jakiego pchnęła panią de Restaud próżność, śmiertelny atak, jaki wywołało ostatnie poświęcenie ojca, cena, jaką opłacił suknię Anastazji. Delfina płakała.

Będę brzydka – pomyślała.

Łzy jej obeschły.

– Pospieszę pielęgnować ojca, nie opuszczę jego wezgłowia – rzekła.

– Och, teraz jesteś taka, jaką cię pragnąłem – wykrzyknął Rastignac.

Latarnie pięciuset powozów oświetlały wjazd pałacu Beauséant.

Z każdej strony rżęsiście oświetlonej bramy znajdował się konny żandarm. Wielki świat napływał tak rojnie, każdy tak skwapliwie chciał widzieć tę wzniosłą kobietę w chwili upadku, że gdy pani de Nucingen i Rastignac weszli, sale na parterze były już pełne. Od chwili, w której cały dwór cisnął się do Grande Mademoiselle⁶¹, wówczas gdy Ludwik XVI wydierał jej kochanka, żadna sercowa katastrofa nie mogła się równać co do rozgłosu z przygodą pani de Beauséant. W tej okoliczności ostatnia córka królewskiego niemal domu burgundzkiego okazała się wyższa nad swoje nieszczęście; panowała do ostatniej chwili nad światem, którego próżnostki przejęła jedynie po to, by je wprząc w tryumf swej miłości. Najpiękniejsze kobiety Paryża ożywiały salon strojami i uśmiechami. Najwykwintniejsi panowie ze dworu, ambasadorowie, ministrowie, ludzie najwybitniejsi we wszelkim zakresie, krzyże, gwiazdy, wstęgi wszelkich kolorów, wszystko cisnęło się koło wicehrabiny. Orkiestra napelniała tonami złocone stropy tego pałacu, który dla swej królowej zmienił się w pustynię.

Pani de Beauséant stała na środku salonu, przyjmując swych rzekomych przyjaciół. Ubrana biało, bez żadnych ozdób, w gładko zaplecionych włosach, zdawała się spokojna: ani bólu, ani dumy, ani fałszywego wesela. Nikt nie mógł wyczytać, co się dzieje w jej duszy. Rzekłbyś, Niobe wyciosana z marmuru. Uśmiech, którym witała najbliższych, miał niekiedy odcień szyderstwa; ale poza tym nikt nie dopatrywał się w niej zmiany; była zupełnie tą samą, jaką była, kiedy szczęście stroiło ją swymi promieniami. Najobojętniejsi podziwiali ją. Tak młode Rzymianki oklaskiwały gladiatora, który umiał się uśmiechnąć, konając. Zdawałoby się, że świat się przystroił, aby pożegnać jedną ze swych władczyń.

– Drżałam, że pan nie przyjdzie – rzekła do Rastignaca.

– Pani – odparł wzruszonym głosem, biorąc to za wymówkę – przyszedłem, aby wyjść ostatni.

– Dobrze – rzekła, ujmując go za rękę. – Jest pan tu może jedyną istotą, której mogę zaufać. Mój drogi, kochaj tylko tę kobietę, którą będziesz mógł kochać wiecznie. Nie rzucaj nigdy żadnej.

Wsparła się na ramieniu Rastignaca i zaprowadziła go na kanapę do salonu, gdzie grano w karty.

– Jedź – rzekła – do margrabiego. Jakub, mój pokojowiec, zawiezie cię i odda ci list do niego. Proszę go o zwrot korespondencji. Chcę wierzyć, że odda ci ją w całości. Skoro wrócisz z listami, idź na górę, do mego pokoju. Polecę, aby mi dano znać.

Wstała, aby wyjść naprzeciw księżnej de Langeais, swej najlepszej przyjaciółki, która wchodziła w tej chwili. Rastignac udał się do pałacu Rochefide, gdzie d'Ajuda miał spędzić wieczór. Margrabia zawiózł go do siebie, oddał studentowi skrzynkę i rzekł:

⁶¹ tytuł nadawany najstarszej córce królewskiego brata; tu: księżna de Montpensier.

– Są wszystkie.

Zdawało się przez chwilę, że chce coś mówić, czy to aby zadać Eugeniuszowi jakieś pytanie dotyczące balu i wicehrabiny, czy aby się zwierzyć, że zaczyna już rozpaczać z powodu swego małżeństwa, jak w istocie było później; ale błysk dumy zamigotał w jego oczach; zdobył się na tę smutną odwagę, aby pokryć milczeniem najszlachetniejsze uczucia.

– Nic jej nie mów o mnie, drogi Eugeniuszu.

Uściskał dłoń Rastignaca ruchem serdecznym i smutnym zarazem i dał mu znak, aby jechał. Eugeniusz wrócił do pałacu; wprowadzono go do pokoju wicehrabiny, gdzie ujrzał przygotowania do wyjazdu. Usiadł przy ogniu i utkwivszy wzrok w cedrową szkatułkę pograżył się w melancholijnej zadumie. Pani de Beauséant nabierała w jego oczach rozmiarów bogiń z „Iliady”.

– Ach, drogi... – rzekła wicehrabina, wchodząc i opierając rękę na ramieniu Eugeniusza.

Stała przed nim cała we łzach, ze wzniesionymi oczami. Naraz drżącą ręką chwyciła skrzynkę, wrzuciła ją w ogień i przyglądała się, jak płonie.

– Tańczą! Przyszli wszyscy punktualnie, podczas gdy śmierć przyjdzie późno. Cyt! Mój przyjacielu – rzekła, kładąc palec na ustach Rastignaca, który miał się odezwać. – Nie ujrzę już nigdy Paryża ani świata. O piątej rano wyjeżdżam, aby się zagrzebać w zapadłym kącie Normandii. Od trzeciej po południu trzeba mi było czynić przygotowania, podpisywać akty, wglądać w interesy, nie mogłam nikogo posłać do...

Urwała.

– Miałam pewność, że będziesz u...

Znowu urwała zmiażdżona bólem. W takich chwilach wszystko jest bólem; pewne wyrazy nie chcą przejść przez gardło.

– Słowem – mówiła dalej – liczyłam na ciebie dziś wieczór... wiedziałam, że mi oddasz tę ostatnią usługę. Chciałam ci dać zakład mej przyjaźni. Będę często myślała o tobie, wydałeś mi się dobry i szlachetny, młody i czysty wśród tego świata, w którym podobne przymioty są tak rzadkie... Chciałabym, byś niekiedy pomyślał o mnie. Oto – rzekła, spoglądając dokoła siebie – szkatułka, w której chowałam rękawiczki. Ilekroć sięgałam do niej, ubierając się na bal lub do teatru, czułam się piękna, bo byłam szczęśliwa; zawsze zostawiałam w niej jakąś wdzięczną myśl: jest w tej szkatułce wiele mnie samej, jest w niej Klara de Beauséant, która już nie istnieje. Przyjm ten drobiazg: polecę, aby ci go odniesiono. Pani de Nucingen bardzo dziś ładnie wygląda, kochaj ją. Jeżeli nie zobaczymy się już, mój przyjacielu, bądź pewien, że będę się modliła za ciebie za to, żeś był dla mnie dobry. Zejdźmy na dół, nie chcę, aby myśleli, że płakałam. Mam przed sobą wieczność, będę sama i nikt nie będzie żądał rachunku z moich łez. Jeszcze jedno spojrzenie na ten pokój.

Zatrzymała się. Następnie zasłoniwszy na chwilę oczy ręką, otarła je, zwilżyła zimną wodą i ujęła ramię studenta.

– Chodźmy – rzekła.

Rastignac nigdy nie doznał równie gwałtownego wzruszenia, jak od zetknięcia się z tą tak szlachetnie powściąganą boleścią. Skoro wrócił na salę balową, Eugeniusz obszedł ją z panią de Beauséant: był to ostatni i delikatny wzgląd tej uroczej kobiety. Niebawem spostrzegł obie siostry, panią de Restaud i panią de Nucingen. Hrabina wyglądała wspaniale w przepychu diamentów, które musiały palić jej ciało; ostatni raz miała je na sobie. Mimo całej potęgi swej dumy i miłości nie mogła wytrzymać wzroku męża. Widok ten nie mógł obudzić weselszych myśli w Rastignacu; poprzez diamenty obu sióstr widział barłóg, na którym leżał Goriot. Wicehrabina wytłumaczyła sobie mylnie smutek Eugeniusza; puściła jego ramię.

– Niech pan idzie, nie chcę pana okradać z przyjemności – rzekła.

Niebawem przywołała Eugeniusza Delfina, szczęśliwa z wrażenia, jakie zrobiła, żądna złożyć pod stopy kochanka hołdy zebrane w tym świecie, w który miała nadzieję się wkupić.

– Jak się wydaje panu Naścia? – spytała.

– Wybiła pieniądz ze wszystkiego, nawet ze śmierci własnego ojca – odparł.

Okolo czwartej cisza zaczęła się przerzedzać. Niebawem muzyka umilkła. Księżna de Langeais i Rastignac znaleźli się sami w wielkim salonie. Wicehrabina, spodziewając się zastać tylko studenta, weszła do sali pożegnawszy się wprzód z panem de Beauséant, który udał się na spoczynek, powtarzając:

– Źle czynisz, moja droga, zagrzebując się na odludziu tak młodo. Zostań z nami.

Na widok księżnej, pani de Beauséant nie mogła wstrzymać okrzyku.

– Odgadłam cię, Klaro – rzekła księżna de Langeais. – Odjeżdżasz, aby już nie wrócić; ale nie odjedziesz, nim mnie nie wysłuchasz i zanim się nie zrozumiemy.

Ujęła przyjaciółkę pod ramię, pociągnęła ją do sąsiedniego salonu i tam, patrząc na nią ze łzami w oczach, objęła ją i ucałowała.

– Nie chcę się z tobą rozstać obojętnie, moja droga, to byłby zbyt ciężki wyrzut. Możesz liczyć na mnie jak na samą siebie. Wspaniała byłaś dziś wieczór: uczułam się godna ciebie i chcę ci tego dowieść. Zawiniłam względem ciebie, nie zawsze byłam taka, jak trzeba, przebac mi, droga; odwołuję wszystko, co mogło cię zranić, chciałabym cofnąć swoje słowa. Jednakże boleść skojarzyła nasze dusze; nie wiem, która z nas będzie nieszczęśliwsza. Pana de Montriveau nie było dziś wieczór, rozumiesz? Kto ciebie widział podczas tego balu, Klaro, nie zapomni cię nigdy. Co do mnie, podejmę ostatnią próbę. Jeśli się nie uda, zamknę się w klasztorze! A ty dokąd się udajesz?

– Do Courcelles, w Normandii, chcę tam kochać, modlić się, póki Bóg nie odwoła mnie z tego świata.

– Chodź, Eugeniuszu – rzekła Wicehrabina wzruszonym głosem, przypominając sobie, że młody człowiek czeka.

Student zgiął kolano, ujął rękę kuzynki i ucałował jej dłoń.

– Antosiu, bądź zdrowa! – rzekła pani de Beauséant – życzę ci szczęścia. Ty, Eugeniuszu, masz je; jesteś młody, możesz w coś jeszcze wierzyć – rzekła do studenta. – Opuszczając ten świat, mam przynajmniej koło siebie dwa szczerze wzruszone serca, tak jak inni w godzinę śmierci mają zakonnice u wezglowia.

Rastignac odszedł koło piątej pomógłszy pani de Beauséant wsiąść do podróźnej kolasy, przyjąwszy jej ostatnie pożegnanie zwilżone łzami. Łzy te świadczyły, że najwyżej położone osoby nie są poza prawami serca i nie żyją bez trosk, jak to chcieliby wmówić w lud jego dworacy. Eugeniusz wrócił pieszo do pensjonatu pani Vauquer w wilgotny i zimny poranek. Dopełnił swojej edukacji!

– Nie uratujemy biednego ojca Goriot – rzekł Bianchon, kiedy Rastignac wszedł do sąsiada.

– Mój przyjacielu – rzekł Eugeniusz spojrzawszy na uspiętego starca. – Idź, kroc skromną drogą, do jakiej ograniczają się twoje pragnienia. Ja jestem w piekle i trzeba mi w nim zostać. Cokolwiek najgorszego mówiono by ci o świecie, wierz we wszystko! Nie ma Juwenala, który by zdołał odmalować jego ohydę pokrytą klejnotami i złotem.

Nazajutrz okolo drugiej Bianchon obudził Rastignaca: zmuszony wyjść, prosił go, aby czuwał przy ojcu Goriot, którego stan znacznie się pogorszył.

– Nieborak nie ma przed sobą ani dwóch dni, może ani sześciu godzin – rzekł medyk. – Mimo to trzeba nam walczyć do ostatka. Mam na myśli parę zabiegów, które będą dość kosztowne. Będziemy go pielęgowali, ale ja nie mam ani szeląga. Przetrasnąłem jego kieszenie, przepatrzyłem szafy: dubeltowe zero. Wypytałem go, w chwili przytomności, powiedział, że nie ma ani grosza. Ile ty masz?

– Ledwie dwadzieścia franków – rzekł Rastignac – ale spróbuję pójść z tym grać i wygram.

– A jeśli przegrasz?

– Zwróć się do zięciów, córek.

– A jeśli nie dadzą? – odparł Bianchon. – Najpilniejsze w tej chwili to nie pieniądze: trzeba obłożyć starego wrzącymi synapizmami od stóp aż do pól uda. Jeżeli zacnie krzyżeć, jest jeszcze nadzieja. Wiesz, jak się to robi, zresztą Krzysztof pomoże ci. Ja wstąpię do aptekarza poręczyć za lekarstwa, które będziemy brali. Istne nieszczęście, że nie można biedaka przenieść do szpitala, byłoby mu tam lepiej. No, chodź, powiem ci, co trzeba robić, i nie opuszczaj go, póki nie wrócę.

Dwaj młodzi ludzie weszli do izby, w której leżał starzec. Eugeniusz przestraszył się zmianą tej twarzy, skurczonej, bladej, wyniszczonej.

– I cóż, tatusiu? – rzekł, pochylając się nad tapczanem.

Goriot podniósł na Eugeniusza martwy wzrok i popatrzał nań uważnie, nie poznając. Student nie wytrzymał tego widoku, łzy zwilżyły mu oczy.

– Bianchon, czy nie trzeba by tu założyć firanek?

– Nie, wrażenia atmosferyczne nie dochodzą go już. Bardzo byłoby szczęśliwie, gdyby odczuwał zimno lub gorąco! Trzeba nam tylko ognia, grzać ziółka i przygotować różne rzeczy. Przyślę ci parę polan, które wystarczą, póki nie zdobędziemy drzewa. Wczoraj i dziś w nocy spaliłem twoje drzewo i wszystek torf nieboraka. Było mokro, woda ściekała po ścianach. Ledwie zdołałem osuszyć pokój. Krzysztof zamiótł tutaj: istna stajnia. Wykadziłem jałowcem, bo zaduch był niemożliwy.

– Mój Boże! – rzekł Rastignac – ależ córki...

– O, jeżeli zażąda pić, podasz mu to – rzekł medyk, pokazując Rastignacowi biały garnek.
– Jeżeli usłyszysz, że jęczy, a brzuch będzie gorący i twardy, zawołasz do pomocy Krzysztofa, dacie mu... wiesz już. Gdyby przypadkiem był bardzo podniecony, gdyby dużo gadał, bredził trochę, pozwól mu. To będzie niezły znak. Ale poślij wówczas Krzysztofa do szpitala. Naczelnym lekarzem, kolega mój lub ja przyjdziemy, aby mu przyłożyć mokse⁶². Dziś rano, gdyś ty spał, zrobiliśmy wielkie konsylium z jednym uczniem doktora Galla, naczelnym lekarzem Bożego Ciała i z naszym starym. Tym panom zdawało się, że widzą ciekawe symptomy; toteż będziemy śledzić bieg choroby, aby rozjaśnić parę punktów naukowych dość wielkiej wagi. Jeden z nich twierdzi, że ucisk krwi, skierowany szczególnie na jeden organ, może wywołać osobliwe zjawiska. Słuchaj tedy dobrze, w razie gdyby coś mówił, aby stwierdzić, w jakim zakresie myśli się obraca: czy to są przejawy pamięci, spostrzeżeń, rozumowania, czy zajmuje się zjawiskami materialnymi, czy uczuciowymi, czy rozumuje, czy wraca myślą w przeszłość; słowem, staraj się zdać ścisłą sprawę. Możliwe jest, że nastąpi ogólny udar i że umrze nieprzytomny jak w tej chwili. Wszystko jest tak dziwne w tego rodzaju chorobach! Gdyby nastąpił udar tutaj – rzekł Bianchon, pokazując potylicę chorego – bywają przykłady osobliwych zjawisk: mózg odzyskuje niekiedy pewne zdolności i śmierć przychodzi wolniej. Wysiłek może ustąpić, odpłynąć drogami, które stwierdzić zdołałaby jedynie autopsja. Jest u Nieuleczalnych zidiociały starzec, u którego wysiłek wystąpił wzdłuż kości pacierzowej: cierpi straszliwie, ale żyje.

– Dobrze się bawiły? – rzekł Goriot, poznając Eugeniusza.

– Och! Myśli tylko o córkach – rzekł Bianchon. – Mato sto razy powtarzał tej nocy: „Tańczą! Naścia ma suknię!” Nazywał je po imieniu. Niech mnie лихо porwie, ale łzy miałem w oczach. „Delfino! Delfinko moja! Naściu!” Słowo honoru – rzekł medyk – można się było rozbeczeć.

– Delfino... – rzekł starzec – jest tutaj prawda? Byłem pewny!

I oczy jego z szaloną ruchliwością zaczęły biegać po ścianach i drzwiach.

– Zejdę powiedzieć Sylwii, aby przygotowała synapizmy – zawołał Bianchon – teraz najlepsza pora.

⁶² moksa – przypalanie lub nagrzewanie ciała chorego.

Rastignac został sam ze starcem, siedząc w nogach łóżka, z oczami wlepionymi w tę straszliwą i bolesną głowę.

– Pani de Beauséant ucieka, ten umiera – mówił sobie. – Piękne dusze nie mogą długo zostać na tym świecie. W istocie, w jakież sposób wielkie uczucia mogłyby współżyć z lichym, małym, powierzchownym społeczeństwem?

Obrazy zabawy, w jakiej dopiero co brał udział, nasunęły się w jego wspomnieniu, tworząc kontrast z widokiem tego łoża śmierci. Naraz zjawił się Bianchon.

– Słuchaj, Genku, widziałem się z naczelnym lekarzem i wróciłem pędem. Jeżeli zdarzą się objawy świadomości, jeżeli coś będzie mówił, zawiń go w synapizm od karku do lędźwi i poślij po nas.

– Drogi Bianchon – rzekł Eugeniusz.

– Och! Chodzi o doświadczenie naukowe – odparł medyk z zapalem neofity.

– Widzę – rzekł Eugeniusz – że ja jeden będę pielęgnował biednego starca z przywiązania.

– Gdybyś mnie widział dziś rano, nie mówiłbyś tego – odparł Bianchon, nie obrażając się o wymówkę. – Lekarze, którzy praktykują od dawna, widzą tylko chorobę, ja jeszcze widzę chorego.

Odszedł, zostawiając Eugeniusza ze starcem, w obawie przesilenia, które też nastąpiło niebawem.

– Ach, to ty, drogie dziecko – rzekł ojciec Goriot, poznając Eugeniusza.

– Lepiej panu? – spytał student, biorąc go za rękę.

– Tak, miałem na głowie niby imadła, teraz mi lżej. Widziałeś córki? Przyjdą, przybiegną natychmiast, skoro się dowiedzą, że jestem chory; tak mnie pielęgnowały niegdyś w domu. Mój Boże! Chciałbym, aby pokój był czysty na ich przyjęcie. Był tu jakiś młody człowiek, który mi wypalił wszystkie torf.

– Słyszę Krzysztofa – rzekł Eugeniusz – przynosi drzewo, które ten właśnie młody człowiek panu przysłał.

– Ba! Ale czym zapłacić? Nie mam grosza. Oddałem wszystko, wszystko. Zostałem o torbie żebraczej. Czy suknia ze złotej lamy była choć ładna? (Och, boli!) Dziękuję, Krzysztofie! Bóg cię nagrodi, chłopcze, ja już nie mam nic.

– Ja was zapłacę dobrze, ciebie i Sylwię – rzekł Eugeniusz do ucha chłopca.

– Córki powiedziały, że przyjdą, nieprawdaż, Krzysztofie? Idź jeszcze raz, dam ci pięć franków. Powiedz, że nie czuję się dobrze, że chciałbym je uściskać, ujrzeć je jeszcze raz przed śmiercią. Powiedz im to, ale tak, aby zbyt nie przestraszyć.

Krzysztof, na znak Rastignaca, wyszedł.

– Zaraz przyjdą – ciągnął starzec. – Ja je znam. Poczciwa Delfinka! Jakież zmartwienie jej sprawię, jeśli umrę! Naści także. Nie chciałbym umrzeć, żeby nie płakały przeze mnie. Umrzeć, drogi Geniu, to znaczy nie widzieć ich więcej! Nudno mi będzie tam, dokąd się idzie po śmierci! Dla ojca piekło to być bez dzieci, a ja już zaprawiłem się do tego od czasu, jak wyszły za mąż. Mój raj był w domu. Powiedz mi, gdybym poszedł do raju, czy będę mógł wrócić na ziemię, aby być jako duch koło nich?... Słyszałem takie rzeczy. Czy to prawda? Zdaje mi się, że widzę je w tej chwili, takie jak były w domu. Przychodziły co rano mówiąc: „Dzień dobry, ojczulku!” Brałem je na kolana, droczyłem się z nimi, ścisnąłem je. Pieściły mnie milutko. Śniadaliśmy co dzień razem, jedliśmy razem obiad, słowem, byłem ojcem, cieszyłem się swymi dziećmi. Kiedy były w domu, nie rozumowały, nie wiedziały nic o świecie, kochały mnie. Mój Boże! Czemu one zawsze nie zostały małe? (Och! boli, głowa mi pęka!) Och! och! Darujcie mi, dzieci, cierpię straszliwie, a musi to być prawdziwy ból, bo wyście mnie dobrze zahartowały na cierpienie. Mój Boże! Gdybym tylko ich ręce mógł trzymać w swoich, nie czułbym bólu. Myślisz, że przyjdą? Krzysztof jest taki głupi. Powinienem był iść sam. On je zobaczy!... Prawda, ty byłeś wczoraj na balu? Powiedz mi, jak wyglądały? Nie wiedziały nic o mej chorobie, nieprawdaż? Nie byłyby tańczyły, biedne małe!

Och! nie chcę już chorować. Zbyt jestem im potrzebny. Majątek zagrożony. I jakim mężom wydane są na pastwę! Wyleczcie mnie, wyleczcie mnie! (Och! jak ja cierpię!... Och, och, och!) Widzisz, musicie mnie wyleczyć, bo im trzeba pieniędzy, a ja wiem, skąd je wziąć. Pojadę do Odessy, założę fabrykę prasowanego krochmalu. Ja jestem filut, zrobię na tym miliony. (Och, boli, nie wytrzymam!).

Goriot umilkł na chwilę: zdawało się, że skupia wszystkie siły, aby wytrzymać ból.

– Gdyby one były tutaj, nie skarżyłbym się – rzekł. – Po cóż się skarżyć?

Zapadł w drzemkę, która trwała długo. Krzysztof wrócił. Rastignac, który myślał, że Goriot śpi, pozwolił, aby chłopiec na głos zdał sprawę ze swego poselstwa.

– Proszę pana, poszedłem najpierw do pani hrabiny, ale nie sposób było z nią mówić, miała jakieś ważne sprawy z mężem. Kiedym nastawał, wyszedł sam pan de Restaud i powiedział: „Pan Goriot umiera! Więc cóż, to najlepsze, co mógłby uczynić. Potrzebuję w tej chwili pani de Restaud dla dokończenia ważnych spraw; pójdzie, kiedy wszystko załatwimy”. Wydawał się pogniewany. Miałem odejść, kiedy pani wyszła jakimiś drzwiczkami, których nie uważałem, i rzekła: „Krzysztofie, powiedz ojcu, że mam ważne sprawy z mężem i że nie mogę odejść; chodzi o życie i śmierć moich dzieci, ale skoro tylko skończę, przyjdę”. Co się tyczy pani baronowej, inna historia! Nie widziałem jej i nie mogłem z nią mówić. „Ba – rzekła pokojówka – pani wróciła z balu o kwadrans na szóstą, śpi; jeśli ją zbudzę przed południem, połaje mnie. Skoro zadzwoni na mnie, powiem jej, że ojciec ma się gorzej. Na złą nowinę zawsze jest dość wcześnie”. Darmo było prosić! Aha! Właśnie!... Chciałem się widzieć z panem baronem, nie było go w domu.

– Żadna nie miałaby przyjść! – wykrzyknął Rastignac. – Napiszę do obu.

– Żadna! – powtórzył starzec, podnosząc się na posłaniu. — Mają ważne sprawy, śpią, nie przyjdą. Wiedziałem o tym. Trzeba umierać, aby się dowiedzieć, co to dzieci... Och, mój przyjacielu, nie żeń się, nie miej dzieci! Dajesz im życie, one ci dają śmierć. Wprowadzasz je w świat, one cię żeń wyganają. Nie, nie przyjdą! Wiedziałem to od dziesięciu lat. Mówiłem to sobie niekiedy, ale nie śmiałem w to wierzyć.

Łzy zakreśliły się w jego oczach, otoczonych krwawą obwódką.

– Ach, gdybym był bogaty, gdybym zachował majątek, zamiast go im oddawać, byłyby tutaj, lizałyby mi twarz pocałunkami! Mieszkałbym w pałacyku, miałbym piękne pokoje, służbę, ogień na kominku; tonęłyby we łzach z mężami i dziećmi. Miałbym to wszystko. Ale nic!... Pieniądz daję wszystko, nawet dzieci. O moje pieniądze, gdzież one? Gdybym zostawiał skarby, pielęgnowałyby mnie, opatrywały; słyszałbym je, widziałbym je. O moje drogie, jedyne dziecko, wolę swoje opuszczenie i nędzę! Przynajmniej kiedy nędzarz spotka się z miłością, pewien jest, że ktoś naprawdę go kocha. Nie, chciałbym być bogaty, widziałbym je. Ba, kto wie? Obie mają serca z kamienia. Nadto sam je kochałem, aby one mogły mnie kochać. Ojciec powinien być zawsze bogaty, powinien trzymać dzieci jak narowiste konie. A ja włóczyłem się przed nimi na kolanach. Nędznice! Godnie chcę uwiecznić dziesięcioletnie postępowanie ze mną. Gdybyś wiedział, jak one chodziły koło mnie w pierwszych czasach po wyjściu za mąż. (Och! cierpię jak potępieniec!) Dałem każdej blisko po osiemset tysięcy, nie mogły ani one, ani ich mężowie źle się ze mną obchodzić. Przyjmowali mnie: „Ojczulku, tatusiu, to, owo”. Zawsze było dla mnie nakrycie przy stole. Bywałem u nich na obiadach, zięciowie odnosili się do mnie z szacunkiem. Wyglądałem na człowieka, który ma jeszcze coś. Czemu nie? Nie opowiadałem nic o swoich interesach. Człowiek, który daje córkom po osiemset tysięcy, wart jest, aby się z nim liczyć. Tańczono też koło mnie, ale to dla moich pieniędzy. Świat nie jest ładny, przekonałem się o tym. Wożono mnie do teatru, siedziałem u nich, ile mi się podobało. Słowem, przyznawały się do ojca, nie zapierały się mnie. Ja mam oko, wierz mi, nic nie uchodziło mej baczości. Wszystko trafiało do celu i raniło mnie w serce. Widziałem, że to komedie, ale zło było bez ratunku. Czuję się u nich mniej swobodnie niż ty przy naszym stole. Nie wiedziałem, co

mówić. Nieraz goście pytali na ucho zięciów: „Kto to jest ten jegomość?” – „To ojciec z workiem, bogacz”. – „Tam do licha!” – odpowiadali. I patrzyli na mnie z szacunkiem, jaki należy się dukatom. Jeśli im byłem czasem nie na rękę, sownie okupywałem swoje wady. Zresztą, któż jest doskonały? (Głowa moja to jedna rana!) Cierpię w tej chwili wszystkie śmiertelne męki, drogi Eugeniuszu; otóż wiedz, że to nic w porównaniu z bólem, który mi zadało pierwsze spojrzenie Anastazji, gdy mi dała uczuć, że powiedziałem głupstwo i że ją upokarzam swym nieokrzesaniem: spojrzenie jej otwarło mi żyły. Byłbym chciał wszystko wiedzieć, ale wiedziałem tylko to, że jestem zbyteczny na ziemi. Nazajutrz poszedłem do Delfinki, aby się pocieszyć, i znowuż robię głupstwo, które ją zgniewało! Byłem jak oszalały. Przez tydzień nie wiedziałem, co z sobą począć. Nie śmiałem iść do nich z obawy wymówek. I oto zamknąłem sobie dom córek. O, mój Boże! Ty znasz nędzę, cierpienia, które zniosłem; policzyłeś pchnięcia sztyletu, otrzymane w owym czasie, który mnie postarzył, zmienił, zabił, okrył siwizną: po cóż mi każesz cierpieć dziś jeszcze? Sumiennem odpokutował ten grzech, żem je nadto kochał. Dobrze się zemściły za me przywiązanie, szarpały mnie kleszczami jak kaci! I cóż! Ojcowie są tak głupi, kochałem je tak bardzo, że wracałem, jak szuler wraca do gry. Córki to był mój nałóg, moje kochanki, wszystko! Często obie potrzebowały czegoś, jakichś fatałaszków, pokojówki uprzedzały mnie o tym, i przynosiłem im, aby kupić sobie dobre przyjęcie! Ale i tak dawały mi czasem lekcję znalezienia się w świecie. O, nie robiły ze mną ceremonii. Rumieniły się za mnie. Oto co znaczy dać dzieciom dobre wychowanie. W moim wieku nie mogłem przecie iść do szkoły. (Cierpię straszliwie! Mój Boże! Lekarza! lekarza! Gdyby mi otwierano czaszkę, nie tyle bym cierpiał.) Moje córki! Moje córki! Anastazjo! Delfino! Chcę je widzieć. Poślijcie po nie, sprowadźcie przez żandarmów, siłą! Prawo jest ze mną, wszystko jest po mojej stronie, natura, kodeks... Protestuję! Kraj zginie, jeżeli ojca będzie się deptać nogami. To jasne. Społeczeństwo, świat wspierają się na ojcostwie, wszystko zawali się, jeśli dzieci nie będą kochały rodziców. Och! Widzieć je, słyszeć, mniejsza, co powiedzą, byłem słyszał ich głos, to uśmierzy moje cierpienia, Delfina zwłaszcza. Ale powiedz im, kiedy będą tutaj, aby nie patrzyły na mnie zimno, jak zazwyczaj. Ach! Drogi przyjacielu, dobry panie Geniu, ty nie wiesz, co to znaczy, kiedy złoto spojrzenia zmieni się nagle w szary ołów. Od dnia, w którym ich oczy przestały patrzeć na mnie promiennie, żyłem tu w ciągłej zimie; łykałem już tylko same zgryzoty, a ilem się ich nałykał! Żyłem po to, aby mnie znieważano, upokarzano. Kocham je tak, że znosiłem wszystkie poniżenia, za które sprzedawały mi jakąś drobną, kradzioną przyjemność. Ja, ojciec, musiałem się kryć, aby widzieć swoje córki! Ja dałem im życie, one nie dadzą mi dziś ani godziny! Pić mi się chce, jeść mi się chce, serce mnie pali, a one nie przyjdą orzeźwić mego konania, bo ja umieram, czuję to. Nie rozumieją, co to znaczy deptać po trupie ojca! Jest Bóg w niebiesiech, który mści się za nas, ojców, bez naszej woli. Och, one przyjdą! Pójdźcie, moje ukochane, przyjdźcie mnie jeszcze ucałować. Ostatni pocałunek, wiatyk waszego ojca, który będzie się modlił do Boga za was, powie mu, że byłyście dobrymi córkami, będzie za wami przemawiał! Ostatecznie jesteście niewinne. Tak, one są niewinne, mój drogi panie! Powiedz to wyraźnie całemu światu, aby ich nie szarpało z mego powodu. Wszystko to z mojej winy, przyuczyłem je deptać po sobie. Robiło mi to przyjemność. To nie obchodzi nikogo, ani sprawiedliwości ludzkiej, ani boskiej. Bóg byłby niesprawiedliwy, gdyby je potępił z mej przyczyny. Nie umiałem postępować, popełniłem szaleństwo, żem się rzekł swoich praw. Byłbym się spodlił dla nich! Cóż chcesz! Najpiękniejsza natura, najszlachetniejsze dusze skazyłyby się od takiej pobłażliwości. Jestem nędznik, sprawiedliwie jestem ukarany. Ja sam spowodowałem przywary córek, ja je zepsułem. Chcą dziś przyjemności, jak niegdyś chciały cukierków. Pozwalałem im jako młodym dziewczętom zaspokajać każde zachcenie. W piętnastu latach miały powóz! W niczym nie znały oporu. To tylko ja zawiniłem, ale zawiniłem z miłości. Od ich głosu tajało mi serce. Słyszę je, nadchodzą. Och! Tak, przyjdą. Prawo żąda, aby dzieci nawiedzały umierającego ojca, prawo

jest ze mną. A przy tym to kosztuje tylko kurs dorożki. Zapłacę. Napisz im, że mam dla nich miliony w testamencie. Pojadę do Odessy robić włoski makaron. Znam sposób. Na moim pomysłcie można zarobić miliony. Nikomu nie przyszło na myśl. To się nie zepsuje w drodze jak zboże lub mąka. Ha, ha! A krochmal, toć to gotowe miliony! Nie skłamiesz, powiedz im o milionach; gdyby nawet miały przyjść przez chciwość, wolę, aby mnie oszukały, zobaczą je. Chcę córek! ja dałem im życie, moje są – wołał podnosząc się na posłaniu i ukazując Eugeniuszowi głowę pokrytą rzadkim siwym włosem i wyrażającą bezmiar groźby.

– No – rzekł Eugeniusz – połóż się, dobry ojciec Goriot, napiszę do nich. Skoro tylko Bianchon wróci, sam pójdę, gdyby nie przyszły.

– Gdyby nie przyszły? – powtórzył starzec szlochając. – Ależ ja tymczasem umrę, umrę z wściekłości; tak, z wściekłości. Szał mnie ogarnia! W tej chwili widzę całe swoje życie. Byłem dudek! Nie kochają mnie, nigdy nie kochały! To jasne. Jeśli nie przyszły, już nie przyjdą. Im dłużej będą zwlekały, tym bardziej nie zechcą mi sprawić tej radości. Znam je. Nie umiały nigdy przeczuć moich zgrzyot, bólów, potrzeb, nie przeczują mojej śmierci: one nie pojmują nawet mej tkliwości. Och, widzę, to tak je przyzwyczaiłem do tego, że sobie dla nich wypruwam wnętrzności... to odbiera cenę wszystkiemu, co mógłbym uczynić. Gdyby rzekły, że mi chcą wyłupić oczy, powiedziałbym: „Wyłupcie!” Jestem za głupi. One myślą, że wszyscy ojcowie są tacy. Trzeba się zawsze cenić. Ich dzieci pomszczą się za mnie. Ależ własny interes każe im, aby tu przyszły. Ostrzeż je, gotują sobie okrutne konanie. Dopuszczają się wszystkich zbrodni w tej jednej... Idź, powiedz im, że to, co czynią, to ojcobójstwo. Dostę razy je już popełniły, już wystarczy... Krzyczżena nie jak ja: „Hej, Naściu! Hej, Delfinko! Pójdźcie do ojca, który był taki dobry dla was i który cierpi!” Nic, nikogo! Mam umrzeć jak pies? Oto moja nagroda: opuszczenie! To nikiemnice, zbrodniarki: brzydzą się nimi, przeklinam je; wstanę w nocy z trumny, aby je przekląć jeszcze raz: powiedzcież, przyjaciele, czy nie mam racji? Toć one bardzo źle sobie postępują, nieprawdaż?... Co ja gadam? Czy nie mówiłeś, że Delfinka jest tutaj? Ona lepsza od tamtej... Ty jesteś moim synem, Eugeniuszu! Kochaj ją, bądź dla niej ojcem. Tamta jest bardzo nieszczęśliwa. A ich majątek! Och! Boże! Umieram, zanadto cierpię! Utnijcie mi głowę, zostawcie tylko serce.

– Krzysztofie, biegnij po Bianchona – krzyknął Eugeniusz przerażony gwałtownością skarg i krzyków starca – i sprowadź kabriolet. Pojadę po córki, ojciec Goriot, sprowadzę ci je.

– Siłą! Siłą! Wezwij straż, wojsko, wszystko! – rzekł rzucając Eugeniuszowi ostatnie spojrzenie, w którym błyszczała iskra rozumu. – Udaj się do władz, do prokuratora, niech mi je sprowadzą, żądam!

– Ależ przeklął je pan.

– Kto to powiedział? – odparł starzec zdumiony. – Wiesz dobrze, że je kocham, że je ubóstwiam! Ozdrowieję, skoro je zobaczę... Idź, dobry sąsiedzie, moje drogie dziecko, idź. Ty jesteś dobry; chciałbym ci podziękować, ale nic nie mogę ci dać prócz błogosławieństwa umierającego. Ach! Chciałbym bodaj widzieć Delfinę, powiedzieć jej, aby ci odpłaciła za mnie. Jeżeli druga nie może, przyprowadź mi choć tę. Powiedz jej, że stracisz do niej serce, o ile nie zechce przyjść. Ona cię tak kocha, że przyjdzie. Pić! Wnętrzności mnie palą! Połóżcie mi coś na głowę. Ręka moich córek... to by mnie ocaliło, czuję... Mój Boże, któż im wróci dobrobyt, gdy ja odejdę? Chcę jechać dla nich do Odessy, do Odessy, wyrabiać makaron.

– Wypij to, ojciec – rzekł Eugeniusz podnosząc konającego i obejmując go lewym ramieniem, gdy w prawej ręce trzymał filiżankę z kojącym napojem.

– O, ty musisz kochać rodziców! – rzekł starzec ściskając w mdlejących rękach dłoń Eugeniusza. – Czy ty rozumiesz, że ja umrę nie ujrzawszy córek? Czuć zawsze pragnienie, a nigdy się nie napić, oto jak żyłem od dziesięciu lat... Zięciowie zabili mi córki. Tak; nie miałem już córek od chwili, gdy poszły za mąż. Ojcowie, powiedzcie sejmowi, aby ogłosił prawa dotyczące małżeństwa! Nie wydawajcie córek za mąż, jeśli je kochacie. Zięć to

zbrodniarz, który wszystko zepsuje w waszym dziecku, wszystko skazi. Precz z małżeństwem! Ono wydziera nam córki, nie mamy ich, kiedy przychodzi nam umierać. Wydajcie prawo o śmierci ojców. To straszne, straszne! Pomsty! To zięciowie nie pozwalają im przyjść... Zabij ich! Na śmierć hrabiego, na śmierć Alzacyjnyka, to moi mordercy!... Śmierć albo córki!... Ach, to straszne, umieram bez nich!... One!... Naściu! Fifinko! No, chodźcież! Tatus odchodzi...

– Dobry ojciec Goriot, no, uspokój się, bądź cierpliwy, nie wzruszaj się, nie myśl.

– Nie widzieć ich, oto agonia!

– Zobaczysz je.

– Naprawdę? – wykrzyknął starzec w obłędzie. – Och! Ujrzeć je! Ujrę je, usłyszę ich głos. Umrę szczęśliwy. Umrzeć, dobrze, nie chcę już życia, nie zależy mi na nim, stało mi się jedną męczarnią. Ale widzieć je, dotykać ich sukien, och, tylko sukien, to tak mało; niech czuję coś, co należy do nich! Pozwól mi... wło... sy...

Zwalił się na poduszkę, niby uderzony maczugą. Ręce poruszyły się na kołdrze, jak gdyby chwytając włosy córek.

– Błogosławię je – rzekł czyniąc ostatni wysiłek – błogosławię.

Omdlał nagle. W tej chwili wszedł Bianchon.

– Spotkałem Krzysztofa – rzekł – zaraz sprowadzi wehikuł. Następnie przyjrzał się choremu, podniósł mu siłą powieki: obaj studenci ujrzeli oko bez ciepła i blasku.

– Nie wygrzebie się – rzekł Bianchon – nie, nie przypuszczam.

Wziął puls, pomacał, położył rękę na sercu nieboraka.

– Machina funkcjonuje jeszcze; ale w jego położeniu to istne nieszczęście, lepiej byłoby, aby umarł.

– Tak, w istocie lepiej – rzekł Rastignac.

– Co tobie? Błady jesteś jak śmierć.

– Ach, mój drogi, com ja słyszał za skargi i krzyki... Jest Bóg! Och! Tak, jest Bóg i stworzył dla nas lepszy świat, lub ziemia byłaby niedorzecznością. Gdyby to nie było tak tragiczne, płakałbym, ale serce i żołądek mam zupełnie ściśnięte.

– Słuchaj, trzeba będzie rozmaitych rzeczy, skąd wziąć pieniędzy?

Rastignac wydobyl zegarek.

– Masz, zastaw to prędko. Nie chcę zatrzymywać się w drodze, boję się stracić bodaj minutę, a czekam na Krzysztofa. Nie mam ani szeląga, trzeba będzie zapłacić woźnicę za powrotem.

Rastignac rzucił się ku schodom i pomknął na ulicę du Helder, do pani de Restaud. W drodze wyobraźnia studenta uderzona straszliwym widowiskiem, którego był świadkiem, podsyciła jego oburzenie. Skoro dostał się do przedpokoju i spytał o panią de Restaud, odpowiedziano, że nie przyjmuje nikogo.

– Ale – rzekł do służącego – przybywam ze zleceniem ojca, który umiera.

– Proszę pana, pan hrabia wydał nam w tej mierze najsurowsze rozkazy.

Jeśli pan de Restaud jest w domu, proszę mu powiedzieć, w jakim stanie znajduje się jego teść, i uprzedzić, że muszę natychmiast pomówić z panem hrabią.

Eugeniusz czekał długo.

Może tym czasem kona – pomyślał

Lokaj wprowadził go do salonu, gdzie pan de Restaud przyjął studenta stojąco, nie prosząc go siedzieć, przy wygasłym kominku.

– Panie hrabio – rzekł Rastignac – teść pański kona w tej chwili w haniebnej norze, nie mając szeląga na drzewo na opał; zostaje mu dosłownie kilka chwil do życia i żąda widzieć się z córką.

– Panie – odparł chłodno hrabia – mógł pan już zauważyć, że ja nie żywię zbyt wiele czułości dla pana Goriot. Postąpił sobie niegodnie wobec mojej żony, stał się nieszczęściem

mego życia, widzę w nim wroga mego spokoju. Żyje czy umiera, to mi zupełnie obojętne. Oto jakie są moje uczucia w tym względzie. Świat może mnie potępić, gardzę opinią. Mam obecnie ważniejsze rzeczy niż zajmować się tym, co o mnie pomyślą głupcy albo ludzie mi obojętni. Co do pani de Restaud, nie może w tej chwili wyjść. Zresztą nie życzę sobie, aby opuszczała dom. Powiedz pan ojcu, że natychmiast skoro dopełni obowiązków wobec mnie, wobec mego dziecka, pójdzie go odwiedzić. Jeżeli kocha ojca, może być wolna za kilka chwil...

– Panie hrabio, nie do mnie należy sądzić pańskie postępowanie, jesteś panem swojej żony; ale czy mogę liczyć na pańską lojalność? Zatem przyrzeknij pan tylko, iż powiesz żonie, że ojciec nie ma przed sobą ani dnia i że ją już przeklął, nie widząc jej u swego łóżka.

– Powiedz jej to pan osobiście – odparł pan de Restaud, tknięty akcentem oburzenia, które drgało w głosie Eugeniusza.

Rastignac prowadzony przez hrabiego wszedł do salonu, w którym zazwyczaj przyjmowała hrabina; zastał ją zalaną łzami. Siedziała w berzerce jak kobieta, która pragnęła by umrzeć. Żal mu się jej zrobiło. Nim spojrzała na Rastignaca, rzuciła na męża lękliwe spojrzenie, które zwiastowało zupełny upadek sił, złamanych moralną i fizyczną tyranią. Hrabia potrząsnął głową, znak ten ośmielił ją.

– Panie – rzekła – słyszałam wszystko. Powiedz pan ojcu, że gdyby znał położenie, w którym się znajduję, przebaczyłby mi... Nie obliczyłam się z tą męką, jest ponad moje siły!... Ale wytrwam do końca – rzekła, patrząc na męża. – Jestem matką. Powiedz pan ojcu, że jestem niewinna wobec niego mimo pozorów! – wykrzyknęła z rozpaczą.

Eugeniusz skłonił się obojgu, odgadując straszliwe przejścia tej kobiety, i wyszedł osłupiały. Ton pana de Restaud przekonał go o bezużyteczności podjętego kroku; zrozumiał, że Anastazja nie jest już wolna. Pobiegł do pani de Nucingen i zastał ją w łóżku.

– Jestem cierpiąca, mój drogi – rzekła. – Zaziębiłam się, wracając z balu, obawiam się kataru płuc, oczekuję lekarza.

– Eugeniuszu, ojciec może nie jest tak chory, jak powiadasz; ale byłabym w rozpacz, gdybym była choć najlżej winna w twoich oczach, uczynię, co każesz. On, wiem o tym, umarłby ze zgrzyoty, gdyby moja choroba miała się stać śmiertelna przez to wyjście. Więc dobrze, pójdę, skoro doczekam się doktora... Och, czemu nie nosisz już zegarka? – rzekła, nie widząc łańcuszka.

Eugeniusz zaczerwienił się.

– Eugeniuszu, Eugeniuszu, jeżeli już sprzedałeś, zgubiłeś, och! To by było niedobrze...

Student pochylił się nad łóżkiem i rzekł jej do ucha:

– Chcesz wiedzieć, więc dobrze, dowiedz się! Ojciec twój nie ma za co kupić sobie całunu, w który go zawiną dziś wieczór. Zegarek jest w zastawie, nie miałem już nic.

Delfina wyskoczyła nagle z łóżka, podbiegła do sekretarzyka, wyjęła sakiewkę i podała ją Rastignacowi. Zadzwoiła i krzyknęła:

– Idę, idę, Eugeniuszu. Daj mi się ubrać; ależ byłabym potworem! Idź, ja będę tam przed tobą. Tereso – zawołała na pokojówkę – powiedz panu baronowi, że chcę z nim pomówić w tej chwili.

Eugeniusz szczęśliwy, że może oznajmić konającemu odwiedzinę córki, przybył prawie wesół na ulicę Neuve-Sainte-Geneviève. Wytrząsnął sakiewkę, aby zapłacić woźnicę. Sakiewka młodej kobiety, tak bogatej, wykwinnej, zawierała siedemdziesiąt franków. Przybywszy na górę ujrzał ojca Goriot w rękach Bianchona, który go podtrzymywał, gdy felczer szpitalny pod okiem lekarza przypalał mu grzbiet: ostatni środek nauki, bezużyteczny zresztą.

– Czujecie pan? – spytał lekarz.

Ojciec Goriot spostrzegłszy studenta spytał:

– Przyjdą, nieprawdaz?

– Może się jeszcze wyłabuda – rzekł felczer – skoro mówi.

– Tak – rzekł Eugeniusz – Delfina będzie tu za chwilę.

– Ba – rzekł Bianchon – mówi wciąż o córkach, krzyczy za nimi tak, jak podobno człowiek wbity na pal krzyczy za wodą...

– Daj pan pokój – rzekł lekarz do felczera – nie ma już nic do roboty, nie ocalimy go. Bianchon i felczer ułożyli znów umierającego na wznak na wstrętym barłogu.

– Należałoby mu zmienić bieliznę – rzekł lekarz. – Mimo że nie ma żadnej nadziei, trzeba uszanować człowieka. Wróć jeszcze – rzekł do Bianchona. – Gdyby się skarżył, przyłóżcie mu opium na przeponę.

Felczer i lekarz wyszli.

– No, Genku, odwagi, chłopcze! – rzekł Bianchon do Rastignaca, kiedy zostali sami – trzeba mu teraz włożyć czystą koszulę i przesłać łóżko. Idź, powiedz Sylwii, aby dała prześcieradła i przysłała nam pomoc.

Eugeniusz zeszedł i zastał panią Vauquer zajętą wraz z Sylwią nakrywaniem do stołu. Za pierwszymi słowy Rastignaca wdowa podeszła, przybierając słodko-kwaśną minę podejrzliwej kupczynie, która nie chce ani stracić pieniędzy, ani obrazić klienta.

– Drogi panie Eugeniuszu – rzekła – wiadomo panu, jak i mnie, że Goriot nie ma grosza. Dawać prześcieradło człowiekowi, który ma, jak to mówią, wyciągnąć kopytką, znaczy dawać na przepadłe, ile że trzeba będzie jedno poświęcić na całun. Zważ pan, że winniście mi już razem sto czterdzieści cztery franki, dodajmy do tego czterdzieści za prześcieradło, kilka drobniaków, świecę, którą Sylwia da panom, wszystko to czyni co najmniej dwieście franków, których biedna wdowa nie może przecież stracić. Chciej pan być sprawiedliwy, panie Eugeniuszu, dosyć już straciłam od owej doby, kiedy to nieszczęście zagnieździło się w moim domu. Dałabym dziesięć talarów, aby ten stary wyprowadził się przed paru dniami, jak mi pan zapowiedział. To działa na pensjonarzy. Kazałabym go przenieść do szpitala, prawie bez kosztów. Wreszcie, postaw się pan na moim miejscu. Mój zakład przede wszystkim, to całe moje życie.

Rastignac pobiegł szybko do pokoju ojca Goriot.

– Bianchon, pieniądze za zegarek?

– Są tam, na stole, zostało trzysta sześćdziesiąt i coś franków. Zapłaciłem wszystko, cośmy byli winni. Kwit lombardowy leży pod pieniędzmi.

– Proszę pani – rzekł Rastignac zbiegłszy po schodach z uczuciem wstrętu – niech pani ureguluje nasze rachunki. Pan Goriot niedługo już zabawi u pani, a ja...

– Tak, tak, wyniosą biedaka, wyniosą – rzekła, odliczając dwieście franków z miną w pół wesołą, w pół melancholijną.

– Kończmy!

– Sylwio, daj prześcieradło i idź pomóc panom.

– Nie zapomnij pan o Sylwii – rzekła pani Vauquer do ucha Eugeniuszowi – dwie noce już nie spała.

Z chwilą gdy Eugeniusz się obrócił, stara podreptała do kucharki.

– Weź z tych cerowanych, numer siódmy. Cóż chcesz, dla nieboszczyka i tak aż nadto dobre – rzekła jej do ucha.

Eugeniusz, który już przebiegł kilka schodów, nie słyszał słów starej gospodyni.

– Dalej – rzekł Bianchon – przewdziejemy koszulę. Trzymaj go prosto.

Eugeniusz stanął w głowach i podtrzymał konającego, z którego Bianchon ściągnął koszulę. Stary zrobił ruch, jak gdyby chcąc coś zachować na piersi, i zaczął wydawać żalose i niezrozumiałe krzyki, niby zwierzęta, gdy chcą wyrazić wielką boleść.

– Oho! – rzekł Bianchon – żąda łańcuszka z włosów i medalionu, któreśmy mu zdjęli przed chwilą dla postawienia moksy. Biedaczysko! Trzeba mu je włożyć. Leżą na kominku.

Eugeniusz wziął łańcuszek spleciony z włosów popielatoblond, zapewne pani Goriot.

Przeczytał z jednej strony medalionu: „Anastazja”, z drugiej: „Delfina”. Obraz jego serca, który spoczywał zawsze na sercu. Pukle zawarte w medalionie były tak delikatne, że musiały pochodzić z doby pierwszego dzieciństwa córek. Skoro medalion dotknął jego piersi, starzec wydał przeciągłe westchnienie, świadczące o głębokiej uldze. Wrażenie było dla obecnych straszne. Był to jeden z ostatnich przeblysków wrażliwości, która zdawała się cofać w owo nieznane centrum, skąd wychodzą i dokąd zwracają się nasze sympatie. Konwulsyjnie skurczona twarz przybrała wyraz chorobliwego szczęścia. Dwaj studenci, uderzeni tym straszliwym odblaskiem uczucia, które przetrwało dłużej niż myśl, uronili kilka gorących łez na konającego. Starzec wydał krzyk przejmującej radości.

- Naściu! Fifinko! – rzekł.
- Żyje jeszcze – rzekł Bianchon.
- Na co mu się to zdało? – rzekła Sylwia.
- Aby cierpieć – odparł Rastignac.

Dawszy Eugeniuszowi znak, aby uczynił to samo, Bianchon ukląkł i ujął chorego pod kolana, gdy Rastignac, z drugiej strony łóżka, podjął go pod plecy. Sylwia stała tuż, gotowa ściągnąć prześcieradło, kiedy uniosą chorego, aby je zastąpić czystym. Zwiedziony zapewne łzami, Goriot zebrał ostatek sił, aby wyciągnąć ręce, natrafił po obu stronach łóżka na głowy studentów, chwycił ich gwałtownie za włosy i szepnął słabo:

– Ach, moje anioły!

Te dwa słowa były niby szmer, z którym dusza uleciała.

– Biedne, zacne człeczysko! – rzekła Sylwia, wzruszona tym wykrzyknikiem, w którym malowało się uczucie podsyczone po raz ostatni najstraszniejszym, mimo iż niewinnym, oszukaństwem.

Ostatnie westchnienie tego ojca miało być westchnieniem radości. Było ono wyrazem całego jego życia: jeszcze się łudził. Ułożono ojca Goriot ze czcią na posłaniu. Od tej chwili fizjonomia jego zachowała bolesne znamię walki, która toczyła się jeszcze między życiem a śmiercią w organizmie pozbawionym już owej świadomości mózgu, z której wynika dla ludzkiej istoty uczucie rozkoszy i bólu. Zupełne zniszczenie było tylko kwestią czasu.

– Przetrwa tak jeszcze kilka godzin i umrze niepostrzeżenie, nie będzie nawet rzeził. Mózg musi być zupełnie zajęty.

W tej chwili dały się słyszeć na schodach szybkie kroki młodej kobiety.

– Za późno – rzekł Rastignac.

Zamiast Delfiny ukazała się w drzwiach pokojówka Teresa.

– Panie Eugeniuszu – rzekła – wybuchła w domu gwałtowna scena między panem a panią z powodu pieniędzy, których biedna pani żądała dla ojca. Pani zemdląła, przyszedł lekarz, trzeba było krew puścić, krzyczała: „Ojciec umiera, chcę widzieć tatusia!” Krzyczała tak, że aż serce pękało.

– Dosyć, Tereso. Choćby pani przyszła teraz, byłoby daremnie, pan Goriot już nieprzytomny.

–Biedne, drogie panisko! Więc tak już z nim źle! – rzekła Teresa.

– Jużem tu niepotrzebna, pójdę pilnować obiadu, jest wpół do piątej – rzekła Sylwia. Idąc, omal nie zderzyła się na schodach z panią de Restaud.

Hrabina ukazała się jak zjawisko pełne powagi i grozy. Patrzała na łożo śmierci, ledwie oświetlone blaskiem jednej świecy, i wybuchnęła płaczem, widząc zmienioną twarz ojca, na której drgały jeszcze ostatnie skurcze życia. Bianchon usunął się dyskretnie.

– Nie wyrwałam się na czas – rzekła do Rastignaca. Student skinął głową, pełen smutku. Pani de Restaud ujęła rękę ojca, ucałowała ją.

– Daruj mi, ojcze! Powiadałeś, że mój głos przywołałby cię z grobu; wróc więc, wróc na chwilę, pobłogosław skruszonej córce. Usłysz mnie! To straszne! Twoje błogosławieństwo jest jedyne, jakie mogę otrzymać na ziemi. Cały świat mnie nienawidzi, ty jeden mnie

kochasz. Dzieci nawet będą mnie nienawidziły. Weź mnie z sobą, będę cię kochała, będę myślała o tobie. Nie słyszy już... ja oszaleję...

Upadła na kolana i patrzyła na te szczątki z wyrazem obłędu.

– Nieszczęście moje ziściło się w całej pełni – rzekła do Eugeniusza. – Pan de Trailles wyjechał, zostawiając olbrzymie długi... Przekonałam się, że mnie zwodził. Mąż nie przebaczy mi nigdy, a uczyniłam go panem swego majątku. Straciłam wszystkie złudzenia. Niestety! Dla kogo zdradziłam jedyne serce (wskazała na ojca), które mnie ubóstwiało! Zapomniałam go, odepchnęłam, zadałam mu tysiąc cierpień, ja nikczemna!

– Wiedział o tym – rzekł Rastignac.

W tej chwili ojciec Goriot otworzył oczy, ale był to skutek konwulsyj. Gest, którym hrabina ujawniła swą nadzieję, sprawiał nie mniej straszne wrażenie niż oko umierającego.

– Czyżby usłyszał? – wykrzyknęła. – Nie – rzekła, siadając na łóżku.

Ponieważ pani de Restaud oświadczyła, że chce czuwać przy ojcu, Eugeniusz zeszedł na dół, aby się nieco posilić. Stołownicy byli już w jadalni.

– I cóż – spytał malarz – zdaje się, że będziemy mieli maleńkie *śmierciorama* na górze?

– Karolu – odparł Eugeniusz – zdaje mi się, że mógłbyś sobie obrać mniej smutny przedmiot do żartów.

– Nie można się już śmiać tutaj? – odparł malarz. – O cóż chodzi, skoro Bianchon powiada, że stary już nieprzytomny.

– W takim razie – dorzucił urzędnik Muzeum – umrze tak, jak żył.

– Ojciec umarł! – krzyknęła hrabina.

Na ten straszliwy krzyk Sylwia, Rastignac i Bianchon wbiegli na górę i zastali panią de Restaud zemdloną. Doprowadziwszy ją do przytomności przenieśli do dorożki, która czekała na dole; Eugeniusz powierzył ją Teresie, zalecając, aby odwieziono hrabinę do pani de Nucingen.

– Och, umarł już rzetelnie – rzekł Bianchon, schodząc na dół.

– Dalej, panowie, do stołu – rzekła pani Vauquer – zupa ostygnie.

Dwaj studenci usiedli obok siebie.

– Co teraz czynić? – rzekł Eugeniusz do Bianchona.

– Ano cóż? Zamknąłem mu oczy i ułożyłem, jak należy. Skoro lekarz miejski stwierdzi zgon, pójdziemy zrobić doniesienie, zaszyje się go w całun i pogrzebie. Cóż więcej robić?

– Nie będzie już obwąchiwał chleba – rzekł jeden ze stołowników, naśladując grymas starego.

– Do stu kaduków, panowie – rzekł korepetytor – dajcież pokój ojcu Goriot i nie traktujcie nas już nim wreszcie! Od godziny podajecie go we wszystkich sosach. Jednym z przywilejów zacnego miasta Paryża jest to, że można w nim urodzić się, żyć i umrzeć nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Korzystajmy z wygod cywilizacji. Sześćdziesiąt osób umarło dziś w mieście; chcecie się rozczulać nad hekatombami paryskimi? Ojciec Goriot odwalił kite, tym lepiej dla niego! Jeśli go tak ubóstwiacie, idźcież siedzieć przy nim, a nam dajcie jeść spokojnie.

– Och, tak – rzekła wdowa – lepiej dla niego, że umarł! Zdaje się, że nieborak miał w życiu wiele nieprzyjemności.

Była to jedyna mowa pogrzebowa nad zwłokami człowieka, który dla Eugeniusza był uosobieniem ojcostwa. Piętnastu stołowników zaczęło rozmawiać jak zwykle. Skoro Eugeniusz i Bianchon ukończyli jedzenie, szcęk widelców i łyżek, śmiechy obecnych, rozmaite wyrazy łakomych i obojętnych twarzy, wszystko to ścięło ich grozą. Wyszli, aby poszukać księdza, który by czuwał i modlił się w nocy przy zwłokach. Trzeba im było dostroić ostatnie posługi koło nieboszczyka do skromnego stanu kasy, którą rozporządzali. Około dziewiątej wieczór ułożono ciało w tej nagiej izdebce, na ramie od łóżka, między dwiema świecami, i ksiądz przyszedł czuwać przy nim. Przed spoczynkiem Rastignac,

poprosiwszy duchownego o informacje co do ceny nabożeństwa i pogrzebu, napisał słówko do barona de Nucingen i do hrabiego de Restaud, prosząc, aby przysłali swoich pełnomocników dla pokrycia kosztów ceremonii. Wysłał z listami Krzysztofa, następnie położył się i zasnął powalony znużeniem. Nazajutrz rano Bianchon i Rastignac musieli sami zgłosić zgon; stwierdzono go około południa. Dwie godziny minęły: żaden z zięciów nie przysłał pieniędzy, nikt nie zjawił się w ich imieniu. Rastignac musiał sam opłacić księdza. Ponieważ Sylwia zażądała dziesięciu franków, aby owinąć i zaszyć nieboszczyka w całun, Eugeniusz i Bianchon obliczyli, że jeśli krewni zmarłego nie zechcą się do niczego mieszać, ledwie będą mogli nastarczyć. Student medycyny podjął się tedy sam włożyć trupa do trumny dla ubogich, którą kazał przynieść ze szpitala uzyskawszy opust.

– Wyplataj figla tym hultajom – rzekł do Eugeniusza. – Idź kupić kawał gruntu na pięć lat na Père-Lachaise i zamów w kościele i w zakładzie pogrzebowym pogrzeb trzeciej klasy. Jeśli zięciowie i córki nie zechcą ci zwrócić, każesz wyryc na grobie: „Tu leży Goriot, ojciec hrabiny de Restaud i baronowej de Nucingen, pogrzebany kosztem dwóch studentów”.

Eugeniusz poszedł za radą przyjaciela dopiero po bezskutecznych próbach wdarcia się do państwa de Nucingen i de Restaud. Nie zdołał się dostać poza próg: obaj odźwierni mieli surowe rozkazy w tej mierze.

– Jaśnie państwo – oświadczyli – nie przyjmują nikogo; stracili ojca i są pogrążeni w najgłębszej boleści.

Eugeniusz znał już na tyle Paryż, aby wiedzieć, że na nic nie zda się nalegać. Serce ścisnęło mu się dziwnie, kiedy uczuł, że niepodobna mu dotrzeć do Delfiny.

Niech Pani sprzeda jaki klejnot – napisał do niej u odźwiernego – aby ojca można było przyzwoicie odprowadzić na miejsce wiecznego spoczynku.

Zapieczętował kartkę, prosząc odźwiernego, aby ją oddał Teresie dla pani; ale odźwierny oddał list baronowi, który rzucił go w ogień. Zarządziwszy wszystko, Eugeniusz wrócił koło trzeciej do pensjonatu. Nie mógł wstrzymać łez, kiedy ujrzał u bramy trumnę ledwie okrytą czarnym sukniem, ustawioną na dwóch krzesłach w pustej ulicy. Nędzne kropidło, którego jeszcze nikt nie tknął, mokło w posrebrzanej misce ze święconą wodą. Drzwi nie były nawet obite czarno. Była to śmierć biedaków, bez wystawy, orszaku, bez przyjaciół i krewnych. Bianchon, zmuszony udać się do szpitala, przesłał słówko Eugeniuszowi, aby mu zdać sprawę z poczynionych kroków. Medyk donosił, że msza przechodzi o wiele ich środki, że trzeba się zadowolić tańszym nabożeństwem nieszpornym i że posłał Krzysztofa z zawiadomieniem do zakładu pogrzebowego. W chwili gdy Eugeniusz kończył czytać kartkę Bianchona, ujrzał w rękach pani Vauquer złoty medalion, zawierający włosy córek.

– Jak pani śmiała wziąć? – spytał.

– I cóż? Miało się go z tym pochować? – odparła Sylwia. – Toć to złoto.

– Oczywiście – rzekł Eugeniusz z oburzeniem – niech zabierze z sobą bodaj tę jedną rzecz, która może uzmysławiać jego córki.

Skoro karawan zajechał, Eugeniusz kazał wnieść z powrotem trumnę, odbił wieko i z religijną czcią ułożył na piersi starego pamiątkę z czasu, gdy Delfina i Anastazja były młodymi i niewinnymi dziewczynami i nie „rozumowały”, jak to nazwał ojciec w majaczeniach agonii. Rastignac i Krzysztof odprowadzili sami, w towarzystwie dwóch karawaniarzy, wóz, który zawiózł biedaka do pobliskiego kościoła Saint-Etienne du Mont. Tam wniesiono ciało do niskiej i ciemnej kapliczki, w której oczy studenta próżno szukały córek ojca Goriot lub ich mężów. Był sam z Krzysztofem, który czuł się w obowiązku oddać ostatnią posługę człowiekowi dającemu mu niekiedy sposobność do sutych napiwków. Czekał przybycia księży, chłopca i kościelnego, Rastignac uściskał dłoń Krzysztofa, nie mogąc wyrzec słowa.

– Tak, panie Eugeniuszu – rzekł Krzysztof – to był zacny i uczciwy człowiek; nigdy głosu na człowieka nie podniósł, nikomu nie wszedł w drogę i nie uczynił krzywdy.

Dwaj księża, chłopiec i kościelny przybyli i spełnili wszystko, co można mieć za siedemdziesiąt franków w epoce, gdy religia nie jest dość bogata, aby się modlić darmo. Księża odśpiewali psalm „Libera” i „De profundis”. Nabożeństwo trwało dwadzieścia minut. Był tylko jeden powóz dla księdza i dla chłopca, którzy zgodzili się wziąć z sobą Eugeniusza i Krzysztofa.

– Nie ma żadnego orszaku – rzekł ksiądz – będziemy mogli jechać szybko, aby się nie spóźnić, jest już wpół do piątej.

Jednakże w chwili gdy umieszczono trumnę na karawanie, dwie karety, zdobne herbami, ale próżne, jedna hrabiego de Restaud, druga barona de Nucingen, przyłączyły się i odprowadziły kondukt aż na cmentarz. O szóstej ciało ojca Goriot spuszczone do dołu, dokoła którego stała służba jego córek. Wszystko rozpierchło się wraz z księżmi natychmiast po krótkiej modlitwie, która się należała staremu za pieniądze studenta. Grabarze rzucili kilka grudek ziemi na trumnę, po czym podeszli do Rastignaca prosząc o napiwek. Eugeniusz przetrząsnął kieszenie i nie znalazł nic: musiał pożyczyć franka od Krzysztofa. Ten fakt, błahy sam w sobie, wprowadził studenta w stan okropnego smutku. Zmrok zapadał, wilgotny zmierzch drażnił nerwy, Eugeniusz spojrział na grób i pogrzebał w nim ostatnią swoją łzę młodzieńczą, ową łzę wydartą świętymi wzruszeniami czystego serca, jedną z tych łez, które padły na ziemię, tryskają promieniami aż w niebiosy. Skrzyżował ręce, wodził okiem po chmurach; widząc go tak zadumanym, Krzysztof zostawił go.

Rastignac, zostawszy sam, postąpił kilka kroków w górę i ujrzał Paryż wijący się krętą linią wzdłuż obu brzegów Sekwany, gdzie zaczynały błyszczeć światła. Oczy jego uczepliły się niemal chciwie miejsca między placem Vendôme a kopułą Inwalidów, miejsca, gdzie żył ten wykwintny świat, do którego chciał się dostać. Objął ten brzęczący ul spojrzeniem, które wysysało zeń zawczasu wszystkie miody, i wyrzekł te dumne słowa:

– Teraz się spróbujemy!

I jako pierwszy akt wyzwania, które rzucił społeczeństwu, Rastignac poszedł na obiad do pani de Nucingen.

Sache, wrzesień 1834